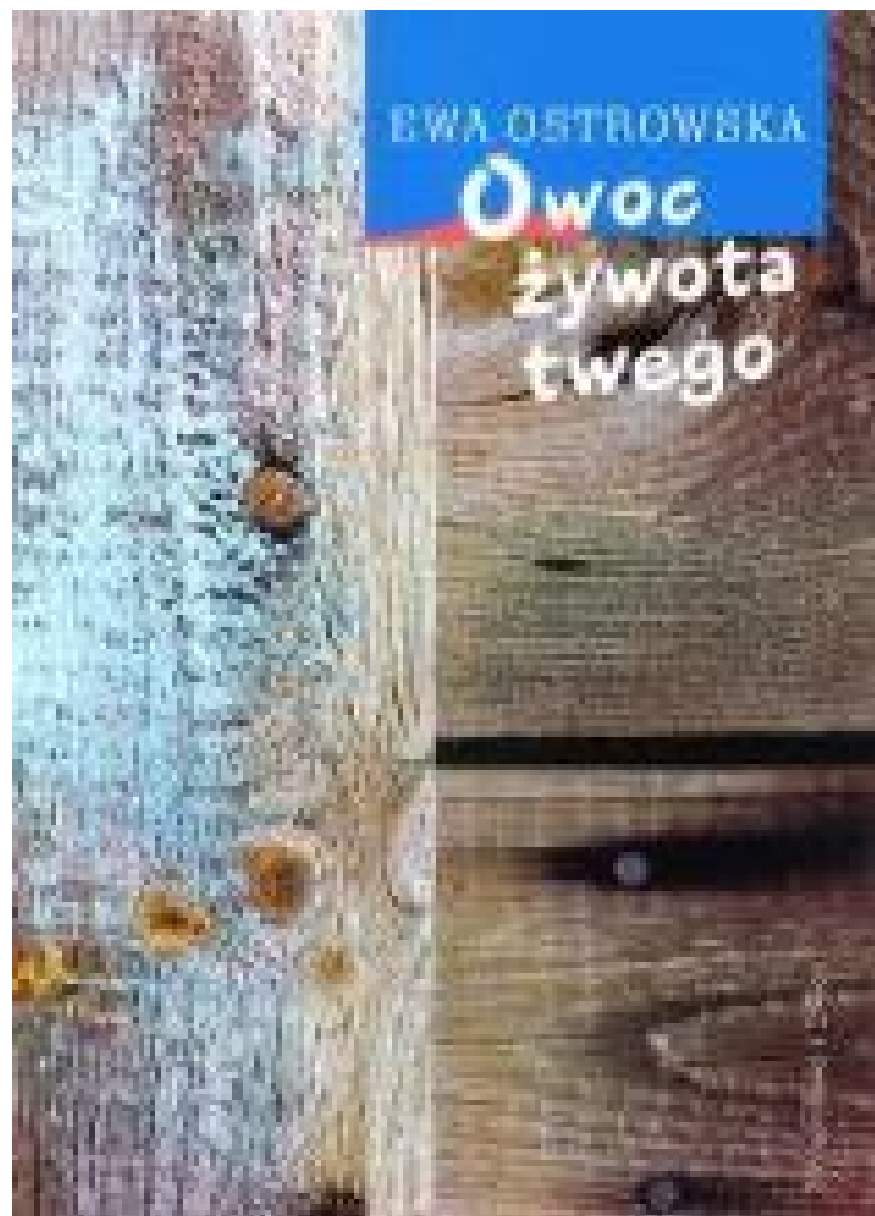


BWA OSTROWSKA

Owoc

żywota
twego



**EWA
OSTROWSKA**

**Owoc
żywota
twego**

Prószyński i S-ka

Copyright © Ewa Ostrowska 2004
Copyright © Prószyński i S-ka SA 2004

Projekt okładki
Maciej Sadowski

Redakcja
Jan Koźbiel

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Łamanie
Małgorzata Wnuk

ISBN 83-7337-613-5

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa,
ul. Garażowa 7

Druk i oprawa
OPOLGRAF Spółka Akcyjna
45-085 Opole
ul. Niedziałkowskiego 8-12

Irenie i Witoldowi Kondrackim

Dzisiaj, z samego rana, po kilkunastu dniach niemiłosiernie piekącego słońca, przeszła pierwsza w tym roku wiosenna burza. Obfita, szczodra; kołowała nad Kamionkowym Lasem, odchodziła nad Zakole, znowu wracała, płacząc na niebie tęczę po tęczy. I była to burza dobra, burza mądra, rozumiejąca i łaknienie ziemi, i łaknienie ludzi, gdyż grzmoty przewalała daleko, a po polach wschodzących żdźbłami zbóż nie waliła strugami deszczu, lecz nasycała z wolna, łaskawie.

Jeszcze po południu padało życiodajnie.

Nosiorkowa, nawet nie osłaniając głowy płachtą, przebiegała drogę, bosymi stopami wskakując w co większe kałuże. Widział ją ze swego okna: stara kobieta z przylepionym do czoła mokrym kosmykiem włosów, nagle odmieniona w hożą jaskółkę. Na moment zasłoniły ją niebieskawe od deszczu bzy przy furtce, a potem wyłoniła się, też niebieskawa, cała w perlistym deszczu, i zobaczył wyraźnie jej usta rozciągnięte w bezzębny uśmiechu; i chociaż te usta były zapadłe, skóra zaś na twarzy przydymiona żółcią śmiertelnej choroby, to ona, ta Nosiorkowa, tańcząca teraz po kałużach ścieżki, stała się młoda i piękna. Co za radość: deszcz! Ileż zwróconych nadziei, a to przecież tylko deszcz, niechaj będzie błogosławiony! Nosiorkowa przy ganku już wsuwała

mokre stopy w kamasze. La, la, la! - śpiewała. Nigdy dotąd, przez te wszystkie lata, nie słyszał jej śpiewającej. Głos miała słaby; la, la przerywane chrapliwym oddechem; a jednak zmęczył ją ten taniec w deszczu przez kałuże. Może - jak tu powiadają - Bóg pozwoli Nosiorkowej przeżyć jeszcze tydzień; może i drugi; może nawet w swojej łaskawości pozwoli doczekać lata; bo tak naprawdę, to ona umiera, ta Nosiorkowa, i wszyscy w Zasławiu uważają, że umiera bez godności. Zamiast położyć się na wersalce w tym najlepszym pokoju, dla gości, swego nowego domu, przykryć pierzyną i ani do krów, ani do świń, nic, nigdzie, tylko sobie leżeć wygodnie, modlić się i w dostojęństwie, z różańcem na palcach i Bożym imieniem na ustach doczekać tej swojej chwili ostatniej, to ona jak wściekła gania po chlewie, po oborze, kury maca, świnie karmi, krowy zdają. Grzech to śmiertelny i tyle. A te jej dzieci poczciwe i ze wszech miar dobre, z całym szacunkiem całują ją po rękach i tylko od czasu do czasu któreś zapytać się ośmieli, co komu matka przekaże wraz z błogosławieństwem. Komu pralkę? Komu lodówkę? Dywan? Szafę dwudrzwiową? A najważniejsze: komu zapisze ten dom nowy, dopiero co w zeszłym roku na jesieni otynkowany, dom prawie jak Małomówniej, a może nawet i ładniejszy? Cztery pokoje na dole, cztery pokoje na piętrze, obrzucony białym barankiem, pokryty siwym eternitem. Jezus Maria, co za dom! I jeszcze te osiem morgów, i tę stodołę! i oborę! Pięć krów dojnych! Osiem macior! Toż to, Jezus Maria, majątek! Więc komu? Któremu? A ma ich przecież jeszcze aż siedmioro żyjących: trzy dziewczuchy na wydaniu i czterech chłopaków po wojsku, i chyba to sam Pan Bóg Nosiorkową oszczędza, że się te jej dzieci za drągi nie biorą, tylko spokojnie czekają, żeby wreszcie zmarła, a czekając, cmok cmok

w matczyną rękę, niech no powie matka, jak dzielić zamierza. Nosiorkowa wtedy oczy przemyka, uśmiecha się bezzębnie i powiada, że jeszcze nie czas. Jak to nie czas? Zgłupiała całkiem od tej choroby czy śmierć chce oszukać? Przecież tuż przed Bożym Narodzeniem brzucho jej w szpitalu otworzyli i zaraz zaszyli na powrót, taki tam się rak rozpełzł i taki to rak Nosiorkową zżera, i nie od wczoraj, lecz od dawna, a ona zamiast się ukorzyć w ostatniej godzinie, wstaje jak gdyby nic ze świtem do obrządku. Patrzcie na nią! Zawiązała płachtę na piersiach, nasypała ziarek i tam, koło dzikiej gruszy, gdzie najtłustsza ziemia, idzie, pszenicę ręką sieje! A któż to dziś ręką sieje? Tak siało się przed wiekami i nawet te łagodne dzieciaki na matkę się wnerwiły. Stasiék nie wytrzymał, podleciał i gada: I co się matka wygłupia? Ziemię i ziarnka marnując? A ona mu na to tak: Żałujesz? Tych paru skib ziemi? Kilku garsteczek zboża, dzieciaku mój? Mnie? Matce swojej? Do lata ja, Stasiu, nie doczekam, lecz moja pszenica mnie przeżyje, wyrośnie wysoka, sypnie hojnie ziarnem, a wy, moje dzieci, zbierzecie je z szacunkiem, ani jednego kłosa nie gubiąc, bo ja w każdym będę. A na Wigilię Ranka niechaj ziarno zmiele i chleb biały wypieczę. I będziecie się tym chlebem łamać, i ja w nim będę z wami, rozumiesz mnie, dzieciaku mój? Lecz jak tu taką wyrozumiej? Co ona wygaduje, ta Nosiorkowa, całkiem się jej po tym szpitalu odmieniło i nawet gada jakoś inaczej, nie tak jak wszyscy, i nikt nigdy w Zasławiu nie słyszał, żeby ktoś tak gadał. Ze szpitala wróciła uśmiechnięta, jakby jej tam nie kroili, tylko sam miód dawali; i tak uśmiechając się, do swoich dzieciaków siedmiorga powiedziała: Niedługo umierać będę, ale proszę bez kadzideł, gromnic i płaczów. Na każdego przychodzi jego czas, a ja ten swój ostatni chcę przeżyć pogodnie, radując się każdą chwilką, każdym oddechem i każdą trawką zieloną. Całe

moje życie dotąd jedna noc ponura, ale przecież zawsze po nocy musi nastać poranek, toteż nie płaczcie nade mną, dzieci moje, gdyż ja teraz dopiero jestem naprawdę szczęśliwa. Więc biedne dzieciaki Nosiorkowej głupiały doszczętnie od takiego gadania, i Jadźka, najmłodsza, ku matce rzuciła się obejmować, lecz Nosiorkowa odsunęła ją i powiedziała: Cichaj, dziecko, nie trzeba. Płacze się nad biednym, nad pokracznym, a ja już ani biedna, ani pokraczna, chociaż w szpitalu ostatni mój ząb wypadł. Zdążyłam wam postawić dom, dach nad oborą poprawić, chlew otynkować i zamiast skonać wśród obcych na obcym łóżku, do siebie wrócić. Czy to nie jest szczęście? Łaska wprost od Pana dana? To czego mi tu szlochać koło ucha? Cieszcie się razem ze mną. Śmiejcie się razem ze mną. Jeszcze jestem.

Tak im prawiała ta Nosiorkowa, i powiedziała również, że chce umierać po swojemu, lecz nikt w Zasławiu o takim umierania nie słyszał, to i Krysiakowa powiedziała do Jadźki: Ty, Jadźka, a jeśli ona was na tę śmierć jedynie nabiera? Dobrze radzę, jedź do szpitala, wywiedz się dokładnie, co i jak z tym umieraniem. Ale Teodorka powiedziała do Krysiakowej: A po jaką cholere Jadźka ma jeździć i rozpytywać, skoro wystarczy na Nosiorkowa spojrzeć i od razu widać, że dni ma policzone. No pewno, powiedziała zaraz Grzybowa, jeśli z tydzień wydoli, to będzie cud boski, bo wyschła na wiór, skóra pożółciła się gromnicznie. Ale Krysiakowa swoje: Przecież rak boli, nie? Jak stary Lewicki umierał na raka, to skowyczał i prosił, coby go dorznąć, a Nosiorkowa ani zajęczy, ani nic. Teodorka rozeźliła się i powiedziała, że Krysiakowa to już taka głupia, że nie daj Boże, bo zapomniała o tych wszystkich latach, w których Nosiorkową raz po raz spierało i raz po raz charczała a charczała. I to była święta prawda, bardzo Nosiorkowa charczała od czasu, kiedy umarł jej Nosiorek. Jeszcze

się godna stypa nie skończyła, na którą poszedł cały świniak i dwie skrzynki wódki, a już Nosiorkową sparło do charczenia. Wróciła do stołu i powiedziała: Pewno mi bigos zaszkodził. A później ją spierało co i rusz, a ona za każdym razem powtarzała, że głupstwo, przejdzie; i szalała w obejściu i polu, zmieniając wszystko po swoim świętej pamięci Nosiorku, tam gdzie on żytko siał, ona posiała trawy, tam gdzie krowę pasał, posadziła kartofle, a trawa i kartofle udały się wprost nadzwyczajnie. I od tego się zaczął majątek Nosiorkowej. Matko ty nasza Boża, a kto by się spodziewał po niej, zahukanej, pokornej, bijanej trzy razy na dzień takiego rozumu? A jaka z niej baba wytrzymała a zacięta: zamiast do doktora, to ona do obory albo w pole. I nie wiadomo już, czy tak charczy od roboty ponad siły, czy od tego w środku spierania? Dom, powiada, postawię taki, jak Małomówniej; na książeczkę tysiąców odłożę, wszystkie żywe dzieci wywianuję, a tamtym nieszczęśnikom zmarłym postawię lśniące lastrikiem pomniki. Pada w bruździe, usta rękami ściska, coby nie wyły, i dalej posuwa z haka. Bój się Boga, Nosiorkowo, a pofolguj sobie, po co ci ta machorka w polu, tyle buraków? Po co ci taki dom wielgachny jak Małomówniej? Chcę, odpowiada, muszę, muszę! Za drzewo odchodzi, głową po pniu tłucze, wyje jak zwierzę zarzynane; ach, Matko Ty Boża, miłosierna, słuchać tego wycia nie idzie. Ty, Nosiorkowo, pluń na świnie, do lekarza jedź. A ona: Chcę domu jak Małomówniej. Opętała ją ta nasza nieboszczka Małomówna Katarzyna ani chybi. Ty, Nosiorkowo, wspomnij: Małomówna, Panie świeć nad jej duszą, worek kartofli jedną ręką zarzucała na plecy, a ty ledwo pół wleciesz za sobą po ziemi. Samym, rozumem ziemi nie ugryziesz, do niej trzeba siły. Ty, Nosiorkowo, zapomniałeś, jaki to los spotkał na koniec Małomówną, Panie świeć nad jej duszą. Tylko spójrz na to puste

miejsce po jej domu, które osiem lat temu szerniało od popiołów, a teraz obrosto dobrotliwymi chwastami. Chcę jak Małomówna! Uparta baba, i jak Małomówna kiedyś przy latarce zawieszanej na szyi haka te swoje buraki, machorkę; targa świniom kotły z kartoflami. Dom postawiła. Ma na książeczce tysięcy a tysięcy. I co jej po tym? Na dwa tygodnie przed Wigilią sparło ją tak, że nie zdążyła wypaść z kuchni. Upadła w progu. I z tego nowego progu w nowym domu zabrało ją pogotowie, żeby przed Trzema Królami odwieźć na powrót, a Nosiorkowa, której rak rozum odebrał, od razu do obory krowy głaskać, do chlewa świnię drapać za uszami i nawet do kurnika gęsi pieścić po czubach, żeby później w pole poczłapać. Stała tam w polu długo, później uklękła, a później krzyżem w śnieg upadła. To Krysiakowa powiedziała do Jadźki: Leć, matkę podnieś, do kościoła zawieź, w kościele, gdzie Bóg, niechaj krzyżem upada, a czego tutaj z siebie wobec ludzi widowisko robi. Ale Jadźka powiedziała, że nie, nie pójdzie matki podnieść, ponieważ matka zakazała do siebie się zbliżać, bo powiedziała, że pragnie w samotności ze swoją ziemią porozmawiać. Tak ci powiedziała? Przeżegnała się Krysiakowa. O Matko Boża miłosierna, widać, że ten rak jej już aż do głowy doszedł, rozum zżera! Więc Teodorka powiedziała: Zamawiajcie czym prędzej trumnę u Tasławskiego, bo teraz, na przednówku, Tasławski ma czas i zbije wam ładną, Uście porzeźbi, a potem, gdy wiosna przyjdzie, byle jaką ukleci; ale Jadźka powiedziała, że matka nie chce zawczasu ani trumny, ani żadnego przyodziewku; co świadczyło o tym, że rak z pół rozumu już Nosiorkowej pożarł i należy się stąd spodziewać rzeczy gorszących a grzesznych. I słowo ciałem się stało! Na trzeci dzień po szpitalu Nosiorkowa za kubeł i za szczotę, i jak dawniej idzie sprzątać

szkołę; cztery klasy, kancelarię i sracz; taka na te nędzne grosze, jakie gmina płaci za sprzątanie, pazerna! Marne bo marne, ale jak Nosiorkową zabrała karetka, do tych marnych groszy było kilku chętnych i aż musiał godzić młodą Grzybową z Heńką Krysiakowej, ponieważ zaczęły się na korytarzu przed kancelarią obrzucać kurwami i innymi choleraami; a wiadomo, gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta, i na sprzątanie załapała się Zośka Teodorki, więc Teodorka omal nie opluła Nosiorkowej za to, że wróciła do szkoły pracować. Zamiast mojej Zośce pozwolić zarobić na rajstopy, a sobie po ludzku trumnę szykować, wrzeszczała Teodorka, to ty gorzej niż świnia nienażarta! Toteż słuchając teraz zadyszanego la, la Nosiarkowej, myślał o tych wszystkich ludzkich gadaniach. Bo ludzie jak ludzie, plotą zawsze, a tym bardziej wtedy, gdy się im ktoś wymyka spod kontroli.

Nosiorkowa wymknęła się im całkowicie.

Zszedł na dół. Nosiorkowa uniosła głowę znad wiadra. Uśmiechnęła się. Co za radość, la, la, Prezesie, że deszcz. Wczoraj chodziłam oglądać swoją ostatnią w życiu pszenicę koło dzikiej gruszy i ona, tak jak ja, umierała. I nawet gdybym ją chciała podlać wszystkimi łzami z całego życia, też nie zwróciłabym jej zieloności. Lecz po tym deszczu, la, la! niechaj będzie błogosławiony! moja pszenica urośnie wysoka, zakołysze się ciężkimi kłosami, la, la! i ja tam w nich będę.

Patrzyła rozjaśnionymi radością oczami. Były takie jasne i takie czyste jak niebo, kiedy rozejdą się chmury i wyjrzy słońce.

Wyjęła ścierkę, wykonała posuwisty ruch szczotką po podłodze.

I ty, Prezesie, śpiewaj razem ze mną. Popatrz, jak to jest: po raz pierwszy w życiu śpiewam la, la! i taka jestem szczęśliwa, że jednak zdążyłam zaśpiewać swoje la, la!

To i on zaśpiewał: la, la, la! - a Nosiorkowa roześmiała się, pacnęła mokrą ścierką raz i drugi, sprawnie zgarniając rozmazany brud z podłogi. Przyglądał się jej szybkim, mimo urywanego oddechu, ruchom, jasnym oczom i myślał o tej radości życia, na którą nigdy nie jest za późno.

La, la, la - śpiewała Nosiorkowa.

Na szczycie schodów pojawiła się Anusia ze swoim zwykłym, bezradnym uśmiechem niemowy.

Będziecie mieć dziś dobry udój! - zawołała za nimi Nosiorkowa. - Szczęść wam Boże!

Deszcz ciągle padał. Krowy ściągały z pastwiska połyskliwe, obmyte ze skwaru, nareszcie syte. Włączył dojkę. Tak, Nosiorkowa miała rację, ten wieczorny udój był naprawdę udany. Anusia przecedzała mleko. Krowy żuły leniwie. Szczęśliwie kończył się majowy dzień w deszczu.

Wrócili do domu. Wszędzie pachniało rozkwitającym bzem. To Nosiorkowa powstawiała do klas zielone bukiety z drżącymi kroplami dżdżu na liściach. I w swojej kuchni znaleźli bukiet. Stał pośrodku stołu, trzy gałązki unoszące liliowe krzyżyki, w których Anusia zaraz jęła szukać pięciopłatkowego szczęścia. Krojąc chleb do kolacji, rozmyślał o tej pszenicy koło dzikiej gruszy, która stanie się chlebem. Anusia rozlała pieniaące się, jeszcze ciepłe mleko w kubki. Chleb i mleko, czego więcej człowiekowi trzeba? Co za spokój: chleb i mleko. Jaka cisza: chleb i mleko. Więc zaśpiewał cichutko la, la! Anusia zaś odpowiedziała mu swoim bezradnym uśmiechem niemowy. Tak bardzo podobna do matki, jak matka drobna, chuda, z płaską piersią, szarymi włosami. Już czas, żeby do niej pójść. Wstał. Anusia posmarowała chleb masłem, ułożyła na talerzyku; poszli. Jak co dzień, jak każdego zmierzchu od ośmiu lat poszli do tej, która od ośmiu lat nie chciała żyć, umrzeć zaś nie potrafiła; palce Anusi delikatnie

splatały szare włosy matki w nocny warkoczyk; obmywały twarz, szyję, płaskie piersi; a on, jak każdego zmierzchu od ośmiu lat brał swoją żonę w ramiona, układał w łóżku, okrywał kołdrą i życzył dobrego snu w płonnej nadziei, że usłyszy odpowiedź. Zamilkła osiem lat temu i milczała dotąd. To może dziś przemówi? Kiedy ten deszcz błogosławiony wciąż i wciąż? Ale oczy jego żony patrzyły nie widząc nikogo; puste, ciemne, zamarte. Trzeba stąd odejść. Ręka Anusi dotknęła jego ręki: tak, trzeba stąd odejść; dziś jednak nie, lecz może jutro? Wyszli, zamykając cicho drzwi. Później siedzieli długo w milczeniu, jedno obok drugiego; tak siadywali razem każdego wieczoru. Potem dotknęli się ustami na pożegnanie dnia i Anusia odeszła w swoją kolejną noc z bezradnym uśmiechem niemowy, a on został ze swoją i nie mógł zasnąć. Koło północy deszcz ustał, niebo rozgwieździło się i nagle go zobaczył. Od razu pomyślał, że to syn Katarzyny: stał dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś był dom; ręce trzymał opuszczone wzdłuż ciała, głowę pochylał nisko.

Więc jednak wrócił.

Poszedł do niego. Syn Katarzyny w świetle gwiazd miał bladą twarz i głębokie cienie przy ustach. W jego oczach, pięknych jak dawniej, trwało zdumienie. Wyglądał niczym wędrowiec, który nagle zabłądził na dobrze znajomym szlaku.

Umarła w trzy miesiące po twoim odejściu, powiedział mu bez wstępów.

Syn Katarzyny przygarbił się. Jego piękne oczy zmatowiały.

Twój ojciec umarł razem z nią, powiedział mu.

Syn Katarzyny pochylił się gwałtownie ku ziemi, jakby przywalony ogromnym, niespodziewanym ciężarem, i milczał bardzo długo, zanim zapytał: A dom? Co z domem?

Spopielilo się wszystko, powiedział mu ostro i dodał: Wróciłeś po należny ci spadek?

Syn Katarzyny pochylał się jeszcze niżej, a kiedy wreszcie uniósł głowę, w jego pięknych oczach była rozpacz. Więc jednak spóźniłem się, powiedział cicho syn Katarzyny. Z czym się spóźniłeś? - zapytał go, syn Katarzyny zaś odparł: Z prośbą o wybaczenie. I zapłakał.

Podszedł do niego blisko, objął mocno.

Kim pan jest, żeby mnie pocieszać? - zapytał syn Katarzyny, lecz nie odepchnął ani się nie uchylał, toteż mógł odpowiedzieć po prostu: Tak jak i ty. Tylko człowiekiem.

Ojciec nasz, któryś jest

1.

Trzeciego dnia po śmierci matki, Głupiej Kazieczki, przyszedł Jan Kowal, twardą jak deska ręką zatkał jej usta, powalił na sienik. Zapinając spodnie, powiedział: Przyjdę jeszcze. A jeśli piśniesz komu słowo, zabiję.

Matka, Głupia Kazieczka, trzy dni temu zległa. Powiedziała: Wyjdź i czekaj, aż zawołam. To wyszła i czekała. Za każdym razem, odkąd pamięta, nie czekała długo. Zawsze trwało to raz raz. Potem matka wołała: Chodź, więc wchodziła i pomagała matce sprzątać. Potem matka szukała pudełka albo skrzyneczki, a jeżeli niczego odpowiedniego nie znalazła, zawijała dzieciaka w szmatę i szły do sadu kopać dołek. Najgorzej zimą, gdy ziemia zmarznięta; trzeba było namordować się bardzo; ale wiosną czy latem, czy jesienią to raz raz, ponieważ ziemia w sadku lekka, piaszczysta; kapusta nie udawała się wcale, za to kartofle rosły niezłe. Gdy się oporządziły z pochówkiem, wracały do domu i matka kładła się, ale też nie na długo; przyzwyczajona była do ciężkiej roboty, długie leżenie uznawała za grzech.

Wszystkie dzieciaki jej matki, Głupiej Kazieczki, rodziły się sine i bez oddechu. Tylko ona, pierwsza, żyła ciągle już czternaście albo może tylko dwanaście lat. Dokładnie nie wiedziała ile,

ponieważ ksiądz nie chciał jej ochrzcić i matka nie miała na nią metryki ani nic.

Czekała, czekała, aż ogarnął ją niepokój: czemu tak długo tym razem? Zajrzała przez okno, jednak siennika, na którym się matka kładła specjalnie do połogu, nie było widać: zasłaniał go stół. Las za łąką pociemniał, łąkę zasmużyły cienie, przedwieczorny chłodek wciskał się koląco pod sukienkę; maj jakoś dotąd był chłodny i dżdżysty, to zmarzła i jeść się też zachciało, a z głębi domu żadnego dźwięku; przstraszyła się tej ciszy i weszła. Matka nie żyła. Leżała z nogami zapartymi w siennik tak mocno, że kolana świeciły jak dwa pękające mięszem jabłka. Brzuch sterczał olbrzymi, jakby jeszcze większy, krew zdążyła zakrzepnąć w czarną kałużę.

Przesiedziała przy matce całą noc i cały następny dzień, i noc kolejną, popłakując. Wiedziała, że matka nie żyje, lecz bała się odejść, zostawić ją chociaż na chwilę samą; w ciągu dnia cierpliwie odganiała muchy, których nagle, nie wiadomo skąd, zleciały się chmary, aż zaczerniało od nich i rozbzyczało; natomiast nocą strzegła ciała matki przed myszami, bo matka bardzo się myszy brzydziła. Drugi dzień przespała, zmęczona. Obudziła się w środku nocy na podłodze obok ciała, które zaczęło mocno cuchnąć. Myszy popiskiwały po kątach żałośnie, wstrętnie. Uciekła, zostawiając matkę na ich pastwę. Rana doczekała na drabinie przystawionej do starej obórki; wydawało się jej, że całutkie podwórze zaroilo się myszami.

Kiedy słońce zawisło nad jabłonką, białą od kwiatów, poszła do domu, żeby dalej ochraniać matkę przed muchami, jednak w domu cuchnęło nie do wytrzymania, matka zaś leżała na sienniku oklapła, brzuch się jej zapadł i przyzieleniał, w czarnej kałuży krwi gziły się białe robaki. Zrozumiała, że musi matkę szybko pochować.

Wzięła łopatę i zaczęła kopać dół w sadku, bo ten dół wydawał się jej najważniejszy. Sądziła, że wykołuje go raz raz, lecz musiała często odpoczywać, gdyż mdliło ją i zbierało na wymioty. Męczyła się chyba z trzecią godzinę, kiedy nadeszli Kowal z Łuczakiem. Łuczak bez wstępów bluznął, że co ta kurwa, twoja matka, sobie myśli, miała wczoraj przyjść do sadzenia kartoflów, dzisiaj już prawie południe, a tej twojej matki, kurwy, nie ma.

Stała w głębokim po pas dole, przed nią zółcił się kopiec usypanego piachu, nad nią pochylała się twarz Łuczaka z wielką, kosmatą brodawką przy nosie. Brodawka była zła, wprost wściekła i prószyla śliną. Kowal trącił Łuczaka w bok: Ty, poczekaj. Przykucnął, obejrzał dół i zapytał: Dla kogo kopiesz, dziewczyno? Wybuchnęła płaczem i powiedziała, że dla matki. To oni popatrzyli po sobie i pobiegli do chałupy, a potem szybko wypadli, i widziała, jak Łuczak rzygał. Usiadła na samym dnie dołu, w mokrym i chłodnym piachu, i płakała długo, ponieważ zrozumiała, że sama w żaden sposób nie zdoła matki pochować. Dół, który wydawał się jej taki ważny, potrafiłaby wykopać, ale jak tę rozklapłą i śmierdzącą matkę dźwignąć i przenieść?

Usłyszała grzechot fury. Otarła oczy, serce zabiło z nadzieją, Kowal z Łuczakiem wracają, pomogą przy pochówku, lecz nim wygramoliła się z dołu, Kowal z Łuczakiem oblewali drzwi chałupy czymś z kanki. Przestraszała się, że i ją spalą. Uciekła do lasu, chociaż krzyczeli, aby poczekała.

Niedługo potem gęsty czarny dym walił po białych obłokach nieba. Czuła strach tak wielki, że chciała umrzeć. Nastął zmierzch, cichy dotąd las roztrzeszczał się, rozszumiał, rozjazgotał głosami umrzyków i upiorów. Na czworakach przepęzła zagajnik i łąkę, skąd było widać ich sadek, majaczący się kikutami

szerniałych wiśni i jabłonek. Rosa na trawach cuchnęła swądem spalenizny. Z chałupy został jedynie ceglany komin. Podpełzła bliżej. Odnalazła dół, który kopła dla matki. W nim przetrwała do rana. Rano zobaczyła, że ogień strawił również i starą obórkę, nie ruszył jednak komórki pod jarzębiną, gdzie matka chowała haki, łopaty, grabie i drewno na opał, a także swoje specjalne do połogu sienniki, wypychane po każdym razie świeżą słomą. Przerzuciła wiele drewna, żeby ukryć się za nim na sienniku matki. Myślała, że jest bezpieczna. Ale nie była.

Widziała przez szpary, jak nadchodzi Kowal. Widziała go wprost pod zachodzące słońce i wydał się jej czarnym olbrzymem. Dlatego całkiem niepotrzebnie zatykał jej usta ręką, i tak by nie krzyczała, bo i po co? Nie miała już nikogo, kto mógłby ją obronić. Kowal, nim wyszedł, rzucił na siennik kawał chleba i powiedział: Jeżeli piśniesz słowo, zabiję. A do wsi nie przychodź. Wczoraj, ledwo spaliliśmy tę kurwę, Głupią Kazieczkę, Łuczakowi utopił się dzieciak i wielu widziało, że to twoja matka, ta kurwa, wciągnęła go pod wodę.

Czwartej nocy nadeszli Trzeciak z Trzeciakową, wybili siekierą drewniane drzwi do piwnicy, wykopanej koło brzozy, naładowali dwa wory kartofli, a po resztę przyjechali drugi raz już furą. Widać nie spodziewali się, że aż tyle dobrych kartofli ma w piwnicy ta kurwa, Głupia Kazieczka.

Piątej nocy w ostatniej chwili uciekła z komórki do dołu w sadku, gdyż znowu zaterkotały koła czyjejs furę. Noc była bez księżyca, pochmurna; nie wiadomo, kto ukradł haki, łopaty, grabie i to drewno na opał. Nawet sienniki pociął, szukając w nich jakiegoś dobra, pewno pieniędzy.

Nie wiedziała, dokąd pójść. Nigdzie poza wsią z matką nie była. Na grzyby i jagody chodziły nie dalej niż za Wysoki Las.

Wczołgała się na powrót do obrabowanej, pustej komórki. Bała się i bardzo była głodna. Więc kiedy nad wieczorem usłyszała mocne kroki Kowala, ucieszyła się, że przyszedł, że nie zostawił jej samej; a chociaż bolało ją to, co z nią i tym razem robił, czekała na chleb, który powinien rzucić. On jednak chleba nie przyniósł. Zapiął spodnie, powiedział: Wstawaj. Idziemy.

To wstała i poszła, nie pytając dokąd. I była mu bardzo wdzięczna, że ją zabiera ze sobą.

2.

Najpierw chował ją w zasieku, w stodole. Niedługo, przez jeden miesiąc. Potem dał miejsce w oborze przy krowach.

Krów miał aż cztery, bogacz; świń dziesięć, dom na podmurówce trzyizbowy, największy we wsi, to liczono się z jego zdaniem i mógł sobie pozwolić na jawny grzech trzymania kurwy, córki kurwy, Głupiej Kazieczki.

Lubiła krowy. Były dobre, łagodne i ciepłe. Miała z kim rozmawiać. Skarżyć się na ten ciągły ból w dole brzucha po tym, co Kowal jej robił. Matka, Głupia Kazieczka, od kiedy spostrzegła, że córce zaczynają pęcznieć piersi, przestała ją zabierać do wsi, do roboty. Jakby co, ostrzegała, nie wierz żadnemu. Uciekaj od razu. Do lasu albo byle gdzie. Choćby ci dawał cukierki albo i koraliki, uciekaj, bo to boli, mówiła matka, boli potem przez całe życie. Matka ich nie przyprowadzała do chałupy. Załatwiała to raz raz gdzieś pod drzewem albo w rowie czy w stogu siana. Zawsze po matce było znać, gdzie to załatwiała, bo albo plecy uwalane ziemią, albo słoma we włosach. Wracała, siadała w kucy na piętach przed kuchnią, podrzucała polana, żeby ogień palił się silny i żeby woda szybko się nagrzewała, potem wlewała wodę do balii i myła się cała, długo. Matka była czysta, twarz i szyję

obmywała codziennie, lecz wodę do balii grzała tylko po tym. Czasem zdarzało się, że ktoś nocą przychodził, dobijał się do drzwi lub rzucał piachem o szybę. Matka wzuwała kamasze, przykrywała głowę chustą, mówiła uspokajająco: Śpij, śpij. Ja to raz raz.

Więc opowiadała łagodnym i ciepłym krowom o swojej matce, Głupiej Kazieczce, wioskowej kurwie i wywłoce, i o sobie opowiadała, o tym dojmującym bólu w dole brzucha, i o swoim strachu, żeby jej Kowal precz nie wyrzucił; a one słuchały cierpliwe, wyrozumiałe, spokojne. Miały wielkie oczy, pełne wilgotnego smutku i pokornej łagodności, podobne do smutnych, łagodnych oczu jej matki, Głupiej Kazieczki. Krowie brzuchy, rozdęte sokami traw, pachniały mlekiem i sytością. Doiła, opierając się policzkiem o taki ciepły, tkliwy brzuch; mleko rytmicznie dzwoniło w wiadrze i była wtedy prawie szczęśliwa.

Ubrania donaszała po Kryśce, córce Kowala. Kryśka liczyła pewno tyle lat co i ona, była jednak dużo tęższa. To Kryśka zażądała od ojca, żeby kazał jej szorować podłogi we wszystkich trzech izbach, doić krowy, oporządzać świnię, wywalać gnój i robić każdą inną robotę. To robiła; za nieboszczkę Kowalową w nocy, a w dzień za Kowala i Kryskę.

Kiedy Kryśka dostała swój czas, Kowal zapytał ją, jak z tym jest u niej. U niej jeszcze krew nie pokazywała się między nogami. To i dobrze, orzekł Kowal, jak się pokaże, powiesz. Nie chcę mieć z tobą bękarta.

Tak zmąciło się jej niepewne szczęście. Czasem wydawało się jej, że już nie musi martwić się o to, co się z nią jutro stanie. Miała swój kąt w oborze, swoją miskę; chleba Kowal nie wydzielał; a chleb piekła wysoki niczym ciasto. Słoniny też dostawała kawałek co niedziela. I nikt się jej nie czepiał, bo chociaż była potomkiem wioskowej kurwy, Głupiej Kazieczki, to przecież należała

do Kowala, który nawet w kuchni miał zamiast polepy podłogę z desek. Czasem Kryśka opluła; ale co tam, niech pluje, skoro jej śliny nie szkoda. Więc może przez ten wielki strach o jutro krew nie pokazała się między nogami jeszcze przez rok. Jednak któregoś dnia zobaczyła czerwone na udach i płakała długo, wtulając policzek w ciepły brzuch krowy, w którym żwawo ruszał się cielaczek. Chciała Kowala oszukać, lecz on zobaczył, że jest ubrudzony. Bił mocno. Powiedział: Jak krowy podoisz i świniom zadasz, zabierzesz się stąd.

Nie zapytała dokąd. Gdzieś tam, podobno, była jakaś wojna i zdarzało się nawet, że i tu nocami niebo grzmiało tak, jakby tysiące dzikich gęsi łomotało skrzydłami, a i w dzień przelatywały nad Wysokim Lasem maszyny podobne dzikim gęsiom, tyle że czarne, straszne, lecące w grzmocie. A może zresztą i ta wojna jakaś była gdzieś bliżej, może i bardzo busko, lecz o tym niewiele wiedziała, rozmawiała przecież wyłącznie z krowami, kto by tam gadał z pomiotem Głupiej Kazieczki, która nie dosyć, że była wioskową kurwą, to na dodatek w kilka dni po śmierci wychynęła z topieli, wczepiła się we włosy Kuby Łuczaków i wciągnęła pod wodę. A nawet gdyby i ktoś gadał, to i tak nie miała czasu na myślenie czy zajmowanie się jakąś tam wojną; cztery krowy, dziesięć świń oporządzić codziennie, pole obmotykować, pokos przewrócić i jeszcze nocą obsłużyć Kowala; od roboty aż się w głowie mąciło. Tej wiosny Kowal lejce rzucił i powiedział: Idź orać. Starła się ze wszystkich sił spełniać wymagania swego pana, ze strachu o swój kąt w oborze i z tej pokornej wdzięczności, że go wciąż ma. A teraz kazał zabierać się, to cóż? Trzeba. Obrządziła świnię. Podoiła krowy. Przecedziła mleko. Poumywała wiadra. Wszystko jak należy, bo ją matka nauczyła akuraczności; drew także narąbała na zapas, bo ten Kowal bardzo kaszle, a

ta jego Kryśka to legatka, aby leżeć, pestki gryźć, cukier ssać i tyle z niej pożytku.

Deszcz zacinął ze śniegiem, szykowała się wczesna zima. W oborze ciepło, słodkawo od ciężkiego odoru gnoju. Krowy patrzyły wilgotnymi od smutku oczami. Cóż, kiedy trzeba, kochane.

W którą stronę iść? A wszystko jedno. Pójdzie, gdzie oczy poniosą, lecz najpierw na kolonię pod las, ostatni raz popatrzeć na miejsce, gdzie kiedyś stała chałupa matki, Głupiej Kazieczki, ze zrudziałą od starości strzechą. Pójdzie, uklęknie w sadku, odmówi za swoją matkę Ojcie nasz.

Kowal dogonił ją przed zagajnikiem. Cisnął na furę. Batem smagnął ją i konia. Kryśka kazała, zachrypiał, smagnął ponownie batem przez twarz, kopnął, bo go chciała w podzięce całować po kolanach. Lecz nic to. Nie szkodzi. Wszystko lepsze od losu bezpańskiego psa. Przymknęła oczy i w myślach odmówiła dziękczynne Ojcie nasz.

Kryśka wieczorem zaszła do obory. Chodź, nakazała. Pulchne, czerwone wargi Kryśki zaciskały się ze wstrętem: Tylko mnie nie dotykaj, suko!

Nie, to nie. Chciała tylko ładnie podziękować, w rękę całując, nic więcej.

W sieni, na lewo, była komórka. W komórce stały beczki z kiszoną kapustą i kiszonymi ogórkami. Słomy nanieś, suko! - rozkazała Kryśka - i odtąd tu siedz. Na noc zawieraj drzwi na skobel. Ojca mi nie wpuszczaj, choćby drzwi siekierą rąbał. Ani nowiej macochy nie chcę, ani bękartowskiego rodzeństwa. Rozumiesz, suko?

Co by miała nie rozumieć? Rozumiała. Pełne, czerwone wargi Kryśki aż tryskały wstrętem. I ten wstręt również rozumiała. Pochyliła głowę na znak posłuszeństwa.

3.

W komórce zimą mróz, latem upał. Kowal miał oczy przekrwione, potrzebował co noc, ona zaś drzwi zastawiała beczkami. Dopadał więc za dnia, przy krowach albo przy świniach, albo gdzie bądź. Zatykał usta ręką. Groził, że wyrzuci, wygna won, a do posług wynajmie Dominuchę. Bała się Kowala. Bała się Kryški. Nocami modliła się żarliwie, wołając Ojczy nasz, któryś jest, i umierała ze strachu na myśl, co się z nią stanie, jeżeli krew nie ukaze się pomiędzy nogami.

Zatraciły się zimy, lata, wiosny, jesienie; wszystkie do siebie podobne, jednakowe; czas podzielony między pracę nad siły i strach nad siły; między bolesną rękę Kowala na ustach i coraz pełniejsze od wstrętu czerwone wargi Kryški; między wołanie Ojczy nasz, któryś jest, a oczekiwanie na krew; i tylko oczy krów, obrzmiałe wilgotnym smutkiem, pozostawały wierne i oddane.

Wojna przewaliła się przez okolicę. Spłonął Wysoki Las i niebo się paliło, wyło jak w dzień Sądu Ostatecznego. Łuczak zginął koło swojej studni, kiedy maszerowali żołnierze, bo któryś z nich rzucił granatem; i co trochę trzeba było się chować do piwnicy przed bombami. Aż wreszcie któregoś dnia ucichło. Kowal powiedział, że Hitler kaput i upił się do nieprzytomności, i chciał ją wziąć na podłozie w kuchni, nie zważając, że Kryška patrzy, lecz na szczęście jakoś się jej udało wywinąć spod bezwładnego ciała Kowala.

Może tam i jakiś Hitler kaput, diabli z nim, co kaput jakiegoś Hitlera w jej życiu podzielonym między strach a robotę zmieni?

Ale niezadługo Kowal każe kopać w piwnicy doły, ziarno doń sypać; po nocach zrywa, każe krowy pędzić za spalony las na bagniska, a gdy się upije, to wali pięścią w stół i krzyczy: Niczego

nie oddam! ani jednej bruzdy ziemi! ani krowy jednej! ani koczki nawet! Zarąbię każdego, kto rękę po moje wyciągnie! Kryśka! Słyszałaś, co się dzieje? Wprost gorzej niż wojna! Ziemię, bydlę zabierać na kołchozy!

I taki był tym przerażony, że przestał ją dopadać, lecz chyba zbyt późno, ponieważ już drugi miesiąc krew u niej nie pokazała się między nogami, a dół brzucha rozrywał ból, przyginał do ziemi, więc pocieszała się, wołając Ojciec nasz, któryś jest, tylko tym, że zamiast tyć w pasie, to chudnie z dnia na dzień. Kryśka jednak czegoś się domyśliła. Powiedziała: Popatrz mi w oczy, suko! - a potem uderzyła dłonią zaciśniętą w kułak. Trwały wszakże spóźnione sianokosy, ciężkie bardzo, gdyż pogoda kapryśna: co pokos się przerzuci, znów deszcz. Nim zwieźli do stodoły, siano poczerniało i zatechło. Zaraz po sianokosach prosiła się maciora, trzeba prosiaczków pilnować; potem żniwa, to na żniwa przecież nie wyrzucą, po żniwach kopanie kartofli, to przed kopaniem pewno też nie.

Sprzątała właśnie u maciory, gdy nadszedł pijany Kowal. Chodź, suko, powiedział.

Kryśka siedziała przy stole w kuchni. Wargi miała pełne, czerwone, rozchichotane; oczy błyszczące; też opita. Powiedziała: Całuj mnie suko po rękach, za mąż cię z ojcem wydajem. Głupie żarty, ale jak każą całować, całować trzeba, gdzie każą. Ten siedzący obok Kryśki też był nieźle opity, łeb jego rudy i kudłaty chwiał się na cienkiej szyi jak piłka. Popatrz, Małomówny, powiedział Kowal, jaka piękna baba. Wysoka niczym topola. Ale ten Małomówny, czy jak mu tam, wpatrywał się w Kryśkę. Popatrz, Małomówny, jakie ta tu ma mięśnie, nie gorsze od chłopa, powiedział Kowal i pchnął: Zakasz rękawy, suko. Nakazał, to zakasała. A teraz napnij mięśnie, suko! Napięła. No ty, Małomówny, tylko spójrz: mięśnie jak postronki. Ona ciebie jedną

ręką jak worek kartoflów na plecy zarzuci, taka silna. Albo nogami obejmie i ściśnie, to, powiadam ci, Małomówny, aż oczy na łeb wychodzą z przyjemności! Zarechotał Kowal, lecz Małomówny czknął, objął Kryškę. Kryška zaśmiała się chrapliwie, pacnęła tego Małomównego, czy jak mu tam, po łapskach. Ją se ściskaj, swoją narzeczoną, śmiała się Kryška, i ty popatrz na jej cycki, niczym dwie głowy kapusty, cały się między nimi scho-wasz! No, duży to on nie był, ten zwany Małomównym, i w ramionach wążutki. Pokaż mu cycki, pokaż, rozchichotała się chrapliwie Kryška, Kowal jej zawtórował: Pokazuj, suko! Co miała robić, rozpięła bluzkę, pokazała, a ten Małomówny, czy jak mu tam, nagle głęboko odetchnął i usiłował wstać od stołu, ale mu się nogi poplątały. A żebyś zobaczył jej łydki, rechotał nadal Kowal, zechcesz, będą twoje, i to wyżej też twoje. Zadrzyj kieckę, suko, pokazuj łydki i to, co nad nimi włochate. Kryška rechotała coraz cieniej, piszcząco: Wyżej, wyżej, piczkę ty masz jak doniczkę! Ten nazywany Małomównym wreszcie odzyskał równowagę, rozochocony podszedł, poprzyglądał się, splunął. Śmierdzi, powiedział, świniami. Jak ma nie śmierdzieć, wnerwił się Kowal, kiedy dopiero co gnój wywalała od maciory? Ty, Małomówny, ty spójrz jeszcze, jakie ona ma włosy. Ale Małomówny chwiał się, nieprzekonany, raz po raz powtarzając, że świniami śmierdzi. A żeby cię osrało, Małomówny! - Kowal wnerwił się ostatecznie - coś się uczeplił jak rzep psiego ogona tego śmierdzenia? Lepiej przyjrzyj się jej włosom. Rozpleć warkocz, suko! a szybko! No i co, Małomówny, widziałeś ty kiedy takie włosy? Gęste, wijące się i aż do pasa długie? Czego ci więcej trzeba, Małomówny? A zęby, powiadam ci, jeden w jeden równe, białe. Rozdziaw gębę, suko, pokazuj zęby! - wrzasnął Kowal. - To jak, bierzesz ją czy nie bierzesz? Worek owsa ci do niej dołożę. Dwa worki, odezwał się ten Małomówny, czy jak mu tam; Kowal

przystał i tak ostatecznie dobili targu.

Z Przysuchej do Zasławia piętnaście kilometrów, lecz wsiadając na furę z tym, co zwał się Małomówny, nie wiedziała przecież, dokąd jada. Zresztą, wszystko jedno. I tak w obce, nieznane; a co obce i nieznane, to straszne. Strasznie psu, gdy zmienia pana. Ale zawsze lepiej mieć jakiegoś niż żadnego. Ten jej nowy, opity, zasnął szybko. Kobyła z udręczonym, zwieszonym beznadziejnie łbem na chudej szyi, z której zwisała pomarszczona i wyliniała skóra, ciągnęła skrzypiącą furę z wiernopoddańczym samozaparciem, dychając przed każdą górką tak, jakby to miała być już ta ostatnia, za którą padnie i zdechnie. Wiązka słomy na furze była brudna, zleżała, pocięta na krótko przez myszy. Nowy pan nie zapowiadał dostatniego życia. Kapota na nim aż połyskiwała od gromadzonego latami brudu. Rozwalony na worach z owsem, chrapał. Kudły miał ryże, brwi ryże i ryży zarost. W kąciку sinawych ust białała kapka zaschniętej śliny.

Opierając policzek o tłumok z łachami, które Kryśka z głupawym chichotem i pijacką czkawką wyrzucała z komody, nagle szyderczo hojna, wpatrywała się w tę kapkę śliny, w ten rudy zarost, w ten zakrzepły brud na kapocie swego nowego pana, który nazywał się Małomówny.

Chleba naszego powszedniego daj

1.

Ach, co za bezwstydną dziewczyna! Pełno chłopów na podwórzu, a ona w spódnicy przed kolana, furkoczącej jak trzmiel, błyska długimi, opalonymi na złoto nogami. Biała trykotowa bluzka ściśle przylega do ciała i dwa białe pagóreczki sterczą ostro, wyzywająco; a te chłopcy, świnię, pożerają oczami i opalone nogi, i białe pagóreczki, i całą Jadźkę od głowy do stóp, i pewno już im to staje w spodniach; ach wy! nie dla psa kielbasa! a ty, Jadźka, czego tu? Po kiego czorta się płaczesz?

Lecz Jadźka, istna wariatka, wepchnęła się między Prezesa a Jackowiaka. Tymczasem Prezes opieprzał Jackowiaka, ile się zmieści. Ty świński ryju, mówił Prezes, blizny mu na czole nabrzmiewały krwią, znaczy, zaraz wścieknie się ostatecznie; i jeszcze ta Jadźka tu potrzebna! Kochany Prezesie, ja tylko kapelkę, miał czapkę Jackowiak. Ładna kapelka, skoro po niej do dziesiątej nie wytrzeźwiał, na nogach ledwo ustać może. O! i czknęło mu się, a jak głośno! Przez twarz Prezesa przeleciał skurcz wstrętu, stał z policzka płwocinę, cofnął się pośpiesznie. Ty świński ryju! - zaryczał, bo ta płwocina od czknięcia wyprowadziła go z równowagi, blizny na czole sfioletowały.

Zapowiedział, przekląty diabeł, młockę u siebie na niedzielę, w dzień boży, pogoda sprzyjała, jakby ją zamówił u samego Lucypera; po dziesięciu dniach posępnej szarugi, wyjącego wiatru, zacinającego bolesnym zimnem deszczu wczoraj, w sobotę, wyjrzało słońce, niebo rozjaśniło się, zbłękitniało, a klony koło Nosiorków rozbłysły czerwienią i złotem. Jutro będę młócił, zarządził Prezes, wysłał Lewickiego, tego swojego przydupasa, do wybranych przez siebie gospodarstw. Ją przywołał przez płot: Katarzyno, przyslij mi syna na dziesiątą, jutro młóć. Kogo mam ci przysłać? - popatrzyła zdumiona. Swego bęcwała, odpowiedział. Aż nią podrzuciło: A to z jakiej racji? Co to? Twój parobek? Prezes pochylił nad płotem swój wielki, byczy kark. Żle wyglądał, drań. Usta prawie czarne, jakby od wielkiej gorączki, szare wory pod oczami. Wszyscyście dla mnie jak parobcy, powiedział wściekle. Chciała się postawić, lecz przypomniała w porę, że dopiero co Lewicki opowiadał i Staśka także, jak to Prezes pochwyił Witoska pod pachy, zaciągnął pod te drzwi, na których Witosek kazał sobie przykleić napis DYREKTOR TECHNICZNY, PAWEŁ WITOSEK; i Witosek musiał ten napis przy Lewickim i Staśce zdrapywać, a że klej był dobry, mocno trzymał, to musiał paznokciami drzeć; więc on coś miał, ten drań, na Witoska, o którym dotąd powtarzał, że mu jak syn; coś ważnego musiał mieć, a jeżeli tak, to teraz Anusi może Witoskowi nie da? A jeżeli Witoskowi nie da, to komu ją da wraz z majątkiem? I może dlatego kazał przyjść synowi? Żeby mu się lepiej przyjrzeć? Dobrze, odpowiedziała szybko, przyjdę z synem. Ciebie nie potrzebuję, warknął i odszedł. Syn, jak mogła przewidzieć, zezłościł się. Co to ja? Niewolnik Prezesa?! O Anusi synowi wspominać nie chciała, bo zaraz by się spłoszył. Wiesz przecież, synu, serce moje, że on tu, drań przekląty, wszystkimi i wszystkim rządzi, powiedziała, a jeśli mnie za nieposłuszeństwo ze sklepu wywali? To niechaj wywała! - krzyknął syn. Ale

wówczas nie kupię ci jeszcze większego telewizora, synu, serce moje. Pomyślałby kto, że matka taka biedna, mruknął syn i wyszedł z kuchni, trzaskając drzwiami. Odetchnęła z ulgą: trzasnął drzwiami, znaczy, że pójdzie. Trzeba, aby założył jutro tę niebieską koszulę, w niebieskim synowi najładniej.

I stał oto koło niej, taki piękny z tą odętą kapryśnie dolną wargą, oznaką niezadowolenia. Wszyscy stawili się co do minuty, chociaż każdy klął, bo kto to słyszał, co by młócić w świętą niedzielę? No, ten grzech jednak na Prezesa spadnie. Nie pierwszy i nie ostatni. Prezes oczekiwał na nich, stojąc na ganku. Schodzicie się niczym na majówkę, powiedział zamiast powitania. Mogliby zaczynać, a tu Jackowiak się spóźniał. Kochany Prezesie! - zawołała Nosiorkowa - Jackowiak nie przyjdzie, przecież wczoraj była sobota!

No pewno, że Jackowiak nie przyjdzie; sześć dni pracował, jak Pan Bóg przykazał, a wieczorem dnia szóstego po robocie zaczął chlać; taki miał rytm życia: lato, jesień, zima, wiosna raz w tygodniu, zawsze w sobotę, na umór, do nieprzytomności i samotnie; niedzielę przeznaczał na trzeźwienie, a pracował tylko po to, aby mieć na sobotnią gorzałę. A tu Prezes zakłócił jego rytm, kazał przyjść w niedzielę do podawania.

Zawołał mego, napraszała się Nosiorkowa. Prezes ani zerknął w jej kierunku, bliźny na czole podchodziły krwią. Ciekawe, czego Nosiorki potrzebują od Prezesa? Czy tylko kopaczki do kartofłów? Jak ci się zdaje, Małomówno? Teodorka nachyliła się do ucha, buchnął smród; ta to nawet na niedzielę pyska nie umyje, szyja jak czarna ziemia. Odsuń się, Teodorka, powiedziała. Bo co? - spytała Teodorka. Bo śmierdzisz, powiedziała. Szare, też jakby brudne oczy Teodorki buchnęły na krótko szybkim błyskiem nienawiści i zaraz przygasły. Cała Teodorka, nic jej nie ruszy, żadna obraza. O! Jackowiak idzie, ale popatrz na niego,

Prezesie, wołała Nosiorkowa, toż on na nogach nie ustoi, a co dopiero na maszynie! To jak? Skoczyć po mego?

Na pewno chcą czegoś więcej niż kopaczki, zaszeptła ponownie Teodorka, w dupę mu włożyła bez wazeliny.

Jackowiak dla utrzymania równowagi wymachiwał szeroko rękami i wyglądał, jakby nie szedł po ziemi, lecz płynął po jeziorze. Czapkę na wszelki wypadek ściągnął, pochylił w pokorze siwy, skołtuniony łeb. Ty świński ryju, pożegnaj się z premią! - wrzasnął Prezes. Wtedy Jackowiak zamrugnął przekrwionymi oczami, zadreptał w miejscu, tak jakoś dziwnie ściskając kolana, jakby mu się bardzo szczać chciało, więc Grzyb zagwizdał cichutko niczym na kobyłkę, która zaczyna się odlewać, i zaraz też, cichutko i cieniutko zaszeptła: Psi, psi, psi, Jackowiak, a Teodorka natychmiast zapiszczała w śmiechu: Ojej, ojej, ojejku! Prezes zaś ryknął: Następnym razem wywalę cię z roboty na zbity pysk, ty świński ryju! I może jeszcze coś by wyrzucił we wściekłości, ale właśnie pod ganek przyfrunęła Jadźka z tym swoim furkotem przykrótkiej spódnicy. Ja! - zawołała - ja chcę podawać! Czy Prezesa złagodniały. Za mało się wytańczyłaś na wczorajszym wieczorku, latawico? - powiedział, a ona okręciła się, roześmiała: Całą noc! całą noc! i wyrzuciła ponad głowę obnażone ramiona, jakby tu, na podwórzu Prezesa, zamierzała zatańczyć ponownie. Majtki ci będzie widać, uśmiechnął się Prezes, jak wleziesz na maszynę. No to co? Pokazać od razu? - machnęła spódnicą. Ach, ty latawico, powtórzył Prezes, roześmiał się na głos; świnia, widać i jemu by się chciało dobrać do tych ostrych pagóreczków. Za kilka minut sama poprosisz, żeby cię zmienić, bo to robota dla chłopca. To poproszę, ale teraz chcę! Chcę! Chcę być bliżej nieba! Chcę być ptakiem! Istna wariatka z ciebie, śmiał się Prezes, zakochałaś się czy jak na tym wczorajszym wieczorku tańczącym?

Ten tłścioch Małomównej niech włazi. Przynajmniej trochę sadła z siebie wytopi.

To miał być zart, z tym tłściochem. Najpierw odchyliła głowę Teodorka, zatrzęsała się jak galareta, zapiszczała: ojej, ojej, ojejku; Nosiorkowa trąciła Iwaniuczkę, i obie rozradowały się okropnie. Grzybowi zachodziła od śmiechu wystająca grdyka. Nawet Jackowiak zadreptał w miejscu raźniej, z nagłą otuchą. A Prezes odzyskał humor. Ten tłścioch, powtórzył.

Przez moment nienawidziła nie Prezesa, nie tych, tak nagle rozweselonych ludzi, lecz jego, swego syna. Stał na rozkraczonych, bocianich, po chłopcemu długich nogach, jakoś dziwnie cienkich, co właśnie podczas tej krótkiej chwili spostrzegła, że dziwnie cienkich pod opasłym, dużym brzuchem nie dziewiętnastolatka, ale przejrzałego mężczyzny. Nad nabitym, przelewającym się miękkim karkiem tkwiła piękna, kształtna głowa, porośnięta czarnymi kędziorami, z jasnym czołem, z czarnymi łukami brwi, z oczami jak dwa modre jeziora, które chmurnieją od doznanej zniewagi. Gdyby nie ta piękność twarzy, jej syn byłby pokraką, a jej syn miał przynosić tylko dumę, tylko radość, tylko uniesienie.

Bić po oczach. Po oczach. Wszystkich.

Wyskoczyła przed syna. Ja będę podawać! - krzyknęła. Prezes z wysokości ganku patrzył lekko przymrużonymi oczami. I jego też po oczach, drania!

Ależ nie! Ja, ja! - zawołała Jadźka.

Prezes machnął ręką. Cholera z wami. Róbcie, jak chcecie.

2.

Nagle głowa Jadźki targnęła w tył, odleciała jak piłka, aż zwiśla przytrzymana szyją, wyginającą się ponad plecami w łuk. Spod białej bluzki trysnęły małe piersi; może chciały uwolnić

się od ciała i pofrunąć? Splot jasnych włosów rozszalał się: wyginał, zwijał, kurczył, przypadał, pełzał, i wydawało się, że to nie Jadźka, lecz ten rozszalały splot włosów tak krzyczy. To on, drgający w męce, żywy. A gdy równie gwałtownie zacichł, to w tej ciszy, podobnej do głębokiej studni, narastać zaczęło głucho, miarowe bębnienie. Młocarnia. Wciąż szła.

Kto zatrzymał? Prezes? Bo widziała go, biegnącego ku maszynie przez podwórze. I jego usta, otwarte jakby do krzyku, ale krzyku nie słyszała. Wyłączyły się z niej wszystkie dźwięki. Podwórze, biegający w panice ludzie, ziemia, niebo, drzewa odsunęły się, oddaliły, widziała wyłącznie ten zacichły, nieruchomy splot włosów, który tracił swoją jasność, swoją pszeniczną płowłość i szarzał, i czerniał, i stawał się czarnymi kędziorami jej syna. Odrzucona w bok bezwładnie biała dłoń była dłonią jej syna.

To on. Syn.

I czego, durna babo, tak wyjesz?

Ostry ból w policzku. Słowa Prezesa dotarły, gdy cofał dłoń.

Jemu się nic nie stało. Spójrz, on jest tam.

Zobaczyła syna. Klęczał zaledwie kilka metrów od niej, tuż przy ścianie stodoły, wymiotował. Rzuciła się ku niemu, przytrzymać głowę, lecz odepchnął z gniewnym pomrukiem.

Ludzie na podwórzu poklękali.

Wymięta plama Jadźki, wysoko na maszynie, na rozrzuconej słomie jak na ołtarzu ofiarnym.

Od furtki biegła, drobiąc kroki, Kołodziejka. Zamigotała w słońcu srebrem wazowa łyżka.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała: zamiast. Patrzyła na tak głupio drobiącą kroki Kołodziejką z łyżką wazową w rękę; zamiast, pomyślała. Zamiast, pomyślała znowu, przyglądając się Kołodziejkiej, jak milczaco, bez krzyku, podbiega do maszyny,

potyka się, upada, wypuszcza z ręki wazową łyżkę, która toczy się i toczy, pobrząkując na kamieniach.

Zamiast. Co za okrutne słowo: zamiast. Jakże miłosierne słowo: zamiast. Bądźcie błogosławieni, wszyscy święci i Ty, Matko Boska Pocieszycielko, że istnieje, że jest słowo zamiast. A słowo ciałem się stało. Zamiast. I patrzyła, chłonęła, aż zdrętwiała od tej wszechogarniającej radości, niewypowiedzianego szczęścia, że jacyś obcy ludzie w białych fartuchach zamiast jej syna ściągają wymiętą płamę Jadźki z maszyny. Dokładnie, niczym w powiększeniu, dostrzegała ostre zęby zacięte na dolnej wardze i kilka kropelek poczerwiałej już krwi na brodzie, i powtarzała raz po raz unisono swoje zamiast. Coś krwawożółtego zwisało spod spódnicy, która straciła turkoczącą lekkość; zamiast! a jednak zamiast! Hosanna, bo zamiast! Nie ma piękniejszego, bardziej radosnego słowa niż to krótkie, jedyne, najlepsze zamiast! I najbardziej przekłętego z przeklętych, gdyż mimo wszystko to zamiast niewyobrażalne, nie do pojęcia, nie do zrozumienia, stać się przecież mogło! stać się miało, bo tylko cud sprawił, że się nie stało. W domu rzuciła się ku prawej nodze swego syna i chciała ją dotykać, całować, ścisnąć, głaskać; dopiero w domu, wśród zwyczajności sprzętów, wobec tego lilioworóżowego chodniczka, utkane go ze szmatek, wobec kredensu z szybkami, wobec zasłonki w kratkę, wobec makatki nad zlewem pojęła całe znaczenie słowa zamiast i ogarnęła ją dzika rozpacz, bo gdyby nie cud słowa zamiast, co stałoby się z nogą jej syna? Cud, cud, bełkotała. Co tobie, matka? - rozwścieczył się syn; ach, jaki blady, ach, jaki piękny! Cud, cud! Odepchnął ją sunie, aż zatoczyła się na ścianę. Zwariowałaś, matka?! A ona przecież chciała się jedynie upewnić co do cudu, chciała jedynie dotknąć nogi syna; prostej, długiej po bocianiemu, że jest cudownie ocalona, że porusza się, zgina, chodzi, i pulsują w niej błękitne żyłki życia, rośnie na niej ciemniejący

lekką puszkę. Naprawdę, wściekłaś się, matka! - krzyknął syn, odepchnął ponownie, zatrzasnął za sobą kuchenne drzwi, załomotał w sieni. Uciekł. Dokąd, synu, serce moje? Lecz on nie usłuchał wołania, nie zatrzymał się, biegł przez podwórze, nogi jak dwie sprężyny. A słowo ciałem się stało, Bóg jest miłosierny.

Całą noc do białego rana przeleżała krzyżem.

Nad sobą miała nieskazitelną biel sufitu; dwa razy w roku bielili mieszkanie: wczesną wiosną i wczesną jesienią. Deski podłogi pachniały mydłem, szorowała je co wieczór.

Kiedyś, wiele lat temu, też tak leżała krzyżem dziękczynnie, lecz wówczas sufit był czarny od sadzy, omotany pajęczynami, a podłoga krzywa, spróchniałe deski cuchnęły myszami i robactwem. Modliła się jednak równie żarliwie, chociaż jeszcze nie знаła słowa zamiast, lecz tak jak i dzisiaj rozpiekała ją ogromne, niedające się wypowiedzieć szczęście. Małomówny powiedział: A, co tam! Ożenię się z tobą.

Od Kowala zajechali do Zaslavia późnym wieczorem. Małomówny zdążył wytrzeźwieć nie za wiele, lecz na tyle, aby o własnych siłach zwlec się z fury. Niebo migotało gwiazdami. Wiatr przywiewał od lasów zapachy igliwia i żywicy. Spłoszony przybyciem ludzi przemknął tuż pod nogami spasiony szczur, szleszcząc długim ogonem. Krzyknęła cicho, ze wstrętem; tak jak jej matka, Głupia Kazieczka, brzydziła się nadzwyczajnie myszy i szczurów. Coś złowrogo zaszurało w czarnych badylach pod ścianą czegoś, co mogło być oborą; jeszcze oczy nie przyzwyczyły się do nieznanego miejsca, jeszcze nie rozpoznawały tu niczego i nie wiedziały, że te badyle pod ścianą, takie wysokie i dorodne, to nie krzaki porzeczek ani agrestu, ale rozrośnięte nad podziw pokrzywę, przetykane ostem i łopianem. Za to księżyc wisił wprost nad chałupą i bezlitośnie odsłaniał zapadający się

koło wyszczerbionego komina słomiany dach, okna zabite dyktą i krzywizną drzwi do sieni, które, pozostawione otwarte, zaskrzyphiały jakby na powitanie. Kobyłka stała ze zwieszonym łbem. Oko jej łypało boleśnie. No, chodź, chodź, powiedział bełkotliwie Małomówny. Potem okazało się, że on mowę ma taką niewyraźną, jakby zawsze trzymał kartofla w gębie. Poszedł pierwszy, ona za nim. Za plecami jęknęła kobyłka. Chętnie by ją wyprzęgła, lecz Małomówny pogonił: No chodź! I kobyłka została w zaprzęgu przy furze. Drzwi do sieni zwiślały na jednym zawiasie, zaskrzyphiały znowu, jakby wołając: Co tu robisz? Uciekaj! W sieni ogarnęła ją zatęchła ciemność, potknęła się o jakiś grat, a polepa pod jej nogą ugięła się grząsko. No, chodź, chodź! - poganiał bełkotliwie Małomówny - na co czekasz? Błysnął krąg naftowej lampy. Odór butwiejącej zgnilizny spadł na jej twarz wraz ze strachem, bo ta izba, do której wchodziła, była jak grób. Ręce Małomównego były zimne, kościste i obślizgłe, i ciągle je czuła na swoich piersiach, chociaż Małomówny odwrócił się plecami, chrapiąc donośnie, opity i zaspokojony.

Pierwszy brzask odślaniał stopniowo, pomału, jakby z lubością, nędzę nowego domu. Była to nędza zrobaczywiała, zamyszona, zaszczurzona, pokryta patyną wieloletniego brudu. Z sufitu, wyszczerzonego czarniawą dziurą nad krzywym stołem, zwiślały obłoki pajęczyn. Piec kuchenny obsunął się pod własnym ciężarem, zapadł się do połowy w podłogę. Plecy Małomównego sterczały spiczasto, nawet nie ściągnął z siebie zaskorupiałej kaptoty. Po jej nodze pełzł łaskotliwie robak. Był czerwonawy i miał czarny łebek. Zapłakała krótko. W jedynym niezabitym dyktą oknie, poprzez szybę posklejaną gazetą, zwiślał śmiertelnie udrezczony łeb kobyłki. Wstała, poszła ją wyprząc. Jakże mogła płakać nad swoim losem, skoro zapomniała o losie tego bezbronnego w

cierpliwej pokorze oczekiwania na zmiłowanie zwierzęcia? Z czułą litością ściągała chomąto z zaropiałego grzbietu. Własną koszulę podarła, obmyła szmatką rany od szlei powiązanych drutem. Podsunęła wiadro z wodą pod obwisłe chrapy, lecz kobyłka nie miała siły pić. Nie miała siły na nic. Nie zdychaj, powiedziała do niej, nie zostawiaj mnie tu samej. Spośród przywiedłych jesiennych chwastów rwała garściami zrudziały mlecz, a kobyłka, jakby rozumiejąc jej litość, chwyciła kilka liści, pomęła, pomęła, a potem powaliła się na bok i zarżała cichutko, jakby w podzięce.

Małomówny spał długo. Gdy się zbudził, jedyny żeliwny garnek bulgotał gotującą się wodą, blat stołu błyszczał jeszcze moką wilgocią. Ona skrobała zajadle kolejny kafel pieca. I czy ten blat świeżo wyszorowanego stołu, czy to skrobanie kafla tak rozczuliły Małomównego, że powiedział: A, co tam! Ożenię się z tobą. Pewno dobrze nie wytrzeźwiał, plecie, więc skrobała dalej. I może będę żył jak człowiek? - powiedział Małomówny. Powiedział? Czy zapytał? A może zdumiał się, że to możliwe? Siedział na barłogu łóżka, drapał się po ryżych kudłach. A chleb potrafisz wypiec? - zapytał. Nie przerywając skrobania, odpowiedziała: Potrafię. A mydło umiesz ugotować? Czemu mam nie umieć, umiem. A samogonu napędzić? Też. Zachrobotąło łóżko. Małomówny spuścił nogi, stanął. No, to ożenię się z tobą, jak Boga kocham! I wtedy stał się cud. Pajęczyny zamieniły się we frędzle, podłoga pokryła się nowymi deskami, zaróżowiła się fioletowo-różowym chodniczkiem, na płycie zaskwierczała jajecznicza na kielbasie, z obory buczały krowy z wymionami jak wiadra, kwiczały tłuste prosiaki, gdakały kokoszki. Mężczyzna, który powiedział: Ożenię się z tobą, stał się piękny. I dobry. Najlepszy. Jedy-ny. Wspaniały. Silny. I otworzyło się niebo. I zobaczyła anioły

święte o białych skrzydłach. I gdyby umiała śpiewać, zaśpiewałyby. Gdyby umiała śmiać się, roześmiałyby się. Lecz ona nie umiała ani śpiewać, ani śmiać się. Znała dotąd wyłącznie smak łąz, zawsze gorzkich i zawsze słonych, a teraz jej łyzy były słodkie. Czego buczysz, powiedział Małomówny, drapiąc się zawzięcie po ryżym kołtunie. Kobyłę idź wyprząc. Już wyprzęgåłam, odpowiedziała poprzez łyzy. To wody jej daj. Już dałam. O jasna cholera! - powiedział w zadziwieniu - ja naprawdę się z tobą ożenię, chociaż jesteś psuta nie raz i nie dwa, i nie wiadomo przez ilu. Tak, cholera, a co tam, ożenię się. Gdzieś w poszyciu dachu rozświergotał się spóźniony ptak. I usłyszała to świergotanie. W szarości jedynej szyby załśnił promień słońca. I zobaczyła to lśnienie. Odtąd będzie pracować dla siebie. Na swoim. Będzie jak inne kobiety, porządna, uczciwa. Nikt więcej nie plunie jej między oczy. Nikt więcej nie uderzy obelgå. O matko moja, Głupia Kazieczko, prochy twoje zmieszały się, zespoliły ze spieczoną ogniem ziemią, prochy twoje rozwiał wiatr, zmył deszcz, wypaliło słońce, ale gdziekolwiek jesteś, już nie musisz lękać się o mnie, że będzie mnie bolało to, co ciebie bolało przez całe życie. Chleba powszedniego daj mi, Panie, dużo, dużo.

Ty, nie bucz, powiedział po raz drugi Małomówny, więc siorbnęła nosem, starła posłusznie łyzy, spróbowała się uśmiechnąć. Na swoim. U siebie. Porządna. Uczciwa. Będzie wstawać przed brzaskiem, kłaść się po północy. Jest młoda. Jest silna. Jej ręce bez wysiłku podnoszą worek żyta, zrzucają go na plecy przy lekkim tylko ugięciu kolan. Cztery krowy Kowala doiła w trzy pacierze. Umie wszystko. Orać i siać, bronować i motykować, odebrać cielaka, zawiązać pępowinę prosiaczkowi. Chleb piecze wysoki jak ciasto, mydło warzy gęste i tłuste, chodnik potrafi utkać ze szmatek, wełnę prząć, pierze drzeć; wszystko, co trzeba umieć na swoim. Toteż gdy nadeszła noc, a Małomówny

robił z nią to, co robił Kowal, nie wykręcała głowy, nie usuwała ust, i chociaż Małomówny śmierdział niemytym od dawna ciałem, to jej się zdawało, że on pachnie, i zaciskając z całej siły powieki, obejmowała go z żarliwym oddaniem, z wiernością, i pragnęła go kochać teraz i zawsze, aż do śmierci. Później on zasnął i zachrapał, ona zaś wstała ostrożnie z barłogu i położyła się na szorowanej przez pół dnia podłodze. Deski były spróchniałe, kłuły zadzioremami. Powtarzała na zmianę wszystkie trzy modlitwy, jakich nauczyła ją matka, Głupia Kazieczka, która była pobożna i czysta, i moduła się dwa razy dziennie, a często więcej niż dwa, jeśli musiała załatwiać swoje raz raz.

3.

Ledwo zdążyła z obrządkiem, gdyż przez to leżenie krzyżem chyba nad samym ranem przysnęła i wstała później o całe pół godziny. Pół godziny w robocie, która rozliczona co do minuty, to bardzo dużo, więc musiała biegiem szybszym niż zwykle. I tak codziennie zawsze biegiem, biegiem, żeby zdążyć i przy krowach, i przy świniach, i ugotować Małomównemu kaszę na mleku, i synowi kakao, i chlebek mu posmarować maselkiem, obłożyć grubo plastrami kiełbasy, garniczek z kakao odsunąć na brzeg płyty, żeby ono nie wystygło, czekało ciepłe na syna, aż wstanie i zechce się posilić. I jeszcze zamieść, wytrześć lilioworóżowy chodniczek; o niczym nie zapomnieć, a tu, cholera jasna, Romanka przylazła. Małomówno! - zapiszczała od drzwi - koniec z twoim Prezesem!

Wtoczyła się na środek kuchni. Krótka, przysadzista, pękata. Mańka-Wstańka, kuku! strzelam w twoją dupę z łuku! - krzyczały za Romanką miejscowe łobuziaki, a Romanka czerwieniła, machała gniewnie krótkimi rączkami, oni zaś pstrykali w nią pestkami od śliwek albo wiśni.

Koniec! Słyszysz?

Nie odezwała się. Zamieszala ze złością kaszę. Cholera, znów się przypala, a ty stój i mieszaj. A z tej Romanki głupia krowa; niby dlaczego ma być koniec z Prezesem?

Nareszcie go dopadną, powiedziała, sapiąc, Romanka. Przyśiadła na krzesło, spod przykrótkiej spódnicy wystawiając różowiułkie kolanka. Ten twój Prezes, Małomówno, doigrał się!

Odstawiła kaszę. Co z taką gadać? Szkoda język strzępić.

Ogłuchłaś? Twój Prezes się usrał! - krzyknęła Romanka.

Popatrzyła na nią ze wstrętem. Ile to radochy w tych małych, czarnych jak paciorki oczkach. Dobry Boże, i skąd ona, ta radocha, w oczach Romanki, skąd? Nawet jeśliby się na czymś tam powinęła noga Prezesowi, to Romanka pierwsza powinna po nim założyć żałobę. Gdyby nie ten durny drań, do końca życia by płacała swoje manko albo gniłaby dotąd w kryminale, i zabraliby jej też te dwie krowy, cztery świniaki i tapczan, i radio, i stół dębowy, i wersalkę, ale niczego nie zabrali ani nie wsadzili, ani nie płaciła grosza jednego, bo zanim jeszcze komisja skończyła podliczać manko, to Romanka zostawiła i sklep, i komisję, i pędem przez całą wieś wprost do kółka, i tam, w baraku, gdzie Prezes oglądał nowy traktor, przy Lewickim, dwóch Grzybach, trzech Iwaniukach i Staśce Krysiaków uchwyciła się Prezesa i krzyczała, coby ją na litość boską ratował, wstawił się, nie dopuścił, nie zezwolił, nie dał. Prezes odsunął Romankę, otarł dłoń o spodnie, bo mu ją, całując, zaśliniła, i powiedział: Za bardzo się spasałaś, Romanka, więc jak cię trochę na państwowym wikcie odchudzą, na zdrowie ci wyjdzie. I wszyscy tam obecni pomyśleli, że z Romanką koniec. I dobrze, że koniec. Rozbestwiła się, psiajucha, ponad wszelką miarę. Cztery świnię upasała na rządowej mące i rządowej kaszy; swego świniaka zabije, nawędzi chabaniny, odwiesi na strych i nie rusza, za to w sklepie kawał

kielbasy rządowej bezczelnie na oczach ludzkich odetnie, nie zważy choćby dla pozoru, tylko kawał po kawale do gęby wsuwa i żuje na okrągło, od rana do wieczora rusza mordą jak krowa, mamle, ssie, cmokta; tymi paluchami tłustymi od rządowej kielbasy rozważa landrynki i śliwki w czekoladzie, a potem te landrynki i śliwki śmierdzą czosnkiem. Trzy lata stała w sklepie po Jasińskiej i przez te trzy lata zaledwie nakupowała sobie meblów a meblów: tę wersalkę, tę szafę dwudrzwiowa jasny orzech, te pięć wyściełanych krzesłów, ten stół dębowy rozsuwany. To niby za co, powiedzcie ludzie? Za swoje czy za kradzione? Więc wszyscy czekają, kiedy po Romankę przyjdą. Sklep zamknięty, opieczętowany, a nikt nie przychodzi. Ani po Romankę, ani po jej bydlaki, ani po meble. Prezes, drań, wybronił. Co to dla niego, skoro wszystkich co trzeba w powiecie i jeszcze wyżej zna. Żeby jednak kogoś pocziwego bronił, ale złodzieja? Staśka Krysiaków powiedziała do Teodorki i do Iwaniuczki, że Prezes wcale nie wybraniał, tylko zapłacił całe manko swoimi własnymi pieniędzami. Niby je pożyczył Romance. Teodorka aż zapluła się od śmiechu - Ojej, ojej, ojejku! Całkiem zgłupł czy co? - a Iwaniuczka powiedziała, że on zawsze był głupi, i wszyscy się ze zdaniem Iwaniuczki zgodzili. Głupi, ale żeby do tego stopnia, coby pożyczać Romance pieniądze? Prędzej zeszlóroczny śnieg obaczy, niż mu Romanka pożyczkę zwróci.

Wdzięczność ma krótkie nogi, szybko się męczy, powiedziała do Romanki, a w ogóle czego się tak drzesz? Dzieciaku mi obudzisz.

O jakim dzieciaku gadasz? Romanka zamajtała krótkimi nóżkami, zatrzęsła cyckami w śmiechu. Dzieciaczek, śmiała się, mały maleńki, cyca woła, dzieciaczek pod wąsem.

Bić po oczach.

Żebyś nie była jak ta wykastrowana świnia, wiedziałybyś, że dla matki dzieciak na zawsze pozostanie dzieciakiem.

Pękate nóżki znieruchomiały. Romanka przykurczyła się. Mańka-Wstańka, Mańka-Wstańka, kuku! Czasem się opije przy wielkiej okazji, a wszyscy tu bardzo lubią, kiedy się Romanka opija; namawiają, podsuwają gorzałę, no, wypij, choć kapkę, Romanka, nie odmawiaj; lecz Romanka broni się, że nie, w żadnym wypadku, nawet kapelki, bo jak kapelkę, to zaraz musi całą szklankę, i drugą, i trzecią, takie coś z nią natychmiast się po gorzale dzieje, że musi ją pić wciąż i wciąż, gorąco uderza do głowy, gorąco bije po całym ciele, po brzuchu, i dajcie jeszcze! woła; więc o! uwaga! zaraz Romanka rozpocznie swój cyrk; zaraz nam, ludzie, będzie wesoło, wesolutko; o! już zaciska w piąstki swoje pulchne rączki; o! już się pulchnymi piąstkami wali po brzuchu i po cycach; wali, wali, aż płaszcz; dać ci już teraz nóż, Romanka, czy jeszcze za wcześnie? Dawać zaraz! - krzyczy - dawać, rezać krowę jałową albo na spęd - i zabawa rozkręca się na całego; Iwaniuk z nożem niby ucieka, a Romanka go goni, tocząc się z boku na bok niczym najprawdziwsza Mańka-Wstańka; o! Iwaniuk! Za bluzkę ją pociągnij, niechaj jej cycki na wierzch się wywałą i majtają; Jezusie Nazareński! ale ta Romanka ma cycki, nie do uwierzenia, że aż takie mogą być! O nie, Romanka, nie chowaj ich, zostaw, patrz, tu lala ze szmateków małeńka, ładna, mięciutka, jak żywa, pokarm ją trochę, ululaj, zaśpiewaj aaa, kotki dwa, luli luli u matuli. Istny cyrk. Romanka siada, lalę kołysze, do cycka dostawia jak prawdziwego dzieciaka, śpiewa luli luli i nagle płacze strasznie, i woła, żeby jej ten nóż dać, bo ona krowa jałowa, a krowę jałową zarznąć trzeba. Koniec zabawy, ale się cholera jedna rozwrzeszczała, pod pachy ją i uwalić gdzieś w kącie; każdy przecież wie, co ją tak od lat

boli. Ano tak, taki los, takie przeznaczenie, że Romanka rzeczywiście, jak krowa jałowa, która nie przyprowadzi cielaczka, tak ona dzieciaka mieć nie może. Cóż. Trudno.

To ja już pójde, odezwała się Romanka cicho. Otarła łzę.

Romanka, poczekaj! - zawołała, ale Romanka wytaczała się przez próg i głowy nie odwróciła. Mańka-Wstańka, Mańka-Wstańka, kuku! Strzelam ci Romanka z łuku! Dupa twoja jak donica, nie przykrywa jej spódnica! - wołają zasławskie łobuziaki. Cholera, źle wyszło, paskudnie, no, ale gonić za Romanka ani przepraszać jej nie będzie. Na to nie ma czasu. Jeszcze musi swego pijaka ubrać i nakarmić, i znów spóźni się z otwarciem sklepu.

Przed sklepem czekała Lipieniowa.

Codziennie się spóźniasz, Małomówno.

Nie odpowiedziała. Zdjęła kłódkę, odciągnęła sztabę, otworzyła drzwi.

Spóźniasz się, Małomówno, całkiem bezczelnie, powiedziała Lipieniowa, wchodząc do sklepu.

Mam ochotę, to się spóźniam.

Na wąskie wargi Lipieniowej wypłynął cieniutki uśmiezek, zaraz ukąsi.

Ciekawe, na co będziesz miała ochotę, jak twego ukochanego Prezesa wywałą.

To już druga dzisiaj z tym Prezesem wyjeżdża, szykuje się coś? Ale co się może szykować? Prezes nie do ruszenia.

Kupujesz chleb czy kielbasę, Lipieniowo?

Gównno chcę kupić.

Specjalnie dla ciebie zamówię. Na razie nie ma na składzie.

Niedługo tu postoisz, Małomówno. Najpierw Prezesa, później ciebie. Na zbitą mordę. I wtedy gównem przestanieś porządnym ludzi obrzucać. A ja cię na dodatek w gazecie opiszę.

Uśmiezek Lipieniowej jeszcze bardziej ściemniał, oczy zwęziły się jak dwie żmijki.

Przechyliła się przez ladę i powiedziała: Najpierw trzeba umieć pisać, Nipisata, a dopiero opisywać w gazetach.

Dwie żmijki wystrzeliły błyskawicznie.

Już ja ci pokażę, Małomówno!

A pokazuj. Co chcesz. Choćby i dupę, tylko ją przedtem umyj.

Trzasnęły za Lipieniową drzwi. Co za durna baba. Niczytata, Nipisata. Pisać i czytać to ona już potrafi, ta Lipieniowa, ale przez wiele lat ona jedna z całego Zaslawia stawiała trzy krzyżyki, bo nawet stary Grzyb wyuczył się swego nazwiskach na kursach, które kiedyś organizował Prezes, jeszcze wtedy zwykły Kubiak. Grzyb pluł obficie na kopiowy ołówek, wypisywał molozolnie drukowanymi literami: Grzyb Piotr, i podsuwał innym, żeby czytali, co on napisał. Grzyb Piotr, czytali, a on spoglądała na rząd dużych, rozplywających się fioletem od nadmiaru śliny liter, kiwał głową w zadumie: Niby ja? Grzyb i Piotr.

Te kursy, jakie to dawne dzieje; kto by wtedy pomyślał, że Kubiak zmieni się w Prezesa, a jego zapadnięta chałupa urośnie w dom jak pałac? Na te jego bolszewickie kursy to by i pies z kulawą nogą nie przyszedł, ale strach na nie ludzi zapędził: nie zapiszesz się, ziemię ci zabiorą, do kołchozu zagonią. Jedna Lipieniową miała odwagę powiedzieć: Mego wsadziliście, to i ziemię odbierajcie, a ja na żadne kacapskie kursy nie pójdę, ty zaś Kubiak won z mego podwórza - i plunęła mu prosto między oczy. Kiedy już jednak nawet stary Grzyb potrafił drukowanymi wypisać na fioletowo swoje nazwisko i imię, a tylko ona jedna w Zaslawiu wciąż sadiła trzy krzyże, to zaczęła udawać, że też potrafi, a jakże, i na dowód, że potrafi, zaprenumerowała u Kłusaka każdą gazetę, jak leci, i dlatego dostała nagrodę za przodownictwo w prenumeracie: radio Pionier oraz dyplom, co nie przeszkodziło

łobuziakom ganiać za nią i krzycheć: Lipieniowa nie ma brata! Niczytata, Nipisata, za to wielka jak armata! Wszyscy we wsi z tego niby czytania Lipieniowej stroili sobie żarty. Co i rusz ktoś zachodził, gadał: A przeczytaj, co tu piszą, kochana Lipieniowo, bo mi coś do oka wpadło. Nosiorkowa kiedyś zaszła, postukała palcem w tytuł na pierwszej stronie gazety: Przeczytaj, Lipieniowo, dostałaś radio Pionier za prenumeratę, musisz czytać jak maszyna. Ojej, teraz nie mogę, gdzieś mi się moje okulary zapodziały! Nosiorkowa roześmiała się i na całe gardło, aż ją na drodze było słyhać, wrzasnęła: Niczytata! Nipisata! Potem musiała czym prędzej uciekać, żeby nie dostać drągiem. Biedna Nosiorkowa, wprost przeżyć tego radia Pionier nie mogła. Ona za kurs dostała tylko dyplom. Piękny był, to prawda. Lśnił bielą papieru, litery z zakrętami, czerwone oznajmiały, że K. Nosiorek ukończyła kurs czytania i pisania przodująco, nie opuszczając ani jednego zajęcia. Dyplom jednak to tylko kawałek papieru, zbyt twardego, żeby nim dupę w wychodku podetrzeć, u Lipieniowej zaś radio Pionier na honorowym miejscu, białą serwetką w zębki przykryte, więc kłuło ono Nosiorkowa i kto wie, czy to nie ona podpuszczała dzieciaki, żeby latały i krzyczały: Lipieniowa jak armata, Niczytata, Nipisata! Aż tu pewnego dnia pedałuje Kłusak z pocztą, Lipieniowa wybiega, krzyząc na całe gardło, żeby ją wszędzie dokoła było słyhać: Kłusak! Masz coś dla mnie do podpisania? No, no, ludzie, a to coś nowego; dotąd na widok Kłusaka chowała się, żeby broń Boże niczego nie podpisywać, to i wypadły na drogę i Teodorka, i Grzybowa, i Nosiorkowa, a Kłusak, choć niczego nie miał, udał, że ma. Pogrzebał w torbie, wyciągnął kartkę, powiada: Tu. Napluła Lipieniowa na ołówek, chociaż był zwykły, nie kopiowy, i podpisała się akuratnie, jak należy, literami pisanymi, nie drukowanymi. Baby zgłupiały.

Nosiorkowa kartkę wzięła, ki czort? Co do litery się zgadza. Masz jeszcze co? - dopytuje się dumnie Lipieniowa. A mam, mówi Kłusak, wyciąga listę zapisów na buhaja. Nikt mu tej listy nie chciał podpisać, po co komu rządowy buhaj, skoro Tasławski swego trzyma nielegalnie, a że nielegalnie, to i mniej liczy za pokrycie, bo jakby policzył tyle, co się należy za rządowego, to zaraz by ktoś napisał donos do powiatu. Przeczytaj, Lipieniowo, dobrze, co byś potem do mnie nie miała pretensji, uprzedza Kłusak, a Lipieniowa wodzi oczami po czarnych rządkach liter i usta się jej w takt poruszają; Cholerka jasna! ona czyta, naprawdę! To jak, zgadzasz się? - pyta Kłusak. No pewno! - woła Lipieniowa. I podpiszesz? A podpiszę, czemu nie? Coś ty, Lipieniowo, zaczyna Teodorka, lecz Nosiorkowa czujna, Teodorkę w bok trąca: Przecież nasza kochana Lipieniowa już Czytata i Pisata, to wie, o co w piśmie się rozchodzi, za darmo dostała zeszłego roku radio Pionier? W tydzień potem zajeżdża na podwórze Lipieniowej samochód, buhaj ogromny pianę toczy. O Jezu? - woła Lipieniowa - a mnie on po co? Jak to po co? - śmieje się Nosiorkowa. - Przeczytała, podpisała, bierz buhaja, raty spłacaj. To za ten śmiech Lipieniowa wytruła Nosiorkowej wszystkie piętnaście kokoszków, podrzucając im zatrute ziarno. To za kokoszki Nosiorkowa wpuściła swoją świnię w kapustę Lipieniowej. Potem do siebie się nie odzywały przez rok albo i dłużej. A spotykając się co i rusz na drodze, pluły sobie pod nogi. Obie durne i obie wredne. Coś się jednak tu teraz dzieje, bo najpierw Romanka, po Romance Lipieniowa, i jawnie, otwarcie, nie na ucho szeptem, a tu nie w zwyczajni ani jawnie, ani otwarcie, zwłaszcza przeciw Prezesowi.

Drzwi zaskrzypiały. Do sklepu wślizgnęła się Nosiorkowa. Nie chciała ani jawnie, ani otwarcie. Wpuść mnie do magazynu,

Małomówno, zaszeptała, rozglądając się na boki, mam do pogadania.

Do magazynu obcym wstęp wzbroniony.

Nie wydziwiaj, bądź człowiekiem, wpuść.

Bardzo wystraszona ta Nosiorkowa. Ciekawe, z czym przylaźła?

A Nosiorkowa, ledwo wsunęła się na zaplecze, powiedziała ściszym głosem: W razie co wstaw się za nami, kochana Małomówno, do Prezesa. Przecież znasz mego Nosiorka. Zawsze był głupi i głupim umrze, żeby on mnie posłuchał i zamiast żyta posiał trawy, to tam gdzie żyto, trawa by urosła po pas i ze trzy pokosy by się zebrało; a wtedy już nie jedną krowinę, ale i ze trzy; ale on, skurwysyn uparty, żeby go cholera kiedy od mojej biednej głowy zabrała, bo co będzie z nami, powiedz Małomówno, jeśli Prezes nie da kopaczki do kartoflów? Dwa morgi w ziemi zostaną. Na kolanach mego Nosiorka błagałam, żeby prosiaczków do chowu nakupić i kartoflami większość ziemi obsadzić. Ile on kijów na moim grzbiecie połamał, zanim w końcu się zgodził i ustąpił.

Zachlipała szczerze, bez udawania. Twarz miała pomarszczoną, włosy siwe, a przecież ta Nosiorkowa niestara, całkiem młoda, tyle że zmarnowana przez Nosiorka, co rok prorok, co roku jak kotka się koci i właściwie jej żal dla takiego durnia i drania, urabia się ponad siły, a co zrobi, to Nosiorek pomarnuje, przeinaczy po swojemu.

W razie co, Małomówno, kochana moja, wstawisz się do Prezesa? Powiesz, co trzeba?

Mogłabyś jaśniej, Nosiorkowo?

No, nie udawaj, że o niczym nie wiesz! Dziś rano latała do ciebie Romanka, a Czytata siedziała w sklepie z dziesięć minut i wyszła aż sina ze złości! - zawołała Nosiorkowa i przestraszona

obejrzała się za siebie, czy aby tam kto nie stoi i nie podsłuchuje.

Nosiorkowo! Nie mam czasu na próżne gadania ani z Romanką, ani z Czytą, ani z tobą. Mów, o co chodzi, albo się wynoś.

Nie może wprost być, co byś nie wiedziała! W niebieskich oczach Nosiorkowej pojawiło się zdumienie. Bo jakże to tak, że nic nie wiesz? Nie powiedziały ci? To po co one do ciebie latały? Małomówno, bo tak: jeśli Prezesa wsadzą, to nam te dwie morgi kartoflów nie przepadną. Ale jeśli nie wsadzą, a Prezes dowie się od innych, co się wyrabiało, to Boże święty! Koparki za nic nam nie użyczy. Ale to wszystko przez Witoska, tego sukinsyna; przysięgam ci, Małomówno, na rany Chrystusa, i w razie co powiesz Prezesowi, że to Witosek judził.

Teraz potok słów popłynął nieprzerwanie. Już jasne, o co Nosiorkowej chodzi. Wczoraj, późnym wieczorem o ciemnicy zaszedł do Nosiorków Witosek. Postawił pół litra. I jeszcze ani pary z gęby, dopiero przy drugim, gdy już Nosiorek prawie całkiem sztywny, Witosek powiedział, że może Prezesa ujać. Tylko mu poparcia trzeba. Następnie Witosek przypomniał Nosiorkowi o tym jęczmieniu. Potem, że ma dowód czarno na białym, że Prezes specjalnie popsuł snopowiązałki, żeby tego jęczmienia Nosiorkom nie skosić. Potem dodał, że on w ogóle ma na Prezesa mnóstwo, przecież jest dyrektorem technicznym i każdą fakturę ogląda. I dawno by z tym, co ma, poszedł gdzie trzeba albo jeszcze wyżej, ale bez poparcia nie zdziała niczego. Ludzie mu nie ufają, ponieważ niby ma się żenić z Anusią, tą niedojdą, ale to kłamstwo; on niedojdy ani jej posagu nie chce, chce tylko samej prawdy i samej sprawiedliwości, a Prezesowi nigdy nie daruje, że kazał mu zdrapywać paznokciami przy Staśce i Lewickim ten napis z drzwi. Na końcu zapytał, czy Nosiorek mu wierzy? Nosiorek wymamlał, że wierzy. Więc Witosek zapytał, czy Nosiorek go poprze w jego walce o sprawiedliwość? Nosiorek

krzyknął, że poprze, i spadł pod stół. To ja zawołałam, ciągnęła Nosiorkowa, że gówno, nie ma poparcia, niech Witosek przychodzi po poparcie, kiedy już Prezesa wsadzą, bo co z kartoflami? W ziemi mają zostać? To Witosek poszedł sobie, ale powrócił bladym rankiem z Józkiem Grzybem, Cześkiem Krysiakiem i Antkiem Iwaniukiem. Każdy przyniósł flachę. I każdy woła, że popiera. Nosiorka męczyła zgaga, pił wodę z octem, zapytał: Popieracie? A dlaczego? To oni wołają, że mają coś na Prezesa. Samo najlepsze, co można mieć: urzniętą nogę Jadźki. Bo tak: młocarnia kółkowska, a zboże Prezesa prywatne. Faktury na młócenie Prezes nie wystawił, czyli popełnił nadużycie. Wystarczy na jednym nadużyciu złapać, żeby zaraz inne na świat wylazły. Kapujesz teraz, Nosiorek? Kapuję, powiedział Nosiorek. Poprzesz teraz? Poprę! To ja ciebie w nagrodę obiorę prezesem, oświadczył Witosek. Będziesz sobie wszystko siał, orał za darmo, jak Prezes, i swoich też nie ukrzywdzisz, co nie, Nosiorek? Jakżebym mógł swoich krzywdzić! - zawołał Nosiorek. Na to przylażyły Lipieniowa z Teodorką, też z półlitrem. Wszyscy pili i krzyczeli, że na pohybel Prezesowi. Naprawdę niczego nie słyszałaś, Małomówno? - w Nosiorkowej wezbrały wątpliwości. Oni tak hałasowali, że od strachu sztywniałam, bo przecież jeszcze przez urzniętą nogę Jadźki się nie przewalił, jeszcze jest i rządzi, a kartofle, całe dwa morgi, w ziemi.

Oczy Nosiorkowej już suche, pałające. Ręka Nosiorkowej przymilna, spocona, lepka.

Czemu milczysz, Małomówno? Wstaw się. Na wszelki wypadek. Bo jakby wsadzili, to my ci z Nosiorkiem tego dobrego uczynku do końca życia nie zapomnimy.

Co za durna baba, jej się już wydaje, że została prezeską.

To jak? Zamkniesz sklep, polecisz do kółka powiedzieć Prezesowi, że ja, czyli Nosiorkowa, ostrzegam przed Witoskiem? Żeby jakby nie wsadzili, nie zapomniał potem, że to ja, a nie kto inny.

Jak to sobie umyśliła, no, no.

Zabierz rękę. I leć do domu, nim się spostrzegą, że ciebie na tym nadzwyczajnym, wioskowym zgromadzeniu brakuje.

Tak mówisz, Małomówno? Pewno masz rację. Dla niepoznaki daj kilo mąki, żebym nie wracała na pusto. Jak zapytają, gdzie byłam, odpowiem, a po mąkę, bo potrzebuję do klusków.

4.

A więc to tak?

Ludzie to jednak straszne świnie.

Chociaż nie byłoby źle, żeby Prezesa trochę ukrócić. Wyrósł ponad wszystkich, drań. Ani Witosek, ani inni, tym bardziej przygłupi Nosiorek, nie dadzą rady mu zaszkodzić. Boże mój, widzisz Ty, co umyślili? Brak faktury na młóckę? A Iwaniuk swoją ma? Albo Teodorka? Iluż to ludziom kazał kosić czy orać bez faktury, bo się litował nad ich biedą? Ech, wy, ludzie, gdzie ta wasza sprawiedliwość? A teraz mu rady nie dacie. Nie te czasy. Należało go w tamtych, dawnych ukamienować, zamiast kamykami po plecach pieścić, po jego plecach nagich, plecach udręczonych, tryskających napiętymi mięśniami, zlanych strumykami krwawego potu; po tych plecach, na których po otruciu konia ściażał dłużycę aż zza Kamionkowego Lasu. Wtedy trzeba było. Żeby upadł i nie wstał nigdy. Kamieniami. W plecy, głowę, w twarz, w skroń. Wycelować, świsnąć, trafić. A dzisiaj? Śmiechu warte to wasze ujadanie. .

Albo należało go palić dokładniej. Ogień podłożyć i pod chałupę. Oblać naftą wszystkie cztery rogi, wzdłuż ścian polać,

drzwi podeprzeć drągami, żeby nie mógł wyskoczyć, żeby w ogniu wył, i niechby okrywał własnym ciałem tę swoją niedojdę niemą i tę swoją ukochaną myszę na krzywych nogach, którą tak bezwstydnie głąskał w biały dzień po rzadkich, mysich włosach; ach, jak bezwstydnie, nie do patrzenia, nie do patrzenia, jak w jej oczy spoglądał albo dotykał wklęsłych policzków, bo on ją jedy- ną kochał, drań, i nigdy nawet słowem nie uderzył aż do tamtej nocy, której uśpioną, wysoką ciszę przeszył syk ognia. Jeszcze się nie waliły z trzaskiem krokwie, tylko dach spowity był chmu- rą krwawego dymu z wyskakującymi raz po raz jęzorami ognia. Zahuczało. W wysokiej ciszy, rozbielonej ciągle jeszcze nieska- lanie białym, roziskrzonym od mrozu śniegiem, ogień uniósł się prawie jednocześnie nad dopiero co, w końcu listopada, ukoń- czoną oborą, nad starym chlewikiem, nad równie starą stodołą.

Obudziła się właściwie bez powodu, jakby z ciężkiego snu, zlaną gorącym potem. Spojrzała na syna leżącego w wiklinowym koszyku, odbity od szyby blask ognia padał na jego czółko i ono się też paliło. Krzyknęła. Zatargała Małomównym, lecz Małomówny wypił pod wieczór z litr samogonu, będzie spał snem kamiennym do jutrzejszego obiadu. Tak jak stała, w koszuli, na bosych nogach wypadła przed dom. Mróz zatamował oddech, na sekundę zakleił powieki. Gore! Gore! Kubiak się pali! I zobaczy- ła go w krwawej poświacie: biegł przez śnieg jak czarny olbrzym, unosząc ponad głowę wielkie niczym konary ramiona. Biegł. Biegł. Pośrodku podwórza, koło studni, upadł na kolana; i on, ten kacap i bezbożnik, zakrzyczał Jezu Chryste! Lecz słup ognia po jego okrzyku Jezu Chryste, jakby ktoś tam dołał więcej nafty, wystrzelił gwałtownie, zdawało się, że aż do nieba. Ramiona Ku- biaka niczym konary rażone gromem opadły w śnieg, wielka, czarna głowa zaś targana się w męce, jakby i ją spalał żywy ogień.

Jeżu Chryste, powtarzała zmartwiałymi wargami, patrząc na tego olbrzyma, powalonego imieniem Bożym. Leżał z rozrzuconymi ramionami, jak rozpięty na krzyżu. A niebo już się wsparło na trzech smolistoczerwonych słupach, aż gwiazdy zapłonęły czerwienią. I jakby stamtąd, od gwiazd, od nieba, od samego Boga spadł nagle przerażający ryk krowy. I słabe, zapóźnione kwilenie prosiaczków, co się widocznie nie zdążyły wcześniej obudzić. Olbrzym rozpięty wydarł się gwoździom, poderwał, zachwiał, pochylił kark i począł biec ku ścianie ognia, skąd ryk krowy, ryk krowy tak straszny, ludzie, tak bolesny; ludzie, gdzie jesteście? I zaraz ostatni, przedśmiertny kwik świniaków: dach nad starym chlewikiem zapadł się z trzaskiem. A olbrzym wciąż biegł. Prawie zanurzał się w ogień. Zapatrzona szeroko otwartymi od grozy oczami w Kubiaka nie spostrzegła jego szarej myszy. Dopiero wówczas ją zobaczyła, gdy ta zwała się na męża, chcąc go uchwycić za ramiona, ale niższa od niego o głowę, z brzuchem obrzmiałym owocem, na próżno usiłowała Kubiaka przytrzymać, jej ręce ześlizgiwały się po nagich plecach, zaledwie je muskając niby w pieszczocie, i Kubiakowa osunęła się ku nogom, tym mocnym, nagim nogom, uchwyciła się ich, nie chciała puścić, więc tak szamotali się w blasku ognia sekundę, może dwie, a potem pięść Kubiaka spadła na krwawe włosy Kubiakowej, potoczył się po śniegu wypełniony owocem brzuch, znieruchomiał, a za Kubiakiem zamknęła się ściana ognia. Niebo zawyło. Na pewno niebo tak zawyło? Czy to on, Kubiak, pośrodku ognia palący się żywcem? Kto tak wyje, na litość boską? Dotknęła swoich ust: były szeroko otwarte. Ścisnęła je z całej siły. I już cicho. Cisza, wypełniona sykiem ognia. Cisza śmiertelna, płonąca, wysoka, głęboka; taka, jakby nie było już świata, tylko ten syczący ogień.

Jakby wszyscy na tej ziemi pomarli, zasnęli na wieki wieków. Jakby cały ten świat był cmentarzem. Czarne chałupy po drugiej stronie drogi, bez światełek w oknach, to groby, a w nich, pod pierzynami na zatechłych piernatach sine trupy. Czarne wieka drzwi pozamykane szczelnie. Głucho. Pusto. Nikogo. Przeskoczyła przez drogę. Załomotała pięściami po szybach Nosiorków. Uwaliała się całym ciałem na drzwi, lecz ani drgnęły. Nawet mysz nie zachrobotała w odpowiedzi, jakby i myszy zmówiły się z ludźmi. Nawet psy nie ujadły, jakby i psy były takie same jak ludzie. Przeskoczyła pod okna Grzybów. I Teodorków. Łomotała po szybach na próżno. Cisza. Wieś trwała w znowie snu. Snu czujnego, wypełnionego mściwą radością. Zewsząd, zza wszystkich okiennic wyślepiały się oczy, nadśluchiwały dziesiątki uszu, zaciskały się dziesiątki spoconych pięści, dziesiątki języków oblizywały spieczone usta. Załomotała raz jeszcze - beznadziejnie, bezsensownie i niepotrzebnie. Osunęła się na stopień ganku Teodorków. Ogień niósł się prosto, wysoko; nie było wiatru, nikomu we wsi nie zagrażał. Spokojna, bezwietrzna, dobrze wybrana noc grudniowa. Nad przygiętą od starości Kubiakową chałupą trzy słupy ognia połączyły się w jeden. Czy oszczędzili ją dlatego, że taka stara i zapadła? Jak bezzębna starucha, która nie ma siły poruszyć nogami, stała przy drodze, zapadnięta aż po dwa małe okienka.

Chałupy Kubiak nie tykał, zaczął budować się od obory. Zezłego roku wykopał fundament. Sam, bo Kolaśnik umarł wiosną, a brzemienna Kubiakowa źle znosiła pierwszą ciążę. Jej wąska jak u myszy twarz stała się jeszcze węższa, w miarę zaś jak owoc rósł, Kubiakową schła. Sterczały chude ramionka, spiczasty, ostry nos. Jaka brzydka! Nie pozwalał jej tykać żadnej roboty. On ją kochał, ten Kubiak przeklęty, wysoki na dwa metry, barczysty

jak dąb, czerwousty, miodooki, białozęby. Piękny. I gdyby zechciał, każda inna, nie tylko córka Kolaśnika byle jaka, poleciały za nim. Wszystkie by poleciały, nie zważając, że on przybłąda, wyrobnik, antychryst i bolszewik. Ale on wybrał tę myszę z wielkimi, szarymi oczami; rzucił robotę u Goździckiego, wprowadził się do Kolaśnika. Przez cały miesiąc Halina Goździckiego wystawała pod chałupą Kolaśnika, całkiem oszalała z miłości do przybłądy. Przez cały miesiąc co wieczór Goździcki, podpierając się kijem, przychodził po córkę. Przez cały miesiąc co wieczór w zaciekłym milczeniu, bo ani on nie krzyczał, ani ona nie jęczała, walił tym kijem Halinę po głowie, po plecach. Pół wsi schodziło się przez cały miesiąc co wieczór obserwować milczące zmagania Goździckiego i równie milczącą zaciekłość Haliny. Goździcki odezwał się tylko dwa razy. Raz do Kubiaka, który wypadł bronić. Nie twoja suczka, psie, więc nic ci do niej. Drugi raz do Kolaśnika, który wylazł, chwiejąc się od choroby na nogach i zajęczał: Miej litość, Goździcki. Właśnie dlatego ją walę, że mam dla niej litość, ale ty, Kolaśnik, dla swojej suki nie masz, boś ją zhańbił bolszewickim ścierwem. Tego ostatniego wieczoru przywalił niechcący w skroń i Halina osunęła mu się pod nogi, jakby błagając o zmiłowanie. Niektórzy pomyśleli, że ma już dość ojcowskiego walenia, że kij wybił z niej bezwstydną miłość i że ojca ona teraz w pokorze i prochu ziemi prosi o darowanie grzechu, ale jej chlusnęło z ust żywą posoką i zadrgała raz i drugi. Goździcki stał nad nią nierozumiejący: Jak to? - powiedział - co to? - i pochylił się ku córce: - Wstań. Ja ci mówię wstań, dziecko. Ale ani on nie był Chrystusem, żeby wskrzeszać, ani ona nie była Łazarzem, żeby dać się wskrzesić. Drgnęła po raz trzeci i znieruchomiała. I wszyscy zrozumieli, że ojciec zabił córkę. I on również to zrozumiał. Odrzucił kij, pochylił się ku

niej po raz drugi, przypadł czołem do jej czoła i wszyscy myśleli, że i on zaraz umrze. Ale nie umarł. Dźwignął ją i poniósł drogą ku swemu domowi; a długo musiał nieść, bardzo długo, gdyż droga przed nim daleka była, aż na kolonię; a wszyscy patrzyli za nim, jak staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu rozwiął się w wieczornej, liliowej mgle.

Wtedy stary Grzyb, który dwa razy do roku topił nad Zakolem szczeniaki od swojej suki, wygrzebał z drogi kamień i rzucił. I grad kamieni, dużych i małych, zabębnił po strzesze, po zgniłych belkach, po małych okienkach. Prysnęło szkło. I podnosiły się dłonie zaciśnięte na kamieniach, bo tych kamieni wokoło mnóstwo, bo tu kamień na kamieniu i jeszcze jeden kamień, bo wyjdiesz z pługiem w pole i wydaje ci się, że nie ziemię, lecz kamienie orzesz, że to kamienie ze zgrzytem przewalasz w skibę; i tak wszędzie, u każdego; u jednego mniej, u drugiego więcej; u Kołodziejskich nie wiadomo skąd ani dlaczego niczym cud w tej powodzi kamieni, piachu i gliny, płachta czarnoziemiu. Gdzieś tam, w pyle kamienistej drogi, dźwigał ciągle swój śmiertelny ciężar Goździcki, a oni tu, w posępnym milczeniu, z ustami zaciśniętymi na kamieniu nienawiści tak szczelnie, że nie wydobywał się najcichszy okrzyk, że nawet jak gdyby przestali oddychać, rzucali swoją kamienną nienawiść na tę chałupę wciśniętą w ziemię, pokrytą szerniałą strzechą. Ich nienawiść była wielka i nie znała granic, a nie chodziło w tej nienawiści o Halinę, którą wciąż jeszcze, gdzieś tam daleko, musiał dźwigać w swoich ojcowskich ramionach Goździcki, ale o siebie, o te swoje własne, nienaruszalne kamienie na tych swoich piaszczystych albo gliniastych, lecz nienaruszalnie własnych splechotkach ziemi, na których żytko rośnie zaledwie powyżej kolana; barwne żytko, gęsto

przetykane krwią maków, niebem chabrów i fioletem kąkoli; i o to żytko też chodziło, przecinane pasemkiem między tak wąskiej, że stopy całej na niej nie postawisz, gdyż już zaczepiasz o cudze; więc o to nienaruszalne, własne; o to wszystkim szło, i stąd ich nienawiść się wiodła, ponieważ wszyscy poza Goździckim bogaczem, do którego można by jeszcze dodać Teodorków i Lipieniów, oni wszyscy byli jak ten tam, schowany za zbutwiałą ścianą chałupy przybłąda, antychryst i bolszewik; wszyscy mieli mniej więcej po równo, czyli trochę więcej niż nic; u wszystkich na przednówku krowy trzeba było podnosić i zawieszać na pasach, żeby od leżenia nie dostały paraliżu; te krowy jak szkielety, te krowy z bolesciwymi oczami, te krowy niemające nawet siły muścić; ale on, antychryst, kacap i bolszewik, nawet to, co mieli mniej więcej po równo, chciał odebrać.

Chodził po chałupach, namawiał do kołchozu. Wchodził, ledwo się mieszcząc pod powałą, bp wszędzie izby niziutkie, coby lepiej i oszczędniej ogrzać; wchodził i zamiast: Niech będzie pochwalony, mówił, że przyszły nowe, lepsze czasy, wspaniałe, sprawiedliwe i dobre, i że trzeba, mówił, połączyć się w jedną wielką rodzinę, bo człowiek człowiekowi powinien być bratem i lepiej się żyje, mówił, w wielkiej rodzinie niż w małej, a tę naszą biedną ziemię, mówił, rozbitą miedzami, należy połączyć w jedną, wspólną, jednakowo dla wszystkich kamienistą i piaszczystą, chlebem zaś i plonami dzielić się też jednakowo. Więc niechaj grzech z takiego gadania spadnie na Goździckiego, bo to on Kubiaka tu przywłókł niczym zarazę. Goździcki jechał furą od powiatu i w Kamionkowym Lesie zobaczył, że taki idzie, wysoki na dwa metry, barczysty jak dąb, mięśnie mu aż rozsadzają połataną koszulę; dobry taki do roboty i pewno za darmochę, ponieważ na boscie nogi idzie; stary chciwiec Goździcki, któremu zawsze

wszystkiego było mało, im więcej miał, tym więcej chciał mieć, a dom miał on tu jeden z cegły murowany i pod dachówką, podwórze jak warzywnik wielkie, do tego sześć krów dojnych, pięć świń i tę kurwę ziemię miał, o Jezu, zaledwie w trzech kawałkach, Jezu, Jezu, razem dwanaście morgów ziemi, ludzie, ludzie! a ty człowieku w swoje dwa albo trzy morgi, podzielone na paseczki, zęby wbijaj, wyżyw z nich rodzinę i bydłaki; jak je dzielić, te morgi swoje, Jezu miłosierny, a odpowiedz Ty mnie utrapionemu, zaharowanemu, na jakie zagonki? zagoneczki? Żeby i żyto, i owies, i kartofle się pomieściły, i żeby jeszcze człowiek mógł wypaść swoją krowę żywicielkę i kobyłkę swoją, i traw dla nich na zimę nakosił? Och, ty ziemi moją przeklętą, ty ziemi moją błogosławioną! Więc niechaj Goździcki będzie potępiony, amen. Wypatrzył bolszewika, ocenił siłę jego mięśni, nędzotę koszuli, wziął na parobka, chociaż każdej wiosny, lata i jesieni swoich, stąd, do roboty brał, i szło się do Goździckiego za kartofle, za miarkę zboża i za talerz zupy nawet, bo jak się poza domem zje, to dla dzieciaków więcej zostanie, a teraz obcego najął i trzymał, choć już od pierwszego dnia wiedział, że to antychryst, bo się przed jedzeniem nie żegna, a wieczorem nie klęka do pacierza pod świętym obrazkiem z Marią Panienką. Od razu musiał też Goździcki wiedzieć, że ta jego suczka umiłowana, Halina, Halka, dostaje na widok kacapa ściskania w dołku i gdzie indziej. Halka nie była najmłodsza, stara panna prawie, dwudziesty pierwszy jej szedł. Goździcki jakby na hrabiego dla niej czekał, nie przyjmował swatów, wszyscy w Zasławiu byli dla niego jak parobcy, nawet Lipienie i Teodorki; córkę wbijał w pychę, stroił ją co dzień we wstążki i korale. Nie chciała na nikogo spojrzeć, ręki nikomu nigdy nie podała, głupia suka. To i ją Pan Bóg pokarał, od pierwszego wejrzenia rozmiłowała się w przybłędzie. A

ten stary skurwiel, Goździcki, udawał, że niczego nie dostrzega. Wreszcie miał całkiem darmowego parobka i pewno myślał, że dzięki niemu okrutnie się wzbogaci, oszczędzając na worku kartoflów czy miarce zboża. Więc ty teraz od nas, Goździcki, który ją jeszcze dźwigasz, tę swoją pierworodną, ukochaną, w pysznych koralach i wstążkach, nie spodziewaj się litości; a ty tu, bolszewiku, strzeż się naszego gniewu. To i kamieniami po strzesze. Kamieniami po oczach okienek.

Tak, widziała te kamienie i słyszała tę milczącą, zajadłą nienawiść. Stała na swoim podwórzu, za swoim własnym płotem, przez siebie postawionym, przeplecionym ładnie, równiutko chrustem. Nie wolno jej go było minąć, bo on jak granica, gdyż ona dla tamtych na drodze tak samo obca i tak samo przekłeta jak ten przybłęda, a może nawet i gorzej, bo plugawa i nieczysta. Ty kurwo, powiedziała Lipieniowa, napluła w twarz. Nie będę siedziała koło kurwy, powiedziała Goździcka i z szelestem spódnicy opuściła kościelną ławę. Boże ty mój, któryś jest, toż ją całe morze dzieliło od tamtych na drodze, a jednak łączyła się z nimi w nienawiści. Mimo plwociny Lipieniowej. Mimo obelgi Goździckiej. Jej również nie obchodziły te jakieś nowe, podobno lepsze i sprawiedliwsze czasy. Miała je w dupie. Nic o nich nie wiedziała i niczego nie chciała wiedzieć. Wiedziała jedno: chociaż plują na nią, chociaż złorzeczą, to ona i tak jest na swoim. Ma. Posiada. To jest jej. Trzyizbowy dom z zarwanym koło komina dachem. Przyjdzie pora, doczeka takiej, i w tym miejscu wybuduje nowy. Murowany. Pod dachówką. Piętrowy. Taki, jakiego jeszcze nikt w Zaslawiu nie oglądał. I oborę nową w miejsce tej, która się zawala. I chlew zamiast tej komórki, w której nie chrząka ani jedna świnia. Ale to jest jej. Dom, obora, chlewik. Więc ma. Posiada. I ma jeszcze dwa morgi kamienistej ziemi w jednym

kawałku, nie, jak inni, w czterech; i ma też pół morgi łąki koło dzikiej jabłoneczki. A ten miodooki, czerwonousty, białozęby - och! jaki piękny! - chciałby odebrać jej to, co posiada, i dołączyć do łąchy piachu Iwaniuków i kamienistej gliny Nosiorków? A może do tych swoich trzech morgów, jakie mu we wianie wniosła ta jego wypłowiwała, krzywonoga mysza? I może chciałby jeszcze odebrać i kobyłkę, dla której tej pierwszej strasznej, głodnej, piszczącej piskiem głodnych szurów, zarobaczywiałej zimy kradła ludziom siano? Wyłaziła nocami z łóżka, zwlekała swoje ciało obślinione pieszczotami Małomównego, skradała się, wstrzymując i oddech, i bicie serca, aby z napuszonych sianem stogów Teodorków czy Lipieniów oraz tych innych, kusych, chudych, przyplaszczonych ku ziemi unieść tyle, co zdoła zmieścić do płachty. A tu nagle: wspólne? Ogarniała ją zgroza na samą myśl, że wspólne. Wspólne znaczy niczyje. O nie. Przenigdy. Za nic. Kamieniem go. I jeszcze jednym. I jeszcze.

Sprowadziłeś się na sąsiada, powiedział Małomówny przez płot, ale żebyś nie ważył się dotknąć moich sztachet, ty bolszewickie ścierwo. Kubiak pewno nie zrozumiał bełkotliwej mowy Małomównego, bo się uśmiechnął, więc krzyknęła wyraźnie: A nie odważył, ścierwo! A on, ten czerwonousty, białozęby, ją już rozumiał doskonale, spojrzał żałośnie tymi swoimi miodnymi oczami, pochylił ciężko głowę, odszedł. Zamknęły się za nim niskie drzwi Kolaśnikowej chałupy. Pewno teraz pochyła się nad swoją chuderławą myszą i głaszcząc ją po włosach, skarży się na tych, którzy rzucili w niego złym słowem. Och, jakże on tkliwie, jakże czule, jakże łagodnie tę swoją myszę głąskał a przytulał. Aż bolało. Nie mogła wprost znieść, obserwując raz po raz ze swego podwórka, jak on przygina swój byczy kark, zatapia miodne oczy

w oczach Kubiakowej, opuszcza wielką niczym bochen chleba dłoń na jej szare włosy, zwinięte w kusy supełek, i dotyka, i muska tak delikatnie, jakby były motylem, który mógłby się spłoszyć. Bolszewicka świnia! Żeby tak w biały dzień, nie zważając, że ludzie patrzą?

Zeszłego roku wykopał fundament pod oborę. Zamiast oblepić gliną tę starą, na jednego konia i jedną krowinę, wywalił dół, jakby zamierzał co najmniej dziesięć krów z przychówkiem trzymać. Wysoko mierzy, daleko sięga; nawet Goździcki takiej obory nie miał, Małomówny zaś mówił, że widział podobną, jeszcze przed wojną, w majątku pod Przysuchą. To ten fundament szczyrzył się do wszystkich kłami i judził: no proszę, patrzcie wy na mnie, jaki jestem długi, a jaki szeroki, pańska obora na mnie stanie.

Gówno stanie.

Nie stanie.

Konia otruli Kubiakowi nad ranem, w niedzielę, pod koniec października. Kościół w Przysuchej musiał być tej niedzieli pustawy, miejsca zaślawnian wolne. Do niej zaczęli się schodzić od rana. Pojedynczo albo parami. Grzeczni nagle tacy, a niektórzy z poczęstunkiem. Grzyb naniósł gorzały, Teodorka całe kilo solonej słoniny, Goździcka zaś wysadziła się, przytaskała poлец wędzonki. Chwalili Boga po kolei. Niech będzie pochwalony, mówili, wycierali nogi na szmacie, nie syczeli, że kurwa ani suka; o dobry Boże, Boże łaskawy, a co to? Niczego nie rozumiała, zagubiła się w powitaniach, zapłoniła od gościńców. Niech będzie pochwalony, odpowiadała, spotniała od radości nagłej, gwałtownej, od tego szczęścia wielkiego, że już ją chcą, uznają; podsuwała zydle, przetarła ławę, chociaż ława czysta, dopiero co szorowana; lecz wkrótce zabrakło i zydli, i ławy nie starczyło do siedzenia dla chętnych. Goździcka porwała jedyne krzesło i od razu

z nim pod okno, z którego jak na dłoni podwórze Kubiaków, ich ganek, i ten bezwstydnny, rozległy fundament pod przyszłą oborę. Obok Goździckiej stłoczyły się Lipieniowa, Teodorka, Tasławska; Grzybowa z Krysiakową zaraz za nimi, od tyłu zaś napierali inni, głównie mężczyźni, wołając, że i oni chcą oglądać, a tu baby zasłaniają całe okno. Małomówny kazał podawać kubki. Miała tylko trzy, a ten trzeci był wyszczerbiony. Zaczerwieniła się, zawstydzona własnym ubóstwem, lecz Teodorek powiedział, coby się nie frasowała, z gwinta tyż dobrze, a Lipień dodał, że wszyscy swoi, bez ceregieli się obejdą, gospodyni. Ach, jacy grzeczni, poczciwi ludzie. Siedzą, popijają, zagryzają wędzonką od Goździckiej; proszę, mówią, proszę, gospodyni, napić się z nami i zakąską sąsiedzką nie pogardzić. Ach, najlepsi, szczerzy, serdeczni. Ciekawe, czy długo będziem czekać, powiedział Teodorek. Ile trzeba, tyle poczekamy, odpowiedział Grzyb, widok stąd dobry, od nas chałupa Kubiakowa przeszkadza. A tego widoku nie wolno utracić, powiedział Lipień, ten widok trzeba widzieć. To czekają. Piją. Zakąszają. Krzyk Kubiakowej, jakby rodziła. Aha, zaczyna się, ucieszył się Teodorek, splunął, lecz zaraz się zmitygował: Przepraszam, gospodyni, powiedział; grzeczny, porządny człowiek. Cicho! - syknęła od okna Goździcka i aż przylepiła się czołem do szyby. Jakoś już nie krzyczy, powiedziała zmartwiona Teodorka. Czemu zaciחła? - zdziwiła się Lipieniowa. A Kubiaka nie widać? - zapytał Nosiorek. Widać go, widać! - krzyknęła Goździcka. Wszyscy się pchają do okna, ale dla wszystkich miejsca nie starcza, podsuwają stół, włączają buciurami, koniecznie muszą widzieć Kubiaka. No, tak się nie godzi! Zróbcie miejsce dla gospodyni, niech też ma widok, zawołał Lipień, wepchnął ją między Teodorkę a Tasławska. Ależ to byk z tego Kubiaka, powiedział z podziwem Teodorek, splunął, ale tym

razem nie przeprosił. A tam Kubiak od stodołki ciągnął ścierwo końskie. Widać dokładnie: piana z wyszczerzonego pyska konia, piana na posiniątych wargach Kubiaka. Silny sukinsyn niemożliwie, splunął znów Teoderek. Cicho! - krzyknęła Goździcka - przeszkadzacie patrzeć! Więc patrzą. Eee, powiedział Grzyb, zawiedziony, chyba po wszystkim; bo Kubiak ścierwo porzucił koło studni i odchodzi, kierując się wprost ku drzwiom sionki. Eee, nie krzyczał, nie przeklinał, nie złorzeczył ani nic, powiedziała z żalem Lipieniowa. Twardziel, powiedział Nosiorek, czknął, bo jakby mnie jedynego konia tak, tobym się chyba obwiesił. No, powiedział z przekonaniem Grzyb, ja też bym się obwiesił, nie ma życia bez konia, jak tu zaozać? zabronować? i w ogóle, ale ten kacap twardy, nie wyglądał na takiego, co by się miał obwieszać. Jeszcze nie wszystko na próżno, jeszcze może się i obwiesi, zauważył Lipień. Cicho! - krzyknęła Goździcka - dajcie patrzeć! A na co chcesz ty patrzeć, Goździcka, wszystko niestety odbyło się po cichu i koniec, powiedziała Teodorka. Kurwa jebana, ani się nie obwiesił, ani nawet nie złorzeczył, wnerwił się Grzyb. Ale co konik się naćpał, to naćpał, zaśmiał się Lipień i splunął, może jakiej trutki na szczury czy czego, nie wiecie wy? Ojej, ojej, ojejku! - rozrechotała się Teodorka - aleś Lipień powiedział, aleś powiedział. A koń to nie słoń, dodał Nosiorek i Teodorka znów się rozojejkowała. Cicho, na litość boską! - krzyknęła Goździcka - Kubiak! Kubiak wybiegł! Widzę go. Biegnie przez podwórze ku furtce!

O cholera, drzwi trzasnęły i już łomot kroków w sieni. I oto stanął w progu. Powiódł po twarzach zebranych półprzytomnymi oczami, jakby nikogo nie poznając. Ludzie, na miłosierdzie boskie, pożyczcie konia, żona rodzi! Przecież ty w Boga nie wierzysz, jak śmiesz go wzywać nadaremno? - powiedział Lipień

i splunăł. Zaprzągaj swego, Kubiaku, i jedź sobie ze swoim kacapskim bogiem, powiedział Teodorek i też splunăł. A nie żony ty masz, tylko sukę, a suka się szczeni, nie rodzi! - powiedziała, odwracając od okna twarz białą jak śnieg Goździcka. Łomot jego kroków, jego nóg uciekających od tych słów ciężkich, cięższych niż kamienie. Teraz już nikt nie chce odchodzić, wszyscy czekają. Obserwują. Nadśłuchują. Machorkowy dym zasnuł sufit. Ścierwo konia pogrążyło się w wieczornym zmroku, a tam, za płotem, zupełna cisza, jakoś ta Kubiakowa dziwnie rodzi swoje pierwsze dziecko. Nie krzyczy. Nie wyje. Może bóli nie ma? - zadumała się Lipieniowa. Może jej jeszcze dobrze nie sparło, powiedziała Teodorka, bo jak ja zległam ze Staśkiem... I wszystkie, jak na komendę, poza Goździcką, tkwiącą przy oknie nieruchomo, z różańcem jak wąż długim, oplecionym wokół palców, zaczęły opowiadać, jak zlegały. Jak zlegały przy Hance, Czešku, Jolce, Zośce, Heńku. Cicho wy, baby, do cholery! - zawołał Grzyb - bo się wściec można od waszego zlegania! Na zdrowie! - zawołał Nosiorek ni w pięć, ni w dziewięć, już sztywny od opicia. Małomówny od dawna chrapał pod ławą. I nikt już nie mówił przepraszam ani dziękuję, ani proszę; chłopy pety rzucają na podłogę, przydeptują obcasem, plują, charczą, czkają, pierdzą. Grzeczności się skończyły. Czekają. Nadśłuchują. Aż nagle doczekali się. Rozległ się krzyk Kubiaka taki, jakby Kubiakowa zmarła. Potem drugi, jakby i jej bękart kacapski też zdechł. No, to teraz mogę wypić za zdrowie, zabełkotał Grzyb, ale też miał dosyć, kubka do ust nie doniósł. Lipieniowa zachichotała pijacko: Musi do aniołków. Na ostatni krąg piekieł raczej, powiedziała Goździcka. Nie wypila ani kropli, nie zjadła ani kęsa, przesiedziała przy oknie cały dzień, wpatrzona w Kubiakowe podwórze, a jej obwisłe, spopieliałe od pogrzebu córki policzki to bladły, to

gęstniały w wypiekach, zgrubiałe palce zaś przesuwały bezustannie różaniec, paciorek za paciorkiem, brązowe paciorki w brązowych paluchach tworzyły posuwisty, cicho szeleszczący ciąg, na którego końcu chwiały się ciężkim ostrzem posrebrzany krzyżyk. Gdy Kubiak zakrzyczał, Goździcka wyprężyła się niczym w agonii, zasłoniła płomień oczu sfiolutowiałymi od płaczu powiekami, ręce jej gwałtownie zatargały różańcem i krzyżyk rozdygotał się u kolan. Spod zrozpaczonych powiek potoczyły się grube łzy dziękczynienia. Doczekała się. Niechaj Bogu będą dzięki, powiedziała. Schowała różaniec. Wstała, a twarz miała rozświetloną, jakby spełnił się właśnie cud, o który błagała Boga. W progu powiedziała: A ty, Małomówno, zajdź kiedy do mnie. I robotę dam, i herbatą poczęstuję. Jakby w tej łasce dziękczynienia wybaczała również i kurwom, stawała się dla nich łaskawa, jakby mogła sobie już na ten akt łaski pozwolić. Pierwsze zaproszenie od samej Goździckiej zdjęło przekleństwo pogardy i natychmiast szmerek głosów, a Lipieniowa, żeby nie okazać się gorszą, powiedziała nieco bełkotliwie: I do mnie zajdź koniecznie, Małomówno. Za gościnę dziękuję, kłaniam się nisko, w swoje progi zapraszam, powiedziała Teodorka.

Zostań z Bogiem, gospodyni, żegnali ją inni.

Z Bogiem, z Bogiem, odpowiadała, lecz nie czuła wdzięczności, zapragnęła ich wszystkich po oczach, po oczach! Już jej nie zależało na ich uznaniu, ponieważ w chwili, w której Kubiak tak strasznie zawył po raz drugi, dokładnie w tej samej, kiedy tam, za płotem, za zbutwiałą ścianą, pod szerniałą od starości strzechą wraz z krzykiem Kubiaka wypchało się na świat jego nagie, pomarszczone, przedwcześnie zrodzone i nieme na zawsze dziecko, ona poczuła słabe muśnięcie w swoim brzuchu, jeszcze nie wysuniętym do przodu, dopiero ledwo, ledwo zaokrąglonym; to

błogosławione, pierwsze dotknięcie owocu swego, tę pieśczętą lekką i cichą; ach, synu, serce moje! - bo to miał być syn, musiał być syn, i poruszył się właśnie, a może westchnął tylko, może się zaledwie skrzywił, lecz dał znak, że jest, że żyje. Odtąd nikt inny nie będzie jej potrzebny; synu, serce moje, żyć będę tylko dla ciebie, oddychać tylko dla ciebie, i stanę się jeszcze mocniejsza, jeszcze silniejsza, i obronię cię, synu, przed całym światem. Muszę obronić przed nimi, którzy tu dziś przyszli z pozdrowieniem Bożym i pili, pluli, wdeptywali pety, dymili pod sufit dymem machorkowym, żarli tłustą wędzonką, opowiadali świńskie kawały, rzucali plugawe słowa i obserwowali, przede wszystkim przed nimi, synu, serce moje, bo oni nie jak ludzie i nie jak zwierzęta, bo zwierzęta, synu, są od ludzi łaskawsze. A on, Kubiak, chociaż antychryst i bolszewik, jest chyba jedynym człowiekiem na tej całej ziemi. Nieproszeni goście wychodzili: Zostań z Bogiem, Małomównie Nosiorka taszczył pod pachy zataczający się Grzyb. To co mu się urodziło? - zapytał płacząco Nosiorek - chcę obaczyć. Cicho, pijaczku, powiedział Grzyb, zobaczysz jutro, w trumience. A czemu w trumience? Nie wystarczy skrzyneczka? Ja swoje w skrzyneczkach! - rozchlipał się Nosiorek. A pomóż mi tam który! - zawołał rozeźlony Grzyb i szturchnął Nosiorka. Jak to? Moje gospodarskie w skrzyneczkach, a jego bolszewickie w trumience? - żalił się wciąż Nosiorek, więc Grzyb palnął go przez łeb raz i drugi, i Nosiorek ucichł, dał się wyprowadzić. Po oczach ich wszystkich, po oczach! I pomyślała o tamtym owocu, dopiero co wypchniętym z krocza Kubiakowej, i zobaczyła je: sine, małuśkie. Ileż to razy oglądała takie ciałeczka, obmazane krwią matki, Głupiej Kazieczki, bardziej bydłce niż człowiecze, z czólkami pomarszczonymi w ostatnim, śmiertelnym wysiłku, ze sznurami jeszcze jakby żywej, bo cieplej pępowiny. I zatargał

nią strach. Nie o tamte obce, Kubiakowe, które z pewnością umarło, bo czemuż Kubiak zakrzyczał dwa razy tak strasznie, lecz o to własne, w niej pęczniejące. Jeśli okaże się, że i jej krew, jak krew matki, Głupiej Kazieczki, jest zatruta? przeklęta? i wypełźnie z niej sine, martwe? Nie, nie! Wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, który widzi przecież, że swoje poczęła prawowicie, będąc poślubiona w kościele, więc ani grzesznie, ani plugawie i nie raz raz, jak poczyniała swoje bękarty jej matka, Głupia Kazieczka, i jak ta tu obok, ta szara mysza Kubiakowa, mysza z wielkimi oczami, którą on, barczysty a wysoki, potężny a mocny, miodooki, czerwounusty, ach, jaki piękny! gładził bezwstydnie w biały dzień po chudych ramionach, wielkim brzuchu, Ojcie nasz, któryś jest, ulituj się nad moim owocem, nie pozwól, nie dopuść. Była już sama w chałupie, tylko z opitym do nieprzytomności Małomównym, oni wszyscy wyszli, nie musieli dłużej obserwować, miara ich sprawiedliwości dopełniła się: bolszewicki pomiot zatchnął się powietrzem Bożym, ścierwo otrutego konia czerniało pagórkiem koło studni i tego bezczelnego fundamentu, na którym teraz nie stanie żadna budowa, bo jeżeli konia brak, to jakby całej siły brak; na własnych ramionach nie przyciągnie dłużyca z Kamionkowego Lasu, choć silny jak byk, w jednego konia ją ściągać trudno; więc koniec bolszewika, amen.

Przedwcześnie urodzone dziecko Kubiaka jednak nie umarło i nikt nigdy nie dowiedział się, z jakiego powodu wówczas Kubiak tak strasznie dwa razy zakrzyczał, bo i Kubiakowa żyła. Pojawiła się na ganku swojej chałupy przejrzysta na twarzy, chuda, przygarbiona, taka garbata mysz, a Kubiak prał szmatki, wynosił dzieciaka na słońce, kołysał, śpiewał luli, luli, i ledwo zima odpuściła, zaczął na własnych plecach tę dłużycę ściągać pod budowę

swojej obory. Uparty bolszewik. Przeklęty antychryst dokonał tego, czego nikt by nie dokonał. A trzeba go było widzieć, jak orał te swoje dwie morgi, wprzęgnięty w pług za konia. Ciągnął jak wściekły, jak nie jeden, ale dwa konie, aż Kubiakowa idąca za pługiem kamasze gubiła między kamieniami; potykała się, jęczała, padała, a gdy padała, to on i pług, i ją ciągnął bruzdą, nagle bez litości, nagle bez zmiłowania. A myśmy, ludzie, myśleli, że gdy mu tego konia otrujem, to on spakuje się w dwa tobołki i wyniesie się stąd, oczyści od siebie nasze powietrze, nasze pola, nasze łąki i ziemię naszą błogosławioną. A myśmy myśleli, ludzie, że on tą swoją wielką głową będzie walił o drzewa, o kamienie, aż z niej mózg tryśnie. A myśmy myśleli, ludzie, że on sznur sobie okręci wokoło szyi i powiesi się na belce, a że życie w nim mocne, to będzie długo zdychał, długo wierzgając nogami. Lecz on, ten kacapski sukinsyn, ani nie walił głową, ani nie wieształ się, nie spakował się też w dwa tobołki; on, kurwa, zaprzągnął się do pługa i orał tak, jakby w niego jakieś diabelskie siły wstąpiły. Zaołał. Zasiał ręką, przybronował i zaraz za budowę. Wynurzał się z granatowej ściany lasu, mały punkcik wśród piachów drogi, i rósł w oczach, olbrzymiał, i widziałeś, człowieku, jego boscie nogi zaryte do pół łydki w piach i jego plecy nagie, napięte od wysiłku tak, że patrzysz i zdaje ci się, człowieku, że jeszcze jedna chwilka tylko, nie dłużej, jedna chwilka maleńka, a te wszystkie wypuczone od krwi żyłki i żyłeczki na jego plecach przerwą się i staną się rzeką krwi, powodzą krwi, ale one nie rwały się, więc podnosiłeś kamień, człowieku, żeby trafić w taką żyłkę, już nie tyle z nienawiści, ile z czystego miłosierdzia, żeby się dłużej nie męczył i padł w piach drogi uwolniony od ciężaru; lecz te jego plecy były tak napięte, że aż jakby z żelaza, i kamień od nich odskakiwał, i tylko siny znaczek, nie większy od łebka

szpilki świadczył, że jednak trafiłeś, człowieku.

Tym razem nie chciała, nie mogła patrzeć, jak biją. Małomówny zaciągnął siłą pod płot. Patrz, suko. Małomówny od czasu, w którym spostrzegł jej wzbierający owocem brzuch, bił co dzień. Z nim się też kurwiłaś, suko, powiedział, przyciskając do płotu, na pewno i z nim! więc teraz, suko, i ty w niego rzuć! Jeżeli nie rzucisz, znaczy, że z nim też. Gdzieś po rowach albo po stogach, suko. Pochylała się ku ziemi długo, z trudem, mozolnie szukając kamienia. Kamyczka. Kamuszka. Zamierzała go uczynić jak najłżejszym. Jak najbardziej miękkim. Jak najbardziej okrągłym. I wybrała źle. Bo właśnie dlatego, że był mały niczym odprysk, przeciął skórę i żyłka przerwała się, trysnęła, a za nią natychmiast i druga, i trzecia, i dziesiąta, i plecy Kubiaka ociekły krwią. Zachwiał się. Postąpił krok i zachwiał się ponownie. A ona przez tę jedną chwilkę zapomniała o swoim owocu i zapra gnęła znaleźć się przy Kubiaku, razem z nim odbywać jego drogę krzyżową, ocierać mu z czoła pot krwawy, spijać wargami te strumyczki, żywą czerwienią wijące się po jego plecach, przyjmować na swoje świszczące jak osy kamienie, ale z chałupy wypadła Kubiakowa. Dziecko trzymając w ramionach, zakrzyczała do nich wszystkich, ustawionych w szpaler po obu stronach drogi: Zabijcie i mnie! Uniosła dzieciaka i zakrzyczała: Zabijcie i je, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Wysoko, ponad głowami zgromadzonych ludzi, zaszumiały skrzydłami dzikie gęsi, powracające z ciepłych krajów do rodzinnych gniazd nad Zakolem.

Jaka piękna wiosna była tamtego roku!

Jackowiak rozpoczął swoje granie przy końcu lutego i zaraz odtajał lód, słońce przygrzewało mocno, a już na początku marca brzozy rozpuściły zielone warkocze, zazłociły się kaczeńce przy

bajorach, niebo rozśpiewało się skowronkami. Dobra, łaskawa ludziom wiosna: w ogrzanej ziemi ziarno szybko puchnie, wschodzi silne, a trawy są soczyste i mleko wzbiera w wychudłych po przednówku wymionach krów; bądź błogosławiona ty, wiosno, która wracasz nam życie. Klucz gęsi wcześniej niż zazwyczaj, więc i lato powinno być udane, sypnąć zbożem; zapełnią się spichlerze, chleb będzie nam rósł w piecach wysoki i sytny. Chleba naszego powszedniego racz nam dać dużo, dużo, Panie.

Na drodze skrzypiała niestrudzenie dłużycza. Krwią spływały plecy Kubiaka, który, drań kacapski, jednak nie upadł. Zakręcał właśnie wśród złotego piachu na swoje podwórze. Bękart otwierał usteczka jak do krzyku, lecz jego krzyk był bezgłośny; ten bękart, o cudzie! jest niemy! A jednak dopełniła się boska sprawiedliwość, więc niechaj antychryst i kacap swoją dłużycę ściąga, i tak nie potrafi sam, w pojedynkę dachu postawić, bo tu w Zasławiu jeszcze nikt nie widział, żeby ktoś w pojedynkę dach stawiał. A nawet jeżeli postawi, to i tak mu się zawali, bo przecież Pan Bóg czuwa i w swojej łaskawości nie dopuści, żeby się kacapowi udało. A nawet jeśli się nie zawali, to i tak będzie stało puste. Konia już nie ma, krowina na zdechnięciu, świniaki cheralawe dwa. Więc niechaj tam, czort z nim i na pohybel. Czy on kiedykolwiek dorobi się, aby zapełnić żywiną taką olbrzymią oborę? Będzie ona stała pusta i zimna, teraz i na wieki wieków, amen. To niech ściąga, niech buduje. Chodźmy, ludzie, do chałup. Robota czeka. Dzikie gęsi ściągnęły nad Zakole, znaczy, kartofle zaraz można sadzić.

Skulona na ganku pod ociemniałymi oknami chałupy Grzybów, patrzyła na buchający słup ognia. Krowa przestała ryczeć. Koniec. Kubiak się spalił. Kubiakowa zamarzyła wraz ze swoim owocem mimo żaru ognia. Trzeba do syna. Poczwała przejmujące

zimno i dopiero teraz spostrzegła, że jest bosa i prawie naga, a mróz skrzył się na śniegu krwawymi gwiazdami. Synu, serce moje, jak mam cię obronić przed całym światem?

5.

Jackowiak zażądał wina.

Nie twój dzień, Jackowiak; przecież ty pijesz w soboty, powiedziała, podając.

Zamruczał coś, odbił korek, przechylił butelkę, wlał w gardło. Nawet nieźle mu poszło, kapka zaledwie pociekła po szczeciniastej brodzie.

Drugą, Małomówno!

I ta druga wleciała mu gładko. Otarł usta, popatrzył z pijackim rozczuleniem: Jak ja cię lubię, Małomówno, jak lubię.

Idź do domu, pijaczku, Prezesowi w tym stanie na oczy się nie pokazuj.

Ja na niego pluję; ot co, Małomówno!

Ej, Jackowiak, ej! I ty nagle zodważniałeś?

Zakołysał się na szeroko rozstawionych nogach, dwie butelki wina raz raz go rozbierały.

I ty pluń na niego, Małomówno. Ja cię tak lubię i powiadam ci: pluń. Bo inaczej tu za długo w sklepie nie postoisz. On cię już, skurwysyn, nie obroni. On już leży i kwiczy.

I Jackowiak zakwiczał jak zarzynana świnia. A potem zatrząsł się od pijackiego śmiechu.

Kwiczy, kwiczy, powtórzył.

Idź, idź, Jackowiak, a prześpij się, to ci rozum wróci i polecisz do Prezesa, i na boso, bo gumiaki zostawisz w korytarzu, żeby mu broń Boże tego dywanu na całą podłogę nie zapaskudzić, i zaczniesz się zarzekać, a bić w piersi, a kajać, przepraszać, że to nie ty przeciwko. To inni, ty przecież oddany niczym pies.

Jeszcze miał wargi zwinięte w świński ryjek do kolejnego kwiku, lecz ten wyszedł mu żaloszny, strachliwy i przerodził się w gardłowe: Wina, Małomówno!

Po trzeciej zamroczyło go na dobre. Opadł głową na ladę. Dobry Boże, jakież siwy ten łeb; i kiedy on aż tak posiwiał? Przecież ma go wciąż w oczach, tego nieszczęsnego Jackowiaka, jakby to było wczoraj za ledwie: to niebo przepelnione słońcem, niebo buchające żarem i łąka pod tym niebem, która miała być samą zielonością wysoką po pas, tryskającą sokami. Taka się jej śniła po nocach, że wchodzi w nią jak w głęboką i czystą wodę Zakola, zanurza się w aksamitnym chłodzie; a tu i do kolan nie sięga rzadka trawa, przyżółkła od spiekoty, wyschnięta, wyłysiała i tylko oset kłujący rozparty wszędzie, po co jej zresztą siano? Dla tej jednej kobyłki i po rowach i drogach leśnych nakosi, ususzy, w płachcie naznosi. Ale jej się śniła co noc stodoła aż po obelkowanie wypchana pachnącym sianem. Bo co noc w długiej oborze, dwa razy dłuższej niż u Kowala, rząd krów lśniących od tłustości, z wymionami wielkimi aż do ziemi; i dziesięć by takich podoiła raz raz. A w chlewiku prosiaczki rajcują; nigdy nie śniły się jej dorosłe świnię, zawsze małe prosiaczki o niebieskich oczach pod słomistymi rżęsami; rzuca im świeżą słomę, a one cieszą się, podskakują. Na podwórzu indykom czerwienią się korale. Gęsi rozsiadły się białe na zielonej trawie, gęgają syte. Małomówny w ciągu zimy przepił oba worki owsa od Kowala, jak przepijał pierwszy, ten drugi schowała w beczce na kapustę. I śniło się jej co noc, że ten uratowany owies wyciąga z ukrycia, a wówczas Małomówny chwali ją za przezorność i tak jak tamten kacap, tak samo on, Małomówny, swoją ręką jej policzek gładzi. I śniło się jej co noc, jak to ziarno wschodzi, strzela mocnym źdźbłem, a potem całe pole kołysze się ciężkimi kłosami.

Takie bujne miała sny tamtej pierwszej zimy na swoim, obfite, pełne chleba, wiader mleka, wysokiej trawy. Lecz Małomówny znalazł schowany owies, wybił mocniej niż zwykle, gdyż od trzech tygodni chodził trzeźwy, a jak trzeźwy, to wściekły. Bił raz po razie, aż upadła. Tak więc pierwsza wiosna na swoim była jałowa i pusta, gorzka jak piołun. Rozmyślała nawet, żeby się powiesić, ale żal było kobyłkę zostawiać na pastwę Małomównego. Niby bydłę, a czulsze i łaskawsze od człowieka. Wystarczyło objąć łeb i zaraz delikatne a miękkie wargi muskały policzki i owiewał ją ostry oddech żywego stworzenia, które również cierpiało, i jakże cierpliwie, z jakim oddaniem. Dzięki tej kobyłce przestawała być sama na tym bezludnym świecie, gdzie od nikogo dobrego słowa, spojrzenia, gestu. To podsuwała pod kobyłę wargi ukradzioną garść siana, kobyłka wahała długo, jakby w namaszczeniu, jakby się chciała, mądrała, samym wachaniem nasycić. W lutym kobyłka położyła się i nie miała sił ustać na nogach. Kołysała jej łeb na swoich kolanach, prosiła. Nie zdychaj, nie zostawiaj mnie samej, niedługo nadejdzie wiosna, wyprowadzę cię na trawę, ogrzejesz się słońcem i jeszcze źrebaczka urodzisz, owies nam wszędzie gęsty i nigdy więcej nie zaznasz głodu. Cała nadzieja w tym owsie, ukrytym na dnie beczki, zarzuconym dla niepoznaki szmatami; przewiążę płachtę przez piersi, będę szła równo, lekko uginając kolana, będę zanurzać rękę w szeleszczącym przyszłą sytością ziarnie. Jezus Maria, zostaw, zostaw! Ojczy nasz, któryś jest, choć pół wiadra odsyp! Ale Małomówny, spragniony gorzały, aż mu język wyschnięty latał po brodzie, aż się ta jego szczecina na pysku pocila, budził się przed świtem, spadał na jej ciało, uciskał piersi, szczypał brzuch, podduszał. Gdzie schowałaś, kurwo? Ledwo się rozwidniało, zarzucał na grzbiet odpraną z brudu kapotę i szedł do ludzi z nadzieją, że gdzieś, u kogoś załapie się choć na łyk, choćby na

kapelkę. Za ten owies z beczki przytaszczył do chałupy dwie kany samogonu. Schlał się tak, że o mało nie zdechł. Lecz nie zdechł. Nie zdechł i wówczas, i nie zdechł do tej pory, tyle ulgi, że pijany bił słabo, męczył się szybko, dostawał zadyszki, tyle ulgi, ale ona o ulgę nie dbała, wołałaby, żeby bił do krwi, by tylko mogła wychodzić na swoje pole i oglądać kiełkujące ziarno. A tam, na jej polu, zamiast zboża rozbuchały się chwasty. Sama zieloność komosy, ostów, pokrzyw. Wredna i nienawistna. To najpierw komosą spasała kobyłkę. A później poszła przyorywać chwasty; wio, maluśka, a pomalutku, nie przemęczaj się, mamy czas, dużo czasu, nie musimy się z niczym ani do niczego śpieszyć. Uprawiasz komosę? - wołano do niej. - Szczęść ci Boże, suko, plony, jak widać, szykują ci się dorodne. Bić wszystkich po oczach. Szyderstwo i obelgi towarzyszyły jej każdego dnia. A niech tam, jakoś musi to przeżyć. Zaorała. Później zbierała kamienie. Usypywała na miedzy kopczyki podobne kamiennym mogiłom. Obrodziło ci, kurwo, kamienie będziesz zimą zamiast kartofli gotować! Dobrze, smaczne, pożywne, tylko nieco twarde. A niech im tam! Niech plują, lżą, byleby się ta trawa koło dzikiej jabłoneczki udała, wyrosła bujna, dużo, to kobyłka wówczas, silna, żrebaczka by urodziła, a on rósłby na dobrym sianku raz raz, i w konia dorosłego by się zmienił, tego na targ piętnaście kilometrów poprowadzić, sprzedać w Przysuchej, a kupić krówkę, cztery kokoszki z kogutem i ziarnka do siewu na przyszły rok, i może by jeszcze starczyło na prosiaczka malutkiego.

Czerwiec przypalił słońcem, nie zrosił ani jedną kroplą deszczu, i zaraz między kępkami łysej trawy zabieliły się kamienie. Kosiła od samego rana. Niebo paliło się nad jej głową, powietrze niczym podgrzane, aż gęste, na twarzy i plecach pot, a może łzy, a może i pot, i łzy zalewały oczy. Daj, pomogę, powiedział. Nie

słyszała, kiedy nadszedł; pewno tam, w cieniu dzikiej jabłoneczki drzemał, obudził się, ją zobaczył i ulitował się nad jej łzami i potem. Miał niebieską koszulę, podartą pod pachami. Jasny meszek zarostu nad górną wargą, oczy wesołe, z iskierkami śmiechu, jasne. I te jego oczy patrzyły na nią zwyczajnie, jakby nie była kurwą od Małomównego. No, daj, pomogę. I uśmiechnął się, wyciągnął rękę po kosę. Aż osłabła od tego niezwyklego wprost szczęścia. Bo oto odezwał się do niej człowiek i nie splunął, nie powiedział ani kurwa, ani suka, ale powiedział: pomogę. Ten głupi, nieszczęsny Jackowiaczek. Jackowiaczek, krakowiaczek, sobotni pijaczek, wołają za nim teraz dzieci; patrzyła na jego skołtuniony łeb i myślała o tym, ile mu zawdzięcza. Szedł pewnie, odkładał równo rzadki pokos, nie zawadzał kosą o kamienie, a w nią wstępowały nowe siły i znowu czuła się zdolna pokonać każdą przeszkodę i nawet uwierzyć, że Małomówny się zmieni, przestanie chlać i któregoś dnia pogłaszcze ją po policzku albo po włosach, jak tamten kacap zza płota. Jackowiak szedł, pokos się ścielił, a ona zobaczyła wyraźnie, jak na dłoni, swój dom mурowany, w oknach białe firaneczki, niebieskie ostróżki wzdłuż płotu, ganek porośnięty dzikim winem. I siebie na tym ganku stojącą, i ten długi rząd ludzi niczym wąż posuwisty, którego końca nie widać; taki długi. Już pierwsi goście wchodzą, a każdy uśmiecha się, niech będzie pochwalony, mówi; na wieki wieków, tak odpowiada, i proszę dalej, gościu kochany, do pokoi zapraszam, a tam jej mąż Małomówny, trzeźwy, czysto wygolony, w białej koszuli, oczy ma łagodne, miodne; gościom podsuwa krzesła, usadza przy stole, a ten stół zastawiony kaszankami, pasztetami, parującym od gorąca bigosem; proszę, proszę, goście drodzy, goście serdeczni, siadajcie i raczcie się czym chata bogata, bo gość w dom, to Bóg w dom. Jackowiak doszedł do dzikiej

jabłoneczki, nawrócił; lśnienie słońca na ostrzu kosy, uśmiech nieco szczerbaty, bo Jackowiakowi już wtedy brakowało dwóch przednich zębów, łachy potu na niebieskiej koszuli. Ech, Jackowiak, ty nieszczęsna wsiowa łajzo, och, ty kochany - i położyła rękę na jego siwym, rozkudłanym łbie. Włosy miał lepkie, kołnierz kapoty upstrzony obficie łupieżem; ach, Jackowiaczku, sobotni pijaczku, i gdzieś ty siebie pogubił, gdzieś się zatracił, gdzieś się roztrwonil? A taki, wydawało się, był wolny. Jak ptak bez gniazda. Jeśli od Krysiaków dochodziło skoczne granie, można już na niebie wypatrywać skowronka i choćby nawet śnieg jeszcze zalegał, całe zaś Zakole skute było lodem, to wiadomo: Jackowiak na swojej harmonii gra, znaczy, wiosna się zbliża, jakoś ją potrafił bezbłędnie wyniuchać na sto kilometrów z daleka. Zaczynał grać i zaraz śnieg topniał, jezioro topiło się lodem, skowronek wylatywał pod niebo. W maju Jackowiak siedział z harmonią pod lipami Lewickich, które wieś dzieliły na dwie prawie równe części, więc wszyscy słyszeli to skoczne granie, chyba nawet i Goździczcy na swojej kolonii. Latem przenosił się pod kasztan Iwaniuków, i tak sobie grał a ludziom od wczesnej wiosny do późnej jesieni, z nikim ani z niczym niezwiązany. Ożeniłbyś się, Jackowiak, namawiała Nosiorkowa. A po co, skoro wszystkie mi się podobają, i stare, i młode, i te nienarodzone nawet. Chodź, Nosiorkowo, pójdziemy do lasu. Tfu, świniu jedna, s pluwała Nosiorkowa. A Jackowiak tak żył, wolny; ryby, grzyby zbierał, nie palił, nie pił, nie płakał po nikim, nie tęsknił do nikogo. Jego starzy umarli we śnie, zaczadzeni, a on miał szczęście, bo akurat tej nocy łowił węgorze nad Zakolem. Starych pochował, stypę wyprawił, krowę sprzedał, pierzyny i poduszki porozdawał, mówiąc, że w Zasławiu jest tylu biedniejszych od niego, on zaś woli spać na sianie pachnącym koniczyną i ziołami.

Wiatr z chałupy zerwał część dachu, ale on nie miał dla kogo dachu naprawiać, więc z czasem dach całkiem się zapadł, komin wykruszył, a Jackowiak, wolny, grał sobie a ludziom. Żył suchym chlebem, coraz bardziej rozkudłaczony i coraz bardziej wolny. Aż któregoś dnia ze wszystkich sił zapagnął niewoli. Wyszorował się, oczyścił kapotę, umył walonki, wziął harmonię i poszedł grać. Ani pod lipę Lewickiego, ani pod kasztan Iwaniuków, bo to była ani wiosna, ani lato, ani jesień, lecz sam środek zimy, połowa stycznia. Pod oknami Tasławskich stanął i gra. Tasławska powiedziała do Tasławskiego: Słyszysz? Wiosna idzie, Jackowiak gra, a Tasławski się wnerwił: Chybaż on tym razem zdurniał, bo gdzież wiosna w połowie stycznia, i oboje się naraz bardzo wystraszyli, gdyż może Jackowiak zwariował albo co, bo i grał jakoś inaczej. Wcale nie skocznie, tylko do płaczu, żałośliwie. Wypadli przed chałupę, patrzą, a tu Jackowiak w okno Hanki wpatrzony niczym w ołtarz święty. Nos czerwony, gęba posiniała od mrozu, nogami przytupuje dla rozgrzewki, gra. Co tobie, Jackowiak, na Boga, odbiło? A on harmonię zwinął, aż jęknęła. Dajcie mi Hanke, krzyczy. Rzeczywiście: albo opity, ale on przecież niepijący, albo zwariował. A że nie mógł być opity, znaczy zwariował. Z wariatem trzeba grzecznie. Zaprosili do kuchni. Talerz zupy dali, ale Jackowiak zupy nie chciał. Muszę mieć Hanke, żenić się z nią chcę, mówi, a oczyska ma zwariowane, szklane, usta mu się trzęsą. A kiedy chciałbyś się żenić? Nawet jutro! - krzyczy; znaczy wariat kompletny. Jutro nie da rady, mówi Tasławski, wyprawa Hanki niegotowa. A co mi po jej wyprawie! - krzyczy Jackowiak i oczy coraz bardziej wariackie, usta coraz silniej latające. No pewno, możesz i bez wyprawy, zgadza się Tasławski, czemu nie? Tylko widzisz, Jackowiak, ksiądz ślubu prędzej nie udzieli niż na Matkę Boską Zielną, ponieważ na

Matkę Boską Zielną nasza Hanka kończy szesnaście lat. To chyba poczekaś do Matki Boskiej Zielnej, Jackowiak? Poczekał, odpowiada Jackowiak i płacze ze szczęścia, wariat. A do tego czasu, powiada Tasławski, nie przychodź tu, nie graj pod oknami, bo tak się nie godzi, ludzie zaraz wezmą nas na języki. I chałupę wyrychtuj, dach napraw, okna wstaw, o oborze też pomyśl, masz czas do Matki Boskiej Zielnej. Nasza Hanka dostanie w wianie jałówkę i dwa wieprzki, to gdzie dobytek wstawicie? Pod gołę niebo? Więc już następnego dnia chodził Jackowiak po chałupach i prosił, żeby mu pożyczyć a to siekierę, a to piłę, a to gwoździe, desek trochę, bo on musi dom i wszystko wyszykować do Matki Boskiej Zielnej, bo na Matkę Boską Zielną żeni się z Hanką. Lecz już wszyscy wiedzą, że Jackowiak zwariował. Szkoda dla takiego nawet zardzewiałego gwoźdźca; przyjdź, mówią mu wszędzie, jutro albo pojutrze, to ci naszykuję. Przychodzi jutro, przychodzi pojutrze; aj, aj, Jackowiak, ty popatrz, całkiem mi z głowy wyparowało o tych gwoździach dla ciebie. Ale przyjdź w środę, w środę to już na pewno. I tak chodził, biedny wariat, że trzy tygodnie po ludziach, aż uzbierał garść gwoździ, cztery przegniłe deski, a od Grzybów dostał w prezencie swój własny młotek, który im kiedyś pożyczył, od Iwaniuków zaś własną siekierę, tyle że wyszczerbioną. Nosiorek dał mu dziurawy sagan. Wziął i ten sagan; zatka kołkiem, może się przydać. Brał wszystko, każde gówno, ponieważ wierzył, że ludzie mu pomogą, tak jak on im kiedyś pomagał bezinteresownie. Gdy ktoś czegoś potrzebował, szedł pod lipę albo kasztan i mówił: Jackowiak, gnój będę trząśł, pomożesz? Jackowiak, kartofle mi czas sadzić, pomożesz? A Jackowiak harmonię składał i szedł pomagać za Bóg zapłać, za dobre słowo, za talerz zupy. A teraz, w tej swojej naiwnej wierze, że ludzie pomogą, i do niej zaszedł, nie otrzepał

śniegu z walonek, naniósł od progu ścieżkę aż do stołu, i już masz szare błoto na wyszorowanych do białości deskach. Małomówno, odezwał się, a głos jego czysty jak muzyka, a oczy rozjaśnione wariackim szczęściem. Krzyknęła: Spójrz, ile mi błota naniósłeś! A on rozejrzał się bezradnie i powiedział jeszcze bezradniej: Kiedy ja się żenię z Hanką na Matkę Boską Zielną. Więc wściekła się na dobre, to te jego oczy rozjaśnione rozpiekliły, zabolaty, zakłuły; patrzcie go, oberwańca, łązęgę, przygłupka, i takiego nawet stać na szczęście? Plasnęła mu przed nos kawał szarego mydła: Dla ciebie, w prezencie ślubnym, żebyś się przed nocką poślubną doszorował z zaprzeszłego brudu! Nie tknął mydła. Wycofywał się pokornie, po własnych śladach, uważając, żeby nie narobić nowych. Boże, Jackowiak, poczekaj! - zawołała za nim, lecz jemu zadrgały plecy, jakby płakał, i potykając się, wypadł do sieni.

Wybacz mi, Jackowiak, powiedziała cicho, dotknęła raz jeszcze jego włosów. Wybacz.

Prezes Jackowiakowi powiedział, że i owszem, da traktor, niechaj tylko ziemia odpuści z mrozu, i jak chce, niechaj zaorze waznyk i niechaj tam posadzi wszystkie kwiaty świata, bo Jackowiak tak gadał: zaorzę i posadzę dla mojej Hanksi wszystkie kwiaty świata; ale lepiej byś zrobił remont chałupy dla tej swojej niby Hanksi, bo oni ci wcale nie mają zamiaru dać, biedaku, oszydzają cię, Jackowiak, a ty, chłop po czterdziestce, dajesz się podpuszczać jak mały dzieciak, ty się stuknij w ten siwiejący łeb, spójrz do lustra: gęba pomarszczona, bezzębna, a do szesnastki jak wariat uderzasz. Jackowiak skoczył Prezesowi do gardła, lecz co tam taki cherlak przeciwko Prezesowi, odrzucił go jedną ręką, drugą podniósł, otrzepał i powiedział: Ktoś ci musiał powiedzieć prawdę. Idź do Tasławskich. Im dowal, niech z ciebie widowiska nie robią.

Jackowiak jednak Tasławskich nie zaskoczył. Od dawna trzymali drągi. Stłukli, skopali, wywlekli na środek drogi i leżał tam z godzinę albo dwie, zanim się pozbierał i powłókł przez wieś do siebie, śnieg znacząc czerwoną juchą; przez wiele dni nikt go potem nie widział, tylko Krysiakowa opowiadała w sklepie, że co zajrzy przez szparę w deskach, którymi miał okna zabite, to widzi: Jackowiak siedzi na sienniku, z flachy pociąga, a harmonię głaszcze. Pewno mu się zdaje, że Hanusię pieści, powiedziała na to Lipieniowa, a Teodorka roztrzęsała się w śmiechu: Ojej, ojej, ojejku. I co tam zajrzę, to on tak siedzi, przez cały czas, opowiadała Krysiakowa. Eee, powiedziała Lipieniowa, przez cały czas to nie, musi przecież wyjść, co by się odlać. Ojej, ojej, ojejku, roztrzęsała się znowu Teodorka. Chyba żeby zeszczywał się pod siebie, powiedziała Lipieniowa, a ty, Teodorka, uważaj, bo się zaraz sama poszczasz od tego śmiechu.

Minęło kilka tygodni, nim Jackowiak pojawił się we wsi. Włosy mu posiwiały, oczy wyblakły. Dzieciaki za nim biegały, wołając: Jackowiaczek, krakowiaczek, odczyścił sobie kubraczek, wyprawił ucztę weselną na Matkę Boską Zielną! Harmonię gdzieś zgubił, nie grał już wcale, chociaż ku wiośnie się miało; płoty podpierał u ludzi godzinami. Czego mi tu wystajesz, Jackowiak? - pytają go, a on stoi, milczy. Chodź, dam ci talerz zupy, odrobisz przy gnoju, a on milczy; cholera go wie, czemu milczy i czemu tak tkwi w jednym miejscu, może patrzy, z której strony najlepiej ogień podłożyć? Nigdy nie żył jak człowiek, to i ufać mu nie można. Wynoś się spod mego płota, Jackowiak, bo psa spuszczyć! Poszedł do kółka, młotek wyciągnął zza pazuchy, bęc młotkiem w ciągnik. Rzucili się na niego Grzyby z Iwaniukiem, potargali zdrowo, związali, zawlekli do Prezesa. Ech, powiedział Prezes, to nie maszyna przeciwko tobie, lecz ludzie, a ty, Jackowiak,

zamiast się szwendać po wsi i narażać na kpiny, przyjdź do mnie, robotę ci dam. Nie ochłap litościwy, ale uczciwą pracę, rozumiesz? Dociera to do ciebie, człowieku?

No, niewiele już w nim z człowieka pozostało, pomyślała, cofając dłoń z siwych kudłów. Jackowiak! Nie śpij mi tu na ładzie! Uniósł głowę.

Małomówno... wina, zabelkotał.

6.

Syn siedział na ławeczce przed domem. Ojciec się zesmrodził, powiedział.

Małomówny w poczuciu winy wcisnął się w kąt pomiędzy ścianę a kredens.

Zapomniała widocznie zamknąć komórkę na klucz, więc wyłaź. Teraz podłoga w rozmazanych gównach, ręcznik ściągnięty z wieszaka, upačkany, rzucony koło zlewu. Napaskudził i usiłował sprzątnąć, bydlak.

Wyłaź!

Oślonił głowę ramionami.

Wyłaź mówię!

A pod płytą zagaśło. Kocioł z bielizną nie wygotował się, cholera jedna. Wyłaź mówię! - krzyknęła - inaczej cię stamtąd wyciągnę pogrzebaczem!

Zapiszczał. Wysuwał się boczkiem, kulił ramiona, osłaniał głowę. Ależ go ruszyło! Nogawki spodni przyklejone do łydek.

Bydlak.

Powinna już rozpalać ogień, bo ta bielizna w kotle niewygotowana. Czas tak napięty, tak dokładnie wyliczony, pędzi ze sklepu do domu, zestawia kocioł, włącza pralkę, pierze, odgrzewa obiad przygotowany wczoraj wieczorem, tylko kartofli nastrugać;

pierze, płuca, musi się zmieścić w dwóch godzinach, bo potem znowu po przerwie obiadowej do sklepu, i jeszcze podłogę raz raz przetrzeć mokrą szmatą, bo syn nie chce butów zmieniać i zawsze nanosi albo piachu, albo błota; i zaraz potem gnać do krów; ach, synu, serce moje, nawet ci się nie chciało polanka pod kuchnię dorzucić, a tak cię prosiłam: dopilnuj mi ognia, niechaj nie zagaśnie; ale to wszystko przez tego bydlaka, że się ufajdał głównem, syn od dziecka okropnie brzydliwy.

Wyłaż z portek!

Popiskiwał. Macał wyschniętymi na wiórki palcami przy rozporku. Stała. Patrzyła. Stała, patrzyła zamiast gorączkowo przegarniać popiół, wrzucać szczapki na rozpałkę. Każdego dnia Małomówny zdany na jej łaskę, może z nim teraz zrobić, co jej się żywnie spodoba, i to ją podniecało. Może z nim zrobić wszystko. Może zarzucić mu poduszkę na głowę, przytrzymać, niechby się zatchnął. Nikt już się za nim nie wstawi. Nikt się nad nim nie polituje. Nikt. Jakże się odmieniły koleje losu: kiedyś jemu wszyscy współczuli. Zanim przyszli tamtej niedzieli obserwować Kubiaka, gadali litościwie: I kogoś ty sobie wziął, Małomówny? Na litość boską, kogo? Jakby mało było tu naszych porządnych, gospodarnych, które by ci rodziły synów i wiano też wniosły. Powiedz, Małomówny, nie lękasz się brzydkiej choroby? Głupia Kazieczka z Przysuchej miała złą krew, nie słyszałeś? Ale! musiałeś słyszeć! Poczekaj trochę, a nos ci odpadnie jak staremu Kłusakowi, pamiętasz przecież ojca Kłusaków, Józef mu było. A jak ci urodzi, będziesz chociaż wiedział, od kogo? Zachodzili na podwórze, mówili głośno, żeby dosłyszala każde ich słowo. Ćmi-li machorkę. Spluwali pod nogi. Obmacywali jej brzuch, piersi, jej nogi spod przymrużonych wąskimi spojrzeniami oczu i każdy z nich, i każdy z nich, nawet stary Grzyb, który dwa razy do roku

topił szczenięta od swojej sukki, chciał dotykać jej stromych piersi, jej płaskiego brzucha, jej nóg opalonych a długich, a mocnych. Każdy z nich zresztą uważał, że ma do tego pełne prawo. Idąc do lasu po chrust, musiała brać ze sobą biczysko i po oczach ich, po oczach.

Za pierwszym razem nie wzięła. Dźwigała wiąchę chrustu na plecach. Kłusak wyszedł z naprzeciwka, zza drzew, wyminął i dopiero skoczył, powalił, lecz nie znał jej siły, nie wiedział, że potrafi jedną ręką zarzucić na plecy worek kartofli. Ty ścierwo, krzyczał za nią, ocierając krew z rozbitego nosa, ja cię jeszcze dopadnę. Więc dopadali. Przychodzili na podwórze. Gadali podniesionymi do krzyku głosami. I wodzili za nią pożądliwymi oczami, udając jednocześnie, że jej nie widzą, nie dostrzegają, nie zniżali się nawet, żeby jej powiedzieć: jak się masz, kurwo? Wywoływali Małomównego na podwórze, przynosili hojnie w kance samogon, musiała im wynosić kubki. Małomówny, nos ci odpadnie, cały się wrzodami ropiejącymi obrzucisz. Kogo tyś sobie przyprowadził, Małomówny, taką kurwę, z którą cała Przysucha się ruchała? Więc gdy odchodzili, Małomówny opity wtaczał się do chałupy, popychał ku łóżku, a jak zrobił z nią to, co oni wszyscy chcieli z nią robić, bił. Bił pięścią między oczy. Bił pięścią w brzuch. Ty suko, powiedz, wyznaj jak na spowiedzi, z kim, gdzie i ile razy?

Ta twoja kurwa, mówili do Małomównego współczująco, a teraz do niej mówią: Bój się Boga, kobieto, z kim ty żyjesz? Masz cierpliwość, Małomówno, żywcem cię do nieba wezmą. Tyle lat tak się mordować z pijakiem. Jakbyś owdowiała, każdego mogłaś sobie wziąć, bo z ciebie, Małomówno, ciągle nadzwyczaj piękna baba, a włosy to masz jak z filmu, i krzepę wciąż jak chłop, a dobra wszelakiego nagromadziłaś tyła, tyła pieniędzy

na książeczce, to po co ci takie brzemie? Więc gdyby Małomównemu zarzuciła poduszkę i udusiła albo żeby go zagłodziła, albo zatłukła, nikt by się i nie zdziwił.

Stała, patrzyła. Nie umiał sobie poradzić przy guzikach roz-porka. Ubierała go co rano, rozdziewała co wieczór jak niemowlaka, bo te jego paluszki kosteczki, paluszki patyczki straciły czucie i nie potrafiły donieść do gęby szklanki z gorzałą ani tym bardziej łyżki ze strawą. Rano gotowała mu kaszę na cały dzień, wlewała do metalowej miseczki, stawiała ją na taborecie obok łóżka, a on, gdy poczuł głód, siorbał językiem wprost z miski jak pies. W drugą, mniejszą, wlewała gorzałą. Nie potrzebował wiele. Kilka mlaśnieć i już mu dobrze, już opadał na poduszkę, rozanielony; sine wargi rozchyłały się w sinym uśmiechu.

Upłynęło wiele lat, nim zrozumiała, że nie należy Małomównemu bronić gorzały, bez sensu chować flachy, wylewać, tłuc, niszczyć. Trzeźwy Małomówny bił bez porównania mocniej niż Małomówny opity. Trzeźwy Małomówny szwendał się przez cały dzień wściekły, nie wiadomo kiedy mógł spuścić pięść na plecy, zasunąć kopa w nery, opity zaś Małomówny walił się byle gdzie w kąt, chrapał i był z nim spokój na długie godziny. Dziś można się już tylko gorzko pośmiać ze swoich dawniejszych pragnień, z tych nocy nieprzespanych, w których pojawiał się Małomówny uśmiechnięty, ogolony, głaszczący po włosach; o tak, tylko się obśmiać z tych swoich marzeń durnych, nie do spełnienia, o tym, jak to oboje siadają do ładnie zasłanego jaśniutką ceratką stołu po wspólnym porannym obrządku; ona doi krowy, on zadaje świniom, a potem pełni serdeczności dla siebie zasiadają przy tym ślicznym stole i jedzą jajecnicę na wędzonce, a potem znowu razem idą w pole; wszystko zawsze razem, a ten tam zza płota, ten miodooki, czerwounusty, białozęby przygląda się im z

zazdrością, ponieważ ta jego szara mysza tylko wciąż palcem w nosie dłubie, on ją sam tak rozpieścił, na rękach prawie nosząc, ale teraz musi żałować, bo się jej nawet kartoflów na obiad nie chce nastrugać ani tym bękartem, niedojdą niemową, zając; on wszystko sam, wszystko w pojedynkę, i za chłopa i za babę, a tu proszę: ich ławeczka ustawiona pod nowym domem z cegły i siadują sobie na niej razem majowymi wieczorami, słuchając słowika, który wydziera się w bzach koło stodoły, więc Kubiak, ten piękny, czerwounusty, białozęby widzi ich tak każdego wieczoru.

Pod płotem i wszędzie kwitną kwiaty, żadnych pokrzyw, ani badyłka, i każdy, kto mija jej dom, widzi, że tu ład, dostatek i serdeczność. Wszyscy też widzą, jak Małomówny bezwstydnie dotyka jej włosów, a włosy ma przecież piękne, falujące, długie, połyskujące miedzią, skrzące się w słońcu złotem, i dlatego tak rzadko chowa je pod chustką, bo niechaj on tam zza płota patrzy i niechaj widzi te jej włosy, splecione w gruby, ciężki, aż do pasa warkocz, niech widzi i wyobraża sobie, jakże te włosy muszą wyglądać, kiedy je rozpuszcza na noc. Co za sny! co za myśli! I dla takich snów, myśli, marzeń narażała się na codzienne bicie. Co za sny! I ona, głupia, chciała widzieć w Małomównym człowieka! Więc spójrzcie teraz na niego: póki miał siłę, póki sądził, że jest jej panem, walił, dyszał i sapał, w nocy, o świcie, w dzień i o każdej porze dnia, w której mu się zachciewało ją walić. A teraz? No spójrzcie, za mało wyżłopał z tej swojej psiej miseczki, za szybko przebudził się z pijackiego rozanielenia, zafajdał się i nawet nie jest zdolny sam oczyścić się z własnych gównien, nawet własnych gaci nie ma siły ściągnąć.

Doskoczyła. Zapiszczał. Osłonił głowę chudymi ramionkami.

Już cię i bić nie potrzeba, powiedziała. Szarpnęła, jednym ruchem zdzierając spodnie. Nogi, suche konarki z koślawymi

sęczkami kolan. Za szybą twarz syna. Dobrze, bardzo dobrze, niech patrzy, niechaj ogląda swego ojca, którego jeszcze nie tak dawno usiłował bronić, ochraniać i chyba nawet chciał kochać! Jego, ten strzęp człowieczy; jego, a nie ją. Jezu Chryste, nie do przeżycia! Matka ojca spija jak świnię, powiedział; miał lat ze czternaście, taki śliczny jak aniołek, głowa w czarnych lokach, oczy niby dwa jeziora, rzęsy długie, puszyste motyle. Przybiegła od świni ugotować synowi śniadanie, kakao bez kożuchów, bo on ich nie cierpiał, chlebek obłożyć kiełbaską. W oczach czuła piasek, całą noc przebierała przy naftowej lampie kartofle w piwnicy, gdyż na ósmą zamówiona sadzarka kółkowska, za dnia czasu nie starczyło, więc nocą; czy to w końcu pierwszy raz nocą? A ileż buraków opielala nocami, ileż brukwi? Zawiesi latarkę na piersiach, drugą uwiąże w pasie i haka, haka. Wokoło cisza, tylko ktoś za plecami charczę, dyszy, rzezi; może jakiś upiór? Ale to ona była tym upiorem, zgiętym przy bruździe, to jej charkot ciągnie się za nią w miejsce cienia. Oczy łzawiące, nogi jeszcze nie odtajały od chłodu piwnicy, jeszcze ich nie rozchodziła, drętwe, jakby zmartwiałe. Szybko kakao, bo syn już siedzi przy stole, czeka. Zmarszczkę ma szpecącą przez czoło, znaczy: niezadowolony.

Gorące, powiedział, więc mu je pośpiesznie przelała w drugi kubek, aby przestudzić. Za gorzkie, powiedział, więc mu dorzuciła cukru, zamieszała i pędem szykować kaszę dla Małomównego, który jeszcze wtedy sypiał w sypialce, bo tego nowego, murowanego domu z cegły i pod czerwoną dachówką jeszcze nie wybudowała. Małomówny lubił kaszę manną roztrzepaną z jajkiem, na słodko, do tego herbatę mocną, no i gorzałę. Gorzałę wlewała w kubek, ustawiała jakby od niechcienia, ale na widoku, żeby jak kaszę zje, mógł ją od razu wypatrzeć, chlapanąć i opaść z powrotem

na wyro, bo mu już dużo gorzały do opicia się nie trzeba było, kubek ćwierćlitrowy wystarczał.

Kaszy nagotowała, sięga po samogon w skrytce, Matko Święta! nie ma kanki czterolitrowej! Nie będzie matka spijać ojca jak świnię, powiedział syn, wylałem wszystko co do kropelki. Głos syna obcy. Twardy. Pełen nienawiści. Synu, czy to ty? Synu, serce moje? Nie będzie więcej spijać jak świnię, powtórzył syn. I nagle uświadomiła sobie, że syn zwraca się do Małomównego głosem miękkim, łagodnym, ciepłym, od przypadkowego zaś muśnięcia dłoni ojca synowi jaśnieją jego śliczne oczy, lecz gdy ona chce go dotknąć, musnąć, popieścić, to podrzuca głową jak znarowiony żrebak, burczy ze złością: czego? Niech mi matka da spokój, niech się matka ode mnie odwali, powiedział niedawno, więc nie jest ważny ten wylany przez syna samogon, i nic już nie jest ważne - ani kartofle do sadzenia, ani sadzarka, która po nie zaraz przyjedzie - bo serce w niej zamarło, palce zacisnęły się na torebce z mąką, którą maskowała kankę, zacisnęły się tak mocno, jakby to było gardło Małomównego. Synu! - krzyknęła, czując, że umiera - synu, serce moje, co tobie? Nie będzie jak świnię, powtórzył po raz trzeci, trącił kubkiem, struga pociekła kleista, ciemnobrązowa, kapała wolno ze stołu wprost na białe, szorowane każdej nocy deski podłogi. Syn wstał. Kopnął krzesło. Trzasnął drzwiami. Synu? Bez śniadania do szkoły? - zawołała, ale on, przebiegając koło okna, łomotnął w szybę. Świat zawałił się, przestał istnieć, umierała. Lepiej byłoby, żebyś się zatchnął, żeby twoje sine usteczka pozostały na zawsze sine, a sznur pępowiny okręconej na szyjce małej docisnął się śmiertelnie. Bo jak to tak, synu, serce moje? Bo dlaczego ty tak do mnie, synu, serce moje? I powrócił tamten stary strach nie do przeżycia, a przecież przeżyty, gdy swego syna urodziła na pół martwego, więc w imię

tamtego strachu, synu, nie masz prawa. Żadnego, najmniejszego prawa, żeby tak do mnie. Podnosiła ciało syna swego, umazane krwią, a jego sine usteczka były nieme, a pętla pępownicy wokół pomarszczonej szyjki zaciśnięta; bądź przekłeta matko moja, Głupia Kazieczko, ty kurwo z Przysuchej, która to robiłaś raz raz; i darła tę pępownicę zębami, gdyż palce okazały się nagle zbyt słabe; oddychaj, proszę, błagam, zaklinam, a on siny, siny, niemy, niemy, a gdyby tak główką o ścianę, zakrzyczy wtedy? drgnął bólem posiniałe usteczka?

Czego tak prujesz mordę, babo?

Małomówny stał w drzwiach sypialki. Co? Co? Wrzeszczysz jak opętana, powiedział, ziewnął, podrapał się, pierdnął, podszedł do stołu, rękawem zajechał po kakaowej mazi. Cholera, krzyknął, co za chlew, kurwo jedna? Zetrzyj natychmiast! Rusz dupę! Co tak stoisz? I gorzały mi tu zara! A ona, zapatrzona w jego cienką szyję, pomyślała, że jest od niego silniejsza, że może go jednym palcem przewrócić, i powtórzyła tę myśl w nagłym olśnieniu: jestem silna, mogę tego, co na mnie jak na psa woła, jednym palcem! i więcej nie będę jak pies; bo i była dotąd jak pies, zaglądała prosząco w oczy, sprawdzając, czy panu dogodziła, czy odgadła słusznie to, czego się jej panu akurat zachciewało.

Tak, przecież jestem od ciebie silniejsza, powtórzyła na głos, Małomówny zaś, odwracając się takim niechętnym, pogardliwym półskrzętem pleców zapytał: Co powiadasz, suko? Więc podeszła, uderzyła, przewrócił się razem z krzesłem. Chciał wstać. Wstawał. Wtedy uniosła go jedną ręką: lżejszy od worka kartofli, lekki, leciutki, mój Boże, jaki nędzny. Usadziła z powrotem na krześle. Chwyciła za rude kudły. Stuknęła rudym łbem kilka razy o stół, aż miski podskoczyły. Zajrzała mu w oczy: ma dość? Miał dość. Powiedziała: A jak jeszcze raz powiesz do mnie kurwo albo

suko, zatłukę. Potem wyciągnęła litra z drugiego schowka, o którym nie miał pojęcia syn. Odchyliła łeb Małomównemu. Wlewała mu samogon w gębę, dopóki nie wlała wszystkiego, chociaż charczał, pluł, usiłował gryźć i kopać; a potem wyciągnęła kolejny litr z kolejnej schowanki i postawiła przed nim, już siniejącym, i powiedziała: Masz, chleję, ile zdołasz, zachleję się na śmierć. A od mego syna wara. Jeżeli go jeszcze raz pogłaszczesz, zatłukę. I powiedziała też, choć nie wiadomo, czy to usłyszał, ponieważ oczy miał zaciągnięte bielmem: On nie twój. Nawet nie wiem czyj. Wyruchałam się tamtego wieczora z trzema. Po kolei. Raz za razem. Na zmianę. Ruda głowa Małomównego upadła na stół. Ona poszła targać kartofle z piwnicy. Muszą jej w tym roku obrodzić podwójnie, potrójnie, gdyż oprosiły się dwie maciory, każda przyprowadziła po dwanaście prosiaczków i każdy z tych prosiaczków musi urosnąć w wielką świnie. Dwie odstawi na rządowy kontyngent, jedną zabije na święta, a dwadzieścia sprzeda. Nikt tu we wsi, poza Prezesem, nie żywi tyłu świń. Po trzy mają, po pięć, ale ona jest silna dla syna i wie, że się jej uda to, co zamierza. Za te swoje świnie dostanie mnóstwo pieniędzy. Zaraz otworzy książeczkę i na nią będzie odkładała swoje mnóstwo. I tak odtąd każdego roku. Aż naskłada tyle, że wybuduje synowi dom jak pałac. Piętrowy. Okna szerokie. Cztery pokoje na dole. Cztery na górze. I żeby woda była w kranie, zlew; no i żeby nie trzeba było latać za potrzebą do wychodka na podwórzu. Tak będzie. Tak się stanie.

Taszczyła wory z piwnicy, drabina stroma, w oczach ciemniało od wysiłku; oddech się urywał; taszczyła, dyszała i liczyła swoje przyszłe pieniądze. Nadjechał Lewicki z sadzarką. Ty, Małomówno, kiedyś zadźwigasz się na śmierć, chociaż w tobie siła dobrego chłopca, powiedział. Mam syna, odpowiedziała. Nie

zrozumiał. Dorobiłem się czterech, a dawno bym kopyta wyciągnął, żebyś harował tak jak ty. Dureń! Gdybyś miał jednego, jedyne, tobyś podołał, pomyślała. Jeśli ci czterech za wiele, należało sobie swego na supeł zawiązać, powiedziała. Ty masz jęzor, Małomówno! Płodzą się niczym króliki, myślała ze wstrętem, patrząc za odjeżdżającą sadzarką. Ma czterech chłopaków, trzy dziewczuchy, a Lewicka z brzuchem pod brodą, zaraz będzie ósme. A potem i dziewiąte, i dziesiąte, dopóki babie krew nie przestanie pokazywać się między nogami. Gęba pomarszczona, kołtun siwy, trzy zęby, ale brzuch do przodu. Lipieniowa ostatnie rodziła w pięćdziesiątym piątym roku życia, zległa dokładnie z wnuczką. Wnuczka rodziła prawnuka, a prababka małego braciszka, wujaszka i nie wiadomo już kogo dla kogo. Wszędzie, gdzie spojrzysz, usmarkane bachory. Najstarsze niańczy średnie, średnie niańczy młodsze, a młodsze niańczy jeszcze młodsze. Jak można prawdziwie kochać aż tyle? Taki tłum? Tych siedmioro, dziesięcioro, czternaścioro? Albo jak u Nosiorkowej - szesnaścioro? Jak podzielić to kochanie przez szesnaście? Smarki do brody, wrzody na głowie, zajady przy ustach, strupy na nogach. Nosiorek cztery dni temu młotkiem stuka. Zachodzi Romanka, płacze. Czemuż ty płaczesz, Romanka? Bo takie maluśkie, takie śliczniutkie to dzieciątko od Nosiorkowej. Co ty, Romanka? Od Nosiorkowej i śliczniutkie? Tylko jej syn był zawsze śliczny, w czarnych kędziorach, nosek jak orzeszek, rzęsy puszyste motyle. Ty widziałaś kiedykolwiek, Romanka, ślicznego niemowlaka? A te od Nosiorkowej to gorzej niż paskudne. Ależ nie! nie! Małomówno, mówię ci, śliczne było! A co się temu ślicznemu stało, Romanka? Wypadło z kołyski jak u Krysiaków dwa lata temu? Poparzyło się na śmierć jak u Iwaniuków pół roku temu? Przydu-siła je, płacze Romanka, ścisła swoje olbrzymie piersi, z których

nigdy nie pociekło mleko, nigdy ich nie pieściły malutkie usteczka, nie przytulała się do nich gładziutka twarzyczka, więc Romanka kocha wszystkie bachory i każde dla niej, aby małe, nagańskie i bezbronne, jest śliczne. Tylko tych podrosłych nie cierpi, bo latają za nią, wołając: Tereferekuku, strzelam ci Romanka z łuku, twoja dupa jak donica, nie przykrywa jej spódnica!

I czego się, głupia, ślimaczysz? Przydusiła to przydusiła. Jedno więcej, jedno mniej; co za różnica, skoro ma się ich aż tyle? Ty chyba, Małomówno, Boga w sercu nie masz! - zawołała Romanka. Może i nie mam, powiedziała jej, a ta się obraziła i poszła. Też mi wydarzenie, że Nosiorkowa dzieciaka przydusiła piersią; nie ona pierwsza i nie ona ostatnia, zdarzało się dawniej, zdarza się i teraz. Rozwali się na piernacie, dzieciaka podsunie pod cycek, żeby ssało, kiedy mu się zachce, a sama przyśnie, przekreśli się na bok i po dzieciaku, albo i samą cycką, i też po dzieciaku, i nawet winić nie należy, bo umordowana po całym dniu harówki w polu, w domu, przy bydłakach, przy tych swoich żywych dzieciach też. Nosiorkowa nie ma lekkiego życia z tym swoim przygłupem Nosiorkiem. On wszystko robi dokładnie na odwrót. Żytko sieje, kiedy już śnieg pada, kartofle sadi, kiedy poziomki przekwitają, maciorę z prosiętami wsadził do chlewa, w którym wcześniej nie wiadomo z jakiego powodu wykotłował dół na dwa metry głęboki; deszcz napadał i prosiaki się w nim topią. Nosiorkowa przybiega: Małomówno, ratuj! Pożycz jakiejś dechy szerokiej! Więc jej dała stare drzwi od obórki, zaniósł je razem, zatkały nimi dół, a tu Nosiorek z wrzaskiem wpada, dół odkrywa, co mi się będziesz rządziła na moim, Małomówno, spierdaj do swego domu, tam rządz. Nosiorkowa płacze, krzyczy: Ja cię kiedy, sukinsynu, zabiję, ostatnie prosiaki się potopią, i co będziem

zimą jedli, co dzieciakom do ust podamy? Na co Nosiorek krzyczy, że prosiaki moje, nie twoje, i jak zechcę, to i zaraz im łby siekierą porozbijam! Nie, to nie życie z takim, powiesić się lepiej. A więc przyduśiła, biedna; to dlatego Nosiorek młotkiem stuka: skrzyneczkę zbija. Trumienki aż w powiecie, trumienki kosztują, a skrzyneczka z parcianych desek darmowa, nawet tych lepszych dla dzieciaka szkoda. Ciekawe, czy księdza sprowadzą? Kiedy im umarło dwa miesiące temu to dwuletnie, księdza nie wołali, ksiądz drogo bierze, każe sobie bryczkę do Przysuchej podstawić, indyka albo gęś ubić, mendel jajków dołożyć, śmietany kwartę, masła osełka i co łaska również. Co ty, głupia babo, siwka będę na próżno tyla kilometrów gonił! - krzyczał Nosiorek - żeby mi tylko ksiądz ziemię poświęcił i modlitwę odmówił? Sam poświęcę. W imię Ducha i Ojca, i Syna Świętego; a potem światłość wiekuista niechaj mu świeci, teraz i na zawsze, amen; potrafię tyle co ksiądz wypowiedzieć. Nosiorkową czepiała się walonek Nosiorka, całowała go po kolanach: Ja cię błagam, ja cię po nogach całuję - ale konia nie dał; to teraz tym bardziej nie da, bo przyduśiło się zaledwie jednomiesięczne. Więc znowu jak dwa miesiące temu ruszy pogrzeb ku cmentarzowi. Nosiorek będzie niósł skrzyneczkę, obok będzie szła słaniająca się Nosiorkową. Lecz nad padłym prosiakiem też się tak słania, za serce chwyta, bo padnięty prosiak to dopiero strata, a dzieciak przyduşony we śnie, jeszcze na dobre niepokochany, czy to strata jakaś? Raczej zysk, o jedną gębę mniej do wykarmienia. No, zapytaj Nosiorkową gdzieś za miesiąc o tego dzieciaka, oczy w niebo wzniesie, ręce złoży do pacierza, westchnie: Bóg dał, Bóg wziął; a zapytaj ją o prosiaka padłego pół roku wcześniej, ze szczegółami opowie, czemu zdechł i na co, popłacze się, że zjadł już tyle, tyle kartofli, tyle osypki, tyle mleka się ożłopał, tyle wszystkiego pomarnowało

się. A zapytaj Nosiorkowa o tego przyduszonego dzieciaka, kilka miesięcy temu? Namarszczy się, już musi w pamięci grzebać, już go zapomniała. No pewno, skoro tyle żywych lata i te żywe trzeba nakarmić, odziać, to jak pamiętać o tamtych pomarłych? Ach, nie można powiedzieć, że Nosiorkowa zła matka, ależ nie! Ona tak dla tych żywych haruje i tak się dla nich dzień w dzień z Nosiorkiem zмага. Lecz i świnia potrafi być dobrą matką, czule swoje prosiaczki obwąchuje, karmi, rozkłada się z cyckami, gdy jednak którego przydusi, nawet ryjem nie trąci, bo przecież koło niej cała gromada żywych jeszcze się kręci. Dzieciaka można mieć tylko jednego. Bo wówczas dla niego wszystko. Jej syn ma wszystko. Nikt nie chodzi ubrany tak jak jej syn. Nikt nie zjada tyle czekolad, co jej syn. Niech je, i na zdrowie. Na hrabiego go chowasz, Małomówno? - zapytała raz Teodorka. A co ci do tego, odpowiedziała. Jak chcę, tak chowam. Mój jest. A i owszem, na hrabiego. Jej syn nigdy nie pójdzie za plugiem, nie dla niego ta praca czarna. Nie stwardnieją mu ręce ani od kosy, ani od siekier; ona chce, pragnie, aby jej syn miał białe dłonie, niespracowane, bez odcisków. I tak to życie kiedyś syna przygnie, wychlaszcze, nawali na odlew. Synu mój, serce moje. Synu, to dla ciebie, powtarzała, taszcząc z piwnicy następne wory z kartoflami. Na ganek wywlókł się Małomówny. Siny na twarzy, musiał się trzymać framugi, żeby nie upaść. Nos mu zapuchł i wciąż krwawił. I pomyśleć, że przez tyle długich lat pozwalała się poniewierać i znęcać nad sobą. Żeby nie syn, pozwalałaby jeszcze nie wiadomo jak długo. Synu, serce moje, otworzyłeś mi oczy. Od dziś będzie stawiała przed Małomównym nie ćwierćlitrowy kubek, ale całego litra. Niech chleje. Niechaj śmierdzi, niemyty, nieopierany, skołtuniony, wszawy. Niechaj się zerzyguje w dzień

i w nocy, a nie tylko wówczas, gdy dorwie się do skrytek. O tak, właśnie tak! Bo wtedy, synu, serce moje, pojmiesz różnicę, zrozumiesz, co ja ci daję, a co dostajesz od niego. On cię tylko spłodził, nic więcej. Wpuścił nasienie i tyle jego. I co ty wiesz, synu, co ty tam wiesz, głuptasku! Myślała kiedyś, że gdy Małomówny zauważy jej wzbierający owocem brzuch, to się odmieni. Miała taką nadzieję, żyła nią. Pragnęła, żeby Małomówny zrobił jej tak, jak w biały dzień bezwstydnie zrobił ten czerwouusty, miódooki, piękny, który nie bacząc, że ludzie patrzą, położył miłośnie swój wielki łeb na ciężarnym brzuchu swojej myszy, a ramionami objął jej chude ramionka. Boże, jakże tego pragnęła dla siebie i wyobrażała po wielekroć tę chwilę niewypowiedzianego szczęścia, bo oto jej mąż spostrzega okrągłość brzucha i opiera się policzkiem, słuchając kopania, wiercenia się, oddychania owocu, który jest ich wspólnym owocem i który żyje w samym jej środku; żyje i będzie synem. Przez długie miesiące powtarzał obelżywie: Nawet bezpłodną jesteś, suko. Aż kiedyś, po tamtej niedzieli, w której przyszli podglądać Kubiaka, wszedł na nią nocą i poczuł pod sobą tę ruchliwą wypukłość, i zrozumiał, że to ani od kapusty, ani od grochu. Znieruchomiał. A ona objęła jego niedobrą ryżą głowę, przygarnęła ją mocno do siebie i zapłakała ze szczęścia, że się jej ta nieprawdopodobna chwila spełnia. Leżał na niej długo, bez ruchu, tylko dyszał coraz głośniej i coraz silniej się pocił, jego dłonie rozpoczęły nagle gwałtowną wędrówkę po jej twarzy, dotykały czoła, oczu, ust, przesunęły się wzdłuż szyi, musnęły piersi i zastygły na żywej wypukłości. I zacisnęły się. Wzmocniły uścisk. Co robisz? - krzyknęła, a on, dysząc głośno, dusił jej owoc. Jezu Chryste, oszalał? Szarpała się, gryzła, biła, aż zwalili się oboje na podłogę, zalaną światłem księżyca, i wówczas zobaczyła, że on nie dyszy, on tak płacze. Dusił swojego

syna i płakał. Przysięgam na rany Chrystusa, że jest twój! - krzyknęła. Płakał wciąż. Leżał w księżycowej poświacie, z przykurczonymi pod brodę kolanami, sam jak dzieciak, płakał. Odczołgała się ku łóżku i słuchała nadal dyszącego płaczu Małomównego. Może źle zrobiła, że się odczołgała? Może powinna była objąć go raz jeszcze, raz jeszcze otoczyć ramionami, otrzeć te jego łzy albo zapłakać razem z nim nad nim i nad tymi dwoma ludzkimi losami splecionymi przez pęczniejący owoc w jeden los, wspólny, i może wówczas by uwierzył, że to owoc z jego nasienia, może by zrozumiał, że pragnęła go kochać zawsze i wiernie, aż do śmierci, amen, i nieprawdą jest to, co powiedziała kilka dni temu Lipieniowa, że w suczce łączą się nasienia wszystkich psów, z którymi się parzyła. Może powinna właśnie tak, lecz ona nagle nie miała siły na nic, nawet na dotknięcie ręki Małomównego. Kilka dni wcześniej Lipieniowa zaszła na podwórze. Omiotła czujnymi szpareczkami oczu jej pęczniejące piersi. Rozciągnęła kreseczki ust w jadowitym uśmiešku i zaraz wąski czubek języka, różowawy, połyskliwy od śliny, szarżujący jak żądło żmii przejechał, oblizując i górną, i dolną kreseczkę: wypatrzyła. Od tamtej niedzieli, w której przyszli podglądać Kubiaka, zaproszenie Goździckiej jakby zdjęło znowę pogardy; co trochę ktoś wpadał pogadać, powiedzieć, że u Romanki ocieliła się krowa, a Iwaniucze lis porwał trzy kokoszki. Najczęściej przychodziła Lipieniowa. Za każdym razem z podarunkiem. Masz tu, kochana Małomówno, szpulkę czarnych niciów, bo widzę, że twemu mężowi portki się rozpadają, będziesz teraz miała czym łaty przyszyć; przetak chyba ci się bardzo przyda, kochana Małomówno, na przyszły roczek, gdy będziesz musiała żytko od komosy odsiewać. Za trzecim razem nic nie przyniosła, postąła, postąła i mówi: A u Lewickich oszczeniła się suka. Ma czworo

psiaków. Każde inne, bo od innego ojca. Chyba wiadomo ci, kochany Małomówny, że w suce łączą się nasienia wszystkich psów, z jakimi się parzyła. Nawet tych zaprzyszłych, dawniejszych. No i zgadza się, bo Lewicka mówi, że jej Pusia parzyła się teraz tylko z trzema: łaciatym od Iwaniuków, rudym od Teodorki i czarnym od Nosiorków. A przed rokiem z takim białym, nie wiadomo czym. I wiesz co, kochany Małomówny? Suka Lewickich ma jednego łaciatego, drugiego rudego, trzeciego czarnego, a tego czwartego? No, zgadnij, kochany Małomówny, jakiego koloru jest? A białego! Musisz koniecznie do Lewickich zejść, obejrzyć te pieski, mówię ci: śliczności są! Małomówny zbiegał jak kreda. Zostańcie z Bogiem, zawołała szybciućko Lipienio-wa i do furtki. Może więc należało otrzeć mu te jego łzy, zamiast powtarzać: przysięgam ci na rany Chrystusa. Przecież ty, suko, odezwał się wreszcie, nie zmieniając pozycji, już mi raz przysięgałaś krzywo na Jezusa.

I to była prawda, przysięgała krzywo. Tej pierwszej, głodnej wiosny na swoim, wlaźła na dach, żeby snopkiem słomy załatać dziurę przy kominie. I gruchnęła z wysokości na plecy. A on, jej mąż, Małomówny, przestraszył się, że zabita albo co; Jezu! - zakrzyczał, i dźwignął, i zaniósł do chałupy, ułożył na poduszce, okrył nogi, rozcierał ręce, coś bełkocząc, jakby ty kochana moja, głaskał, smyrał, więc chociaż ją nic nie bolało, jęczała głośno a przejmująco, i dopiero gdy Małomówny poleciał zaprzęgać kobyłkę, żeby do lekarza, do powiatu, pośpiesznie wstała, wołając, że jej nic nie jest, Małomówny zaś zaczął krzyczeć na nią: Połóż się, połóż, przysięgam, że naprawię i dach, i wszystko. Taki dobry, taki czuły, a jej się dotąd wydawało, że gdyby padła przy jego nogach trupem, to albo by ją ominął, albo kopnął, a tu biega w kółko, wyłamuje palce: Nie boli cię? Naprawdę? Chodź do

mnie, powiedziała, lecz on, chociaż położył się obok, to jedynie dotknął jej dłoni i nic więcej nie chciał, więc Ojciec nasz, któryś jest, modliła się i znowu ta nadzieja durna, najdurniejsza z durnych, przeklęta, zwodnicza, oszukańcza; jak cud całkiem taki, jak tamten, gdy Małomówny powiedział: Ożenię się z tobą. Nadziejo, ty kurwo, a żeby cię cholera wzięła. Setki razy, tysiące razy pozwalała jej się nabierać i oszukiwać; mawiała jak głupia słowa modlitwy, wierzyła długo, z uporem, wciąż i wciąż, a wtedy, gdy wstępowała przy boku Małomównego w progi kościoła w Przysuchej, myślała, że wchodzi prosto do raju.

Kościół był mroczny i chłodny. Nigdy dotąd jej noga w nim nie stała, a kto by tam wpuścił kurwę, Głupią Kazięczkę wraz z bękartem, w przybytek Boży, a oto teraz wstępowała w jego mroczną głębię, prowadzona pod rękę przez mężczyznę, który nazywa się Małomówny i któremu zostanie poślubiona, nad sobą miała liliowe sklepienie, zawieszane wysoko, oparte na kolumnach, i zdawało jej się, że znalazła się w samym środku nieba i w samym środku Boga, którego brzuch pachnie czymś dziwnym, wspaniałym a niepojętym. Światła się nie paliły. Nie grały organy. Ksiądz udzielał im ślubu pośpiesznie i wstydliwie, pewno wcale by go nie udzielił, ponieważ nie mogła wykazać się ani świadectwem chrztu, ani komunii świętej, ani bierzmowania, ale umiała doskonale Ojciec nasz oraz Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, a także Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Znała również wszystkie przykazania po kolei, jednak ksiądz uparcie odmawiał, więc Małomówny, wściekły i upokorzony, zamamrotał bełkotliwie, że jeżeli ksiądz nie chce dać ślubu, to bez łaski, będą żyć na kocią łapę i płodzić bękarty, bo czy to jej wina, że miała matkę kurwę? Czy matkę się sobie wybiera? A te

papierki, co mają być takie ważne, widać ważniejsze są od grzechu, w którym ksiądz im każe pozostać, a z którego pragną się oczyścić. A zresztą, dopiero co skończyła się wojna, mało różnych papierków na niej poginęło, jakby się kto pytał? Pierwszy i ostatni raz w swoim życiu słyszała, żeby Małomówny tyle jednym ciągiem powiedział. Świadków nie macie, wykręcał się ksiądz. Nikt z Zasławia nie chciał im być za świadka. Małomówny obszedł wszystkie chałupy. Odczyściła mu przedtem akuratanie kapotę, przycerowała dziury. On ogolił się, uczesał, wykapał; poszedł. Nie było go cały dzień. Wrócił nocą. Czekala na niego przy furtce, a im dłużej czekała, tym bardziej rosło w niej przekonanie, że stało się coś złego. Może złamał nogę? Może umarł nagle? Przecież wychodząc, powiedział: Wracam niedługo, a tu godzina, dwie, cztery, wieczór, noc już, czarno dokoła, pogasty dawno światełka w oknach, zamknęły się wszędzie drzwi na skoble; Małomówny nie wróci i ona pozostanie na zawsze sama pośrodku tej czarnej, głuchej nocy. Na zawsze kurwa. Córka wioskowej kurwy. Jego kroki! Serce umarło od dzikiej radości, że jest, cały i zdrowy. Podszedł. Oczy mu świeciły. Piana przyschnięta w kącikach ust. Uderzył. Bił długo. Przestał dopiero, gdy upadła. Wtedy powiedział zupełnie wyraźnie: Świadków nie będzie, kurwo. Nie, to nie! - krzyknął do księdza. Chodźmy stąd! Pociągnął za rękę. Poczekajcie, odezwał się ksiądz, zawołam kościelnego i gospodynię, poświadczą za was przed Wszechmocnym. Pośpiesznie im wiązał dłonie stułą, pośpiesznie odmawiał modlitwę i czym prędzej, jakby uciekając, znikł w zakrystii. Uklękała, pragnęła się modlić za ten cud dokonany, spełniony, lecz Małomówny zatargał ramieniem, przegonił brutalnie przez kościół, który aż po sklepienie zaniósł się echem ich kroków. Od kościoła do Zasławia Małomówny gonił kobyłkę tak, jakby ją

zamierzał zagonić na śmierć, więc przerażona, że stracą swoje jedyne bydło, powiedziała: Nie goń tak, proszę. Smagnął ją biczem przez plecy. - Milcz, kurwo, milcz na litość boską - wycharczał i gnał dalej. Przed ich chałupą czekała grupa kobiet, nie znała ich jeszcze po nazwiskach, nie rozpoznawała twarzy; u Kowala nauczyła się, że takim jak ona nie wolno podnosić oczu na uczciwych ludzi; a tu, gdy pierwszy raz wyszła za furtkę, świsnął kamień. Nie poskarżyła się Małomównemu, bo i po co? Ożeni się z nią, wówczas tamci nabiorą do niej szacunku i wówczas w biały dzień samym środkiem drogi będzie spacerować razem ze swoim mężem, Małomównym, pod rękę. Rozjedziesz! - krzyknęła, gdyż Małomówny gnał prosto w ten oczekujący tłumek. Kobiety rozpieczęły się z piskiem i przekleństwami. Małomówny zrzucił z kuchni miskę z kapustą, plasnął garnkiem krupniku o ścianę, wychłął samogon i uwalił się na łóżko. Zbierając z podłogi kapuściane resztki, które nie powinny się zmarnować, bo są ze skwarkami z ostatniego kawałeczka zjełczałej słoniny, nie myślała o tych kobietach oczekujących z kamieniami zamiast z dobrym słowem, lecz o nim myślała, o swoim dopiero co poślubionym mężu, że bydlak. Po raz pierwszy z nienawiścią: bydlak. I nie dlatego, że wciąż czuła smagnięcie bicia na plecach, ani dlatego, że wciąż była dla niego i pewno na zawsze pozostanie kurwą, nie żoną, lecz dlatego, że w całej tej zaszczurzonej i zamyszonej chałupie nie znajdzie więcej ni kawałeczka słoniny; i dlatego, że krupy do weselnego krupniku przebierała w palcach, każde jedno ziarenko oddzielając od mysich bobków. A on, ten bydlak, zmarnował i kapustę, i krupnik. Gorzka ślina głodu napłynęła do ust. Była głodna. Mogłaby tę kapustę zjeść sama, i nawet by się nie dowiedział. Bydlak. Kiedy jednak rozdmuchała ogień i ten cicho zabuzował pod płytą, zebrana zaś z podłogi

kapusta zapachniała sytością w garnku, otarła łzę nienawiści. Co tam, głupstwo. I tak się tą resztką naje. I tak, choć kurwa, została żoną. I oto siedzi przy własnym już prawowicie piecu, na polanach podskakuje jej własny, prawowity ogień. To znowu ta nadzieja, że wszystko się ułoży; co za nadzieja, promienna, dająca siłę. Małomówny prześpi się, wytrzeźwieje, zjedzą jednak razem tę kapustę, a na razie modlić się trzeba pokornie do tego pachnącego Boga; Ojciec nasz, któryś jest w niebie i tam, w kościele, wysoki Boże, mroczny i liliowy, dobry i miłosierny, skoro pozwoliłeś mnie, kurwie, córce wioskowej kurwy, siedzieć przy własnym piecu i przy własnym ogniu. I tak modląc się, zapragnęła znaleźć się znowu blisko Niego, czuć dziwny, słodki zapach Jego brzucha. Przed każdą niedzielą szykowała ubranie; prała, czyściła, zaszywała, ale Małomówny w niedzielne poranki w ogóle nie wstawał z łóżka, nie zamierzał się golić. Po co ci kościół, suko?

Spowiadaj się przede mną: jak, z kim, ile razy? Aż którejś niedzieli powiedział: Niech będzie, zaprzęgaj. Co za radość, hosanna! I uczesała grzywę kobyłki, i ogon jej zamierzała zapleść, lecz Małomówny wrzasnął: Chyba zdumiałaś doszczętnie! Popchnął na furę; jechali, a ona czuła drżenie serca i czuła się tak jeszcze, jakby przestała być z ciała i kości, ale jakby była liściem, przeświecieranym przez słońce albo ptakiem ulatującym pod chmury, i wszystko w niej było wielką radością, że zaraz wejdzie w mrok Jego brzucha, oczy modlących się zaś, i tych z Zasławia, i tych z Przysuchej, zobaczą, że jest prawowitą żoną. Spóźnili się mocno. Msza już trwała. I w miejsce liliowego zmroku tysiące iskrzących się świateł. Aż zakręciło się w oczach od tej Bożej jasności. Małomówny pchnął. Usiadła. Ołtarz był złoto-biały. Unosiły się nad nim złoto-białe panny ze skrzydłami. Skądś biła muzyka, targająca

jak wicher. Obok kurwy siedzieć nie będę, szept. Obok kurwy za nic w świecie, syk. Ojcie nasz, któryś jest? Hańba, kurwa w kościele! - okrzyk. Ojcie nasz, któryś jest, powiedz, co Tobie? Za co? Dlaczego? W samym Twoim środku, w Twoim łaskawym i głębokim brzuchu, pośród tej muzyki targającej sercem, pod uśmiechającymi się biało-złotymi pannami? Ojcie nasz? któryś jest tu i wszędzie, i zawsze, nie pozwól, nie dopuść, Ojcie nasz i mój! Dopiero gdy zostali sami w ławce, skuleni, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, ona i jej mąż, Małomówny, i gdy z tej ławy za nimi, trzaskając cholewami, wychodzili, a i z tej ławy przed nimi też, z grzechotem nóg i grzechotem ust, oczy zaś białozłotych panien na wysokościach nabrały nagle zimnych blasków, i organy urwały muzykę, Małomówny coś krzyknął, lecz tak bełkotliwie, że nie zrozumiała, czy krzyknął świnię? czy krzyknął Jezu, a może krzyknął uciekajmy? - w każdym razie jego suche palce wbiły się w jej ramię jak noże, zacięły do bólu, zaszarpały i oto uciekali oboje, wspólnie, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, bok przy boku w nagle ogłuchłym kościele, w tym głębokim brzuchu Boga, który nie chciał im wybaczać, lecz potępiał na wieki wieków, amen. Biegli. Słyszeli swoje urywane oddechy. Słyszeli swoje rozedrgane serca. Słyszeli swoje rozpaczliwe kroki, które echem odbijały się od każdej nawy, każdego bocznego ołtarza, od wszystkich kolumn wspierających gwiaździste sklepienie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła, jak Małomówny płacze. Położył się na furze, podkurczył kolana pod brodę, zasłonił ramionami głowę i płakał dysząco. W chałupie opił się do nieprzytomności; odtąd jego noga nie stanęła w kościele, nawet na chrzcie ich syna. Od tamtej mszy niedzielnej wstawał, kazał dawać ćwiartkę gorzały, wypijał, padał, znowu trzeźwiał, znowu żądał gorzały, a gdy mówiła, że nie ma, bił za jadłem, dysząco, wciągał kapotę, szedł na wieś opić się u kogoś.

Wynosił z chałupy, co wpadło pod rękę, a miało jeszcze jakąś wartość - poduszki, pierzyny - sienniki, aż w końcu został tylko owies w workach. Kiedy i ten owies przepił, znikał na całe dni. Powracając, pytał: Kował ci dogadzał, suko? - i bił. Wracał, mówił: Opowiadali, że cię widzieli ruchającą się po rowach, kurwo; bił. Kiedyś wrócił, powiedział: Nawet Nosiorek cię miał, opowiadał po kolei, co i jak, suko; i skopał tak, że prawie straciła przytomność. Innym razem wrócił, powiedział: I z Grzybami też, ze wszystkimi po kolei, w rowie. Więc gdyby nie kobyłka, która na przednówku położyła się, gdyż nie miała siły ustać, gdyby nie to bydłę cierpiące, powiesiłaby się na pewno. Czyjeś oczy wypatrzyły Jackowiaka, że pomagał kosić. Na oczach ludzkich, w biały dzień, spódnice ci, kurwo, zadarł i wyruchał na stojący. Zabiję sukinsyna. Chwycił za siekiere, oczy miał szalone. Przysięgam ci! - krzyknęła w strachu nie o siebie, lecz o te czyste, jasne oczy Jackowiaka, które jej nie ukrzywdziły, nie były ani lubieżne, ani kamienne, niczego od niej nie żądały, ofiarowując jej, kurwie, zwykły ludzki uśmiech - przysięgam na rany Chrystusa, że to nieprawda! I powiesz też, że nie kosił dziś naszej łąki? Przysięgam na rany Chrystusa, że nie kosił, przysięgam, że go tam wcale nie było! Odkąd z tobą, przysięgam na rany Chrystusa, nigdy z nikim! Nikogo nie chcę! Tylko ciebie! Zawsze i na wieki wieków, amen! Wówczas zobaczyła, jak jej mąż, Małomówny, płakał po raz drugi.

Osunął się na zydeł, ścisnął w rękę siekiere, płakał. Potem wyłał cały samogon. Potem ją kochał jak nigdy dotąd i jak nigdy później, delikatnie i tkliwie. Golił się co dnia. Mył się co dnia. Naprawił dach na stodółce. Wstawiał właśnie w oknie szybę, kiedy przyszedł Jackowiak.

I po coś ty wówczas się przywłókł, Jackowiaczku? Zniszczyłeś wszystko, spopieliliłeś jak pożar; i przekłęta jasne, dobre

oczy, niebieską koszulę podartą pod pachami i ten zwyczajny ludzki uśmiech, jakim ją obdarował.

Pożycz mi kosy, Małomówny, powiedział Jackowiak, moja tępa, a twoja ostra i dobrze wyklepana. Małomównemu w rękach pękła szyba. Ręce oblały się krwią. A skąd wiesz, że moja i ostra, i dobrze wyklepana, sukinsynie? Co tobie, Małomówny? Gwizdanie zamarło na ustach Jackowiaka. Skąd wiesz, sukinsynie? Gadaj, bo zabiję! Eee, gadać z pijakiem szkoda czasu, powiedział Jackowiak, zawrócił na pięcie, odchodził. Małomówny chwycił za siekierę. Oparta o ścianę chałupy pomyślała: Koniec. I chwała Bogu, że koniec. Dzięki Ci, Panie. Zamknęła oczy. Cios spadł obok. Małomówny w zapamiętaniu rąbał okienną ramę, bryzgając krwią z poranionych dłoni. Ojcie nasz i mój, niechaj i mnie, zaraz, natychmiast i mnie, i niechaj moje przekleństwo ustanie.

Więc gdy tak leżał w poświęcie księżycy, płacząc po raz trzeci, pomyślała, że przeżyła z nim prawie dwa lata długie jak wieczność, ciężkie jak jarzmo, złe jak zły sen, ale ani razu nie zastanowiła się nad nim, nad tym swoim mężem, Małomównym, ponieważ była przekonana, że go zna, że wie o nim wszystko, a przecież nie wiedziała o nim nic. Znała tylko siłę jego kościstych pięści, odór jego potu, chłód obślinionych warg, sztywność rudych kudłów, lecz tylko tyle, nic więcej. Zajęta własnym cierpieniem, nie domyślała się jego cierpienia. Śniąc własne sny, nie przypuszczała, że on może mieć jakiegokolwiek. Pograżona we własnym bólu, nie zwracała uwagi na jego ból. Przygięta ciężarem swego przekleństwa, nie zauważyła, że i on dźwiga swoje. Teraz, chociaż już wie o jego cierpieniu, bólu, przekleństwie i nawet jego snów się domyśla, to jednak nie potrafi ofiarować mu niczego poza zaklęciem na rany Chrystusa, w które on nie wierzy. Jest tak blisko. Tuż przy nim. Swoim mężu, Małomównym,

który leży w poświacie księżycy jak skrzywdzony dzieciak, z kolanami pod brodą, płacze; tuż obok niby, lecz jednocześnie zbyt daleko, tak daleko, że nie potrafi tej odległości pokonać. Rozdzielili się na zawsze, mimo pęczniejącego w niej ich wspólnego owocu. Pomiędzy nimi była cała, rozległa od kolonii do kolonii, wieś. Weisnęła się od samego początku; zajadła, okrutna, tropiąca; nie daruje nigdy, przenigdy ani jej, przybłądzie obcej i splugawionej od urodzenia, ani jemu, że swoimi morgami obdział kurwę, córkę kurwy. Miedze jak wstążeczki, Małomówny zaś, choć swój, stąd, dla obcej. Obca zachapała. Więc nie ma nadziei. Najmniejszej. Dla nich nie ma. Lecz niedługo urodzi się syn. I te morgi będą jego. Już są jego. Dlatego muszą sypać obfitym ziarnem. Synu, serce moje. Moja nowa nadziejo na życie.

Popatrzyła raz jeszcze na leżącego. Chyba usnął. Zmęczony płaczem, zbolaty, udręczony, przeklęty. Ale litować się nad nim też za późno. On już i litości od niej nie przyjmie. Nie zaufa jej ramionom. Niechaj więc sobie tam śpi, okryty światłem księżycy. Położyła się do łóżka. Jutro pójdzie do Goździckiej, zamówi się do roboty. Podobno Goździcka potrzebuje do przebierania kartofli. Zapłatę też weźmie w kartoflach. Może zarobi ich cały worek? Albo ze dwa? Tym razem wynajdzie taką skrytkę, tak je schowa, że Małomówny prędzej oko skrzywi, niż je znajdzie. I choćby oboje mieli tej wiosny z głodu wyć, ani jednego nie wrzuci do garnka. Ani z tych, które dostanie od Goździckiej, ani z jej własnych, jakie jej zostały z zeszłego roku, wyhodowane z obierzyn, nie większe od orzeszka. Te obierzyny gromadziła wytrwale dla nieistniejącego prosiaczka. Nazbierała na zagonek. Przekopywała go wstydliwie nocą, chcąc przed wsią osłonić swoją nędzę. Małutkie bulwki też wybierała nocą. Nazbierała dwa wiadra. Nawet Małomówny ich nie chciał na samogon wymieniać.

Więc od Goździckiej worek albo dwa. Na robotę do samego Lucypera pójdzie. Tu worek kartofli, tam wiadro ziarenek. Naskłada się pomału, cierpliwie, aż kiedyś synu, serce moje, zbuduję ci dom jak pałac. Nocami musiała ze szmatek szyć dla swego syna kaftaniki, bo co Małomówny znalazł, to darł. Niech ci ten pomiot zdechnie, mówił. Niech się zatchnie, mówił, i bił, a ona razy przyjmowała cierpliwie, osłaniając rękami swój coraz większy brzuch. Bóle ją wzięły pod wieczór. Małomówny spoglądał podejrzliwie: Co tak potniejesz? Będziesz rodzić? Nie, nie! - zawołała szybko, jeszcze nie mój czas, coś ty! Kapusta mi zaszkodziła i tyle. Długo, drań, nie zasypiał. Co się tak wiercisz? Może jednak polecieć po starą Kłusakową? Zbyt dobrze pamiętała duszący uścisk jego dłoni na swoim owocu i wszystkie przekleństwa, jakimi go obrzucał, aby mu zaufać. Spij, śpij, mnie tylko brzuch boli po kapuście, nic więcej. Gdy nareszcie zachrapał, wywlókła się do kuchni, rozpałała ogień. Jej matka, Głupia Kazieczka, zawsze rozpałała ogień, na którym grzała wodę, więc i ona wszystko jak matka, tyle że nie miała specjalnego siennika do połogu. Rozłożyła na podłodze dwa wcześniej uprane worki i pocieszała się, że to będzie szło raz raz jak u jej matki; ale nie szło raz raz, szło opornie, i musiała się przez cały czas pilnować, aby nie krzyknąć ani nie zajęczeć, aby żaden dźwięk nie przedarł się przez zaciśnięte zęby, ponieważ za ścianą spał jej mąż, Małomówny, który mówił: Niechaj ci szczeźnie twój pomiot, kurwo. Milcząco zmagala się z tym, co ją w środku rozrywało. Milcząco rwała zębami pępownię z małej szyjki, potrząsała coraz gwałtowniej małym ciałkiem i już chciała główką o ścianę, bo to przecież niemożliwe, żeby nie zanosło się krzykiem życia, żeby pozostało nieme i sine; a później, ścierając z otwartych w cichutkim płaczu usteczek swój pot i krew swoją, przysięgała sobie, że już nigdy

więcej żadnego owocu, żadnego syna, gdyż najgorszy ból potrafiła znieść bez krzyku, lecz takiej rozpacz po raz drugi bez krzyku nie przeżyje. I nie miał jej syn czerwonych włosów po Małomównym, i nie był do niego wcale podobny. Był piękny. W czarnych lokach, z puszystymi jak motyle rzęsami. Był jej. Poświęciła siebie dla niego i nigdy nie pozwoli, żeby go Małomówny odebrał.

Lewicki obrócił po nową porcję kartofli do sadzenia. Małomówny chwiał się na ganku. Aleś go urządziła! - zaśmiał się Lewicki, widząc skrwawioną gębę Małomównego. - Lubisz popieścić się czule. Mogę i ciebie tak raz raz popieścić, odpowiedziała. Dziękuję, śmiał się Lewicki, nie skorzystam, chociaż z taką jak ty chętnie spróbowałbym innego pieszczenia. Tak, tak Małomówny! - zawołał Lewicki. - Nosił wilk, nosił, aż i wilka ponieśli! Długo to on ci chyba, Małomówno, nie pociągnie, to już nie chłop, lecz cień chłopca. Za to z ciebie baba, co za siła - powiedział, gdy podrzuciła kolejnym worem - ty jakbyś ścisnęła kolana, to ech! Małomówno, na samą myśl gorąc bierze. Długo wdową nie zostaniesz, pogrzeb swemu wyprawisz porządny i machniesz się za młodego. Nigdy, powiedziała, oddychając głęboko po tym worze, nigdy, za nikogo. Eee, gadanie, przecież krew nie woda, Małomówno, a ty musisz być potrzebowska. I włosy masz takie piękne, że aż grzeszne; synowi również przydałby się ojciec, bo ten tam nawet mu skóry dobrze nie przetrzepie, rozgadał się Lewicki. Słuchaj no, przestań pleść bzdury, jedź na pole kartofle sadzić, mną się nie zajmuj. Moje włosy dla nikogo. Nikogo nam tu nie potrzeba. Jestem dla syna i za matkę, i za ojca. A w ogóle, czemu mi ty męża grzebiesz, skoro on jeszcze między żywymi? Sama powiedziałaś: jeszcze! - zaśmiał się Lewicki i pojechał sadzić.

To jeszcze ciągnęło się i ciągnęło, i ciągnie się nadal, i może dobrze, że Małomówny dotąd nie umarł, ponieważ syn nauczył się patrzeć na ojca jej oczami. Nie okazało się to zresztą aż takie trudne. Wystarczyło na początek powylewać wszystkie zapasy samogonu, żeby Małomównego zamienić w rozjuszony zwierzę. Wystarczyło mu przestać zmieniać codziennie bieliznę, niech się czochra w ubraniu pokrytym zaschniętymi rzygami, gdyż dotąd każdego wieczoru cierpliwie, z pokorą odpierała, odczyszczala te jego kapoty z wymiocin, te poszczazane portki, coby miał na rano czyste, nieśmierdzące. Od kiedy w chałupie zabrakło samogonu, zaczął szukać go we wsi. Wiedziała, że znajdzie bez trudu, postawią mu na kreskę, zborgują na poczet tych kartofli choćby, które Lewicki zasadził na całej mordze, czy tych buraków, które urosną nad Zakolem, bo ona, Małomówna, nie jest już z nędzy, ona się dorabia, ona ma dużo; więc tak, pozwolą mu się opić, oszydzą przed synem. Chodź, synu, mówiła, trzeba szukać ojca, który gdzieś tam spił się jak świnia. Trzy razy syn poszedł posłuszenie, za czwartym powiedział: Niech go sobie matka sama szuka! Och, synu, serce moje! To, co musiałeś przeżyć, to dla twojego dobra! Za pierwszym razem szedł pełen współczucia dla ojca, a nienawiści do niej, matki swojej; bo to matki wina, że go rozpijała! - krzyknął. Omal nie płakał, gdy odnaleźli wreszcie Małomównego pod czeremchą Kłusaków; padał rześysty deszcz i Małomówny rzeczywiście niczym świnia w tym błocie od stóp do głowy utapłany. Za drugim razem leżał koło Tasławskich, i trzeba go było wlec jak worek przez pół wsi, a dzień akurat pogodny, mijali wielu ludzi, a każdy się oglądał, przystawał, kiwał głową, ale się, dobry Boże, zachlał. I co, Janek, taszczysz ojca? A nie brzydzisz ty się go? Ja bym go palcem nie tknął. A ty, Małomówno, dobrze karmisz swego pijaka. Widać, co jadł na

śniadanie, nie pożałowałaś mu skwarek. Syn purpurowiał, pocił się, bladł. Pomóż mi ojca obmyć, powiedziała w domu, lecz syn zatrzymał się w progu, usta mu latały; te biedne, kochane usta; ale ciągle nie wiadomo, czy z litości nad ojcem czy z obrzydzenia do ojca? To krzyknęła: No, pomagaj, pomagaj! Przecież robię, co sobie życzysz, nie rozpijam już, nie daję ani łyeczka, więc rusz się, podejdź, a nie brzydź się, przecież to twój ojciec kochany! Za trzecim razem musieli Małomównego szukać długo. Ona wiedziała doskonale, gdzie jest, ponieważ nim syn wrócił ze szkoły, przybiegła Romanka: O Jezu, Małomówno! Leć po swego, piją za stodołą Iwaniuków! Piją, niech piją, odpowiedziała. Jezus Maria, Małomówno, ale ty nie wiesz, co oni z nim wyprawiają! Pokazują flachę, za łyk gorzały każą mu padłą żabę zjadać! Ma swój rozum, wie, co robi, odpowiedziała. O Jezu, Małomówno! Ale ty go tak nie ostaw, gnojówka za stodołą u Iwaniuków po pas, jeszcze ci się w gównie utopi. Nie nudź, Romanka, zaraz pójdę, jak tylko syn ze szkoły wróci. Co ty gadasz, Małomówno? Po co ci syn? Ja ci pomogę, dzieciak nie powinien oglądać rodzzonego ojca w takim upodleniu! A może ja chcę, żeby oglądał! - krzyknęła do Romanki. - Żeby zobaczył, co gorzała z człowiekiem wyczynia? O Jezu, Małomówno, powiedziała już tylko Romanka i poszła. Kiedy przyszła z synem za stodołę Iwaniuków, przedstawienie było zakończone, żadnego z wsiowych pijaczków, tylko sam Małomówny, w swojej ulubionej pozie, z kolanami pod brodą, spał i obsychał z gównien, a roje czarnych much o ciemnozielonych łebkach łążyły po nim jak po padlinie. Syn krzyknął. Jej też żołądek podszedł do gardła. No, długo jeszcze będziesz rzygał? Musisz mi pomóc, bierz ojca za nogi, mniej się ubrudzisz. Co tobie, synu? Chyba nie zamierzasz rodzzonego ojca zostawić tu na pożarcie muchom i robakom? W domu syn znowu wymiotował.

Czwarty raz musiała już sama wlec Małomównego. Syn powiedział: Niech mu matka daje opijać się w domu. Później zarzucisz mi, że spijam niczym świnie, powiedziała, patrząc synowi prosto w oczy. Nie wytrzymał tego spojrzenia. Wypadł z domu, trzaskając drzwiami.

7.

I znów zapóźniona w robocie! Nim poprała portki Małomównego i jego samego wyszorowała w wannie, uprzątnęła kuchnię, trzeba lecieć do krów. A pranie, które gotuje się w kotle? No cóż, prać będzie nocą.

Krowy, bydłatka moje kochane. Jakże lubiła ich słodkawomlecny zapach. Ich ciepło, parujące wilgocią. Stały rzędem, sny spełnione, lśniły wypasionymi grzbietami, ciężkie wymiona zwisały do kopyt. Spoglądały proszącymi spojrzeniami wielkich, zawsze jednakowo smutnych oczu. Już, już, bydłatka moje kochane, już was wydoję, ulżę wam. Podsunęła stołeczek. Usiadła. Oparła policzek o krowi brzuch. Mleko zaburzyło się w wiadrze. Aż żółtawe, takie tłuste. Bogate mleko.

Najwięcej mleka daje Liza. Najmniej Zośka, za to Zośki mleko najtłustsze. Sama śmietana. Wszystkie krowy mają swoje imiona. I wszystkie je rozumieją. Wystarczy na pastwisku zawołać: Zośka, a ta już gna z zadartym ogonem. Wesoła krówka. Liza jest stateczna. Chodzi powoli, kołysząc brzuchem.

Wszystkie sześć własne, wychowane od małego cielaczka. Najstarsza jest Liza, córka Lizy. Bo ta pierwsza własna krowa nazywała się właśnie Liza. Odrabiała Lizę u Goździckiej wiosną, lato i jesień. Pięknego synka urodziłaś, Małomówno, tylko jakieś dziwne, że niepodobny ani do ciebie, ani do Małomównego. Twoje oczy czarne, włosy miedziane, Małomówny ryży jak marchew, lecz oczy ma też brązowe, a u dzieciaczka niebiesciutki

one i włosy czarne. Ciekawe po kim tak, Małomówno? - i pochyłała się stara wiedźma nad jej synem, różaniec u rąk grzechotał, czy ona i do wychodka chodzi z różańcem? A twój Małomówny chleje i chleje. Powinnaś go, Małomówno, przeprosić z Bogiem. Zanim się z tobą ożenił, biedak bezrozumny, bywał w kościele akuratnie. A i ty sama, Małomówno, ukorzyć się a módl, ofiaruj różaniec Najświętszej Panience, może ona ulituje się nad twoim dzieciaczkiem niewinnym, bo przecież go nie wyżywisz z pijakiem pijawką przy boku, który ci zamiast grosz przynieść, jeszcze twoje zarobione przepija. Po oczach starą wiedźmę, po oczach, lecz uśmiechać się trzeba jak należy, może znowu da jakąś robotę jak jałmużnę. Aż dziwne, że twój synek taki śliczny, niby malowany. Aj, aj, aj, ty maluśki, jak cię mamulka przestanie cyczkiem karmić, schudną twoje tłuszciki obwarzanecki-paluszeczki, bo twoja mamulka ani krówki, ani kokoszki nawet, aj, aj, biedna, biedniutka, a twój tatulek opija się i opija. Ojczy nasz, któryś jest, dopomóż zachować cierpliwość. A ty wiesz, kochana Małomówno, że u mnie akurat króweczka na sprzedaż? Niemłoda już, ale i niestara, taka w sam raz dla ciebie, kochana Małomówno, i tanio sprzedam, bo mi twego dzieciaczka jak malowanie żal, aj, aj, maluśki. Co ona mówi, ta Goździcka? Krowa? Na sprzedaż? Tanio? Ojczy nasz, któryś jest, krowa! Mleko, ser, potem cielaczek jeden i drugi, i trzeci, i chleba powszedniego daj mi, Panie; krowa! Masło, mleko, dobrobyt, życie: złote masło owinać w śnieżnobiałą ściereczkę, ser w drugą, wstać przed świtem, syna w chustę na plecy i jak Nosiorkowa jeszcze z gwiazdami wędrować, aby zdążyć na targ do Przysuchej wczesnym rankiem, kobyłkę szkoda gonić; nogi własne zaniosą, raz na tydzień, masło, ser i śmietaną, odkładać złotówki, nie wydać ani jednej, i zaraz by można kokoszki z kogutem, jajka potem razem

z masłem, serem, śmietaną nosić na targ, składać, składać, na-
składać na prosiaczka, chleba naszego powszedniego pragnę,
Panie! I czego ty, Małomówno, chlipiesz? Przecież powiadam:
tanio oddam, lecz ty pewno nie masz ani nic, bo skąd byś mogła
mieć? Co? Małomówno? Nawet ratami nie? No cóż, w takim
razie mogłabyś mi krowę odrobić, na odrobek, Małomówno, się
zgodzisz? Tak? Ach, ty Panu Wszechmogącemu dziękuj, bo ja
Jego sługa najpokorniejsza, Jego święte ręce całuj, nie moje,
przed Nim na kolana padaj, nie przede mną, ja sługa Jego z pro-
chu zrodzona, grzeszna; aj, aj, maluśki, twoja mamulka silna,
młoda, robotna, zdrowa, odrobi króweczkę, a tobie twoje obwa-
zanecki nie schudną, nie pomarszczysz się z głodu.

Zatraciła się w tym nowym cudzie. Już widziała tę krowę, już
opierała policzek o jej dobry, ciepły brzuch karmicielki, bo ty,
krowo, jak ziemia, karmicielka nasza. Masz ziemię, masz życie.
Masz krowę, masz życie syte. Nawet nie zapytała, jaka ta krowa,
czy na ocieleniu, czy po cielaku, ręce dygotały, serce dygotało, że
cud się spełnia i chciałaby po tę krowę biec zaraz, natychmiast,
dotykać jej, głaskać, drapać między rogami. Co się będziesz faty-
gować, Małomówno, mój Pióter ci przygoni, aj, aj, śliczności ty
moje czarnowłose, ale jutro, Małomówno, z samego rana przyjdź
trząść gnój pod kartofle. Potem pomożesz je sadzić. Potem bę-
dziesz robić przy sianie. Potem te kartofle, morga cała, obmoty-
kujesz dwa razy. Żeby mi ani jeden chwaścik, Małomówno, pa-
miętaj, ani jeden nie został. Potem będą żniwa. Potem młócka.
Potem kopanie kartoflów. Nie bój się, nie ukrzywdzę cię, aj, aj,
maluśki, niech ci będzie za odrobek, Małomówno, z moją stratą.

Patrzy za dwie godziny przez okno, widzi: krowa! Jezus Ma-
ria! Łeb zwieszony, boki ciężko chodzą, pokryte ropiejącymi

wrzodami. Jezu, ludzie, a czyja ta krowa? Skąd ona u mnie na podwórzu, nie wiesz przypadkiem, Nosiorek? A Nosiorek czarne zęby szczerzy w śmiechu. Jak to czyja? A toż twoja! Pietrek Goździckiej dopiero co ją tu przywłókł, dorobiłaś się i ty, kochana Małomówno, krówki pierwszorzędnej. Do wieczora pewno dociągnie, powiada Nosiorek i cieszy się, ach, jak się cieszy! Po oczach go, zabić, zarezać! Jeżeli nie brzydzisz się padliny, kochana Małomówno, mogę ci tę krówkę raz raz dorżnąć. Jezu! - krzyczy - Chryste! Gdzie jesteś? O miłosierdzie błagam! Zmiłowanie! I syna swego na ręce, i biegnie, biegnie, i potyka się, upada, wstaje, biegnie! Cud miał być, cud! Mleko, masło, kokoszki, prosiaczki, sytość, chleb nasz powszedni; to niemożliwe, żeby aż tak ukrzywdzono, wierzę w Boga Ojca Wszzechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wierzę, wierzę! Nie podoba ci się króweczka? - powiedziała Goździcka. Aj, aj, kochana Małomówno, przecież uprzedzałam, że niemłoda, a czy to moja wina, że tak ci się do niej trzęsły z chytrności ręce, że nawet nie przyszłaś obejrzeć, co kupujesz? Może myślałaś, że za darmo należy ci się krowa tłusta, z wymieniem pełnym mleka? Słowo się rzekło, krowa twoja, nie moja, a jeśli ci zdechnie, twoja strata, nie moja; tylko pamiętaj, jutro z samego rana gnój masz trząść, a nie zapomnij, bo cię Pioter z Kazikiem drągami przygnają. Bić, zabić, po oczach, po ustach, wszystkich: Goździcka, Teodorków, Lipieniową, Nosiorka, wszystkich, wszystkich! I Ty bądź przeklęty, Ojczy nasz, któryś jest, a który nie raczysz mi dać niczego poza upodleniem.

Na podwórzu koło krowy kręciła się Romanka. No, ciesz się i ty, raduj z mego nieszczęścia! - krzyknęła do niej. Bić, zabić i tę krowę owrzodziła, i tę Romankę na krótkich nóżkach, i syna swego jedyne, owoc żywota i cierpienia, a potem siebie, i niech się tak stanie, amen. Chwyciła kosę. Małomówno, co chcesz

zrobić? Odsuń się, Romanka, bo i ciebie zaraz, i ciebie! Jezu, Mario! Małomówno, opamiętaj się, oddaj kosę, oddaj natychmiast! Szarpią się. Kosa ostrzem nad głowami miga. Szkoda krowy, Małomówno, ona cielna! To ścierwo, nie krowa! - krzyknęła - chociaż mięsa się najem, kosteczki obcmoktam! To dobra krowa i, Małomówno, cielna, tylko bardzo chora, ale nie godzi się cielnej rznąć, bo to jakby matkę zabijać. I cielaczek ci niewinowaty, żyć chce, no, Małomówno, no, kochana, a cichaj ty, a nie płacz, ciii. Jakie delikatne te ręce Romanki. Jakie serdeczne. Dobrze. Pocieszycielskie. Synka masz ślicznego, Małomówno, najśliczniejszego w świecie, pokarm ci się z nerwów przepali, cicho, ciii. Jaki ciepły jest brzuch Romania, jaki miękki, okrągły, dobry. Goździcka jak żmija, Małomówno, a na żmije trzeba uważać, bo kąsają, ale ja dla twojej krowy mam lekarstwo, cichaj, ciii. Jeśli sprawiedliwy Bóg dopomoże, krówka nie padnie i twoja nęcza się skończy, a twój synek najśliczniejszy na świecie będzie rósł zdrowo na zdrowym mleku; no, cichaj, ciii, Małomówno. Bo wiesz, wczoraj mój Romanek powiada, że Goździcka go woła, coby jej krowę rznął, bo ta od wrzodów zdycha. O Jezu, mówię, nie będziesz rznął u Goździckiej, u niej wszystkie krowy wysokocielne. Pójdiesz i powiesz, że nie. Poszedł. Po godzinie wraca. Śmieje się. Mówi, że Goździcka rznąć już nie zamierza. Umyśliła tobie sprzedać za odrodek. Małomówna modli się do każdego napotkanego ogona krowiego, tak memu powiedziała Goździcka, więc czemu by nie spróbować jej okpić; nie uda się, to trudno, wtedy dorżniem, do jutra jeszcze bydlę wytrzyma, a Małomówna silna za dwóch chłopów i robotna jak diabeł. Obrobi nam wszystko sama jedna i zysk będzie większy niż z dorżniętej padliny. To ja słucham mego Romanka i myślę w duchu: Poczekaj ty, żmijo, nie oszydzisz Małomówniej, sama się oszydzisz, ponieważ ja z

Bożą pomocą tę krowinę wyleczę. Cichaj, ciii. Więc jednak cud? Cud się dokonuje i jest Romanka na krótkich nóżkach? Tu masz, Małomówno, szałwię, a tu rumianek, a tu puch tatarakowy, a tu korę dębową; szałwię, rumianek i korę zaparzysz, naparem wrzody posmarujesz, a potem je tym puchem tatarakowym zasypiesz i powinny się goić, do miesiąca śladu po chorobie nie będzie. Tylko ty mi, kochana Małomówno, też coś za to daj. Daj mi swego synka w ramionach potrzymać, pohuścić, polulać, a jak ci siana zimą zabraknie, każę Romankowi furę przywieźć, tylko mi daj, na chwilkę choć, i do cyca daj przytulić, i żebym mu mogła cycka włożyć w buziuchnę, coby mnie possał krótko, króciutko. Małomówno! Nie odpychaj! Dwa wozy siana, kokoszkę łaciata, kogutka, Małomówno! Ulituj się nade mną, krową jałową, pozwól mi. I Romanka osuwa się na ziemię, ściska za kolana, ten jeden jedyny razik, żebym poczuła, jak to jest, kiedy takie usteczka ssą, o Jezu Nazareński, Małomówno, pozwól mi swego synka najśliczniejszego na świecie. Tylko splunąć. Istna ropucha, gruba i zapocona. Wyrwała się błagającym dłoniom Romanki. Won, powiedziała, z mego podwórza.

Lekarstwo od Romanki okazało się skuteczne. Krowa chorowała co prawda dłużej niż miesiąc, aż do ocielin, a cielila się ciężko, omal nie zdechła i cielaczek też omal nie zdechł. Ten cielaczek pierwszy od Lizy to jest właśnie ta druga Liza. Goździcka między jedną a drugą zdrowąską oświadczyła: Kochana Małomówno, całkiem zapomniałam, sprzedając ci za odrobek krówkę, że ta moja krówka wysokocielna i nie policzyłam za cielaczka. Podobno to jałoszka? Drugą krówkę będziesz z niej miała, Małomówno, która dorabiasz się na mojej krzywdzie. Jeżeli chcesz zatrzymać jałoszkę, musisz płacić. Albo gotówką, albo odrobkiem. Gównem ci zapłacę, postawiła się Goździckiej.

Krowa żyła jeszcze pięć lat i karmiła hojnie mlekiem. Po jałoszce miała byczka, potem znowu jałoszkę. A później już nie zacieliła się, schła w oczach i należało ją dorznać, póki na niej trochę mięsa. Zadając siano, mówiła: Już jutro koniecznie muszę do ciebie, Lizuniu, zawołać Nosiorka, żeby mi cię dorznął; lecz przechodziło jutro, a ona wciąż litowała się nad swoim kochanym bydlakiem. Aż wreszcie Liza nie wstała na nogi. No cóż, kochana, muszę po Nosiorka. Nosiorek zaczął klepać kosę. Liza zamuczała. Targnęła łbem. Z wielkich, zasnutych bielmem starości oczu popłynęły krowie łzy. Boże! Nosiorek! Ona płacze! - krzyknęła. Ano wie, co ją czeka, to i płacze, powiedział Nosiorek, splunął, klepał dalej. Często rznę, to wiem, że one wiedzą. Cielaki też płaczą. I barany, i owce. To teraz, Małomówno, chwyć za rogi i przytrzymaj, a mocno, bo muszę mieć dobry dostęp do szyi. Machnę źle, bydlę będzie godzinami krwawić, i wszystko ci tu juchą obryzga, a dopiero co bieliliś oborę; tyś to całkiem ogłupiała od tej czystości! Kto to widział, coby oborę w środku bielić? Uniósł kosę, stanął w rozkroku, zakołysał się. Nie, nie! - krzyknęła - nie mam sumienia! Ty zdurniałaś całkiem, Małomówno? Toż to tylko zwykły bydlak na zdechnięciu. Co ma ci się mięso marnować? Odmierzał ruch kosą zamasyście, jakby przed nim nie leżało żywe stworzenie, lecz kawał drewna do porąbania. Nie, Nosiorek! Nie chcę, nie mogę! Idź sobie, wynoś się. Ledwo Nosiorek śmiejący się w głos wyszedł, Liza uspokoiła się, lecz nadal płakała. Ocierała sznureczki łez z mordy swojej krowy żywicielki, która nakarmiła mlekiem, masłem, śmietaną, a syn dzięki niej rósł silny i syty. I nigdy odtąd ssania w dołku, ssania boleśnego, ponieważ głód boli, i to bardzo. A pamiętasz, Lizuniu? Pamiętasz, ty moja kochana, jak mordowałaś się okropnie podczas cielienia i ja razem z tobą? Bo ten okropny strach: a jeśli

krowa padnie, to cały wysiłek próżny. Syn ciągle płakał. Podsuwała mu pierś, rzucał się łapczywie, gryzł dziąsełkami, ale pokarmu w tych na pół wyschniętych piersiach niewiele i marszczyło się jasne czołko, chudły obwarzaneczki paluszków. Przez te odrobki u Goździckiej pokarm się przepalał. Goździcka, podparta na kij, przesuwając w paluchach martwe paciorki różańca, stała godzinami w polu, pilnując, czy dobrze odrabia jej ta Małomówna, czy aby się przypadkiem nie leni. Szybciej, szybciej, i kto to mówi, żeś pracowita? Na wypoczynek przylazłaś czy do roboty? Cały jad za tę krowę, że jednak nie zdechła, w tych pohukiwaniach, w tym zajadłym, wściekłym pilnowaniu. Dopiero co go karmiłaś, na odrobku jesteś czy do nianczenia swego bachora? Co za wrzaskliwy dzieciak, drze mordę i drze. Piersi, w których przepalał się pokarm, rwały kłującym bólem. Pamiętaj, Małomówno, że krówka jeszcze nie twoja. Jeszcze do jesieni daleko. Jeszcze masz odrabiać przy żniwach. Jeszcze przy młócce. Jeszcze przy wykopkach. I nie myśl, że pozwolę się okpić, i tak masz tę krówkę za pół darmo.

Nadziejo moja, krowo żywicielko, wytrzymam wszystko, nie skoczę starej wiedźmie do gardła, tylko ty mi się ociel szczęśliwie, i niech twoje mleko sływa do wiadra i w głodne usteczka mego syna, niechaj mój syn opuści swoje puszyste jak motyle rzęsy w spokojnym, sytym śnie. Ojczy nasz, chleba naszego powszedniego nie wzbraniaj mi, Panie.

Cały wieczór przesiedziała przy cielącej się krowie. Liza ryczała przejmująco, wyprężała w bólach grzbiet, targała łbem po ściółce. Koło północy wyprężyla się i znieruchomiła. Koniec. To zawyla nad nią, jakby sama była konająca, jakby była dzikim zwierzem oczekującym na śmiertelny cios kosy; cielak też pewno martwy, udusił się, a krowa właśnie dogorywa; do jesieni będzie

musiała odrabiać krowie padło, a do jesieni daleko, i synowi zmatowieją oczy, czółko przyżółci się gromnicznie, i kwilić będzie coraz słabiej i słabiej. Gdzie jesteś, Panie nasz, który chleb powszedni odbierasz od ust dzieciaczkowi? Czy nie widzisz, Panie, że konam od zmęczenia, rozpaczę i nędzy?

Na swoje pole chodziła nocą. Opatuli syna w chusty, rozrzuciła kobyli gnój, sadi kartofle, te dwa wiadra pokrojonych na oczka, dwa wiadra wyharowane na rozmaitych odrobnkach; nie byli dla niej hojni w Zasławiu, rzucali za jej pracę ochłap, oszydzali; Lipieniowej utkała chodnik ze szmatków, umówiła się na dwanaście jajek, ale Lipieniowa ani jednego nie dała; tyle szmatów ci dałam, powiedziała, a utkałaś taki malutki, masz mnie za głupią czy jak? Albo to nie wiem, jaki powinien wyjść? I nie ciskaj mi się, Małomówno, bo dokoła rozpowiem, żeś złodziejka. Kartofle posadziła, a przecież niedługo trzeba kosić trawy na siano. Jak kosić, kiedy nocą mokre od rosy? Na żyto też zaraz czas, a żyto wyrosło na jej zagonie dorodne, bez maków, chabrów i kąkoli; tyle razy bowiem przewracała zeszłego lata tę swoją ziemię pługiem na pusto, tyle kamienistych mogił zbudowała na miedzy, że teraz kłos przy kłosie, równo, gęsto, ciężko. Lecz ani krowy, ani cielaczka. Upadła twarzą na krowi brzuch. Poczowała napierające kopytka. Znów zawyła dziko. Wsadziła rękę w krowi srom. Wepchnęła ją głęboko, aż wyczuła przednie kopytka. Uchwyciła je, ciągnęła, wyła, charczała, krowa też charczała, aż wreszcie chluportnęło, ukazał się łebek. Cielak był żywy, krowa ocalona. Leżała obok niej w jej krwi, śluzie, odchodach, obejmując mokre ciało cielaczka, chłonąc jego wątlý oddech.

Jakże więc by mogła zarznąć swoją Lizę, spełnioną nadzieję?

Krowo karmicielko, pocieszycielko strapionych, wspomóżenie ubogich, ucieczko głodnych, uzdrowienie chorych, zdychaj sobie w spokoju, amen.

Cielaczek miał cyczuski, był jałoszką, za trzy lata stanie się dorosłą krową. Skończyły się dni biedne, nadchodzą obfite. Cielaczku, jałoszko, nazwę cię Lizą, córką Lizy.

Na jesieni, kiedy już u Goździckiej wykopała kartofle jako ostatnią odróbkę, przyszli Pietrek z Kazikiem. Z drągami. My po jałoszkę, matka przysłała. Małomówny, jak zwykle opity, chrapał. Zatargała nim. Wstawaj, broń! Przyszli zabierać jałoszkę! Przewrócił się na drugi bok. Odpierdol się, suko, wymamrotał i spał znowu. Zasłoniła własnym ciałem wejście do obórki. Odsuńcie się, Małomówno, po dobroci, bo jak nie, to drągiem. Czepiała się ich rąk, gryzła, drapała. Po przeciwległej stronie drogi Nosiorek, Nosiorek. Dojrzała ich mgliście, bo oczy zachodziły mgłą rozpaczy. Ludzie! Pomóżcie! Lecz może jednak źle dojrzała? Może zmyliły ją te dwa suszące się na płocie garnki? Za to zupełnie wyraźnie widziała zapierającą się kopytkami jałoszkę, ciągniętą przez synów Goździckiej. A po obu stronach drogi, między płotami i za płotami, wszędzie, wszędzie nagle rozsuszły się garnki brązowe, okrągłe, w chustkach, w czapkach, pełno tych garnków, tłum. Upadła w pył drogi, osłoniła głowę, jakby te wszystkie garnki miały zamiar rzucić się na nią, przygnieść, pogrzebać.

Wstań, kobieto. Łagodne dotknięcie dłoni na włosach. Wstań, mówię ci. Miodne oczy lśniły łagodnym smutkiem. Czoło sfiolotowiało, jakby poprzerastane żywym mięsem. Wstań. Dopiero teraz zapłakała sucho, gorzko; dłonie Kubiaka, wielkie jak bochny chleba, w czerwonych bliznach po ogniu, podnosiły ją tkliwie z prochu drogi, tak tkliwie, jakby była dla nich umiłowaną szarą myszą. Obok porykiwała jałoszką. I oto znaleźli się na tej drodze tylko we troje: on, ona i to ocalone bydlatko, płoty zaś, chałupy, okrągłe garnki głów odsunęły się daleko, na sam koniec świata i już nikogo więcej na tym świecie nie było, tylko on, ona i to

bydłatko; a jego okaleczone dłonie zatrzymały się o sekundę za długo na jej ramionach i kropla jego potu spadła na jej wargę paląco, i zapragnęła być ptakiem, ulecieć pod chmury, bujać w jasnych obłokach, i przywarła ustami do fioletowej blizny, i wzlatywała, unosiła się.

Nie gniewaj się, Katarzyno. Kocham żonę.

Tak, moja Lizo, córko Lizy.

Zawsze zaczynała dojenie od Lizy.

Co za krowa. Pełne wiadro mleka.

8.

W kuchni czekał Witosek.

Wcale nie spity. Twarz lekko zaczerwieniona, ale oczy czujne. A przecież powinien po tych wczorajszych popołudniowych ochlajach i tych dzisiejszych, porannych, leżeć gdzieś pod płótem, sztywny.

Ma taką mocną głowę? Czy raczej markował wobec innych, że pije?

Rozwalił się na krześle. Nogi wyciągnął. Czapki nie zdjął.

Jeszcze prezesem nie zostałeś, powiedziała, żeby się w moim domu rozwalać jak w gospodzie.

Szybko ściągnął czapkę. Równie szybko uśmiechnął się przymilnie.

No widzisz, Małomówno.

Świń z tobą nie pasalam, więc mnie nie tykaj, szczeniaku.

Poderwał się na nogi, jakby w gębę dostał, nawet niebrzydki chłopak, tylko te oczy lisie jakieś nad spiczastym nosem i ruchliwymi wargami, gotowymi w każdym momencie do lisiego uśmiechu.

Czego chcesz? - zapytała. Czasu nie mam. Zaraz lecę zadawać świniakom i na powrót sklep otwierać.

Najwyraźniej spodziewał się innego przyjęcia, pewno sądził, że ona wystraszyła się tych ujadów przeciwko Prezesowi i czym prędzej ugości usłużnie? Głupi szczeniak. Paweł Witosek, duma Prezesa. Pierwszy z Zasławia, który ukończył szkołę w powiecie. Przodownik nauki i pracy społecznej. O tym, jak Paweł Witosek przodował w nauce oraz pracy społecznej, można było przeczytać w gazecie. U starego Witoska wisi oprawiona w ramki, za szkłem, niczym święty obrazek, a wisi dokładnie pod świętym obrazkiem z Matką Bożą i Dzieciątkiem. Matka Boża trzyma Dzieciątko na kolanach, u jej bosych stóp, wysuwających się spod błękitnego jak farbka do bielizny płaszcz, klęczą trzy aniołki i rozwijają różową wstążeczkę, na której jest napisane złotymi literami trzy razy ALLELUJA, zaraz poniżej zaś, w tej drugiej ramce za szkłem, że PEKĄJĄ OKOWY CIEMNOŚCI W ZASŁAWIU; to nie wiadomo, czy złożone ALLELUJA odnoszą się do świętego obrazka, czy do pęknięcia okowów ciemności w Zasławiu? Stary Witosek puszy się, powtarza przy okazji, że mój syn, Paweł, ma nauki,

Głupi cymbał. Najpierw Staškę kijem przez plecy, bo mu powiedziała, że Prezes zajęty, wchodzić do gabinetu nie wolno, potem drzwi kopniakiem otworzył. Prezes stał przy oknie, zdążył się uchylić, lecz szyba poleciała w drobny mak. Ty kacapie, krzyczy Witosek do Prezesa, od mego syna z daleka, tę twoją szkołę tym oto kijem wypisałem mu na plecach, od a do zet, cały alfabet! Prezes posłał staremu rachunek za zbitą szybę. Witosek odesłał z dopiskiem: Pocałuj mnie w dupę. Prezes na tym samym rachunku dopisał: To ty mnie będziesz jeszcze w dupę całował; taka to była korespondencja, z której wszyscy w Zasławiu pękali ze śmiechu, ponieważ listy nosi Kłusak i każdy urzędowy otwiera do ogólnego poczytania. Witosek zamknął syna w komórce. Rano

przychodzi z talerzem zacierki, a tu kłódka wyłamana, po Pawle ani śladu. Z szafy zginął garnitur, trzy koszule, palto i buty niedzielne, ze spiżarni mendel jajek, pęto obsuszanej kiełbasy. Witossek złorzeczy, bo połowa września, czas kopania kartofli. Nagle Teodorka leci przez wieś, wrzeszcząc, że ludzie, idźta na pole Witoska, tam się cyrk odbywa! Lecą, patrzą: Witoskowa za kobyłę wprzęgnięta do pługa, lejce ma przez ramiona, tylko jej wędziska w gębie brakuje, Witossek bacikiem pogania: Wio, stara, wio. Rzeczywiście, cyrk. Witoskowa lamentuje: Jezu, Jezuniu, ale pług ciągnie, a co skibę wyorze, to ją Witossek uwiązuje do drzewa, a sam z dziewczuchami kartofle zbiera. Przyleciał Prezes. Co ty, stary capie, wyprawiasz? Witossek na to spokojnie: Jak to co? Nie widzisz? Kartofle kopię. Kobyłkę mam całkiem pojętną, chociaż twoich zasranych szkół nie kończyła w powiecie. Słyszysz ją? Nawet ludzkim głosem potrafi gadać, a gdy jeszcze parę skib wyorze, to i wierzgać przestanie, gdyż na razie za bardzo narowista i jak na mój gust zbyt nowomodna, bo się jej zachciało, aby nasz jedyny syn nauki pobierał. A kto mi będzie chodził za pługiem? Kto zaorze? Kogo, do kurwy, na gospodarce zostawię, skoro baba mi do niczego, bo same dziewczuchy rodziła? Daj słowo, Prezesie, że mój syn z tych szkół zaraz powróci, to starą z chomąta uwolnię, a jeśli nie, to będzie mi za kobyłkę, której obroku nasypię, sianka podrzucę. Prezes się wnerwił: Milicję wezwę! A wzywaj, ciebie mam w dupie i twoją milicję; no, stara, wio, a zwawo! Milicji widać nie śpieszyło się do takiego zwariowanego wezwania, przyjechała dopiero czwartego dnia. Witossek siedzi w kuchni, je zacierkę. Gdzie żona? - pytają. Tam, pokazuje Witossek, w stajni. Poszli, widzą: Witoskowa jak trzeba uwiązana przy żłobie, owies ma podsypyany, wiadro z wodą, świeża słoma; jednym słowem, kobyłka zadbana. Chcą odwiązywać, a Witoskowa

krzyczy, coby nie ruszali. Upraszam się łaski, panowie milicjanci, lecz mnie tak dobrze. Mogę być za kobyłkę. Kartofle wyorałam, pole zbronowałam, po robocie na razie, już drugi dzień tu sobie leżę na świeżej słomie, jakby jaka hrabinią śpię od rana do wieczora, a wy, panowie milicjanci, idźcie stąd, bo wszystko popsujecie. Bo to było tak: Powiedziałam swemu staremu, że prędzej w kobyłkę się zamienię, niż powiem, w jakim mieście uczy się nasz Paweł. To on mi na to: Ach tak? W takim razie w kobyłę zamienisz się prędzej, niż się spodziewasz, i zaprzął i kazał kartofle wyorywać, i tu mnie w stajni uwiązał, dał owies do żarcia, stary dureń, ale zapomniał, że u mnie zęby wszystkie, więc pożuję, pożuję i całkiem on smaczny, ten owies; a stary mój sądzi, że mnie przetrzyma. Gówno, panowie milicjanci, bo ja go znam, capa, już wczoraj przylazł kole północy i gada, posuń się, stara. A ja mu tak: Jakże to, stary? Na kobyłę chcesz włązić? Przecież to sodomia, grzech śmiertelny. Trochę mnie w złości poszturczał, ale zlął, sobie nie ulżywszy. Ja go znam, panowie, dłużej już jak dzień albo dwa nie wytrzyma, bo on choć stary, to jary. A mój Pawełek kochany nie będzie całe życie w gnoju robił, i choćbym tu miała naprawdę jako kobyła szczeznąć, nie powiem, gdzie się uczy. Co milicjanci mieli robić? Pośmiali się zdrowo, spisali protokół, że obywatelka Witosek Maria dobrowolnie jest za kobyłę, i odjechali. Witosek bez Witoskowej wytrzymał jeszcze cały tydzień, później ją odwiązał i znowu mu była za żonę. Lecz Pawła przeklął. Za próg go nie wpuszczę, powiedział. Czas szybko mija, toteż kiedy już wszyscy o Pawle zapomnieli, pewnego dnia pedałuje Kłusak przez wieś, czym prędzej do Witosków, i gazetę im rzuca. A tam zdjęcie. Na zdjęciu Paweł jak żywy, tyle że o cztery lata starszy, pod zdjęciem napisane, że to przodownik nauki i

pracy społecznej, P. Witosek ze wsi Zasławie, powiat Lasy; a nad zdjęciem wielkimi jak byk literami, że PEKAJĄ OKOWY CIEMNOŚCI W ZASŁAWIU. Prezes pierwszy złożył gratulacje: Widzisz, stary capie, jakiego masz wspaniałego syna? Będzie on dumą naszego Zasławia. I od razu z Pawła zrobił kierownika bazy technicznej.

Nareszcie, Katarzyno, mam fachowca.

Stał za płotem, taki zadowolony, jakby mu znowu krowa przyprowadziła czworaczki. Uważaj lepiej na tego swego fachowca, powiedziała, żeby ci przy dupie nie robił. Między nią a Prezesem jak zwykle płot, niby kilka deseczek, a przepaść. Za plecami Prezesa, obok starej chałupy, zięjący otwór fundamentu pod nowy dom. Sukinsyn: kółkowskie ciągniki z przyczepami kursują tam i nazad, wożą za frajer aż z powiatu cegłę, cement, wapno.

Jakoś dziwnie budują, za bardzo jednocześnie: tu dom dla Prezesa, a tam nowe warsztaty dla kółka, powiedziała Lipieniowa w sklepie. Przecież tak taniej, nie? - zaśmiała się Nosiorkowa. - Nawet nad bramą kółka powiewa transparent, coby LEPIEJ, OSZCZĘDNIEJ, TANIEJ! To Prezesowi i tanio, i oszczędnie, bo za kółkowski pieniądz, zachichrała się Kłusakowa. I wszystkie trzy rozchichrały się tak, że aż się opluły. A stara Witoskowa to taka skołatana, że ojej - powiedziała Kłusakowa, jak się już wyśmiała - bo, Witoskowa mówi, jej Paweł chodzi jak struty, gdyż się kontroli obawia, mówi, że Paweł mówi, że Prezes faktury podrabia. Naprawdę? Tak mówi? - ucieszyła się Lipieniowa. - Trzeba by o tym zara napisać gdzie trzeba, że tak mówi! Lecz Nosiorkowa powiedziała, że Paweł wcale tak nie mówi. A skąd ty wiesz, co Paweł mówi, a czego nie mówi? - rozłościła się Lipieniowa. To Nosiorkowa mówi, że Paweł też jako ten kierownik

bazy technicznej musi faktury podpisywać, więc jakby tak mówił, to tak jakby mówił sam przeciwko sobie! Jak Boga Kocham! - przysięgła Kłusakowa i przeżegnała się, że Witoskowa mówi, że Paweł mówi, że papier cierpliwy, wszystko znieś, ale jeśli kontrol z powiatu przyjedzie, to wtedy z Prezesem koniec. E tam! - powiedziała tylko Nosiorekowa, chwyciła za tytkę mąki i pognała ze sklepu. A Lipieniowa do Kłusakowej od razu: Czyś ty głupia, żeby takie rzeczy przy Nosiorekowej? Widzisz? Już ją poniosło z językiem do Prezesa donieść na ciebie i na Witoska.

Nie potraficie tego strawić, co za ludzie! I Prezes przechylił się tak nad płotem, że poczuła jego oddech na swojej twarzy. Że Paweł tak się wybił. I ty również, Katarzyno, taka sama jak inni, powtarzasz mi tu brudne ploty o jakichś fakturach, i po co, Katarzyno, i dlaczego? Zazdrościsz Pawłowi, że z niego nie jest taki bęcwał jak twój synalek? To krzyknęła natychmiast, prosto w ten jego parzący oddech, żeby jej syna nie tykał, nie ważył się! A twój Pawełek to dopiero jest bęcwał, durniu, i jeszcze się przekonasz, że ci dupę obrobi. Nie obrobi, roześmiał się Prezes, on mi jak syn. Ja mu jak ojciec. Cztery lata wozilem mu wałowy, pieniądze; ze starą Witoskowa spotykałem się w leśniczówce za Zakolem, żeby jej przekazywać listy i pozdrowienia; przez cztery lata musiałem Pawła zachęcać do nauki, żeby wytrwał, ponieważ on pierwszy sąd, z tej naszej wyspy między lasami, pierwszy będzie prawdziwie kształcony, nie jakiś samouk, jak ja na przykład, że to on przetrze drogę innym, dzięki niemu inni też będą chcieli kształcić swoich synów, córki. Pomyśl, Katarzyno, jakie to byłoby piękne, gdyby nasze dzieciaki nie musiały dojeżdżać do szkoły w Przysuchej i żeby ludzie nie umierali z powodu byle kolki, bo nim dodzwonisz się do powiatu po pogotowie, to ta kolka śmiertelną się staje. Ileż, Katarzyno, byłoby nam oszczędzone,

ile bólu mniej, gdyby tak wybudować w Zasławiu szkołę i ośrodek zdrowia, i dom dla lekarza, który by leczył nasze wrzody, nasze reumatyzmy, kolki serca. Pod sinymi bliznami czoła oczy miał promienne, rozjaśnione swoimi wizjami. Ach ty! - krzyknęła - zanim stąd kogoś na lekarza wyuczysz, to przedtem naucz ludzi myć się codziennie i wszy im wytęp z włosów! Czemu ty, Katarzyno, tak nienawidzisz wszystkich dokoła? - powiedział i odszedł, a ona została pod płotem z tym jego parzącym w usta oddechem.

Sądziłem, odezwał się Paweł Witosek, że pani zależy na sklepie.

Nie ty mi sklep dawałeś, nie ty będziesz odbierał, to raz, powiedziała. A dwa, to tobie wydaje się, żeś mądry. Tobie się wydaje w tej mądrości, że ty coś na niego, który ci był za ojca, masz w zanadrzu. I że to, co tam w zanadrzu chowasz, jest mocne i silne. Uważaj, obys się nie omylił. Bo posłuchaj, szczeniaku, co mi grozisz odebraniem sklepu: przez te cztery lata, kiedy się uczyłeś dzięki Prezesowi, pozmieniało się u nas wiele. Zamiast pylistej kamienistej drogi jest czarny asfalt. Za Grzybami zbudowano zlewnię mleka i nie trzeba już gnać kobyły z kanami do Przysucej. I to wasze cholerne kółko rozrosło się w fabrykę, w której pół wsi pracuje. Czy to wszystko posypało się z nieba jak manna niebieska? To dzięki niemu, Witosek. On jest mocny. Jego zdjęcia były we wszystkich gazetach. Na tych zdjęciach jemu ściskali ręce sami najgłówniejsi. Zapomniałeś o tych zdjęciach, Witosek? Niecierpliwy jesteś, raz raz chcesz się uwinąć z Prezesem. Myślałeś, że możesz do mego domu wpakować się jak do gospody. Byłeś pewny, że i ja zawołam precz z Prezesem, że się wystraszę tej urźniętej nogi Jadźki, ale ja ci powiem tak: zamiast szykować się na prezesowski stołek, zastawiać się tym przygłupim

Nosiorkiem, wyciągać gorące kartofle z ogniska cudzymi rękami, uważaj lepiej na siebie, pilnie uważaj, gdyż spadniesz na mordę, kark skręcisz i stracisz ten dom jak pałac, który on, ten dureń, dla ciebie, swego przysłego zięcia wybudował, i cały ten jego wielki majątek oddali się od ciebie na zawsze, i zamiast nakopać Prezesowi, to od niego sam dostaniesz walnego kopniaka.

Witosek przybladł. Krople potu osiadły mu nad górną wargą w miękkim, ciągle jeszcze chłopięcym meszku. Nie przerywał, gdy mówiła. Milczał. Znieruchomiał. Ani drgnięcia. Ani trzepotu powieki. Wiedziała: to ona jest mu potrzebna, nie te wszystkie Nosiorki, Grzyby, Iwaniuki, Romanki. Ona przez te lata wyrosła ponad innych, ona pierwsza wybudowała piętrowy dom, ona żywi sześć krów, codziennie oddaje trzy pełne kany mleka i dwanaście tuczników na rok, i buraki z całego hektara, więc gdyby teraz ona krzyknęła precz z Prezesem, to wówczas wszyscy by tak wrzasnęli, poza Lewickim, rzecz jasna, który za swoim Prezesem w ogień i w wodę.

Potrzebujesz mnie, Witosek. Jak powietrza.

Pani Małomówno, odezwał się z cicha, ja do pani zawsze z całym szacunkiem.

Jakich to gładkich słówek wyuczył się w tej szkole! Pewno na nie nabrał Prezesa, ciągle jednakowo ufego, któremu zaraz, jeszcze tego samego dnia, gdy swoim gorącym oddechem tak bardzo sparzył jej usta, krzyknęła od podwórza: A powiedz mi, za co ty ich kochasz? Zapomniałeś, co oni z tobą wyprawiali? Wrócił się do płotu i powiedział, pochylając jakby w pokorze głowę, że tego, choć chciałby, nie potrafi zapomnieć. Że to, co mu się śni, siada na piersiach i dusi kleszczami. A widzisz - krzyknęła, przekonana, że oto go ma, że się zdradził. Zapomnieć nie mogę, powiedział ze smutkiem, coraz niżej pochylając głowę, lecz staram

się zrozumieć: dlaczego. Bo ja myślę, Katarzyno, ciągnął, a chociaż była daleko od niego, od niego i jego ust, gorący oddech dopadł ją nawet tu, pośrodku podwórza, toteż rzuciła miotłę, podbiegła do płotu, żeby być jak najbliżej tego, który ją tak parzył pragnąco i tak boleśnie, że zapomina nawet o synu, że nawet chyba i syna by się wyrzekła; bo ja myślę, Katarzyno, powtórzył, że nie ma ludzi złych, są tylko nieszczęśliwi. Co? Co? Niczego nie rozumiała. Co on wygaduje, ten stary dureń? Nieszczęśliwi, Katarzyno. I po jaką cholerę leciała do niego pod płot jak na skrzydłach? Po co? Och, chętnie walnęłaby go w te jego wargi, których tak pragnęła. A myśl sobie, myśl! Ja tam wiem, że ludzie są jak wilki. I na ciebie przyjdzie taka chwila, w której rzuca się, pożrą, a później się jeszcze obliżą. I nikt po tobie nie zapłacze. Nawet ja. O Boże, Katarzyno, powiedział, moja biedna, biedna Katarzyno. Ja biedna? Ty stary durniu, zobacz, ile się przez te lata dorobiłam! Ile mam, posiadam! W jego oczach dostrzegła wzbierającą litość. Mój Boże, Katarzyno, i to ma być dla ciebie szczęście? - zapytał, odwrócił się, odchodził. Zawsze odchodził do tej swojej płaskiej, chudej szarej myszy.

Kocham żonę, Katarzyno, kocham żonę.

I przyszedłem do pani po radę, pokornie prosić, odezwał się znowu Witosek.

Spryciula z ciebie. Chcesz rady, tak? No, to ją masz: módl się. Módl się, coby z tej urzęniętej nogi Jadźki nikt nie zrobił użytku. Daj na mszę, bo w razie czego nie Prezesa wsadzą, lecz ciebie.

Mnie? Mnie? A za co?

Wystraszyłeś się.

Ja? Ja? A niby czego?

O niczym nie zapomniałeś?

Ja? Ja? A o czym?

Zapomniałeś, szczeniaku. Wbiłeś swoje ostre, lisie zęby w tę urzniętą nogę Jadźki. Wbiłeś za mocno, zbyt pewnie. Myślałeś, że razem z tą nogą ucapiłeś i Prezesa. Za co ty go aż tak nienawidzisz, Witosek?

Ja? Ależ pani Małomówno!

Roześmiała się.

Niech ci będzie, że go kochasz; mniejsza z tym. Tylko pamiętaj, że to ty jesteś kierownikiem bazy. Ty odpowiadasz za maszyny. Tyś powinien był młocarnię sprawdzić. Tak, kochany Witosku, który kazałeś Staśce zawiesić na drzwiach do siebie napis bardzo wielkimi literami, żeś DYREKTOR TECHNICZNY, bo ci tytuł zwykłego kierownika nie wystarczał. No to, dyrektorze techniczny, droga wolna, wracaj do domu. Masz przed sobą długie popołudnie, cały wieczór i noc na dodatek do myślenia o tym, o czym w pośpiechu i z nienawiści zapomniałeś.

9.

Chwyciła wiadra i wyszła, nie oglądając się na Witoska. Już on tam coś obmyśli, bardzo ambitny z niego szczeniak. A i tobie, stary durniu, musiał się czymś poważnym narazić, skoro kazałeś mu paznokciami, przy Staśce i Lewickim, zdzierać ten napis dyrektorski. Jesteś zaszranym gówniarz, nie żaden dyrektor, krzyczał Prezes, opowiadała Staśka w sklepie, jesteś śmierdziel i powinienem cię zatłuc jak psa! - krzyczał, a wściekł się tak, że mu te jego blizny na czole omal krwią nie trysnęły. Nawet na Grzyba tak się nie wściekł, kiedy Grzyb po pijaku rozwaliał traktor. A tu nagle o zwykły napis na drzwiach, który zresztą wisiał już ponad miesiąc, i przez miesiąc nie przeszkadzał, a tu nagle jak nie wrzaśnie, jak nie pochwyti Witoska: Idź, zdzieraj, zlizuj, zdrapuj, skurwielu! Stał i pilnował, żeby nawet śladu, a tu klej mocny, dobry, nie

puszczał. Każę ci go zębami wygryźć, rozumiesz, dupku? A przecież zawsze do niego: Pawełek albo synku; rozumiecie coś z tego, kobiety? - opowiadała Staśka - bo ja nic a nic. Tylko tyle że naszemu uczonemu Witoskowi usrała się prezesowska łaska. I najwyższy czas, coby się usrała. Każde jedno pismo odnosił mi do poprawienia, bo ja tylko po podstawówce i kursach, a on po technikum, przepis, Staśka, pszenica pisze się przez szy, nie przez żet, tobie krowie ogony liczyć, a nie siedzieć w sekretariacie. Na miejscu Prezesa takiego tłumoka nie trzymałbym ani godziny, ale wiadomo, za co cię Prezes trzyma, Staśka. Taka świnia z niego, a sam ciągle chce mi łapska za dekolt wsadzać! Może teraz, jak tak na Witoska wściekł się, to mu Anusi nie da? - zastanawiała się Lipieniowa, ale Staśka powiedziała, że Prezes o Anusi ani słówkiem, jakby mu wyłącznie o ten napis szło.

Świnie kwiczą. Zegarek to mają w brzuchach. Spóźnisz się pół godziny z żarciem, i głuchniesz od ich kwików.

Dorodne, tłuste świnie. W dwóch kojcach po dziesięć. Dwie maciory w trzecim. Ciasno. Nowy chlew potrzebny. Człowiek umorduje się w ciasnocie, nim da żarcie i posprząta. Czysta świnia jest ładna, różowa. Przyjemnie jest patrzeć na czystą świnie.

Wysypała kartofle z parnika. Dwadzieścia wiader kartofli rano, dwadzieścia wieczorem. Trzeba się nadzwigać, to i dziękować Panu Bogu za siłę i zdrowie.

Pot ścieka po plecach, ręce mdleją. W tej kadzi, w której mogłoby się naraz wykąpać dwóch chłopów, rozdrabnia kartofle i miesza je z osypką. Szybciej! Szybciej! Czasu ciągle za mało. Trzy, cztery godziny snu na dobę. Często i rozbierać się nie warto ani głowy do poduszki przytulać. Ty, Katarzyno, coraz bardziej mnie przerażasz, powiedział Prezes zza płotu; dałem ci sklep,

sądząc, że ci ulżę. Mąż, przy którym jak przy niemowlaku trzeba; syn niby dorastający, ale bęcwał nad bęcwały, a ty padasz na pysk, podnosisz się, znowu padasz, a nikt nie udźwiga na swoich plecach więcej, niż może. Lecz ty, Katarzyno, jak ogień żarłoczna, nienasycona, chciwa. Uchwyciłaś jedno polanko i już na drugie skaczesz, i na trzecie, i piąte chwytasz, i jeszcze ten konar zagarniesz, i ten pieniek, a po drodze nawet małemu patyczkowi nie darujesz. W tobie szaleje pożar, Katarzyno. Uważaj, żeby i ciebie nie ogarnął, nie spalił, nie spopielił. Nachylał się ku niej, oblewał gorącym oddechem; wypukłość warg, biel zębów, ciemny zarost na policzkach, aż się w głowie kręci, aż się nogi uginają. Za jego plecami sterczał wyzywający fronton nowego domu. Tego prezesowskiego pałacu, tak mówią w Zaslaviu. Jakby mu mało było tych pokoi, schodów, korytarzy, łazienek, to kazał dobudować oszklony ganek, wielki niczym pokój, i taras otoczony balustradą, z szerokimi schodami; przewidujący drań! Gdy mu budowali po spaleniu nową oborę i chlewnię, już wtedy musiał sobie planować taki olbrzymi dom, dwurodzinny, jak on go nazywa, i stąd nowa chlewnia i nowa obora daleko poza obrębem starego siedliska, i wszyscy pukali się w czoła: teraz Kubiak będzie zapieprzał z wiadrami do świń chyba na rowerze? Jak pożar jesteś, powtórzył, czego ty, powiedz, oczekujesz od życia? Tyle masz: dom, ziemię, bydło, po jaką cholere wywaliłaś dom z piętrem? Dla kogo? A ty dla kogo? - zapytała, dygocząc z pożądania i urazy. Ja? I zapatrzył się w niebo. Ja czekam na małe nóżki, żeby mi tupotały po schodach. Już czas, Katarzyno, na marzenia o wnukach. Doznała fizycznego wstretu, zobaczyła swego syna na jakiejś kobiecie, wtryskującego nasienie. Nie zastaniaj się wnukami! - krzyknęła - swój pałac wybudowałaś tylko po to, aby złapać męża dla Anusi! Bo kto by się inaczej połaszczył na głuchą

i niemą? Blizny na jego czole spurpurowiały. Więc tu cię boli, ty draniu, pomyślała, patrząc, jak odchodzi. Zawsze odchodzi. Kocham żonę, Katarzyno; lecz teraz odchodził przykurczony, jakby na nowo uderzony kamieniem. Szkoda, że nie da się cofnąć czasu. Gdyby wiedziała, jak ten drań wyrośnie nad innych, poszłaby wówczas ze wszystkimi, żeby kamień na kamieniu jedynie się ostał i już nic więcej. Nikt jednak już nigdy nie odważy się przeciwko niemu podnieść choćby ziarnka piasku. Mocny jest. Sklep zbudował. Szosę. Zlewnię. Kółko jak fabrykę. Tylko lekarza mu odmówili. Powiedzieli, że nie, telefon kółkowski wystarczy. Jakby co, dzwonicie do powiatu po pogotowie i ono przyjeżdża. Wy, towarzyszu Prezesie, jak ta sroka, która wszystko świecące do swego gniazda ściąga; chcielibyście i szkołę, i ośrodek zdrowia, i lekarza, a do Przysuchej macie zaledwie piętnaście kilometrów, felczer tam siedzi, niech on was leczy. Niedemokratyczne żądania, towarzyszu Prezesie. Ośrodek zdrowia na takie odludzie, gdzie diabeł mówi dobranoc? Prezes wstał. Blizny mu obrzękły wścieklizną. Huknął pięścią w stół prezydialny, przykryty czerwonym płótnem. To po jaką cholere na to bezludzie wtrynialiście kółko, co? Wtedy było demokratycznie? Te maszyny, bazy, warsztaty, etaty, sekretariaty, palmy, dywany, fotele? No, towarzyszu Prezesie, nie przy ludziach! A przy kim, jeśli nie przy ludziach? I huknął pięścią po raz drugi. Zebranie się urwało, towarzysze z województwa odjechali szybciotko, i wszyscy myśleli, że już po Prezesie. Ale nie. Nikt go nie ruszył, lecz może stąd ten szczeniak, Witosek, pomyślał, że gdy do tego hukania pięścią dorzuci urżniętą nogę Jadźki, to Prezesa dopadną. Głupi! Nie dopadną! Dopiero co pisali w „Trybunie Ludu”, że przodujący rolnik z Zasławia, Tadeusz Kubiak, prezes największego w województwie Kółka Rolniczego, osiągnął rekordowe plony w

buraku cukrowym. Żeby go diabli, drania. Wszystko ma rekordowe, i nie dogonisz go w jego rekordach, a z tamtego pożaru wyprowadził jedynie tę swoją nędzną krowinę.

W ciszy, jaka wtedy zapadła, gdy zamarł ryk krowy, w tej ciszy przesywanej sykiem niestrudzonego ognia, podniosła się z ganku Teodorków, powlokła krwawą od łuny drogą i nie patrząc nawet na podwórze Kubiaków, wróciła do chałupy. Syn spał błogo, nieświadomy zbrodni. Szyba w oknie płonęła długo. A Kubiak spalił się żywcem. Nie zobaczy go więcej. Nigdy więcej nie rozłomocze się szalone serce. Nie wyjdzie więcej na podwórze, żeby je głupio zamiatać, zgrabiać, chociaż nigdzie ani słomeczki, ale właśnie Kubiak za płotem drwa rąbie. Nie będzie więcej walić w skroniach młot tak mocno, że aż je trzeba ścisnąć, pękające, bo oto Kubiak zbliża się do swojej szarej myszy, kładzie na jej kościstych ramionach wielkie niczym bochny chleba dłonie, zagląda miłośniczo w oczy, głaszcze. Ustaną myśli, których by się i przed Bogiem wyprzeć, a które dopadają za każdym razem, gdy ta szara mysza pojawi się przed oczami: taka chuda, taka słabowita, a jeżeli umrze? Umrze, umrze mu, niechaj na litość boską umrze! Spraw, Panie, żeby umarła, a później ja i on; i dopełni się oczekiwane szczęście, ja i on, my oboje; bo przypatrz się ty, durny Kubiaku, tym wyschlłym cyckom, tym nogom krzywym, tym oczom wielkim, lecz już blasku pozbawionym, przecież nie możesz wiecznie ich kochać! Och nadziejo, ty kurwo przeklęta, najpodlejsza, nikczemna! Ale niechaj mu umrze. Teraz Kubiaka nie ma, nadziei nie ma, i leżąc obok chrapiącego Małomównego, któremu przysięgała wierność i kochanie, przyznaje się uczciwie do swoich parszywych, kurewskich myśli, gdyż od tamtego czasu, w którym powiedział: Kocham żonę, Katarzyno, modliła się

o śmierć dla niej. Żeby zdechła, bo umarła to zbyt eleganckie, zbyt pańskie słowo: zdechła jest słowem odpowiednim. Zaciskając powieki, czując ciepło jego rąk na swoich ramionach, kroplę potu z jego warg na swoich wargach, powtarzała: żeby zdechła. Co za ból, nie do wytrzymania, patrzeć tak stale, tak ciągle, jak darowuje swej szarej myszy miodne oczy, czerwone usta, białe zęby i tę czułość niewypowiedzianą, jakiej ona nie zaznała nigdy. Tak, przyznaje, pragnęła ze wszystkich sił dla tamtej śmierci. A później jego palce wplotłyby się w jej włosy. Jej włosy są piękne. Lśniące, miedziane, falujące, długie do pasa. Jej włosów pożądają wszyscy mężczyźni. Widzi to pożądanie w ich spojrzeniach. I on, ten piękny, tkliwy i czuły, gdy tamta zdechnie, też będzie ich pożądał. Rozczesze je dla niego, okryje się połyskliwym płaszczem, a on zanurzy w nich swoją twarz, swoje usta, swoje oczy, swoje dłonie. Lecz nie ma go już. Zamienił się w popiół. Zanim jednak wpadł w ścianę ognia, wcześniej uderzył swoją umiłowaną myszę. Uderzył pięścią, aż przeturlała się przez śnieg i znieruchomiała czarną plamą. I pewnie tam jeszcze leży, i niechaj leży. I pewno tam zamarza na śmierć, i niechaj zamarza. Taka jest prawda: nawet teraz, kiedy go już nie ma, życzy tamtej śmierci. Bo tamtą życie obdarzyło hojnie. W każdej chwili mogła być ptakiem, ulatywać pod niebo, pod obłoki. Więc niech teraz zdycha. Niech i jej owoc zachłyśnie się w niej krzykiem, niech tam obmarznie, przekłęty, bo poczęty z miłości. Syn spał. Śliczny. Z motylą puszystością rzęs na policzkach. Ten, który go spłodził, ten zapijaczony płodziciel, chrapał. Z nim nigdy nie zazna smaku miłości. Do końca życia będzie pośpiesznie rozsuwała nogi, żeby to odbyło się raz raz, a później jeszcze pośpieszniej będzie obmywać się z tego nasienia, co się lepi na udach i na brzuchu. Szyba płonęła. Ogień przepalił potężne plecy, rozrośnięte niczym

konary ramiona, czerwone usta, miodne oczy. Leżała zdrętwiała i gdyby nie syn, pobiegłaby tam, do niego, za nim wskoczyć, objąć go ostatnim, śmiertelnym uściskiem. Synu, serce moje, powiedziała. Leżała, nie wiedząc, że na podwórzu Kubiaka podpalacz, Bronisław Lewicki, syn Kazimierza i Leokadii, klęczy przy upadłej na przednie kopyta krowie, a klęcząc obejmuje łeb, którego rogi parzą i kopcą się niczym dwie poskręcane świece. Kubiak jest żywy. Unosi ze śniegu swoją umiłowaną myszę i niesie ją, niesie przez podwórze ku chałupie, a w ślad za nim posuwa się, majtając, coś, co jest rozciągniętą i sztywną zupełnie pępownią. Ale ona o tym wszystkim nie wie, oplakuje bez łez czerwonusatego, złorzecząc jego szarej myszy. Nie wie i o tym, że Bronisław Lewicki, syn Leokadii i Kazimierza, namówiony przez Lipienia, Teodorka i Goździckiego, wcale nie uciekł z miejsca podpalenia, jak miał to uczynić. Kiedy ogień buchnął niemal równocześnie w trzech punktach zabudowań, w tej nowej, choć nieco krzywej oborze, w starym chlewiku oraz stodółce wyładowanej sianem, usłyszał przytłumione beknienie krowy, a przecież mu przysięgali Goździcki, Teoderek i Lipień, że u Kubiaka nie ma żadnej żywioły, bo krowa akurat mu zdechła, więc podpalać będzie puste ściany. Zanim Kubiak na pół nagi wypadł z chałupy, on, podpalacz, który nienawidził ludzi, a kochał wszystkie bydłatka duże i małe, i najmniejsze, i nawet mrówki ani żuka na drodze nie rozdeptywał, pająki zaś wynosił z chałupy i chował pod listkami, pierwszy skoczył w ogień do tego słabego beknienia budzącej się w dymie krowy. Ściągnął z pleców waciak, zarzucił go na jej łeb, aby nie dojrzała ognia, ponieważ każde bydło na widok ognia dostaje szaleju i choćby miało metr do ratunku, ognia nie przeskoczy. Tymczasem ogień nie czekał, spadał ze stropów, pożerał siano,

biegł po belkach, a oni się tam szarpali pośród niego, palący się podpalacz i paląca się krowa, i ryczeli z bólu oboje. Gdyby nie podpalacz, Kubiak sam krowy by nie uratował, lecz w dwójkę wypchnęli przykrytą palącym się już waciakiem na dwór. Zaraz zawalił się za nimi dach, a dwa dymiące ogniem ciała rzuciły się na to trzecie, wielkie, wstrząsane drgawkami, z pełzającymi płomykami wzdłuż grzbietu, ćmiące swądem przypalanej rogacizny, na to ciało karmicielki, pocieszycielki strapionych, nieszczęsnych i ubogich; i zaczęli je gasić, nacierać śniegiem, a potem sami upadli w śnieg i tarzali się obok siebie, ramię w ramię, podpalacz i podpalony. I nie wiadomo, kto kogo ratował: podpalony podpalacza czy podpalacz podpalonego, i aż tak obaj doturlali się do szarej myszy, skostniałej pomimo pożogi, leżącej w zakrzepłej krwi, która wraz z wodami płodowymi rozlała się po białym śniegu. Podpalony uniósł ją, pozbierał wraz z wydalonym owocem, dźwignął, niósł ku chałupie, ciągnąc za sobą zeszywniałą pępownię, podpalacz zaś podpełzł do krowy, która chciała wstać, lecz nie miała tyle sił, i tak oboje wspierali się wzajemnie, podpalacz i podpalona. Pożar szalał. W chałupie Kubiak ogrzewał swoją szarą myszę, która w łunie urodziła na śniegu swoje drugie i ostatnie dziecko: syna. Życie jednak trzeba, choćby dla tej dziewczuszki, co otwiera do płaczu usteczka i porusza nimi bez głosu; mała, niema rybka. Tak, życie trzeba, toteż otulił swoją szarą myszę szmatami, a swego syna, który na zawsze pozostanie niemy i głuchy: martwy, ułożył na białych szmatkach Anusi i poszedł na podwórze zobaczyć, co z krową żywicielką, pocieszycielką strapionych, nadzieją zrozpaczonych. Obaj stwierdzili, podpalacz i podpalony, że grzbiet wygoi się, a rogi mało ważne, tylko ją teraz trzeba do ciepła, do wygody, więc ją obaj, podpalacz z podpalonym wepchnęli do chałupy, a że słomy nie mieli, podłożyli pod

krowę poduszki i sienniki, i wylali na jej poparzony grzbiet jedy-
ną butelkę oleju. Bronisław Lewicki, lat dziewiętnaście, zwolnio-
ny od służby wojskowej z powodu padaczki, wsiowy przygłupek,
syn Kazimierza i Leokadii, nieżyjącej od lat dziewiętnastu, kiwał
się nad krową, płakał. Oczy miał wylupiaste, czerwone jak u kró-
lika, włosy białe, szpeciniaste, rzęsy też świńskie. Jakby się Le-
wicka w świnie zapatrzyła, powiedziała na nieszczęście Lewic-
kich Jasińska do starej Grzybowej. Stara Grzybowa poszła do
starej Nosiorkowej i powiedziała, że Jasińska powiedziała, że
Lewicka ma dzieciaka od świni. Stara Nosiorkowa czym prędzej
poleciała do Tasławskich i powiedziała, że słyszała od Grzybo-
wej, a ta słyszała od Jasińskiej, że Lewicka ma dzieciaka z knu-
rem, a przecież Jasińska kłamać nie mogła, bo rodzona siostra
Lewickiej. Stara Tasławska, żegnając się krzyżem świętym co i
rusz, pognąła do Krysiaków i powiedziała, że nowo narodzony
dzieciak Lewickiej ma ryj zamiast bużki i że Jasińska ten ryj wi-
działa na własne oczy, i widziała też, jak Lewicka zadawała się z
knurem. No tak, powiedzieli u Krysiaków, to by się zgadzało, bo
jak poleciliśmy oglądać dzieciaka, to Lewicka najpierw wcale
nie chciała pokazać, a jak pokazała, to tak, aby bużki nie było
widać, ale my najwyraźniej widzielim coś spiczastego w szmat-
kach, musi ten ryjek; a dzieciak, to już słyszeliśmy na pewno, że nie
płakał, ale chrząkał; tak było, no nie? - powiedziała Krysiakowa
do teściowej. Stara Krysiakowa, żegnając się krzyżem świętym,
powiedziała, że a jakże, nie inaczej, jota w jotę czyste chrząkanie,
a później dodała, że ona zawsze mówiła, że w tym musi być coś
nieczystego, ponieważ ten wielki knur Lewickich, taki dziki a
rozjuszony, nikomu do siebie nie pozwalał się zbliżyć, tylko jed-
nej Lewickiej łeb podstawił do drapania, o czym pół Zasławia
może poświadczyć, bo pół Zasławia to oglądało nie raz i nie dwa,

jak knur przy Lewickiej chrząkał, a śmierział całkiem tak, jakby się moczył przy maciorze. I zaraz od Krysiaków pobiegli do Iwaniuków, od Iwaniuków do Kłusaków, od Kłusaków do Lipieniów, a Lipieniowa powiedziała, że oczywiście Lewicka jest sodomitką, bo właśnie od Lewickiej wróciła, gdzie chodziła oglądać tego niby dzieciaka, którego ma paluszki przy rączkach obu poprzerastane jeden do drugiego, a nad pośladkami ogonek zakręcony w pętelkę; bo, powiedziała Lipieniowa, właśnie się zebrał, i Lewicka go przewijała, i widać było wyraźnie, że to nie żaden dzieciak, ale mały knurek, i trzeba by do księdza, niechaj przyjeżdża z Przysuchej, wyklina Lewicką, gdyż sodomia to gorzej niż grzech śmiertelny. Tylko Lewickiego szkoda, powiedziała jeszcze Lipieniowa, bo on porządny, pracowity i bardzo za swoją Leosią. To Krysiakowa nie wytrzymała i poszła do Lewickiego w pole. Rwał akurat zielsko dla świń i knura. Lewicka, powiedziała, tylko zachowaj spokój, ale powinienes sprawdzić, od kogo masz knurka zamiast dzieciaka. Odejdź, babo, bo cię widłami po oczach! - krzyknął Lewicki - jak śmiesz takie bzdury wygadywać! Widły ty schowaj dla swojej Leosi, odcięła się Krysiakowa, lepiej się przypatrz, kogo ona w szmatki opatula. Wszyscy w całej wsi wiedzą, że twoja Leosią zadawała się potajemnie z knurem. Są tacy, co sodomie na własne oczy widzieli, ale ci nic nie gadali, bo im było ciebie żal. Coś musisz zrobić, bo knurka chować między ludźmi się nie godzi. Oczka u niego kaprawe, szczecina zamiast włosów, ogonek mu nad dupką wyrasta pokręcony w pętelkę, a paluszki błonami poprzerastane. Idź, obejrzyj sobie swego synka pięknego, bo my tu zaraz do Przysuchej jedziem po księdza, żeby twoją sodomitkę przeklął na wieki wieków, amen. Lewicki zielsko cisnął, widły cisnął, pognął do domu.

A Krysiakowa po drodze spotkała Jasińską i opowiada jej, że sprawę knurka już z Lewickim załatwiła. Jezus Maria, przeraziła się Jasińska, a o czym ty gadasz? A jakże o czym? O tym poczętym pomocie knurzym, sama przecież gadałaś do Grzybowej, że Lewicka sodomitka. Jezus Maria! - krzyknęła Jasińska - ja tylko tak dla żartów powiedziałam, że widać Leosia zapatrzyła się w świnię, skoro takiego białaska porodziła! I biegiem do siostry. Lecz było już za późno. Lewicki zdążył wpaść do chałupy, dzieciaka ze szmatek wytrząsnął na podłogę, patrzy i widzi, że coś on nie taki jak inne dzieciaki. Cały biały, ryżawa szczecina na główce, oczka kaprawe, paluszki co prawda niepoprzyrastane, ale nad dupką coś na kształt ogoneczka. Pchnął żonę w pierś, wypadł na podwórze, za siekierę i do knura. Knur był wielki, łeb jak kocioł, ledwo go Lewicki podrębał, a knur się wyrwał i z tym podrębanym łbem lata jak wściekły po całym obejściu, juchę wszędzie rozlewa i ryczy kwikiem śmiertelnym. To Lewicka pozbiierała z podłogi swego nowo narodzonego, ułożyła w szmatki, a sama się powiesiła. Jak ją Lewicki odcinał ze sznura, już nie dychała. Lewicki szlochał, żonę tulił, całował, a potem znów za siekierę, bo Jasińska nadbiegła, i ją chciał zarębać. A potem znowu szlochał, a potem niańczył swego białorzęsego, huśtał, kołysał, nosił na rękach, karmił butelką i kochał go tak, jakby to on go na świat wydał. Syn chował mu się źle, stale ropiały mu oczy, mowę długo miał trudną, no i przygłupi, bo za zwierzętami wprost przepadał. Niech zobaczył, że konia biją drągiem, od razu dostawał konwulsji. Niechaj kwik zarzynanej świni posłyszał, to też w konwulsjach na ziemię. Mięsa do ust nie brał. Wszystkie na pół zdechłe koty, sparszywiałe psiaki znosił do chałupy, karmił, hołubił, a zdechłym pogrzeby wyprawiał. To dlatego jego Goździcki, Lipień i Teodorek wybrali na podpalacza. Taki się nadaje;

jeśli go złapią, strata niewielka. Żeby w nim do Kubiaka niena-
wiść rozpalić, nagadali, że Kubiak znęca się nad bydłakami. Ko-
nia tak bił, że aż padł. Krowę na śmierć zagłodził. Żywego kota
do pieca wrzucił. Podpal, namawiali, tego bolszewika, bolszewi-
cy wszyscy tacy.

W sądzie podpalacz dostał najniższy wymiar kary, ale siedzieć
nie poszedł, bo w zawieszeniu. Goździcki dostał dziesięć lat, Li-
pień z Teodorkiem po siedem. I kto by uwierzył: podpalony bro-
nił podpalacza! Powiedział sądowi, że on nie winien, spójrzcie
tylko na jego popalone ręce, zobaczcie jego popalone do żywego
plecy; żeby nie on, i ja bym się spalił, i moja krowa, prawie jak
dzieciak jeszcze, to go uwolnijcie, gdyż był jedynie ślepym nar-
zędziem, niczym więcej. Od tamtego czasu stary Lewicki, dopó-
ki żył, skoczyłby w ogień i w wodę za Kubiaka. I ten młody
przygłupek tak samo. Czcili Kubiaka niczym świętego. Poparzo-
na krowa wyżyła wyłącznie dzięki Lewickim. Nigdy dotąd nie
paśla się takim wspaniałym sianem jak tamtej zimy. Stary Lewic-
ki z wdzięczności za syna przywiózł Kubiakowi dwie fury siana z
koniczyny, dwa dobrze podchowane prosiaki, cztery kokoszki z
kogutem, kilka worków żyta i jęczmienia. Więc powiedzieli
wszyscy w Zaslawiu: przekupuje Kubiaka, drań. Potem powie-
dzieli: ten bolszewik to ma łeb, głupka namówił, coby go spalił,
bo chciał od Lewickiego siano wydębić, na swoim krowy by do
wiosny nie wyżywił. A potem powiedzieli: a wszystko było
umówione, żeby porządnych ludzi wsadzić. A potem znowu: ten
cały pożar to cyrk, bolszewik się sam podpalił za wiedzą władzy,
dlatego Lewickiemu dali w zawieszeniu, gdy tymczasem Goź-
dzicki, Lipień i Teodorek gniją w kryminale. A kiedy ociełiła się
krowa Kubiaka, powiedzieli, że to wszystko, łącznie z pożarem,
jest dziełem szatana. Krowa już na przednówku była taka gruba,

żeomal jej brzuch nie pękało. Będzie miała ze dwa, o kurwa! - powiedzieli - a żeby tego przekłętą bolszewika pojebało, toż on na tym pożarze się obłowił; gdyby nie pożar, krowa by mu zdechła, prosiaki sparszywiały, a kury bez koguta by niosły puste jajka. A tu patrzcie: krowa jak bania, świniaki darmowe, także kokoszki z kogutem i jeszcze jak amen w pacierzu będzie miał dwa cielaki zamiast jednego. Kurwa, przeżyć to trudno! U kogo były aż dwa? U Jasińskiej, dawno temu. I u kogo jeszcze? Aha, u Grzybów, ale te aż przed wojną. A ta krowa Kubiaka z dnia na dzień coraz bardziej rozdepta. Nie miała siły dźwigać kałduna, podnosili ją ostrożnie na pasach, Kubiak z Lewickimi, wyprowadzali na spacer koło studni. Wymię przybierało, niedługo powinna się cielić. Takiego wymienia nikt jeszcze nie oglądał, wlokło się prawie po ziemi. Ludzie kochane, toć to stara krowina. A może ona wcale nie cielna, ale zapowietrzona? Daj, Panie Boże, co by była zapowietrzona i co by zdechła. A tych trzech krówkę hołubi, masują jej cycki, godzinami rozcierają. U Kubiakowej cycki jak dwa naleśniki, stary Lewicki w ogóle zapomniał, co babie zwisa nad brzuchem, a młody na to za głupi, więc przynajmniej wszyscy trzej z krówką się popieszczą - powiedziała Lipieniowa i Zaslawie tarzało się od śmiechu. Krowa Kubiaka ocieliła się z początkiem maja i przyprowadziła nie dwa, nie trzy, ale cztery cielaki! I wszystkie cztery jałoszki! Ludzie, trzeba coś z tym Kubiakiem zrobić! Spalić go dokładniej, drągami zatłuc, albo co innego, bo inaczej zwariować przyjdzie, powiedziała Lipieniowa. Goździcka, przesuając w paluchach paciorki różańca, powiedziała, że to wszystko za sprawą szatana, i przewróciła białkami oczu. Zesztywniała. Szatan, szatan! - wyjęczała Grzybowa. Patrzcie, ludzie! tam! tam! wysuwa się z komina Kubiaka pod postacią dymu! - wrzasnęła Teodorka i też zesztywniała. I wszyscy

zaraz szatana zobaczyli. Wysuwał się czarny, smolisty, majtał długim włochatym ogonem; wtedy Jasińska, osuwając się na kolana, powiedziała, że ona tego szatana czarnego widywała wprost nad głową Kubiaka, wtedy, kiedy dłużycę z Kamionkowego Lasu ciągnął. Nie chciałam niczego gadać, zawołała Iwaniuczka, ale na własne oczy widziałam, jak Kubiakowi sama siekiera doskakiwała do pnia i drzewo raz raz się waliło zrąbane. Ale, powiedziała Kłusakowa, wczoraj idę, patrę, a tu przez podwórze Kubiaków hyc, hyc, same wiadra do studni doskakują, napełniają się wodą i hyc, hyc do chałupy wracają. Nosiorkowa zawołała, że ona nie widziała wiader, ale widziała polana, które same się niosą dużymi wiączami wprost do chałupy Kubiaka. Okazało się, że każdy widział coś, co musiało być robotą szatana albo samym szatanem. Módlmy się, powiedziała Goździcka. I poklękali wszyscy. I odmówili litanie do wszystkich świętych. Kyrie elejson, Chryste elejson, usłysz nas, wysłuchaj nas. Abyś błagania nasze łaskawie przyjąć raczył, Synu Boży. Ciebie prosimy, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wysłuchaj nas, Panie. Żeby się spalił po raz drugi razem ze swoją krową. Żeby mu chociaż te jałoszki wyzdychały, żeby jego darowane przez Lewickiego sodomitę prosiaki sparszywiały. Żeby jego kokoszki z jarzębiatym kogutem się potruły. Żeby on sam, bolszewik szatański, szczeł i żeby szczeł jego pomiot niemy. Chryste, usłysz nas. Chryste, wysłuchaj nas. Amen. Lecz Kubiak miał się dobrze, chociaż rany po ogniu goiły się na nim ciężko. Prosiaki rosły. Kokoszki znosiły jaja. Krowa nie dostała zapalenia wymion. Jałoszki wesoło brykały wokoło studni. Tego przeżyć niepodobna. Nie do darowania to. Więc ruszyli.

Najpierw szły Bożenka Krysiaków, ta najmłodsza, pięcioletnia, z Polonią Iwaniuków, Krysią Nosiorków, Franią Kłusaków.

Ubrane na biało, jak do procesji. Wianuszki z kwiatków na główkach. Koszyczki z pociętymi kwiatkami przewieszane przez piersi. Niewinne takie, ponieważ wiadomo, że diabły najbardziej boją się niewinności bezgrzesznej. Za nimi kobiety w żałobach poniosły krzyże święte i święte obrazy, odmawiając nowenny, a dopiero za kobietami mężczyźni, którzy w odpowiednim momencie wysuną się na czoło pochodu i potem już nic, ani kamień na kamieniu. Szli. *Kyrie elejson, Chryste elejson. Jezu, usłysz nas. Jezu, wysłuchaj nas.* Widziała przez okno ten zbliżający się pochód. Ogarniała ramionami syna. *Drągi, siekiery, cepy, bosaki, kosy. Las pod niebo wysoki. A ono czyste, bez jednej chmureczki. Zda się sam spokój, sama łagodność, tkliwość nieskalana. Różowe stokrotki nad piegowatym czółkiem Poluni; błękit oczu Bożenki, która, że najmłodsza, gubiła rytm, potykając się na kamieniach. Kyrie elejson, Chryste elejson. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. Ponad główkami oplecionymi w pachnące wianuszki, ponad niewinną bielą sukieneczek, ponad żalobną czernią kobiet, ponad wyrosłym lasem kos, bosaków, cepów, siekier słońce mieni się na ostrzach, błyska, skrzy. Doszli. Zatrzymali się. Pochyliły się niewinne główki, wonne kwiatki sypnęły się z koszyczków, czarne rękawy sukien uniosły się nad czarne kokony głów w chustach żalobnych nad obrazy z Matkami Boskimi, uśmiechającymi się słodko a miłosiernie, nad krzyże z Panami Jezusami ukrzyżowanymi dla zbawienia ludzkiego; Synu Boży, Ciebie prosimy, abys błagania nasze przyjąć raczył; drągi, cepy, siekiery, kosy, kwiatki, biele, czernie, a od granatowej ściany lasu nad Zakolem grzmot. Niebo ciągle czyste, nie zapowiada burzy. Grzmot drugi. Chmura piaszczystego pyłu leci, gna, grzmi, coraz bliżej, tuż, tuż, już. Chryste, wysłuchaj nas, Chryste usłysz nas! Wołania błagalne w tym*

grzmocie zacichły, zachłyśnęły się pyłem, zadławiły, i pomieszały się szyki skrzydlatych aniołów z ukrzyżowanymi Jezusami Chrystusami, Matki Boskie upadły w pył drogi, Chryste zmiłuj się, i żywe diabły pod czerwonymi krawatami wdarły się między naród z rykiem silników ciężarówek. Diabły żywe z krwi i kości, na czterech ciężarówkach, nad którymi łomotały czerwone sztandary i transparenty. Usta mają rozwarte, a z tych ust pieśń grzmi, że była wioska nad Kamienną, a w tej wiosce było ciemno! Rozwiały się żałobne chusty, przemieszały z rzucanymi na oślep kosami, siekierami, drągami, bosakami, między które zawadziła się nagłą czerwienią biała dotąd Polunia, a krzyk Iwaniukowej: Dziecko! Tratujecie mi dziecko! - pogrążył się w tym ryku gardzieli, że była wioska nad Kamienną, w łomocie czerwonych sztandarów i grzechocie motorów. Zakurzyła się tumanem droga, rozłomotała się tupotem tych, co przyszli, aby kamień na kamieniu już nie, a teraz uciekali przed żywymi diabłami z ciężarówek. Uciekali w panice, wdeptując wianuszek Poluni, jej koszyczek i ją samą między ostrza kos, siekier, bosaków, upadłych Matek Boskich, Panów Jezusów ukrzyżowanych.

I kto jeszcze ośmieli się powiedzieć, że ten przeklęty bolszewik nie zawarł paktu z samym Lucyperem? Bo już nie o jednego szatana chodziło, nie z jednym walczyć, ukrytym za przegniłymi belkami starej chałupy, z której nie powinien kamień na kamieniu, nic ani nikogo, lecz o setkę, a może i więcej, młodych, silnych, zdrowych na czterech ciężarówkach, śpiewających mocno a pewnie o tej wiosce nad jakąś Kamienną. Gdyby przyjechali piętnaście minut, pół godziny później, to szatan, zamknięty w chałupie Kubiaka razem z Kubiakiem, Kubiakową, niemową, Lewickim starym, Lewickim młodym, ległby pod belkami, przywalony raz na zawsze, zwyciężony, pokonany i nawet kamień

na kamieniu by się nie ostał. A teraz odąd i po wsze czasy będzie panoszył się nad Zaslawiem. Przyciśnięty zbyt mocno do piersi syn zapłakał. Ciężarówki hamowały ostro, nie chcąc rozjeżdżać porzucanych świętych obrazów, krzyży, wianuszków, krwawego buciczka Poluni. Co tu się dzieje? Co jest? Śpiew w gardłach diabłów zamarł. Zeskakiwali z ciężarówek pobladli, przerażeni. Na ganku bielszy od śniegu Kubiak powoli, jakby po omacku, jakby oślepli, ocierał ciągle jeszcze żywe rany czoła żywą raną dłoni. Człowieku! Co tu się działo? Nic takiego, odpowiedział. Po prostu szła procesja, a wyście ją rozgonili. Kyrie elejson, Kubiaku, coś ty zrobił? Taka okazja, jedyna, żeby za te rany czoła, dłoni, pleców, ramion, za tę całą swoją mękę, za wszystko, co cię do tej pory od nich i ode mnie spotkało, żeby za ich nienawiść i moją odpowiedzieć również nienawiścią, a byłaby to nienawiść sprawiedliwa i niegrzeszna. Rozgonili, powtórzył. Kyrie elejson, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, co tobie, Kubiaku, który przestałeś być piękny, który straciłeś czerwień ust, który paliłeś się w ogniu, którego kamienowaliśmy, któremu życzyliśmy śmierci, dlaczego twoje oczy z opalonymi powiekami nie straciły jednak miodnego koloru? I przycisnęła syna silniej do siebie, nie zważając na jego płacz. To była tylko procesja, nic więcej. Suko, ty go kochasz, usłyszała za plecami; ręce Małomównego spadły na jej ramiona. Zacisnęły się. Zbliżyła się do jej twarzy spotniała twarz Małomównego. Między siniejącymi od wściekłości wargami biały bąbelek śliny. Kochasz go, tego skurwysyna. Bąbelek prysnął. Małomówny odrzucił syna na łóżko. Tłukł jej głową o ścianę. Bił pięścią po obrzmiałych pokarmem piersiach. Kochasz go, suko, widziałem to kochanie w twoich oczach. Bił, dyszał, aż zadyszany oddech przeszedł w sapanie. Syn płakał, więc pośpiesznie, byle szybciej, byle raz raz, syn tak

płacze, rozsunała nogi. Nie ciesz się, suko, powiedział Małomówny, gdy podnosiła się splugawiona z tej splugawionej podłogi, i tak go ktoś zarąbie prędzej czy później. Podeszedł do okna. A wyglądało na to, że nadszedł jego parszywy koniec, powiedział.

To jednak nie był koniec. To był początek. Bo tak skończył się Kubiak, a zaczął Prezes. Och, durni ludzie, żebyście go nie palili, nie wynajęli tego głupka Lewickiego, kochającego nawet białawe glisty, to krowa Kubiaka nie przyprowadziłaby czterech jałoszek, gdyż siana w stodole miał niewiele, bo przecież jak szalony dniami i nocami strugał tę swoją nieco krzywą, lecz bezczelnie wielką oborę, całymi nocami rzeziła piła, rąbała siekiera, stukał młotek, a ta jego ciężarna mysza roztkliwiała się nad sobą z powodu rosnącego w niej owocu, wody jej się nawet nie chciało wyciągnąć ze studni, wszystką robotę zwała na jego piękną głowę, ale on, ten dureń, właśnie taką niedorajdę wybrał sobie na żonę i umiłował ponad wszystkie inne, a przecież każda inna byłaby lepsza od szarej myszy, której cienkie ręce takie blade, takie czyste, tak mało spracowane. To, jeśli wybrał, niech ma, drań, i niech wie, co wybrał. Tadek!

Przynies wody! - wydiera się szara mysza z ganku. Tadek, ogień zagaś, trzeba napalić!

Ech, ty durniu, a ty stale i stale, gdy zbliżasz się do niej, masz w oczach taką jasność, jakbyś do świętej się zbliżał, za to w oczach twojej szarej myszy najmniejszej jasności już od dawna nie ma. Ona na ciebie patrzy jak na kołek w płocie, jak na stos drewna. Ona ma cię dość, opatrzyłeś się. Siedzi na ganku, siedzi, głowę zwiesi, opuści patykowate ramionka, a ja! - popatrz na mnie, moje piersi wysokie, moje ramiona mocne, moje usta jak twoje, pęcznieją czerwienią i są czyste, nietknięte, bo ani Kowal, ani Małomówny moich ust nie potrzebowali, włożyli tylko na

mnie, załatwiali swoje potrzeby raz raz. Czemu nie pożądasz moich ust, moich włosów do pasa długich, w lśniącym warkoczu? Omijasz mnie wzrokiem. Swoje oczy, usta, ramiona jej ofiarowałeś, która tam siedzi na ganku jak ostatnia flądra, grzebie w ziemi patykiem, rysuje esy floresy. Tak, ludzie: nie należało go palić. Dla jego krowy siana starczyłoby najwyżej do przednówka, a potem cztery jałoszki przestałyby się w krowim brzuchu ruszać i wycieliłaby wszystkie cztery martwe, a on mógłby w swojej nowo wybudowanej oborze powiesić się ku naszej wielkiej radości. A jakby się nie powiesił, toby wiosną darł swój spłachetek ziemi pazurami, bo ani krowy, ani konia, i orałby znowu szarą myszą, a my by na to patrzyli, ludzie, obserwowali; przecież my lubimy obserwować konanie drugich, i my by obserwowali, radując się jego konaniem. Jak z każdym dniem daremnie walczy o przetrwanie, i patrzyliby my na jego szarą myszę, coraz bardziej szarą.

Kocham żonę, Katarzyno, kocham żonę.

Ach, zobaczyć ją charczącą od wysiłku, upadającą, co za radość, hosanna.

Tak, ludzie, tak: to był błąd, ten pożar. Należało Kubiaka zostawić losowi. A teraz ten los obrócił się przeciwko nam i szydzi, kpi, pluje nam w twarz, natomiast Kubiaka obdarował aż czterema jałoszkami. I z każdej wyrośnie krowa. I będzie co roku przyprowadzać nowe jałoszki albo byczki. Tak, ludzie, tak, ale nam jakby tego pożaru za mało, jakby nie dość otrutego konia, kamieni na nagich plecach Kubiaka i tego stukania łopaty o ściętą mrozem ziemię.

Głuchy stuk niósł się echem aż po Zakole w przyczajonej i za dnia ciszy, ciągle jeszcze dymiącej zgliszczami i wszędzie, gdzie spojrzysz, wszędzie niepokalana biel śniegu, tylko tutaj, za płotem, szaro, śmiertelnie, a czarne zygzaki wron skrzeczą, kołując

nad pogorzelskiem jak nad padliną. Niebo wygląda niczym zamarznęta tafla Zakola. I widać wyraźnie, że tam, w górze, nie siedzi żaden Bóg ani żadna Panna Święta, bo gdyby siedzieli, to na widok tego, co się działo w tej przysypanej popiołami ciszy, zawyliby, zaskowytali, zajęczeli. Ten bolszewicki skurwysyn żyje, powiedział Małomówny, wracając z wychodka. Ojciec nasz, któryś jest, dzięki Ci za cud. I przykryć czym prędzej oczy powiekami, schować pod nimi tę szaloną radość; ogłuszyć serce, niechaj nie łomocę. Widziałem go, powiedział Małomówny, wyciągał coś drągiem z pogorzelska, może resztki upieczonego prosiaka. Będą mieli co obgryźć na śniadanie. Gorzały mi tu dawaj zara, suko. Dała. Cały litr. Bez odmierzania. Niech chleje. Niech się zachleje szybko, natychmiast; ach, jak długo tym razem trwało, nim się zachlał i walnął na wyro, zachrapał. Ale tam, na dworze, cicho. Skrzypnęły jedynie drzwi u Nosiorków, okutana chustami Nosiorkowa przemknęła chyłkiem, po złodziejsku, przez własne obejście do własnego chlewu. Cisza, cisza. Od jednego końca wsi do drugiego. Tylko te wrony wrzeszczą i wrzeszczą; podwórze Kubiaków puste. Nikogo. Poprzez pogorzelsko rozległy widok na zaśnieżone pola. Nic go nie przesłania. Szeroko, przestrzennie. Jakiś ptaszek przeskakuje z grudy na grudę. Tam, koło studni, ciemniejsze wgłębienie, patrzy na nie obojętnie, nie wiedząc jeszcze, że to miejsce narodzin bolszewickiego syna. Nie wie, ale właśnie słyszy: ciszę przerywa stuk młotka. Kto tam tak młotkiem stuka? Kto ma aż tyle siły, aby młotek unieść i stukać nim raz po raz? Urywanie, pośpiesznie, agonalnie? Jakby to nie młotka stukanie, ale serca bicie, które kona, wybija ostatni rytm życia i nie chce się jeszcze poddać, jeszcze nie chce zacichnąć, jeszcze próbuje dogonić życie takim gwałtownym, oszalałym stukotem. Aby naraz ustać i znowu wybuchnąć, lecz

jakoś słabiej i słabiej, już wolniej, już prawie niedosłyszalnie, już tylko raz, i już więcej nie. Staęło. Wyszedł na próg, trzymając przy piersiach skrzyneczkę, przymrużył oczy, jakby oślepiony czystością zamarznętego nieba. Nie był piękny. Nad oczami płonęło żywe mięso czoła, przyciskał wypalonymi palcami tę skrzyneczkę, skrzyneczkę malutką; ach, znała takie skrzyneczki, tak małe, że patrzysz i myślisz, że to skrzyneczka na rumiane jabłuszka, ale ona nie na jabłuszka; pomagała takie skrzyneczki zbijać swojej matce, Głupiej Kazieczce, pomagała je grzebać w sadku pod jabłónką albo wisienką; niech odpoczywają w spokoju, modliła się jej matka, Głupia Kazieczka, i naprawdę była głupia, ponieważ powtarzała poprzez grube łyzy, że nie wiń ich, Panie nasz, za mój grzech, ale weź je do siebie, przyjmij do Królestwa Niebieskiego, bo choć poczęte w grzechu, to mu niewinowate, amen. A ten tu, mimo że nie znał jej matki, Głupiej Kazieczki, zbił skrzyneczkę tak samo malutką i zaniósł ją do sadku, którego gałęzie nagie, oczerniałe od jęzorów ognia sterczały na lewo za przykurzoną chałupą i dlatego straciła go z oczu, ale ci po tamtej stronie drogi musieli widzieć Kubiaka wyraźnie. Ona jedynie słyszała jęk rozkuwanej ziemi, o którą łomotała łopata. Długo. Bardzo długo. Granatowa ściana lasu nad Zakolem odpowiadała echem, ono zaś niosło się na wszystkie cztery strony świata i ze wszystkich czterech stron świata łomotało, zgrzytało, wyło; setki łopat, tysiące ich, lecz nie otworzyły się ani jedne drzwi, nie odezwał się ani jeden głos, człowieka czy Boży, nie drgnęło ani jedno sumienie, nie rozplakało się ani jedno serce. Nie, nigdzie; jakby sami głusi, niemi, martwi wypełniali tę wieś od końca do końca, jakby w kamienie zamienili się wszyscy żywi. No, ale żywi nie wiedzieli o tym, że w tym samym czasie, w którym Kubiak drążył w lodowatej ziemi dołek dla swego złodowaciałego

syna, podpalacz Bronisław Lewicki wraz z ojcem Kazimierzem Lewickim już zniknął za wsią, uwożony przez sanie po leśnym dukcie, wiodącym na skrót do powiatu i że właśnie tą najkrótszą drogą, poganiając konia, jadą prosto na posterunek milicji i nie minie południe, jak wieś ożyje, rozlegną się krzyki, przekleństwa, jęki i błagania, bo wieś otoczona milicją i wojskiem z czterech stron, więc nie uda się uciec Goździckiemu do lasu, dopadną go w polu; Teodorka wywloką spod stogu siana, Lipienia zaś zwałą kolbami ze stryszku, co nazajutrz opisze wojewódzka gazeta na pierwszych stronach, pod wybitym grubą czcionką tytułem: *ZDECYDOWANA AKCJA MILICJI I LUDOWEGO WOJSKA*, a poniżej, nieco mniejszą: *niszczy w zarodku gniazdo reakcjonistów*. I jeszcze niżej: *Wczoraj w zabudowaniach małorolnego T. K. we wsi Zasławie powiat Lasy wybuchł groźny pożar. Podpalaczem okazał się nieświadomy klasowo, dziewiętnastoletni B. L., syn średniorolnego K. L., który wraz z ojcem zawiadomił o przestępstwie organa ścigania i wskazał na istnienie w Zasławiu zorganizowanej bandy opozycyjnej, wrogiej ludowemu państwu. Dzięki zdecydowanej akcji ujęto przywódców, miejscowych kula-ków: Jana Goździckiego, Wiktora Teodorka oraz Stefana Lipienia. U J. Goździckiego podczas rewizji znaleziono broń palną, prokurator zapowiada proces w trybie doraźnym. Śledztwo w toku*. Dlatego, kiedy szli z kosami, drągami, siekierami, aby nawet kamień na kamieniu nie, szatan zmienił kolor skóry i z czarnego przemalował się na czerwono. Przepędzić go z ziemi naszej, znaczy ocalić się. W Przysuchej, piętnaście kilometrów od Zasławia, święta własność splugawiona jakąś spółdzielnią, czyli zwyczajnym kołchozem, na przymus, pod kolbami, z paleniem krzyży i obrazów świętych, z biciem, kopaniem, lżeniem, więc pod Twoją opiekę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko. U nas

wsadzili trzech, zgniją w kryminale. Goździcki dostał dwanaście lat, za co? Powiedzcie, za co? Za tę parabelkę zardzewiałą, bez zamka, ślepą więc niczym szczęnię, zapomnianą na powale? Dwanaście lat! Litości, ludzie, przecież gdy wyjdzie, będzie miał siedemdziesiąt i osiem. Ech, Panie Boże, czemuś Ty nas opuścił, nie oświecił na czas, nie wskazał drogi? Bo należało, gdy ten ogień rozświetlał grudniową noc, knurzy pomiot od razu przywalić, przytrzymać i siekierą, i zaraz lecieć do starego Lewickiego, wywołać go z chałupy i też siekierą, a później obu - i syna, i ojca - w ogień wrzucić, chatę zaś Kubiaka też oblać naftą, żeby już naprawdę kamień na kamieniu nie. Ale my, Boże nasz, miłosierni, nie chcielibyśmy mordy, tylko sprawiedliwości, my dla Ciebie, Panie, i w Twoim imieniu i tego konia strulimy, i te kamienie w grzbiet kacapski ciskalimy, i ten pożar też. Wszystko dla Twej chwały, Panie, przeciwko grzechowi i zarazie bolszewickiej, lecz kto mógł przypuszczać, że stary Lewicki to taki ostatni skurwysyn, który sprowadzi na nas, braci swoich, wojsko i milicję? Przecież on stąd. Od nas. Nie obcy. Nie przybłąda. I też walił po kacapskich plecach kamieniami, a wybierał co większe. W jego chałupie na każdej ścianie wisi krzyż, gdyż od czasu, kiedy powiesiła się jego Leosia, co niedziela gnał konia do kościoła w Przysuchej, nie opuścił ani jednej mszy świętej i aż się z niego prześmiewaliśmy, że robi się taki sam jak Goździcka, która nawet w wychodku pacierze klepie. Więc on, co od śmierci swojej baby opłatywał dłonie różańcem, na słowo bolszewik prawie drgawek dostawał, i pamiętasz, Nosiorek, jak gadał, że konia osobiście zarżnie i każde inne bydłatko swoje, ale nie odda w tę ichnią spółdzielnię; tak mi dopomóż Bóg, przysięgał. Nie wyrozumieć nam wyroków Twoich, o Panie! Patrzenie teraz na Lewickiego, jak

hołubi bolszewicką krowę, jak swojej własnej od mordy odejmując, zwozi dla tamtej pachnące koniczyną siano, jak tego niemego bękartu zabawia, a śpiewa mu luli, luli, chociaż wiadomo na pewno, że bękart i niemy, i głuchy. I dobrze, że niemy i głuchy, to jedyny jak dotąd znak od Ciebie, Panie. Ale Ty z góry tam powinienes oglądać swoimi sprawiedliwymi oczami, jak ten skurwiel bolszewicką sukę wyprowadza na ganek, podtrzymuje, bo ona wciąż do siebie przyjść nie może po tym połogu na mrozie, jak okrywa plecy chustą. My jednak myślimy tak, że ta zmiana w Lewickim to już nie za Twoją sprawą, Panie. To szatan w niego wstąpił, szatan opętał, a dla szatana nie ma zmiłowania. I niechaj kamień na kamieniu nie, razem z Lewickim starym i młodym, Kubiakiem, jego suką i bękartem. A potem mogą posadzać nas wszystkich, abyśmy pospołu cierpieli za sprawę świętą, gnili żywcem po kryminałach, stali się dla narodu wszystkiego męczennikami, do których inni jak do świętych modlić się będą. Tak nam dopomóż Bóg. Małomówny między jednym a drugim zachlaniem bił po piersiach, kopał w brzuch, powtarzał: I ty, suko, przysięgnij na Boga. I ty powiedz: Koniec z kacapem, tak mi dopomóż Bóg. Ach, jakież z Małomównego męczennik i bohater! Gdzie jesteś, Boże wielki, Boże prawdziwy, który spoglądasz na tych swoich bohaterów i męczenników, co to my naród są powiadających, a którym tak naprawdę rozchodzi się o te cztery jałoszki, o nic więcej. A co byście krzyczeli bohaterowie, męczennicy, gdyby tak te cztery jałoszki zdarzyły się Kłusakowi? Iwaniukom? Lipieniom? No, co? Opuścilibyście łby, oczy wbili w ziemię, schowali w sobie głęboko tę zadrę, że dlaczego właśnie Kłusakowi, a nie mnie? Kłusakowi, którego żeby pokręciło, osrało, bo czemuż jemu, na Boga, nie mnie? Dlatego na pomoc należało wezwać szatana, nim się zasłonić, wołać, że

się rozchodzi o sprawę świętą, a nie o świder zazdrości, który w mózgu świdruje, oczy mgłą wściekłości przesłania.

Pamięta: aż do południa nic nie wiedziała o tych przeklętych krowich czworaczkach; sadziła kartofle, syn bawił się rączkami, siedział pod krzakiem; nad synem rozchwiał się razem z gałązką ptaszek, czyścił piórka; dobry znak, szczęśliwy; synu, serce moje, uśmiechnij się, pociesz mnie swoim uśmiechem, ponieważ słabnę. Twój ojciec, synu, bydlak ostatni, odnalazł moją schowankę z kartoflami, w której jeden jedyny worek, czy ty rozumiesz, synu, serce moje, co on nam zrobił? Przechlał worek kartofli do sadzenia, wypracowany na odrobnkach, i tyle nam zostało, co ten koszyk z małymi jak orzeszki bulwkami; och, synu, serce moje, jak dobrze, że niczego nie rozumiesz, bo zamiast bawić się rączkami, zanosiłbyś się płaczem. Nie będą nam i w tym roku jeszcze chrząkały świnki, chociaż im korytko zbiłam z jasnych desek i chlewik poreperowałam, obieliałam i nawet słoma rozrzucona czeka, ale czeka na próżno; przejdzie wiosna, lato, jesień, śniegi zawieją pola i drogi i znów rzadka kasza zabieleną mlekiem bez jednej skwareczki; rano kasza, w obiad kasza, dobra gospodyni nasza, ale ta kasza, synu, serce moje, tylko dla ciebie i tego bydlaka, twego płodziciela, tylko dla was podprawiana śmietaną, dla mnie kubek wody i chleb postny, ponieważ muszę, synu, serce moje, śmietanę oszczędzać, coby z niej zbić masło, a to masło na targ zanieść do Przysuchej i sprzedać, inaczej byśmy, synu, i na tę kaszę nie mieli. I chyba trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby zbijać dla nieistniejącego prosiaczka korytko, chlewik naprawiać; ale śniło się jej rozrośnięte fioletowo od kwiatów kartoflisko. I śniły się wieczory długie, zimowe, pachnące patelniami smażonych, chrupiących mączyscie kartofli. A tych bulwek starczyło zaledwie na zagonek. Chodź, synu, serce moje, obejmij

mnie łapkami za szyję, trzymaj mocno, wracamy do domu. W domu Małomówny powiedział: Temu twojemu skurwysynowi ociełiła się krowa i ma cztery jałoszki. Od gorzały rozum ci się miesza - cztery! A czemuż nie dziesięć? Cztery powiadam, suko! a wszystkie skikają, diabelskie nasienia. Usiadła przy stole, w nogach nagle miękkowato, lecz nie od radości, o nie! bo jeśli się Kubiakowi wychowają, to za trzy lata będzie miał od razu pięć krów! Kto tu, poza Goździcką, ma pięć krów? Nikt. I nieoczekiwanie dla siebie samej zapragnęła, aby mu te cztery nowo narodzone jałoszki zdechły. I żeby ta krowa, wypasiona sianem od Lewickiego, zawrzodziła się i też zdechła. To była myśl jak błyskawica, która uderzyła i w głowę, i w piersi, aż serce od bólu stanęło, lecz zaraz błysnęła druga: Nie! nie! niech mu się chowają zdrowo; lecz tamta pierwsza okazała się silniejsza: Nie! Niech zdychają! A wycieliła się tak, jakby wypluwając jedno za drugim, powiedział Małomówny. Przypomniało się jej cielenie Lizy, w wielogodzinnej męce. Co mówisz? - zapytał Małomówny. Mówię, że dobrze, odpowiedziała. Nie ciesz się, suko, i tak nie uchowają się, nie mogą, to wbrew prawu Bożemu, nikt dotąd nie słyszał o czterech naraz, powiedział Małomówny. Wychowają się, krzyknęła, pragnąc zagłuszyć w sobie tę myśl, która dźga, rwie, drapie, rozrywa, bo oczywiście że muszą zdechnąć, jedna po drugiej, z oczu im pocieknie ropa, dostaną laksy, a może je grom walnie, woda Zakola zatopi? Nie zdechną! - krzyknęła ponownie. - Będą rosły, staną się krowami! - i uciekła przed pięścią Małomównego do obórki, do swojej Lizy, okupionej tak drogo, taką harową na odrobnkach, takim poniżeniem, takim strachem dzikim, taką rozpaczą; i tam, w obórce, płakała długo nad sobą, nad swoim wrednym pragnieniem, o które by siebie nie podejrzewała, a które rozpełzło się po niej całej, niczym robaki po

padlinie; przecież to niemożliwe, aby życzyła źle temu jednemu, jedynemu, którego pragnęła wciąż i stale, w każdej minucie, chociaż przestał być piękny, więc opierając policzek o pachnący mlekiem brzuch Lizy powtarzała, że cieszy się, cieszy ogromnie, że są aż cztery, i niech mu zdrowo rosną, bez ropy i bez laksy. To wam, ludzie, chodziło o to samo, co i mnie. Pożerały was te same robaki, bo gdyby Kubiakowi jego jałoszki zdechły, kogo obchodziłby Goździcki? Lipień? Teodorek? A niech i skonają w kryminale, dranie jedne, a ty, Małomówno, zgłoś się na świadka, powiedziała na boczku szeptem Nosiorkowa niedługo przed procesem, i opowiedz władzy ludowej, jak ci drągami zabierali jałoszkę; gdyby wsadzili Pietrka z Kazikiem, to kto by robił u tej starej więdźmy na jej dwunastu morgach i może byśmy dożyli takich czasów, w których Goździcka za dziadówę przy kruchcie w Przysuchej, dokąd mnie niedawno wysyłała, kiedym przyszła do niej pożyczyć kubek cukru dla dzieciaków, bo mi wszystkie zaległy z takim charkotem w piersiach, że myślę, Jezu Chryste koniec! znowu mi się ze dwa przekręca, jak zeszłej wiosny, a jakbym miała cukier, cebuli bym z nim zaparzyła, dobry sok cebulowy na charkoty w piersiach, a ta suka uśmiecha się i powiada: niby cukru ci mam pożyczyć mały kubek? Na wieczne nieoddanie, żebraczko? Pod kruchtę idź, rękę wystaw, może nazbierasz na ćwierć kilo. A oto Teodorka leci, trzęsie się jakby w śmiechu, ale to nie śmiech, ludzie! Teodorka płacze! Kochana Nosiorkowo, kochana Grzybowo, kochani moi wszyscy sąsiedzi, woła, płacząc, chodźcie, obrońcie, Tasławski zaorał moją miedzę; weźcie drągi, dobrzy ludzie, i na niego! bo ja sama, dzieci niedorośle, nie mam jak się obronić przed krzywdą! A odwal ty się, babo, czego się czepiasz, a kogo tu obchodzi twoja zasrana miedza? I słusznie ci zaorał, bo ty i Teodorek zabraliście Tasławskim

zeszłego roku osiem kokoszków tylko za to, że przelazły na wasze podwórko i waszego ziarna trochę pokosztowały; i ty, Teodorko, trzęsałaś się wtenczas ze śmiechu, głaskałaś brzuch i gadałaś: Dobre kokoszki, tłuste - a przecież Jasińska widziała na własne oczy, jak tym kokoszkom sypałaś pszeniczkę i przywoływałaś: Cip, cip, cip! ty kupo galarety. Tak to nam chodziło niby o sprawiedliwość dla Teodorka, Lipienia i Goździckiego; i jakby jałozki Kubiakowi zdechły, nikt by nie zakrzyczał: Precz z czerwonym, bolszewickim szatanem! i tak nam dopomóż Bóg, bronić naszej ziemi świętej, skąd nasz ród, i żeby kamień na kamieniu już nie, a te jałozki kosami, a tę krowę drągami, a te prosiaki siekierami, a Kubiaka, Kubiakową, obu Lewickich i bękarta głuchego czym się da - i kosami, i siekierami, i drągami - a Ty nas, Boże, wspomagaj, Kyrie elejson, Chryste elejson, Panie, usłysz nas, Panie, wysłuchaj nas! lecz te ciężarówki pod sztandarami, rozśpiewane kacapską pieśnią o wiosce nad Kamienną, wytoczyły się na drogę i zamiast na nie z kosami, siekierami, odważnie i straceńczo, ramię w ramię bohatersko w imię sprawy, to jedynie tupot nóg uciekających, krwawy buciczek Poluni.

Jeszcze tego samego dnia zjechały samochody z milicją, każdy jednak mówił to samo, co powiedział Kubiak. Zwykła procesja była, siekiery, kosy, drągi, bosaki te przed diabłami, które codziennie wylatują kominem od małorolnego Tadeusza Kubiaka; że diabły, łatwo sprawdzić, wystarczy obejrzyć krowę małorolnego i jej cztery jałozki, jakie naraz porodziła za sprawą szatana. One tam latają dokoła studni z zadartymi ogonami, a jak się im dobrze przyjrzeć, to widać od razu, że inne niż wszystkie zwykłe cielaki, każda jedna ma plamkę czerwonawą pośrodku łba, wyraźny znak szatana. Tylko zwykła procesja, zakończona nieszczęściem, ponieważ mała Polunia, córka Iwaniuków, potknęła się i

upadła, a teraz na rękach matki wydaje ostatnie tchnienie, a wy chyba mimo wszystko, panowie milicjanty, też ludzie jesteście i ból matczyny potraficie uszanować, a zresztą niech sam małorolny Kubiak poświadczy, że prawdę mówim. Poświadczył, dureń, do protokołu, podpisał, i Lewiccy poświadczyli, podpisali, i w taki oto sposób krowa Kubiaka trafiła do gazet. Zanim ci z ciężarówek pod czerwonymi sztandarami w ramach sojuszu klasy robotniczej z małorolnymi, sojuszu miasta ze wsią, rozstawili słupy, rozciągnęli druty i zanim w każdej jednej chałupie rozbłysło pod powalą światło elektryczne, krowa Kubiaka w dziesiątkach zdjęć: z boku jednego i drugiego, od mordy i od ogona, zastygła głupio w błyskach fleszy. Ta krowa wydarzenie, krowa rekordzistka, codziennie prawie w gazetach i codziennie zajeżdżają pod chałupinę Kubiaka, małorolnego z Zaslawia, różne taksówki, a z nich wylażą różne grube albo chude, stare albo młode pod krawatami, i każą się zaraz fotografować na tle krowy rekordzistki, ale zamiast krowiego kopyta ściskają łapę rolnika małorolnego ze wsi Zaslawie, T. Kubiaka, i co Kłusak gazetkę przywiezie, a ty ją rozłożysz do poczytania, to wszędzie Kubiak i te facety na tle krowy; i widać wyraźnie, jak łapa małorolnego T. Kubiaka potrząsa łapę jakiemuś tam pierwszemu, i jak potrząsa łapę jakiemuś tam drugiemu i jeszcze trzeciemu, aż człowiek całkiem się gubi i nie wie, który jest najważniejszy - ten pierwszy czy ten trzeci? Wydaje się, że wszystkie ważne; a ot i nie! bo ten pierwszy z powiatu jest o wiele mniej ważny niż ten drugi z województwa, ważność zaś drugiego z województwa przy trzecim czy czwartym z jakiegoś Biura całkiem maleje, jakby jej wcale nie było; a cholera z nimi! z tymi trzecimi ważniejszymi od pierwszych! Ważne jest jedno: Kubiak zbija majątek na podpaleniu. I nie wiercie, kiedy powtarza do tych trzecich, czwartych lub

pierwszych, że po co mu obora nowa, lepiej by szkołę chociaż czteroklasową wybudować w Zasławiu albo zlewnię mleka, dzieciaki trzeba gnać piętnaście kilometrów do Przysuchej już o piątej rano, razem z kankami mleka, które do zlewni trzeba dostarczyć najpóźniej do szóstej, co to za mordęga, szanowni towarzysze, mnie nie trzeba, nawet w ramach sojuszu klasy robotniczej z klasą małorolnych, dziękuję bardzo, szanuję i doceniam znacznie czynu społecznego, towarzysze, ale w ramach tego czynu chociaż asfalt nam od Przysuchej wybudujcie. Tak gada Kubiak, kacap przekłęty. Ani jedno słowo jego nie jest prawdziwe. Wszystko to ukartowane, domówione z góry, i pewno te czworaki też nieprawdziwe, tylko podrzucone, dogadane z władzą ludową, jak ten pożar, bo nim pierwsze młode diabły w czerwonych krawatach wyjechały z Zasławia, zostawiając po sobie czarne pstryki w ścianach i żarówki pod powałami, to już przyjechały następne, ciągle w ramach sojuszu, i w gazetach napisali, że młodzież ZMP z Fabryki Maszyn podjęła zobowiązanie, aby w czynie społecznym wybudować we wsi Zasławie, powiat Lasy, małorolnemu T. Kubiakowi, ofierze terroru reakcyjnego, nowoczesną oborę dla jego krowy rekordzistki, kilka dni potem zaś młodzież ZMP z Fabryki Dywanów podjęła zobowiązanie, że w czynie społecznym tej ofierze terroru wybuduje nowoczesną chlewnię, i zaraz potem inna ZMP z jakiejś innej cholernej fabryki, odpowiadając na apel młodzieży ZMP z Fabryki Dywanów i Fabryki Maszyn, zobowiązuje się dopomóc w tych budowach; i zaroilo się w Zasławiu od młodych diabłów i diabolic. Furczały na letnim wietrze czerwone krawaty, łopotały nad budowami czerwone sztandary i transparenty. Od Zakola droga w wiecznym tumanie. Krowy się płoszą, zadzierają ogony, pędzą dziko przez pastwiska; konie stają dęba, koguty pieją, gęsi gęgają, psy wyją;

sądny dzień nam tu nastał, Panie Boże, Ojczy nasz, oczy na wierzch wylażą, mózg się gotuje, krew się burzy; toż ta obora nie na pięć, nie na dziesięć nawet krów, ale przynajmniej na dwadzieścia, i jeszcze w niej tańcować można, furą przez środek jeździć. Całkiem w pole wyjechali z tą budową, zmarnowali pod nią walny kawał ziemi, której porządnym ludziom brakuje, a taką oborę to człowiek jedynie na zdjęciach w gazetach oglądał, lśni diabelską czerwienią dachówek, okna ma jak pół ściany w twojej chałupie... Nie! na to patrzeć się nie da, od samego patrzenia człowiekowi wyrastają kły, puszcza się piana na ustach, we wściekłego psa, człowieku, się zmieniasz i jak wściekły pies byś wył a kasał, a ogon podkulał. A gdy na świniarnię spojrzysz, to już nie Pana Boga, lecz samego Lucypera na pomoc wołasz, bo ta świniarnia taka, że gdybyś wszystkie świniaki z całej wsi zagnał, to i tak jej nie zapełnią. Kleciłeś dla świniaka swego z byle desek chlewik, obrzuciłeś gliną, snopek słomy za daszek, korytko, i dobra, a tu dom jak dla ludzi, otynkowany na biało, kurwa, aż oczy bolą od tej białości, a tymi kłami ci wyrośniętymi byś kasał wszystkich dokoła, i siebie też, bo jakbyś miał taki łeb kacapski, to też byś się podpalił, własnymi rękami byś naftą wszystko polał, żeby potem i tobie, kurwa, jako ofierze terroru budowali za frajer, w ramach czynów, boś ty przecież jak i ten bolszewik w jednej kapocie, w jednych portkach, z jedną krowiną, tylko w dzieciach masz mnogość, kurwa, więc jakże to tak, kochane ty nasze zetempe? Dla jednego małorolnego w sojuszu i w czynie, a dla drugiego gówno? Krysiakowa otoczyła się wianuszkami dzieci, po drodze i cudze zgarnęła, troje od Kłusaków, wyjęła cycek, przystawiła do niego trzyletnią Hanke, kazała jej nogi dobrze przykurczyć a cmoktać głośno i poszła na podwórze Kubiaków,

zajęczała: A popatrzcie na moje dzieciaszki, byście i mnie, mało-rolnej, wybudowali cokolwiek w ramach waszego sojuszu? A tu Kłusakowa leci, Heńka szarpie, wrzeszczy: Oddawaj moje dzieciaki, ty taka owaka! Cyrk. Gdy to się wszystko wspomina, to nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać? Wtenczas jednak do śmiechu nikomu, a najgorsze jest poczucie bezsiły, bo już nic temu draniowi nie zrobisz, do gardła mu nie sięgniesz, jedynie w myślach ukrytych bacznie, żeby się ich nawet twój najlepszy sąsiad nie domyślił, zanosisz żarliwe błagania o grad, coby Kubiakowi zniszczył oziminę, ale tylko jemu, nie tobie ani mnie; i o wielką wodę, żeby jego jedyne, nie mnie ani ciebie, załała potopem. O wszelkie możliwe i niemożliwe plagi. I jeszcze w tych myślach żałować, czemuż my się, kurwa, spóźnili z tymi kosami, siekierami, drągami? No kurwa, czemu? Wsadziliby potem tego czy tamtego, ale przecież całej wsi by nie wsadzili, a sprawiedliwość by się odbyła. Ale któregoś dnia Grzyb postukał się w czoło i powiedział: Ludzie kochane, aleśmy ogłupli! I czego się tak szarpać a wściekać, raczej wypada nam pękać ode śmiechu. Nabudowali mu pałacy dla świniów i krów, a toć on się wpierw osra, niż za te cegły, cementy i wapno wypłaci do banku ratami, osra się, palec sobie w dupę wetknie, bo skąd tyła pieniędzy nabierze? A węgiel ma na ogrzanie? Świniaki już zabrał do chałupy i mu smrodzą, bo nijak trzymać dwóch świniaków w takiej olbrzymiastej chlewni, dupami by mu do betonu przymarzły! Beton ma wszędzie, nowomodny, a nie masz nic lepszego jak głęboka ściółka, bo bydlak w najgorszy mróz własnym gnojem ogrzany, co nie? A do pałacowej obory niedługo będzie musiał piec wstawić, żeby mu te jego rekordzistki diabelskie w sople lodowe się nie zamieniły. Czyż to nie komedia, ludzie? Istna komedia! - zawołał Tasławski - a zresztą, nawet jakby mu te cegły i resztę dali

za darmo, i nawet w sojuszu kacapskim dostałby dwadzieścia krów i sto świńców, to czym on je wykarmi z tych swoich dwu i pół morgi? Oszydził się sam w swojej bolszewickiej chciwości! - ryknął Iwaniuk, i wszyscy zaczęli powtarzać, że oszydził się kacap, i dobrze mu tak, i wszyscy się zaśmiali, a potem śmiech wszystkich zamienił się w ryk śmiechu, i od radości zaczęli popierdywać, aż murowany dom Goździckiej zatrzęsł się od fundamentów po dach. I ona też się śmiała, i od razu poczuła się lepiej, bogaciej, szczęśliwiej, bo czy cokolwiek jej zostało darowane za darmo, bez potu na plecach? W dzień pracuj na cudzym, w nocy na swoim, i ciesz się, że ta wiedźma Goździcka stale do roboty przywołuje; za pot wieczny, piekący dostaniesz miskę kaszy, tytkę mąki, miarkę ziarenek. Wzięłaś gęsich jajek od Nosiorkowej za dwa złote, musisz odrabiać za dziesięć, bo tak ci liczą, dranie, a ty odrabiaj, odrabiaj, odrabiaj; nocami leć na swoje, oraj, broń, trząś gnój. Księżyc ci w oczy zagląda pyzaty, chichoce z ciebie, z twoich trudów nadaremnych. Posadziłaś kokoszkę na tych gęsich jajkach, cztery były puste, z dwóch się zaledwie gęsiaki wylęgły, ale je szczur zeżarł. Dach mi się na oborze zawala, może byś przyszedł pomóc, odrobień, poprosiła Nosiorka, a on odpowiedział, drań: A czemuż by nie, lecz odrobku nie chcę, zapłać mi jałoszką. Gówna, powiedziała, ty skurwysynu przeklęty. Poszycie stare, belki spróchniały; wlaźła, spadła razem z belką, obtłukła się cała boleśnie, dziura w dachu zaś jamą czarną się szczyrzy. Tam obok, za płotem, na podwórku Kubiaka, harmonista skocznie gra, wąsik ma czarny, oczy niebieskie, policzki okrągłe; śpiewa: Ach ty bródko, ty bródeczko, ale puścił ci się włos; tak śpiewa godzinami, bo albo mu się podoba o tej bródce bardzo, albo nie umie nic innego: Nazywali cię szczoteczką, teraz miotłą zwą cię w głos; a nad jego śpiewaniem walenie, stukanie,

ruch młodych ciał, cegła po cegle, wiadro z zaprawą po wiadrze, i też śpiew, że zbudujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom; śpiewają, ryczą, zagłuszając bródeczkę harmonisty; zaprawa płaska, jeszcze jeden nowy dom, sukinsyny, dranie, a nie widzą, że baba obok sama musi dziurę w dachu załatać, nie widzą, budują w ramach sojuszu, bolszewickie zdziury migają różowymi albo białymi majtkami. A ten miodnooki właśnie wychodzi z chałupy, drań, drań, rozgląda się, patrzy, i ją wypatrzył na dachu, na który jednak wlała po raz drugi, cała obolała po upadku; uśmiecha się, uśmiech ma drwiący, jakby wołał ku niej: no i widzisz, ty się mordujesz jak głupia, i co z tego masz? Jeszcze większą dziurę, a ja mam wszystko za frajer. Zmrużyła oczy, posłała mu dwa kamienie. Machnął ręką, powiedział coś do harmonisty, który o brodzie od początku. Harmonista odłożył harmonię, przeskoczył płot. Zadarł głowę. Pomogę, towarzyszek! - zawołał. Tylko że ona nie na harmonistę czekała, jakoś tak nagle, tak głupio zapra gnęła usłyszeć swoje imię: Katarzyno, kiedyś wypowiedziane na tej drodze, na której się znalazła tylko ona, on i to ocalone bydłatko. Co by mu szkodziło podejść do płota i powiedzieć: Katarzyno, lecz już zawracał, bo na ganek wylazła ta jego chuda mysza, szara na twarzy mimo upalnego lata. Naprawdę, pomogę! - krzyknął harmonista. Plunęła. To był bardzo młody chłopak i jego niebieskie oczy zasnuły się żalonym zdumieniem. Wycierając plwocinę z pyzatego policzka, omal się nie rozplakał. Opuścił głowę, przez płot przeleżał niezdarnie, usiadł przy swojej harmonii, ale już tego dnia nie zaśpiewał ani razu: ach ty brodo, ty bródeczko. Szkoda, ładnie śpiewał. Wypatrywała w następne dni, lecz więcej nie przyjechał. Widocznie zbyt mocno paliła go jej plwocina na policzku. To ryczała od śmiechu razem z innymi

w murowanym domu Goździckiej, ponieważ zobaczyła, jak te nowe, wspaniałe mury u Kubiaka kruszeją, rozpadają się, porastają pokrzywami, rozsadza je mróz, rozwiewa wiatr. Krzyknęła gromko: Przeczekamy skurwysyna! - co się ogromnie wszystkim spodobało, i wszyscy ryknęli: Przeczekamy! - Goździcka zaś uniosła krzyż i powiedziała: Tak nam dopomóż Bóg, amen.

I zaczęli czekać. Czekali. Zima srożyła się wyjątkowa. W styczniu Kubiak wystawił przez pałacowe okno obory żelazną rurę, którą buchał dym. Sprawdzało się: musiał ogrzewać te swoje krowie salony, żeby mu jego słynna krowa rekordzistka i słynne czworaczki nie zamieniły się w krowy lodowe. Czekala i ona. Przyszedł marzec, a wciąż jakby styczeń, woda w wiadrze zamara przez noc, choć ustawiona w kuchni przy płycie. Małomówny nie wyłączył spod pierzyny. Jackowiak nie zaczynał grania, widać do wiosny jeszcze daleko. Dwudziestego siódmego marca syn powiedział: Ma-ma; porwała go zakutanego w chusty, tańczyła po kuchni. Hosanna! Alleluja! A tak się bała, że jej syn zostanie niemową, jak bękart Kubiaków. Nie mówił dotąd ani słowa, tylko bełkotał i stękał. Co, jeszcze nie gada? Prawie trzylatek i nawet nie powie mama? - ubolewała Nosiorkowa. - U mnie każde w jego wieku dawno gadało! Po oczach, po oczach! Nie martw się, Małomówny, i tak masz szczęście, że synowi głowa nie rozděła się w balon jak Jacusiowi Kłusaków, pocieszała Lipieniowa. Po oczach ją albo co! Nie do wytrzymania! A on taki śliczny, biedaczek; aj, aj, maluśki, niczym aniołek ze świętego obrazka, lecz to kara boska, Małomówny, ponieważ dom Pana omijacie i ty, i twój Małomówny, powtarzała Goździcka. Po oczach starą wiedźmę, bić, zabić! Pewno on będzie głupkiem jak Stasiak Grzybów, co to go Grzyb po pijaku zmajstrował, a twój Małomówny na okrągło opity, wzdychała Jasińska. Wszystkie je bić,

zabić! I porywała syna w ramiona; nie, nie urosnie ci głowa w balon, nie będziesz głupkiem, będziesz mądry, najmądrzejszy, synu, serce moje; powiedz: ma-ma, no powiedz, błagam! Yyy, bełkotał, otwierał szeroko swoje piękne oczy, otoczone puszystością rzęs, yyy, yyy; i kto ją aż tak strasznie przeklął? i za co? Synu, serce moje, ulituj się, powiedz: ma-ma. Yyy, yyy - a ją dziki strach powalał na kolana i... Zdrowaś Mario, Pan z Tobą, i błogosławion owoc żywota Twego... a mój? Syn podchodził, szarpał za spódnicę, yyy; zesikiwał się wciąż i wciąż, i kupy walił pod siebie. Matko Święta, bezlitosna, okrutna, dlaczego Twój owoc błogosławiony, a mój nie? Synu, serce moje, powiedz: ma-ma.

Ma-ma. Ma-ma.

Uniosła go, zatańczyła, zapłakała od szczęścia; synu, serce moje, powtórz: ma-ma, a on powtarzał czysto i dobitnie: Ma-ma, ma-ma! a stało się to dwudziestego siódmego marca o szarówce. Synu, serce moje! - krzyknęła za głośno albo może zbyt silnie go przytuliła, bo się wystraszył i zapłakał, a ona chciała z nim w ramionach biec przez wieś, od jednego końca do drugiego, żeby wszyscy usłyszeli to piękne, wyraźne: ma-ma. Przysięgam ci, synu, że zbuduję ci pałac, i przysięgam, że będziesz żył jak pan, a twoje ręce pozostaną białe, bo nie dam im stwardnieć w odciskach. I będziesz najśliczniejszy, najmądrzejszy, najbogatszy, gdyż ty nawet nie wiesz, synu, jaka potrafię być silna, tylko mi powiedz raz jeszcze: ma-ma.

Ma-ma.

I pośród zimy zapaliły się słońca, rozświergotały jaskółki, krowy trysnęły rzeką mleka, kokoszki znosiły po dwa jajka dziennie. Zaśpiewała: ach ty bródko, ty bródeczko, bo nie znała innych pieśni poza tymi bolszewickimi, które rozbrzmiewały przez całe lato na Kubiakowym podwórzu, nie puszczała przecież

z dziewczynami wianków na wodzie, nie darła z kobietami pierza w długie, zimowe wieczory, we wszystkim była oddzielnie, raz tylko w tym solidarnym, wspólnym śmiechu, który zatrzęsł mурowanym domem Goździckiej. A ty mi czego tu wyjesz kacapskie pieśni? - wrzasnął z sypialki Małomówny. - Ugotuj mi zara zacierki na mleku, jeść się chce! A gównu ci nie zacierka, pomyślała, mleko dla syna, nie dla ciebie, bydlaku. Moja dobra Liza niedługo się ocieli, więc wyciskam z jej pomarszczonych, zasychających wymion kubek żółtego, śmierdzącego siarą płynu. Jak się wycieli! - krzyknęła - postawię przed tobą wiadro mleka i się ożłopiesz, i może pęknieš albo się orzygasz; mleka mu się zachciało, draniowi, kiedy mleka ledwo dla syna starcza! To kartofłów, suko, nasmaż! - wrzasnął Małomówny - bo jak nie, to ja ci zara pokaże! Eee tam, nie boję się! Zimno takie, że dupy spod pierzyny nie wysuniesz, a kartofle to sobie narysuj, słyszysz? Trzeba ich było nie wynosić na gorzałę, to byś co wieczór miał smażone; ach ty brodo, ty bródeczko, ale puścił ci się włos! Zamknij się, suko! A co? Moje kacapskie śpiewanie nie podoba ci się? A gdzie byłeś, kiedy mi zdychającą krowę twoje wcale niekacapskie, ale pobożne ludzie, do kościoła w świątek piątek chodzące, przyprowadziły? A gdzie byłeś, kiedy mi te niekacapskie ludzie drągami zabierały jałoszkę? Gdyby nie kacap, tobyśmy dawno z głodu zdechli! - rozwrzeszczała się i ona, taka silna i taka odważna, bo syn powiedział ma-ma.

Dwudziestego siódmego marca, data nie do wykreślenia z pamięci, data na zawsze.

Dwudziestego siódmego marca w dwie godziny po tym, jak syn powiedział ma-ma, ktoś zastukał do drzwi i nim odpowiedziała, wszedł. I to był on. Kubiak. Całkiem nie wyglądał na właściciela krowy rekordzistki, rekordowych jałoszek i tych

świńskich oraz krowich pałaców. Waciak utyłany, podarty na łokciach; ech, ty szara myszo, choć waciak mogłabyś swemu kacapowi wyczyścić, pozszywać; ale proszę bardzo: jaki mimo tego waciaka w dziurach ważny; wpycha się do uczciwego domu bez zaproszenia. Kto tam? - zawołał z sypialki Małomówny. Wrzasnęła: Kacap! Przyszedł cię udusić - i trzasnęła drzwiami, aż huknęło, lecz Kubiak z pewnością dostrzegł i rozbabrane łóżko, i Małomównego pod pierzyną. Zaczerwieniła się. Że pijak, wszyscy wiedzą. Że nierób, też wiedzą, ale żeby aż taki, co gnije w wyrku przez cały dzień, tego nie muszą wiedzieć, to jej hańba, jej wstyd, dość ma tych niby litościwych spojrzeń, tych odzywek, że harujesz i harujesz, Małomówno, a twój, co wyharujesz, to wynosi i przepija; pilnuj krowy i jałoszki, bo ci i tę żywole wyprowadzi i przechleje. Nie trzeba się tak zadrećcać, Katarzyno, odezwał się Kubiak cicho, ja do nikogo nie polecę z językiem. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Łajdak, nie dość, że dostrzegł, to jeszcze pociesza, jakby w myślach czytał. Czego chcesz, Kubiak? - zapytała nieprzyjaźnie. A on rozglądał się po jej kuchni z uwagą. Boże miłosierny, cóżeś zrobił z tym człowiekiem? Jak on zmarniał, pół go zostało; poczerniały na twarzy, nawet oczy już nie miodne, jakby tylko z samego smutku, wygaszone, wypłowiałe; a i uśmiech skurczony, bolesny, bolący. Dotknąć twoich ust. Jedynie dotknąć, nic więcej, podejść bliżej. Jeden mały kroczek. Podnieść rękę. Dotknąć. Poczuc. Jak tu u ciebie jasno, Katarzyno, powiedział. Nie powiedział: czysto, powiedział: jasno; nikt tak jeszcze nie mówił, o Jezu, Małomówno, że też tak ci się chce szorować i szorować, zamiast ochlastać nieco przed niedzielą i dwa razy do roku lepiej: przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. A Teodorka raz powiedziała: O Jezu, Małomówno, nie proś, cobym usiadła, bo ci fotografię odcisnę dupą na tym białym stołku.

Jasno, powtórzył.

Do jego ust zaledwie kroczek. Lecz nogi wrosły w podłogę, stały się kłodami, a to tylko kroczek jeden, nie dalej; usta, usta twoje spieczone, popękane, poszarzałe, dla mnie gorejące. Do rękawa waciaka przyczepiona słomka. Udać, że tę słomkę, tylko słomkę zdejmuję, i już tak blisko do ust twoich. Coś tam poruszyło się pod waciakiem. Słomka rozchwiała się, zaraz spadnie. Piękne jest twoje dziecko, Katarzyno, powiedział, uśmiechnął się. Słomka spadła. Czego ty chcesz ode mnie? - krzyknęła. - Po coś przylazł? Czy ja cię do siebie zapraszałam? Usta, usta niedosiężne. Katarzyno, powiedział, pochylił się jakby ku tej słomce, żeby ją podnieść, lecz spod jego waciaka dwa małe, różowiułkie, rozspane, ciepłutkie jego ciepłem, z ogonkami zakręconymi w radosne pętelki. Co to? Co to? - krzyknęła, już z rozpaczą, a syn siedzący na lilioworóżowym chodniczku powtórzył: Co to? Co to? Jaki mądry! Roześmiał się Kubiak; życzę ci wszystkiego najlepszego, Katarzyno, tobie i twemu synowi. Zagubiła się zupełnie. Dwa prosiaczki obok syna podskakują, chrumkają. Weź je, Katarzyno, powiedział Kubiak, maciora nam się oprosiła i kłopot, przyprowadziła aż szesnaście, a sutek ma czternaście, dwóch nie wykarmi. Moja żona, Katarzyno, chorowita, a mnie cierpliwości brak, żeby te maluchy poić mlekiem z butelki. To bardzo cię proszę, zaopiekuj się nimi. Wierzę, że ci się wychowają. Zatraciła się do końca. Jak to, zapytała, za co? Za nic i dla niczego, odpowiedział Kubiak, chodzi o to po prostu, że musiałbym je zatracić, a ja, Katarzyno, nie potrafię zatracić niczego, co żyje. Bo widzisz, myślę sobie tak: wszystko, co przychodzi na świat, chce żyć z jednakową siłą. Kokoszka wysiedziała u nas w zeszłym roku takie jedno pisklę z krzywymi nogami. Moja żona mówi: I tak się nie wychowa, zadziobią go inne, bo ono słabsze, weź, ukręć mu

łebek albo co. Niby racja. Wziąłem to pisklę, Katarzyno, a ono takie ciepłutkie od tego życia, jakie mu kołaczce przestraszone w małym serduszku i wiesz, nigdy wcześniej nie pomyślałem, że w takim małym kurczaczku serce potrafi aż tak łomotać. Schował się cały w mojej dłoni, przywarł, jakby się tuląc, i nagle jak nie zaćwierka niczym ptaszek dźwięcznie, śpiewnie i prosząco. Katarzyno, czemu tak dziwnie na mnie spoglądasz, z taką litością? Że wielki ze mnie chłop, konia powali, a kogucika nie ma siły zadusić? A ty byś zadusiła, kiedy by ci się tak rozśpiewał w twojej dłoni? Wiem, nie ma dla niego długiego życia, kokoszka go odpędza, nie chce kaleki wodzić, a kogucika w ogóle los przegrany, jaj nie znosi, darmożjad z niego, to byle podrośnie i ciach, do garnka; takie jest prawo, i słuszne prawo, ale przecież niechaj i to swoje życie krótkie przeżyje, nadziobie się ziarenek, trawki, rozpieje na powitanie dnia; to niby jak ja mam go zadusić? Już nie uśmiechał się, jego oczy całkiem się zgasiły; a tego koguta z krzywymi nogami widywałem na podwórku Kubiaków jeszcze w listopadzie; mniejszy od innych, za Kubiakiem zaś jak psiak i na ramię mu podfrwał a wdzięczył się. Więc teraz z prosiaczkami mam kłopot, ciągnął Kubiak, maciora ich nie wykarmi. W chlewni mróz. Całą zimę trzymam obie maciory w chałupie, smród nie do wytrzymania; i jeszcze zaraz ta druga się oprosi. A żona powiada... Lecz nie dokończył rozpoczętego zdania i nie dowiedziała się, co gada ta jego umiłowana mysza, ale i tak wiedziała, co. To jak? Przygarniesz? - zapytał Kubiak. - Zabić żal, wyrzucić na mróz, żeby się same zatchły, jeszcze większy, i nie do pomyslenia nawet, żeby w męce długiej, kwiląc, umierały; proszę, Katarzyno; będą z nich dobre maciorki, bo od plennej matki. Worek kartofli wstawiłem ci do sieni. I worek ziarenek na osypkę. Wiem, że to niewiele, ale tylko tym mogę się podzielić. To jak? Przyjmiesz?

To jak? To jak? - zawołał syn, roześmiał się, paluszkami trącając prosiaczki. Tak, to prawda: przyglądała się Kubiakowi z litością. Taki wielki, taki szpetny po tym pożarze, taki bezradny stał przed nią, z rękami pokrytymi fioletowymi bliznami. Więc minęła ci twoja wielka miłość do szarej myszy? I już nigdy nie powiesz do mnie: kocham żonę, Katarzyno? Ty jej nie potrafisz już kochać, draniu. Dlatego twoje oczy zgasły, dlatego twoje usta się spopieliły. Czy bardzo cierpisz, gdy twoja szara mysza każe ci ukrecać łebek kogutkowi? Wyrzucać na mróz małe prosiaczki? A ja kroczek jeden chciałam, ten kroczek do twoich ust; bądź błogosławiona, słomko, żeś spadła, bo wciąż tkwię w tym jednym miejscu, nieporuszona; stoję i przyglądam się tobie, Kubiaku, i to, co widzę na twojej twarzy, jest wspaniałe, radosne, radośniejsze niż oczekiwanie na śmierć twojej myszy, co za radość wiedzieć, że odtąd każdego dnia z nią będziesz, na zawsze, dzień po dniu, noc po nocy, i niech ci ona żyje długo, i niech ci każe ukrecać łebki kalekim ptaszkom, wyrzucać na mróz zbyteczne prosiaczki.

Dobrze, powiedziała, przyjmę, a prosiaczki i resztę ci odrobie. Skulił się gwałtownie, jakby mu nad głowę zaświszczał kamień. Odwrócił się i bez słowa wyszedł. Syn zanosił się od śmiechu, prosiaczki dydały go pod pachami. Obie świnki. Będą z nich maciory. Za rok mogą przyprowadzić potomstwo. Od każdej po osiem, po dziesięć. Synu, serce moje, wybuduję ci pałac.

Wszystkie trzy krowy: Zośka, Liza i Maniuśka to córki ocalonej przez tego drania jałoszki.

Wszystkie świnie, i te tutaj również, wielkie, z długimi schabami, to ciągle potomstwo tamtych dwóch. Ofiarowanych z dobrego, głupiego serca, które nie pozwala dłoniom zacisnąć się na byle jakim gardziołku byle jakiego kogutka. A niechaj to jego

serce będzie przeklęte. Wszystko, czego się dorobiła, zawdzięcza jemu. Jej nędza skończyła się od ocalonej jałoszki. Jej majątek zaczął się od tamtych dwóch małych prosiaczków. Macie. Żryjcie.

10.

Synu! - krzyknęła, wchodząc do kuchni. Z głębi domu ryk telewizora. Pewno znowu pokazują jakieś rozebrane baby, a jej syn robi sobie przed telewizorem przyjemność.

Ścisż ten przeklęty telewizor!

Telewizor ryczy nadal.

Przełknęła gęstniejącą ślinę. No cóż, na to nie ma rady, trudno.

Pod płytą zgasło, trzeba podpalać, szykować kolację. Małomównemu mannę, synowi mocne, gęste kakao bez kożucha. Coś stracił apetyt od tego wypadku z Jadźką. Kakao odsuwa, a czekolada od wczoraj leży na kredensie nienapoczęta.

A telewizor ryczy.

Otworzyła drzwi do komórki Małomównego. Tak to pomieszczenie nazwali, ona i syn: komórką. Miała tam być podręczna spiżarka z półkami na słoiki, w których kompoty, mięso wekowane; dlatego bez okna, ciemna klitka. Kiedy dom był na wykończeniu, syn zapytał: A ojciec? Co ojciec? - nie zrozumiała. Śmierdzi, powiedział syn, ale nadal nie rozumiała; zezłościła się. A co ja ci na to poradzę? Przecież obmywam go codziennie, przebieram w czyste rano i wieczorem; on śmierdzi nie od sików, lecz sam z siebie! Syn namarszczył się: Taki ładny dom, szkoda pokoi, prześmierdną. Może by ojca tak na piętro? Synu, serce moje! - zawołała. - Piętro niewykończone, bez ogrzewania, na piętro muszę znowu odkładać wszystko co do grosza, piętro za rok, za dwa, na razie zresztą ono niepotrzebne. Dopiero jak wrócisz z

wojska i się ożenisz, nam się przyda. Ja gadam, krzyknął syn, żeby mu tam siennik wrzucić i niech sobie śmierdzi, byle nie tutaj! Aż mdli od niego, nie do wytrzymania! O Boże, synu - powiedziała - nie godzi się tak z ojcem! - ale syn wybuchnął: Niech matka nie udaje! Matka myśli, że ja nie widzę, jak go matka wali przy myciu kolanem w przyrodzenie? Mnie tam nic do tego, niech matka wali, ale po co udawać? Jezu, synu! - powiedziała ze strachem, bo on, jej syn, taki okrutny. Roześmiał się. To bicie przecież sprawia matce przyjemność, powiedział. Jezu, synu! - krzyknęła. - Jestem tylko człowiekiem i mam prawo od czasu do czasu się wnerwić! Śmiał się nadal. Stał oparty o lśniące białą nową farbą drzwi. Czarne kędziory nad czystym czołem. Puszysty cień rzęs na policzkach. Lecz jego oczy w tym cieniu mroczne, bezdenne, dwie głębokie otchłanie. Wiedział i widział wszystko. Biła Małomównego tak, aby nie zostawiać śladów; raz a dobrze; skowyt, skowyt, więc bardzo głośno, żeby ten skowyt zagłuszyć: No i czego? I czego! Pomyślałby kto, że się nad tobą znęcam! Sama nie pojmowała, skąd się w niej bierze taka nagła ochota, nie do opanowania, że aż w gardle zasycha: Jezu, uderzyć go, przyłożyć, niech usłyszę jego wycie! Mnie tam naprawdę wszystko jedno, powiedział syn, czy go matka bije, czy nie bije; mnie rozchodzi się o to, że cały parter ojcem prześmierdnie. Przecież go nie wyrzucę, tego twego ojca, powiedziała szybko, na górę, gdzie zimą będzie mróz, bo co by ludzie powiedzieli? No właśnie, śmiał się znowu syn, a tak powiadają: jaka ta Małomówna dobra, anioł ze skrzydłami, dba o swego pijaka niczym o małego dzieciaka. Mnie nie zależy na ludzkim zdaniu, niech matka wymyśli dla ojca jakąś komórkę albo co. Z tym wymyślaniem był problem. W końcu postanowiła zrezygnować ze spiżarki. Chociaż okna brak, nikt nie ośmielił się machnąć jęzorem: ścianę zawiesiła

chodniczkim w paski, na drugiej obrazek święty, lampa z abażurem u sufitu, żelazne łóżko odmalowane na biało, prawie pokoi-czek. Drzwi dobrze się na dzień zamknie, klucz przekręci, żeby nie wylaził i nie fajdał wszystkiego dokoła. Śliczny pokoi-k, prawda, synu? Komórka jak się patrzy, odpowiedział, ale drzwi koniecznie trzeba kocem obiść, żeby się smród do kuchni nie przeciskał. Synu, ty chyba Boga w sercu nie masz, tam i bez koca duszno, ledwo czym oddychać! A matka to tego swego Boga w sercu ma? Gdyby matka nie obawiała się ludzi, już dawno ojcu poduszkę na łeb i po krzyku. Milcz! - krzyknęła. Czasami bała się syna, zbyt ją przerażał. Nawet gdy się nie odzywa, a jedynie patrzy, też strach, bo oczy jak topieliska, zaglądasz w nie i toniesz, nie znajdując oparcia. Żadnego w nich błysku, uczucia, sama pustka. Koca nie zawieszę! To przecież twój ojciec! Mówią, że nie mój, odpowiedział ze spokojem syn i poszedł do swego pokoju. Po oczach wszystkich, bić, zabijać! Wytłukła Małomównego, chociaż na nim mogła się odegrać, jednak koca nie zawiesiła. I tak już niedługo pociągnie, niemożliwe, żeby długo. Jest przygotowana do pochówku. Koszula wykrochmalona na sztywno oczekuje na półce w szafie, garnitur ciemny w prążki kupiła w przecenie, tani bardzo był, bo jedna nogawka krótsza przy spodniach, ale w trumnie nikt przecież nie zauważy, trzeba tylko dobrze nogi ułożyć. Dla kogo to? - zapytał syn. Szybko upchnęła ubranie do szafy. Dla kogo, pytam! - krzyknął, odepchnął, wyciągnął paczkę, rozwinął, długo przyglądał się tej krótszej nogawce, rzucił ubranie w kąt. Myślała, że ją uderzy. Ale nie, roześmiał się jej prosto w twarz i zamknął się w pokoju. Naprawdę, ciężko wyrozumieć, o co mu właściwie chodzi.

A telewizor jeszcze.

Małomówny spał w komórce. Podeszła, sprawdziła: suchy, nie zesikał się ani nic grubszego, chwiała Bogu, bo już brakuje sił babrać się wciąż w tych jego gównach. Wczoraj, kiedy widocznie zapomniała przekręcić klucz w drzwiach wylazł, naźarł się czegoś i dostał laksy.

Chociaż... niemożliwe. Pamięta doskonale krótki ruch palców, w lewo, trzask. Jeszcze pomyślała, że ciężko chodzi, trzeba zamk naoliwić.

Na pewno nie zostawiła drzwi otwartych. Zamknęła.

To czemu otwarte?

Syn?

Gdy zamykała komórkę, syna w kuchni nie było.

Ale co z tego, że nie było? Nikt inny, tylko syn drzwi od komórki otworzył, wypuścił ojca. Od dawna podejrzewała, że gdy ona w sklepie, syn zagląda do Małomównego. Czasem krzesło przy łóżku ustawione inaczej. Czasem ta ryza morda uśmiechnięta wniebowzięcie, jakby ją kto drapał pod brodą. Raz spostrzegła ślad czekolady tuż przy dolnej wardze. Syn.

Ale to syn powiedział, żeby Małomównego won, bo śmierdzi.

Jest udęczona od roboty. Całą noc przeleżała krzyżem. Nie, nie syn. Po prostu przywidzenie. Mogłaby zabić Małomównego, a syn by nie przeszkodził. To syn chciał ojca udusić, zawiesić koc. Musiała zostawić drzwi otwarte.

Wstań. Pomogę. Odlejesz się.

Małomówny budził się ze skurczem strachu na zasuszonej twarzy. I od razu patyki ramię w obronnym geście nad głową.

Czego, czego, chcę pomóc.

Pisk.

Czego, czego, dobry, cacy, nie zesikał się, dostanie teraz kaszkę i picie, i będzie spał, będzie lulu robił.

Wstał wreszcie. Podsunęła wiadro.

No, odlewaj się, szybko.

Chwiał się. Pocił. Dyszał. Nie miał siły wyciągnąć fiuta z roz-porka.

Pośpiesz się, do cholery!

Pisnął. Oddał mocz. Ledwo zdążyła uskokczyć. Trzasnęła wia-drem po piszczelach nóg. Przewrócił się na łóżko z wyciem.

Ty przekłeta świnio. A gnij sobie, nie będę cię dziś więcej przebierać!

Długo myła ręce, obficie pieniła mydłem.

A telewizor jeszcze! Cholera, synu, czy ty tego nigdy nie skończysz?! I walnęła pięścią w drzwi do pokoju z telewizorem.

Kolacja! Kakao! Słyszysz?

Telewizor ucichł.

O Boże. Nareszcie.

Musiała usiąść. To sapanie półtrupa i ten wrzask telewizora, przed którym syn robi sobie przyjemność, wyprowadziły ją z równowagi. Jej syn jest już mężczyzną i potrzebuje kobiety. Telewizor zaczął nastawiać na cały regulator jakiś rok temu. Nie wiedziała, czemu telewizor tak głośno, weszła, zobaczyła i doznała wstrząsu, bo nigdy dotąd nie myślała o synu jako o mężczyźnie. Chociaż wybudowała mu dom z piętrem, piętro przeznaczając dla tej przyszłej, z którą się kiedyś syn ożeni. Ta przyszłość była zbyt odległa i zbyt nierealna, aby ją brać pod uwagę. Nie, za nic: jej syn i jakaś kobieta z rozsuniętymi nogami? Przyglądała się pięknej twarzy swego syna, jego różowawym, lekko odętym, rozpulchnionym wargom, jego dłoniom białym a miękkim, jego prostym nogom, ciągle po bocianiemu smukłym, i myślała o tej kobiecie, która to wszystko - tę twarz, te wargi, te dłonie, te nogi - odbierze, zagarnie, zawładnie nimi.

A wiesz, zapytała syna, dlaczego stary Krysiak ma dziurę w miejscu nosa? Syn, brzydliwy od małego, warknął: Co matka?

Przy jedzeniu? - bo akurat jadł jajecznicę na wędzonce. Krysiak utracił nos zwyczajnie i głupio: opił się ze starym Grzybem i gadał, że się niczego nie boi. Eee, powiedział Grzyb, mojej suki też nie? Twojej durnej suki całkiem nie, przysiągł Krysiak. A suka starego Grzyba taka, że nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć, poza starym Grzybem, chociaż on dwa razy do roku zabierał od niej szczeniaki i topił w Zakolu. To może moją sukę w nos pocałujesz? A pocałuję, czemu by nie! I pocałował, tyle że sam został bez nosa, a właściwie z kawałkiem nosa, który mu wrzodził i wrzodził, aż wygnął do reszty. Czy jednak syn musi znać prawdę o tym, jak Krysiak nos stracił? To powiedziała, udając, że nie dostrzega potu, jaki na samo wspomnienie starego Krysiaka wzbiera na czole syna: Krysiak w młodości zadał się z taką jedną kurewką, która go zaraziła brzydką chorobą, i najpierw puściła mu się z nosa ropa, a potem ciało całkiem wygnęło. Syn ledwo zdążył wypaść na podwórze, długo się męczył, brzydliwy bardzo. Za kilka dni powiedziała: Musisz uważać, z kim się zadajesz, żeby później, jak stary Krysiak, nie wpaść w kłopoty. Niech się matka zamknie! - krzyknął, huknął pięścią w stół. Aj, jaki wrażliwy; no i bardzo dobrze. Oczekała z tydzień, powiedziała: Stajesz się mężczyzną, synu, serce moje. Wąs ci rośnie, niedługo będziesz się golił. Zacerwienił się. O czym matka bredzi? Wzruszyła ramionami, odwróciła się do płyty, zamieszała w garnku. Krysiakowi wtenczas się udało, powiedziała, tylko nos mu odpadł, ale może być gorzej, bo to choroba podstępna, zanim się spostrzeżesz, już ciało całe w strupach, gnije, śmierdzi. Krzyczał, zatykając uszy, żeby przestała zaraz, natychmiast! Oczekała dwa tygodnie, powiedziała: Zadasz się z jakąś miłą dla oka dziewczyną, niby ci przyjemność robi, a potem tu strup, tam strup i ropa się leje. Wpadł z kuchni, uciekł nad Zakole. Gdy

późnym wieczorem wrócił, blady, powiedziała: Zachowujesz się jak dzieciak, a nie jak mężczyzna, któremu fiut staje wieczorem i nad ranem. Masz ojca pijaka, a ktoś ci o tym musiał powiedzieć. Dla twego dobra, żebyś uważał, z kim się zadajesz. Z nikim się nie zadaję - krzyknął - i nie będę zadawał! No, no, powiedziała, każdy mężczyzna musi mieć kobietę, tego nie unikniesz. A poza tym łżesz, synu, serce moje; dopiero co wczoraj widziałam cię z Franką Kłusaków. Czemu nie? Nawet niebrzydka, tylko coś bardzo kostropata.

Ale się wymordował przed tym telewizorem; kędziory przylepione do czoła, oczy podbite na szaro.

Siadaj. Jajecznicę na ilu jajkach?

Nie będę jadł.

Synu, serce moje, co tobie?

Nic.

Od niedzieli jeść nie chcesz.

Coś mi się nie chce. Tylko kakao się napiję.

Zobacz, synu, jaka wspaniała wędzonka, jaka tłusta. Taka, jaką lubisz.

Nie chcę.

To chociaż chlebka z masłem.

Nie chcę i chleba.

Mój Boże, synu, osłabniesz.

Usiadła obok niego. Nawet to swoje ulubione kakao cedzi przez zęby. Przez tego drania pewno, co go wczoraj obśmiał przed ludźmi, że niby tłuscioch.

Za bardzo się przejmujesz, synu, serce moje.

Czym, według matki?

Ludzie to świnie, nie zważaj na nich. A Prezes drań. Jedz, wcinaj, wcale nie jesteś za gruby.

Odsunął gniewnie kubek.

O czym matka mówi?

Co o tobie powiedział Prezes. Nie przejmuj się. Pójdiesz do wojska, a tam cię przegonią.

Patrzył na nią jakoś tak tymi dwoma topieliskami, że aż krzyknęła: Co ci jest, synu?

Matka to gorzej niż krowa.

Wstał.

No tak, źle go zrozumiała; jak mogła nie zrozumieć własnego syna? Do wojska jeszcze rok, ale on się tak wojska boi, więc zamiast go pocieszyć, głupia krowa, słusznie: krowa! ona mu o wojsku przypomina. Powiedziała szybko: Nie martw się, synu, może jakoś się uda wyreklamować. Witoskowi Prezes odwołanie załatwił. Poproszę, żeby i dla ciebie. Co wyprawiasz, synu? - bo on pchnął stołem, załomotał pięścią: Niech się matka nie waży! Słyszysz matka? Nie pozwalam! Wystarczy, że mu matka za sklep zapłaciła dupą!

I wypadł.

Pewno nad Zakole, bo zawsze, jak czymś ogromnie przejęty, biegnie nad Zakole.

Wyprostowała zsunięty chodniczek. Ustawiła stół prosto. Nie syna wina. To ich, tych suk, tych wiedźm, po oczach wszystkie bić, zabijać! Nikt tu nie potrafi przeżyć, darować tego, że ona, obca przybłęda, bękart wioskowej wywłoki z Przysuchej, ona, która pierwszej wiosny i lata orała komosę, z kamieni układała wysokie mogiły, ona, która nie miała garści własnej mąki na zacierkę, teraz ma, posiada i to mnóstwo. Oborę z sześcioma dojnymi krowami i dorastającą jałowizną. Chlew pełen wielkich świń. I nigdy nie zalega z oddaniem kontyngentu, bo ten kontyngent dla niej to tyle co splunąć, w przeciwieństwie do takiej Nosiorekowej chociażby, która wiecznie zalega i jęczy przed Prezesem o załatwienie, coby jej zborgowali. Mówią nawet, że Prezes

raz i drugi z własnej kieszeni zapłacił za Nosiorkową, co jest do tego durnia podobne, każdy go jak może tak naciąga, mimo że dzięki kółku wszyscy w Zasławiu się wzbogacili, poza jedną Nosiorkową, ciągle dziadową. Wszędzie tu, gdzie spojrzysz, budują. A to dom, a to chlew, a to oborę. Ale nikt tyle co ona nie ma. Dlatego wszyscy tu kłapią bezsilnie zębami, żałując, że nie zatłukli jej drągami nocą, a okazji mieli a mieli, niemal każdej nocy wiosennej, niemal każdej nocy letniej, tam, w polu, w bruzdach brukwi lub buraków, lub kartofli, i nie charczałyby nawet zbyt długo i zbyt głośno, ponieważ na ten charkot by sił już zabrakło. Więc że inaczej nie mogą, to chociaż plugawią przed synem; a po oczach ich wszystkich! Stara Grzybowa odczyniała uroki, nalepiła z gliny sześć krów, stara zawszona wiedźma, połała krowie figurki kogucią krwią, przekłuła każdą drutem, podrzuciła pod oborę. Idzie po obiedzie przez podwórze, widzi gliniane krowki, jeszcze krew na nich dobrze nie zakrzepła; chłód na czole, chłód na policzkach, rąk drętwienie: kto? Bez tchu pobiegła na pastwisko, ale krowy się pasą spokojnie, oganiają się tylko od much ogonami. Za tydzień Lipieniowa w sklepie mówi: Jak będziesz miała, Małomówno, garnki z przeceny, zostaw dla mnie jeden dobry, odwdzięczę się. Lipieniowa i wdzięczność, a to dopiero wydarzenie, ale niech tam! Zostawię, obiecała. Całkiem dobry ma być, Małomówno, i uważaj na Grzybów, chodzą i gadają, że krowy są śmiertelne, zwłaszcza twoje. Dwa ci zostawię, zawołała, i oba będą nieobite i całkiem za darmo. Odtąd musi krowy na noc zabierać z pastwiska, a do obory dorobiła potężną kłodę. Później ktoś podrzucił do świń zdechłego kota. Pomyślała, że to sprawka syna, gdyż on kotów od dziecka nienawidził, lecz jak wzięła padło do ręki, zobaczyła brzuch rozpruty i zaszyty czarną

nitką, wewnątrz zielone od trucizny na szczury ziarenka pszenicy. Chłód na czole, chłód na policzkach, rąk drętwienie: kto? Dorobiła i do chlewu potężną kłodę, teraz musi przed pójściem do sklepu i chlew zamykać. Kota zawięła w gazetę, zabrała do sklepu, schowała w magazynie. Niech leży, poczekamy, niemożliwe, aby ten, kto podrzucił, w niczym się nie zdradził. Jeden dzień nic, drugi dzień nic; trzeciego dnia mówi do Nosiorekowej: A wiesz, coś moim świniom zaszkoziło, położyły się, na nogi nie chcą wstawać. Ojej, jaka strata, zawołała Nosiorekowa, złapała bułkę chleba i poleciała. Koło południa przywieźli kielbasę, napchało się do sklepu pełno. Kłusakowa uśmiecha się, mówi: Jak tam twoje świnki, kochana Małomówno, bo słyszałam, że się kocia padliną zatręły? Ach, tu cię mam! Bo skąd byś wiedziała, suko, że padliną? Dziękuję za troskę, powiedziała, poczekaj chwilę, mam coś specjalnego dla ciebie. Przyniosła kota w gazetach, plaśnęła nim w torbę Kłusakowej, prosto w dwa kilo kielbasy i bułkę chleba. Mały prezencik od moich świnek, ty tak lubisz kotki, że pewno płaczesz po swoim. Zeszłego roku Liza wyłamała żerdź w ogrodzeniu, poszła w koniczynę, odęło ją jak balon. Najlepsza krowa, dwa wiadra mleka, ratować trzeba! Prezesa nie było, wyjechał gdzieś, za to Nosiorek siedzi na ganku, papierocha ćmi. Mój Boże, Małomówno, co ty powiadasz? Krówkę ci odęło? Aj, aj, co za strata - i nawet na centymetr tyłka nie uniósł. Chętnie bym ci ją przebił, ale teraz nie mogę, bo mi noga ścięła. Po oczach bić, zabić! Pobiegnę do Iwaniuków, a tam jej mówią: Poczekaj godzinę, dwie, Heniek skończy drzewo piłować i potem ci raz raz krówkę przebiję. Zawróciła na pastwisko. Krowa wywalila siny jęzor, pianę toczy. Jeszcze chwila, a pęknie od gazów. Zamknęła oczy i walnęła nożem. Trafi, gdzie trzeba, to dobrze; nie trafi i tak krowa padnie. Potem płakała przy swojej Lizie,

córcie Lizy, wycierała krew ściekającą z przebitej skóry, z tego otworu, którym wyleciały zakisłe gazy. Za co, pytała, i dlaczego?

Dobrze pod wieczór przychodzą Nosiorek z Grzybem. Pomogiem ściągnąć ściervo z łąki, upał taki, że robaki raz raz się wdadzą. Całkiem wieczorem przyłazi Lipieniowa. Widać jakimś cudem nie dotarło do niej jeszcze, że krowa ocalała. Racuchów zachciało się nam na kolację, a śmietany zabrakło, pożycz, kochana Małomówno - i usta w wąską kreseczkę współczucia, i głosem jękliwym: Ach, jakaż szkoda, że ci taka dobra krówka padła. Bić po oczach, wszystkie, wszystkich! Co kilka dni Krysiak, odbierając w zlewni kany z mlekiem, powiada: Muszę ci znowu pobrać próbę, Małomówno, bo jakoś dziwnie twoje krowy mleko zwiększają. Mróz na czole, mróz na policzkach; bić drania, zabić! Dwa lata temu syn zachorował, leży, płonie, majaczy; wytaszczyła kany na drogę; cholera, mleko Prezesa już odjechało ciągnikiem, ale właśnie Kłusak furą swoje wiezie. Kłusak, bądź człowiekiem, syn chory, muszę lecieć do kółka, dzwonić po pogotowie, zabierz moje kany! Zabrał. Za godzinę odwozi kany ciężkie, pełne. Co jest, Kłusak, dlaczego? Ano, odpowiada on, uśmiecha się jadownicie, każdemu zależy na tych paru złotych więcej. Ja cię, Małomówno, rozumiem. Co ty, draniu, pleciesz! - zawołała. O, zaraz draniu! Patrzcie ją, a wodę do mleka dolewać to nie draństwo? A my, głupi ludzie, zawsze zastanawiałim się, jakim cudem te twoje krowiny niby mleczne nad inne. A teraz to my wiemy, dowiedzielim się, że dobrze wodą chrzczone. Aha, i Krysiak kazał ci, Małomówno, powiedzieć, że wyjątkowo przeciw tobie użytku nie zrobi, tyle że oszukanego mleka nie przyjmie, ale jeśli choć raz jeszcze przyłapie, to poda do protokołu. Rzuciła się do kanek, zagląda. Dranie! Musieli wylać z połowę, wodą dopełnić, dranie,

kanalie! Nienawidzi ich wszystkich. Każdego po kolei. Dlatego nie wynajęła do budowy swego domu nikogo stąd. Ani Krysiaka, choć zna się na murarce, ani Grzyba, choć dobry z niego cieśla. Sprowadziła obcych, z Przysuchej, żeby i ci z Przysuchej wiedzieli, jak to się bękartowi Głupiej Kazieczki i kurwie Kowala powodzi, jaki to wielki dom zamawia do stawiania. To i jednych, i drugich szlag trafiał. Żeby ich większy trafiał, co dzień na zakończenie robót skrzyńka piwa, miednica mięsa, i dławcie się, moi kochani robotnicy, żryjcie, pijcie, a wy, co się tam przyglądacie zza płotów, też się dławcie.

Nienawidzi. Za co miałyby ich kochać? Kiedyś, kiedy syn był mały, odrabiała u Teodorki worek kartofli. Jak psu wyniosła jej Teodorka na podwórze miskę z postną kapustą. Dla ciebie miejsca przy siole nie ma, powiedziała, na, żryj tu. Dziękuję, nie jestem głodna, psu swemu daj, bo na nim skóra i kości. Ooo, pomyślałby kto, odcięła się Teodorka, żeś hrabianka z domu, a nie córka kurwy z Przysuchej. Syn bawił się akurat na podwórku z Jaśką. Całkiem ładna z niej dziewczuszka jak na córkę Teodorki, i bawi się grzecznie. Teodorka znowu wyszła, wyniosła racucha: Na, daj dzieciakowi, śliczny z niego chłopczyk. I od razu miód koło serca, uraza zapomniana, to powiedziała: Twoja Jaśka też śliczniutka i popatrz, jak się razem bawią w piasku, a twoja ciągle mego głaszcze po buźce i mówi, że to jej mąż. Jaśka! Cholero jedna! Won do domu! - wrzasnęła natychmiast Teodorka i powiedziała: Nie dla psa kielbasa, Małomówno, dla swego bachora szukaj pod kruchtą narzeczonej. Aleś wybudowała dom, Małomówno, powiedziała teraz niedawno, pewno chcesz syna żenić? A moja Jaśka taka pracowita i pamiętasz, jak to się kiedyś z twoim bawiła w męża i żonę? Nie dla psa kielbasa, powiedziała Teodorce, szukaj dla Jaśki narzeczonego pod kruchtą! Teraz, kiedy

dom ma piętro pod dachówką, żadna nie powie już, że jej syn głupi. Ach, skąd! Teraz on i mądry, i zachwycający; a kilka lat temu Lipieniowa, Teodorka i Nosiorekowa przychodzą, podają paczkę. Co to? A one: Rozwiń, to prezent dla twego syna. Przecież nie jego imieniny? - zdziwiła się. Nie szkodzi, nie szkodzi, za to zaczął się nowy rok szkolny, a twój syn trzeci rok w tej samej klasie i nauczycielka opowiada, że jeszcze nie potrafi liter w sylaby układać. To my, kochana Małomówno, kupiłyśmy mu nowy elementarz. Może akurat do wojska nauczy się czytać la-la.

Bić po oczach, zabijać!

Synu, serce moje, dlaczego ty nie chcesz chodzić do szkoły, w kąś się tu wciskasz, siłą cię muszę wyciągać. Oczy dwa topieliska, ponura zmarszczka na jasnym czole. Ja tej szkoły, matka, nienawidzę. Nienawidził, i słusznie. *Twoja matka duża włąziła na Józia, twoja babka mała swe bękarty zaduszała* - paradował z taką kartką, przyczepioną do pleców, aż wrócił do domu i ona to zobaczyła. Uklękła przed synem, objęła, zapłakała. Więc bądź odtąd przeklęta, matko, Głupia Kazieczko, chociaż nauczyłaś mnie Ojczy nasz, Wierzę w Boga i Zdrowaś Mario, i robić ząbki szydełkiem, i pleść chodniczki ze szmatek, a chleb piec wysoki jak ciasto na Wielkanoc. Syn patrzył topieliskami, odsuwał się. Niech mnie matka nie dotyka! - krzyknął.

Katarzyno, moja dobra, co ci? Pochylił się ku niej nad płotem. Zabiję ich wszystkich, po kolei, każdego! Co ci, Katarzyno, powiedz, zaufaj. *Twoja babka mała swe bękarty zaduszała, twoja matka duża włąziła na Józia*; nie ma ratunku, dokąd uciec, powiedz, przed twoja babka mała, twoja matka duża? Musisz, Katarzyno, zabrać syna z Przysuchej. Za co, dlaczego, wciąż i wciąż, ciągle twoja babka mała, twoja matka duża? Jezu Chryste, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, Boże wszechmogący,

wierzę, wierzę! ale jak mam z tym żyć, że twoja babka mała swe bękarty zaduszała? Katarzyno, opamiętaj się, syna zabierz z Przysuchej, przenieś do Lipiek. Szkoła w Lipkach tylko dziesięć kilometrów, ale bez szosy, autobusu, polną drogą. Trzeba syna odwozić furą, przywozić furą. Tak woziła przez rok. Dziś, synu, serce moje, zostaniesz w chałupie: zawieje. Dziś roztopy. Dziś sadzę kartofle. Dziś orzę. Dziś bronuję. Dziś się maciora prosi. Dziś krowa się cieli. Więcej siedział w domu niż w szkole, oddała z powrotem do Przysuchej, może zapomnieli, że twoja babka mała swe bękarty zaduszała? Co prawda nikt mu nie przyczepiał obelżywych kartek, za to nauczycielka wezwała do szkoły: Syn jest krnąbrny, powiedziała, i chyba niedorozwinięty. Ja mu mówię, przeczytaj, a on milczy, ja mu pokazuję literkę a, a on na to beczy jak baran beee, i wszyscy w klasie się śmieją, i sama nie wiem, czy z niego, czy ze mnie; ja mu mówię: jeżeli masz dwa jabłuszka i dodasz jeszcze trzy, to ile będziesz miał, a on na to: Kupę jabłek - i znowu wszyscy się śmieją. Ja z nim nie wytrzymam, on jest przerośnięty, trzeci rok w tej samej klasie, ja pani wystawię zaświadczenie, że niedorozwinięty i niech pani odda do szkoły specjalnej. Po oczach ją, bić, zabić!

11.

Pełna wanna prania. A jutro koniecznie zmienić pościel u syna, namoczyć i znowu pranie. Nie lubiła niczego odkładać na później. Najlepiej raz raz, od ręki. Jeszcze dwa razy przepłukać, przefarbować i przekrochmalić. Godzina dziesiąta i kwadrans. Do jedenastej powinna się wyrobić. Od jedenastej do północy ładowanie kartofli dla świń w parnik. Co tam trzasnęło drzwiami?

Syn przechodził kuchnią, szedł do swego pokoju. Nawet na nią nie spojrział. Ach, synu, serce moje, jakiś ty niedobry, bardzo,

bardzo, przecież ja wszystko dla ciebie. Łaskotliwa łąza na czubku nosa. I ani otrzeć, ponieważ ręce mokre. Tylko byś spojrział na mnie, synu; powiedziałeś takie podłe słowa, jak możesz w nie wierzyć, słuchać parszywych ludzi?

Łzy ciurkiem. A, niech lecą.

Tego drania to jednak należy przycisnąć, niech wyreklamuje. Witoska potrafił, dlaczego jej syna nie mógł? Wybij to sobie z głowy, Katarzyno. Spasłaś go czekoladami jak wieprzka, dobrze mu zrobi, jeśli go trzydzieści kilometrów przegonią w pełnym rynsztunku. Ty draniu! - cisnęła mu w twarz. Roześmiał się. Dobra, dobra, Katarzyno, pewno, żem drań. A Pawła nie dlatego, że zostanie moim zięciem, ale dlatego, że jest mi w kółku niezbędny jako fachowiec. A że go Kocham? Ty się temu dziwisz, Katarzyno? Kocham go, ponieważ moja biedna córka go kocha, więc mi będzie za syna. Ty przecież też, kiedy ci twój syn przyprowadzi synową, pokochasz ją niczym córkę.

Nigdy, za nic.

Biedny, oszukany drań. Teraz jego przyszedł syn, Pawelek, podpuszcza przeciwko niemu, jakby naprawdę miał w dupie Anusię i cały jej majątek. A przecież nie można mieć w dupie majątku. Na Anusię połaszczył się wyłącznie z jego powodu, boć nie z miłości do niedojdy. Coś tam między nimi musiało zajść. Pomiędzy Prezesem a Witoskiem. Czemu Prezes ni z tego, ni z owego kazał swemu niezastąpionemu fachowcowi zdrapywać ten napis z drzwi? I czemu chodzi od tamtego czasu ponury, wściekły, nie pogada przy płocie?

Może przez deszcz, który leje i leje? Ależ ile to razy, choćby na minutkę, biegli do siebie, do płota, zamienić bodaj słowo albo tylko popatrzeć na siebie? Ani deszcze nie przeszkadzały, ani zawieje, ani mrozy. Nic. I: Kocham żonę, Katarzyno, też nie przeszkadzało. A teraz szwenda się po podwórzu, łeb spuszczoney,

nie podniesie, nie zawoła. Staśka dopiero co przed wypadkiem Jadźki opowiadała, że weszła do gabinetu Prezesa bez pukania, a u niego na biurku pod palmą butelka czystej, do połowy wypita, a Prezes siedzi, ścisną się za głowę i płacze. Eee, Staśka klepa, nie klep bele czego. Prezes by płakał? Sama się pewnie spiłaś, powiedziała Iwaniuczka. Jak Boga kocham, płakał. Zobaczył mnie, ryknął, że na zbitą mordę i mnie, i wszystkich; gdzie włazisz, krowo, bez pukania? Wściekły pies, żaliła się Staśka, o mało mnie nie pobił, czasem to go tak nienawidzę, że nie wiem co. Nosiorkowa tylko trąciła w bok Iwaniuszkę, a gdy Staśka wyszła ze sklepu, powiedziała: Pewno, że nienawidzi, suka; podkładała mu się w biały dzień; idziesz do kółka, wchodzisz, a tam za swoim biureczkiem koło telefoniku Staśka z cyckami prawie na wierzchu, papierosa pali, przez zęby cedzi: Prezes zajęty, Prezes nie przyjmuje. Oj, to to! - podchwyciła Iwaniuczka - taka ważna, że nie podchodź bez śliwków w czekoladzie. Zapomniała, że to ją Prezes wywyższył, na jakieś kursa po podstawówce posłał. No ale nie za darmo, wtrąciła się Teodorka, za dupę. Iwaniuczka na to westchnęła: Dupę to ona mu co dzień daje, przecież widać, że on lubi jebać. A ta Staśka! jak to się mizdrzy do niego, dodała Nosiorkowa, kochany panie Prezesie, mówi i podsuwa mu pod nos te swoje cycki, jakby wprost do macania. To ja jej mówię raz: Uważaj, Staśka, bo ci ta lewa zaraz ze stanika wypadnie. Może myślała, że skoro u prezeski dwa naleśniki, to Prezes na jej donice się połaszczy? - Teodorka roztrzęsła się od śmiechu. Ale, powiedziała Kłusakowa, Staśka ambitna i pewno myślała, że Prezes zamiast ją ruchać na biurku, da na zapowiedzi i wprowadzi do prezesowskiego łóżka pod prezesowską pierzynę. Jezu, ruchał ją na biurku? - zawołała Iwaniuczka i znowu westchnęła. Witosek widział, powiedziała Kłusakowa, opowiadał Witoskowej, a

Witoskowa mówiła do Tasławskiej, a Tasławska do mnie, że Witosek widział. E tam, Witoskowa plecie, świnia jedna, kiedyś sama spotykała się z Prezesem w starej leśniczówce, powiedziała Iwaniuczka z kolejnym westchnieniem. Aleś strzeliła z grubej rury, Iwaniuczko! I co by Prezes robił z taką starą jak Witoskowa? - powiedziała Kłusakowa. To ty, Iwaniuczko, byś chciała sobie ulżyć z Prezesem! - powiedziała Teodorka i znowu się roztrzęsła. Ach, ty kupo galarety! - zezłościła się Iwaniuczka. A ten Witosek, widzicie go, powiedziała Nosiorkowa, teraz gada na Staśkę, a Staśka, choć lafirynda, właśnie jemu odmówiła. Aż po ryju od niej dostał. A ty skąd wiesz? - zapytała Iwaniuczka. Od Krysiakowej, której Staśka opowiadała, że nawet do Prezesa chodziła na skargę, że Witosek, co to ma się niby żenić z Anusią, wsadza jej, Staśce, łapy za dekol, świnia taka. E tam, Krysiakowa musi swojej Staśki bronić, i tak wszyscy wiedzą, że Staśka na Prezesa leci, powiedziała Kłusakowa. Ale to by się zgadzało, powiedziała Nosiorkowa. Z czym by się zgadzało? - zapytała Iwaniuczka. - Z tym, że ją ruchał na biurku? Ożeż ty! Tobie tylko jedno w głowie! - zezłościła się Nosiorkowa. - Z tym płaczem Prezesa by się zgadzało! Bo to wszystko musi układać się inaczej. Niby jak? - zaciekawiła się Teodorka. A tak, że Witosek zwąchał się z prezeską, powiedziała Nosiorkowa. O Jezu, Nosiorkowo, jak ty coś palniesz! - roztrzęsła się Teodorka. - Nie wytrzymam: Witosek i prezeska! A tak! A tak! - krzyknęła Nosiorkowa. I mówię wam, że Prezes płakał przez prezeskę! Ja wam to gadam, bo ja ich mam naprzeciwno! Kogo ty masz naprzeciwno? - trzęsła się dalej w śmiechu Teodorka. - Ja ci powiem kogo! Ty masz naprzeciwno swego Nosiorka, bo podobno rucha tylko na stojąco! Ty świńska kupo galarety! - wrzasnęła Nosiorkowa. - Ja mam naprzeciwno Prezesa z prezeską! A po co prezeska się

farbuje na ryżo? Niby dla kogo? Dla Prezesa, którego ma gdzieś i już w nowym domu z nim nie śpi, tylko ma swoją własną, oddzielną sypialkę? Bo ja wam mówię: prezeska jest zdzira. Ufarbowała się dla Witoska i z nim się zadaje. A Prezes ich przyłapał i stąd wściekłość Prezesa na Witoska, to płkanie i ta woda. Gdyby było, jak gadasz, to Prezes udusiłby własnymi rękami Witoska, gdyż on za swoją Prezeską świata nie widzi i nigdy z żadną inną się nie zadał, niestety, powiedziała Iwaniuczka, ciężko wdychając. A ty byś z nim chciała, co? Teodorka zatrzęsała się w śmiechu. A ty może byś nie chciała, kupo galarety? - postawiła się Iwaniuczka. - Każda by z nim chciała, on jak dąb, a ramiona ma jak konary, o Jezusie. No, no, Iwaniuczko, coś za bardzo się rozpędzasz, powiedziała Kłusakowa, i jeszcze się twój Iwaniuk dowie, że ci nie dogadza. A ja wam mówię, powtórzyła Nosiorkowa, że prezeska to zdzira. A ty niby nie zdzira? - krzyknęła Kłusakowa. Jeszcze byś chciała, ale już nie możesz, przez te wieczne dzieci, które ci majstruje na stojąco Nosiorek.

I pokłóciły się wszystkie okropnie.

Od kiedy jednak szara mysza łeb farbuje? Najpierw blond, a potem coraz bardziej na czerwono, że istna marchew?

Od kiedy?

No nie, Nosiorkowa plecie plugawo.

Od kiedy?

O cholera! żeby i ja takie świństwa?

Plasnęła krochmalem w wodę. Zamieszała wściekle. Wrzuciła bieliznę. Niech poleży, dobrze nasiąknie. Jedenasta dziesięć. Nie wyrobiła się. Nie zdąży załadować parnika do północy. Nosiorkowa oczywiście plecie bzdury, ale coś pomiędzy Prezesem a Witoskiem zaszło. I nie chodziło o łapy Witoska za dekoltem Staški.

Do diabła! co mnie obchodzi, o co im chodziło?

Kartofle niby ładne, ale mają rdzawe plamy, będągniły. Może nie aż tak, jak u innych, ponieważ wykopała suche, tuż przed deszczami, na samym początku września. Zawsze kopała pierwsza. Zawsze się bała, że może deszcz, może grad, może Bóg wie co, jakaś plaga, i nie zdąży, zostaną w ziemi, jak to się często zdarza Nosiorcom, bo ten przygłupek, Nosiorek, robi wszystko dokładnie na odwrót, i jak się uprze, że w czas kopania będzie zbierał kamienie z pastwiska, to tak musi być. A u Kołodziejskiej w polu i kartofle, i marchew, i buraki.

Wilgotne drzewo ledwo się bzdziło pod parnikiem. Tyle kartofli, marchwi, buraków i już pewno ich Kołodziejska nie wykopie. Zabrała się z Jadźką tą samą karetką, tak jak stała, i dotąd nie wróciła. Pomarnują się u niej zbiory. Chyba nawet i dom zostawiła otwarty. Matko święta, a krowa Kołodziejskiej i jej dwa prosiaki?

Wybiegła z chlewu na podwórze. Niebo rozgwieżdżone na pogodę. Za żywopłotem z mirabelek cisza. Krowa nie ryczy, świni nie kwiczą, pies nie wyje na łańcuchu. O Boże, tak zapomnieć, stracić głowę i ani razu nie pomyśleć o bydłakach Kołodziejskiej? Ani o niej samej! A jeśli tam bydłaki wyzdychały? Ale nie, nie mogły wyzdychać. Niedojona krowa by ryczała, głodne świni by kwiczały na całą wieś, pies by skowytał, szarpał łańcuchem. Ktoś musiał chodzić do Kołodziejskiej, doić krowę, karmić i ją, i świniaki, i psa. Cholera, ale cwaniak, spryciarz pierwszorzędny. Ta krowa Kołodziejskiej lepsza od Lizy, obłowił się nieźle, co najmniej z dziesięć wiader zafasował za frajer, bo przecież mleka nie wylał do dołu, tylko sobie zabierał. Cwaniak cholerny.

A tu pod parnikiem prawie gaśnie. Dorzuciła węgla, podmucała na szczapy, i biegiem do domu, podłogę w kuchni obmyć,

potem jeszcze raz parnik zasypać węglem, żeby się tliło do rana, i na dziś po robocie.

Kartofle u Kołodziejskiej dorodne, z dziesięć ton się nakopie. Marchwi też kawał, świnie lubią marchew. Za buraki Kołodziejska wyliczyła, że weźmie ze dwadzieścia tysięcy. Teraz to wszystko zostanie w ziemi. Kołodziejska nie będzie miała głowy do niczego poza Jadźką. A krowę, cholera, ktoś zdoił. Niech tylko Kołodziejska wróci, przyjdzie do niej i powie: Popatrz, pilnowałem ci obejścia, obrządzałem dobytek, taki ze mnie dobry człowiek, i pomogę ci też przy kartoflach, burakach i marchwi; pół będzie dla mnie za moją pomoc, pół dla ciebie. A ta głupia Kołodziejska na pewno da się nabrać. A jak Jadźka umrze, to Kołodziejska do niczego nie będzie miała głowy. Może już Jadźka umarła?

Chyba jednak świniaki Kołodziejskiej kwiczą.

Rzuciła ścierkę. Wypadła na podwórze. Za żywopłotem z mirabelek cicho, ciemno.

Stała, nadsluchując. Noc głucha. Wszyscy śpią, bo dobrze po północy.

Wróciła kończyć sprzątanie. Jeszcze bielizna czeka na wykręcenie.

U syna w pokoju też cicho i ciemno. Chwała Bogu, zasnął.

Jeszcze dwie deski w podłodze do wyszorowania.

Trzeba by pilnować autobusu. I tylko Kołodziejska w dom, od razu do niej. Dogadać się. Pogrzeb to wydatek. Trumna, kwiaty, ksiądz. Kołodziejska stara, Jadźkę rodziła dobrze po czterdziestce. Przed Jadźką miała chłopaka, ale się utopił na Zakolu. Kołodziejski zmarł dwa lata temu. Kołodziejska w polu bez Jadźki nie da sobie rady, to jej powie, że pomoże, pierwsza przed tym cwaniakiem musi powiedzieć, że pół na pół.

Sieknęła, unosząc się ze zdrętwiałych kolan. Przeplukała ścierkę, wyżeła, powiesiła na ganku.

Coś zaszurało w żywopłocie z mirabelek. Chyba jaka mysza albo kot. Niebo żarzy się gwiazdami na pogodę.

Jasna cholera, żeby tak wiedzieć kto, zaraz by się coś na niego znalazło. Bo ta głupia, niemająca z rozpaczy głowy do niczego Kołodziejska naprawdę da się cwaniakowi nabrać.

A ziemia Kołodziejskiej najlepsza. Czarna, tłusta, pszenna. I bez nawozów rośnie.

Wróciła do domu. Uchyliła drzwi komórki Małomównego. Choć bydlę, mus mu napuścić trochę świeżego powietrza. Rozłożyła na świeżo umytej podłodze liliworóżowy chodniczek. Przetarła te trzy kafle, na które skapnęła kropla kakao. Jeszcze pranie wykręcić. Nie gromadzić roboty, bo inaczej człowiek się nie wyrobi.

Gdyby tak połowę kartofli Kołodziejskiej, to można by wychować jeszcze z siedem świń. W swoim chlewie nie pomieści już ani jednej, ale u Kołodziejskiej chlew duży. I obora niezła. Jakby zostawiła wszystkie swoje jałoszki na krowy, toby ich miała dziesięć! Plasnęła wyżełą poszewką w miednicę. Tak czy siak, czy Jadźka przeżyje, czy umrze, to wszystko jedno, Kołodziejska teraz ziemię będzie musiała sprzedać, bo jej z kaleką nie obrobi. Szpital też kosztuje. Gienek Krysiaków leżał w szpitalu miesiąc, a Krysiaki musieli sprzedać krowę i byczka, taka to ta sprawiedliwość ludowa, miało być jak w rodzinie, wszystkim po równo, ach, ty bolszewiku durnowaty, dawałeś się kamienować i spalać w imię tego przysłego, sprawiedliwego czasu, no i go masz, podzielony na dwie klasy, tę robotniczą, dla której szpitale za darmo, i tę chłopską, która ciągle zdycha na dychawice, reumatyzmy, paraliże; kontyngenty musi przymusowe oddawać, żeby klasa robotnicza miała co żyć. To teraz, jeżeli Jadźka

przeżyje, Kołodziejska pójdzie z torbami. Wszystko sprzeda, po kolei. I świniaki, i tę krowę pierwszorzędną, i ziemię, i tę ładną kanapę, i wersalkę nie najgorszą, dywan, stolik na trzech nóżkach, bardzo udany, lampę z abażurem w papużki, wszystko, wszystko. Tylko bez nerwów, spokojnie - plaskała wyżymaną bielizną w coraz szybszym, wręcz wściekłym tempie; plask, plask, kupić ziemię, plask, kupić krowę, plask, plask, kupić wszystko, wszystko! Podwórze się powiększy, wytnie ten przekłety żywopłot z mirabelek, tylko bez nerwów, spokojnie, powoli, ostrożnie, najpierw pół na pół, umrze czy nie umrze, bez różnicy, nie ma znaczenia. Pilnować, kiedy Kołodziejska wróci. Ubiec cwaniaka.

Wyszła na ganek. Usiadła. Ciepła noc. Gwiazdy jak latarenki. Mirabella co wiosna kwitną białą powodzią kwiatów, osy brzęczą, pszczoły bzykają, motyle fruują, syn tam siada, przynosi zydelek i siedzi, siedzi godzinami; że też ci się tak nie znudzi, synu, serce moje; czemu się przyglądasz? Kwiatkom, osom, pszczołom, motyłom, odpowiedział raz. Pamięta, że wtenczas zezłościła się: Ty chyba naprawdę jesteś głupi, do cholery!

Wyrąbie co do jednej, po co jej takie gówno? Owocki maluskie, zdziczałe, żadnego pożytku; ani zjeść, ani na kompot do słoików, bo kwaśne, aż gębę wykrzywia.

Tylko pomału, ostrożnie, bez nerwów.

Najpierw pół na pół.

Nad gankiem u Prezesa zapaliło się światło. I natychmiast zgasło. Jakiś łomot. Zapaliło się znowu. I zgasło. Zapaliło. Zgasło. Co jest?

Teraz łomot o drzwi. Raz po razie. Zduszony głos: Puść, draniu! Znowu łomot drzwi. Jęk. Ty draniu, krzyk bólu. I jeszcze jeden, cichszy.

Poderwała się. Pochylając plecy, chyłkiem przebiegła podwórze, do płota. Przywarła do sztachet.

Światło więcej się nie zapaliło. Nikt więcej nie zajęczał.

Zwid? Przesłyszała się jedynie?

Ale nie, to było tak wyraźne, to przyduszone, bolesne puść draniu, szarej myszy.

Z nienawiścią: ty draniu.

Więc to tak? Bił swoją umiłowaną, przefarbowaną na ryżo myszę? Łomotał jej głową o ścianę? I dlatego to światło tak dziwnie migające, włączane i wyłączane wraz z uderzeniem głowy o kontakt. Potem jej głową walił o drzwi. Czy tylko walił? A może zacisnął swoje olbrzymie łapska na szyi dotąd umiłowanej myszy, na jej szyi cienkiej, kruchej i dlatego takie zduszone: Puść, draniu?

Wróciła na ganek. Usiadła. W nogach słabo. W sercu duszno. Jakby i ją coś dusiło. Więc to tak, ty draniu? Kocham żonę, Katarzyno? Na wargach coś słonego, to pot z jego ręki, może nawet pot z jego wargi? Pot gorzki, pot życiodajny i pot przeklęty, bo: Kocham żonę, Katarzyno. Cóż to za słowo: kocham? Czy w ogóle istnieje? Jest? Zdarza się komu naprawdę? Słowo wyczekiwane. Słowo niespełnione. Kocham żonę, Katarzyno. Och, ty draniu. Ty cholerny draniu. Całe życie moje, i nic do pamiętania, poza tą jedną, jedyną kroplą potu twego na mojej wardze, poza tym muśnięciem twojej szorstkiej skóry, draniu, i ciepłem twoich dłoni na moich ramionach; i nic więcej, na Boga, nic, tylko tyle i jeszcze to słowo nie moje, nie dla mnie, słowo obce, cudze, wyklęte: Kocham żonę; a co by ci szkodziło wtedy zmilczeć, podarować mi swój pot, swoje ciepło, swoją szorstkość na dłużej, na jedną chwilę pozwolić mi głupiec od szczęścia, być tym ptakiem, co do nieba, a potem niechby się nawet cały świat zawalił, nie

twój świat, lecz mój, ty draniu, litujący się nad kogutkiem, prosiakami, a nade mną? Kocham żonę. A kochaj ją sobie teraz, ile wlezie; gładź po wymalowanych polikach, wymalowanych nie dla ciebie; och, nie dla ciebie ta twoja ukochana mysza tak się sztafiruje, nie dla ciebie, przekłety draniu. Jakbym syna miał, Katarzyno, wreszcie spokojny, że nikt nie skrzywdzi mojej biednej niemowy, Paweł dla mnie jak syn. Ależ cię oszydzili, wykiwali, ta twoja mysza i ten twój niby-syn. Nie skrzywdzi mi dziecka, i zaczął jak wściekły budować ten swój pałac. Ach, ty draniu! Dlaczego tak nienawidzisz wszystkich dokoła, moja biedna Katarzyno? A ty, który ich kochasz, co ci z twojej miłości teraz pozostało? Twoja mysza i twój niby-syn zwąchali się razem przeciw tobie. I proszę, nikt się niczego nie domyślił, nikt niczego nie wypatrzył, tylko ta głupia Nosiorkowa; proszę, jaka bystra.

Strasznie duszno. Nie ma czym oddychać.

W narożnym pokoju u Prezesa zapaliło się światło. To jego gabinet.

Chodź, Katarzyno, powiesz, czy ci się podoba. Wzbraniała się, że nie, nie chce. Pochylał się ku niej nad płotem, ogrzewał swoim oddechem; tak jest dobrze, myślała, i niechaj czuję jego oddech jak najdłużej, niech czuję go zawsze. Ach, Katarzyno, nie bądź dzieckiem, chodź, chodź mi zaraz! Więc poszła na nogach nagle osłabłych, z nagłym pożarem ust, nagle zamierającym sercem. Otworzył przed nią drzwi do tego pokoju. Zapach nowych mebli, politory, farby. Zawahała się. No, chodźże, niecierpliwił się, wyciągnął rękę, jakby przed nią była przepaść, której się lęka. W oknach wiotkie firanki, wielkie biurko przykryte szkłem, dziwaczne krzesła z rzeźbionymi poręczami, dziwaczne półki wzdłuż ścian, wypełnione książkami. Tak, to przepaść nie do pokonania: te meble, te książki, których nigdy nie widziała w takiej ilości. Ona miała aż trzy, o chowie bydła i świń. Trzymała je za

szkłem, niech każdy, kto wejdzie do pokoju z wielkim telewizorem zobaczy, że ma książki. I miała też nową szafę, jasny dąb, i krzesła nowe, i kiedy kupowała te krzesła i tę szafę do swego nowego domu, sądziła, że są piękne, najpiękniejsze; ale nie, nie były; teraz zaczynała dostrzegać, u tego drania, co jest piękne. Piękne i obce. Jakby on był z innego świata, nie stąd, nie z gnoju ani ze znoju; cudzy, daleki, najdalszy. Co tobie, Katarzyno? Czemu tak potniejesz? I jak mu powiedzieć, że przez ten próg przejść to tak, jakby przeskoczyć ogromną przepaść? Dywan puszysty niczym łąka, źdźbła słomy spadłe ze spódnicy. Przywołał wprost z podwórza, wyszła akurat od krów w gumiakach nie najczystszych ani nie pachnących, o nie; więc pochyliła się czym prędzej, żeby te gumiaki ściągać, a blizny na jego czole narzmiewały czerwienią, uchwycił ją za rękę, wciągnął na sam środek puszystego dywanu. To jest do chodzenia! - krzyknął. - Rozumiesz? Gumiaki aż paliły, spociła się jeszcze mocniej, bo jakże po czymś tak pięknym a drogim chodzić? Boże, uciekać stąd, od tego dywanu, tych mebli, tych książek, od tego wszystkiego tutaj, tak bardzo innego od wszystkiego, co знаła dotąd i co było jej bliskie; a on wściekł się zupełnie: Popatrz! - krzyknął i zaczął deptać dywan. Popatrz - krzyknął i plunął. - Pluń i ty, Katarzyno! - lecz ona wycofywała się chyłkiem, boczkiem, żeby tylko wreszcie poczuć pod stopami twardą, zwykłą, swojską podłogę z desek. Do diabła - krzyknął - a idź sobie, głupia babo, do diabła!

Światło w jego gabinecie zgasło.

Drań.

Trzeba iść, położyć się, cała noc przejdzie.

Syn jednak nie spał. Siedział przy kuchennym stole. Co tobie, synu? Brzuch cię boli od niejedzenia? Milczał, patrzył. Tak dziwnie patrzył. Bez topielisk. Synu, serce moje!

Co matce znowu?

Nic. Zmordowałam się, synu.

To niech matka w końcu idzie spać.

Dobrze, synu. Pójdę. Czas i na mnie.

Zbliżyła się do niego. Tak bardzo go teraz potrzebowała. Lecz syn nie lubił, żeby go dotykać. Synu, serce moje, pozwól. Ten jeden raz nie odpychaj, myślała, pociesz, daj mi siłę.

Co matce, do diabła?

Jaki ciepły, jaki gładki. I nie uchyla głowy. Nie odpycha, jakby i on potrzebował pocieszenia. Jakby i on oczekiwał wsparcia. Ach, synu, serce moje.

Siedział nieporuszony. Co za szczęście! Jak dobrze! Jaki już spokoj. Po co się szarpać: Kocham żonę, Katarzyno. Po co, skoro włosy syna takie puszyste, żyłka na karku taka pulsująca, taka bliska, taka własna?

Zegar tykał. Czas uciekał. Jeszcze tylko chwilkę mi daj, synu, jeszcze jedną mi podaruj zamiast kocham żonę, Katarzyno.

A ja teraz na niego coś mam, odezwała się.

Syn nie poruszył się.

Słyszysz, synu? Mam coś na tego drania.

Ani drgnął.

Za to, co na niego mam, on ci załatwi zwolnienie z wojska raz raz.

Wciąż nieruchomy.

I ziemi dokupię, synu. Co to za ziemia pierwszorzędna, tłusta niczym masło. Bo czy umrze, czy nie umrze, bez różnicy: ziemia im zbyteczna.

W jednej sekundzie strząsnął ją z siebie. Unosił się od stołu, błady śmiertelnie. Chwiał się, jakby go kula w serce zraniła.

Kto umrze? Kto?!

Matko Boska, synu! Nie patrz tak na mnie!

Ona nie umrze! Nie umrze! Nie może!

Ty mówisz o Jadźce, synu?

A matka o kim mówi? Nie o Jadźce?

Przymknęła oczy, aby nie widzieć, jak rodzony syn opuszcza rękę na policzek rodzonej matki. Zapadła się w ciemność. Czekala na uderzenie.

Synu, ja nie chciałam nic złego!

Oddychał ciężko, zmagając się z czymś dla niej niewidocznym, niepojętym, niezrozumiałym.

Synu, serce moje, uwierz: nic złego!

Ja matkę za dobrze znam, odpowiedział cicho, tak cicho, że tego, co powiedział, domyśliła się raczej z ruchu warg, niż dosłyszała. Za dobrze, powtórzył, ciągle tylko samymi wargami. Przygarbił się. Wyszedł z kuchni wolno, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

Przetarła lśniącą powierzchnię czajnika. I cień swój starła z białego kafla. Co mu? Od tego wypadku z Jadźką jakby go coś opętało. Przed chwilą patrzył, jakby chciał zabijać. O co mu chodzi? Czego on jeszcze chce, no, czego? Dom dla niego. Pokój jeden do spania ma własny. Pokój z telewizorem też jego. Szafa pełna koszul, cztery garnitury. Kto tu tyle ma? Nikt. Po dwie, trzy tabliczki czekolady co dzień. Kakao bez kożucha. Podano. Sprzątnięto. No to czego? Zwariować można. Co go w końcu obchodzi, czy Jadźka umrze, czy nie umrze. Narzeczona? Ukochana? Na żadną nie spojrzał od dawna, włączał telewizor, robił sobie przyjemność, a tu nagle, ni stąd, ni zowąd o tej Jadźce. Może to przez tę krew, że jej tam tyle było, sadzawka krwi, potop, i te włosy Jadźki majtające w krzyku. Wrażliwy jest. Przeżywa. Tylko tak to sobie wytłumaczyć na rozum można.

A bieliznę rozwiesi jutro. Dziś już nie. Dziś jest zbyt zmęczona.

Umyć się i spać. Spać.

Druga w nocy się zrobiła, o czwartej wstaje, czy to warto się kłaść?

Ach, Boże, jeszcze trzeba sprawdzić parnik, bo może zgasło.

Nie zgasło, chwala Bogu. Tliło się akuratnie. Świnie, ciasno jedna przy drugiej; wielkie, różowe, tłuste. Spełniony sen o posiadaniu. Tak, ma. Dużo. I chce więcej.

Jesteś jak ogień, Katarzyno, nienasycona i zachłanna.

Drań.

Wracając z chlewa, zobaczyła go. Czerniał nad płotem potężny garb przykurczonych pleców, głowy schowanej w ramionach.

Stała, patrzyła. Garb czernił się pękaty, a nad nim wysoko świetliste latarenki gwiazd na pogodę. I nie wiadomo skąd ani dlaczego przypomniawszy się jej Małomówny w tamtą noc obłąka księżycem, jak leżał na podłodze i płakał, a ona, oparta plecami o brzeg łóżka, zamiast go objąć z pocieszeniem, myślała, że już na wszystko za późno i już nic odmienić się nie może.

Człowieczy garb pochylony nad płotem. Co mu powiedzieć? O jego kropli potu na swoich pragnących wargach?

Zbliżyła się. Niczego nie słyszał, pogrążony w swoich złych, rozpaczliwych myślach. Lecz jego myśli nie były dla niej; dla niej nie miał litości, dla niej na zawsze: Kocham żonę: Katarzyno.

Drań.

Wykiwany, oszydzony, opluwany, kamienowany, podpalany. Nie ma ludzi złych, Katarzyno, są tylko nieszczęśliwi. Teraz sam nieszczęśliwy w swoim własnym tunelu ciemności. I powiedz mi, powiedz, czy ci już rosną kły? Och tak, tak! Rosną ci one wielkie, ostre i chciałbyś nimi po oczach i po gardłach, wszystkich, każdego, i tę swoją myszę umiłowaną, i tego swego niby-syna. Usrała się twoja dobroć na zawsze.

Był sam. Ze swoją pęczniejącą w owoc nienawiścią.

Nagle doznała olśnienia: teraz Witosek nie dostanie Anusi. A skoro Witosek odpadł, to kto wraz z Anusią przejmie ten cały prezesowski majątek? A gdyby tak Anusia i syn?

Podeszła zdecydowanie.

Pewno nie wiesz, że Witosek od wczoraj upija ludzi przeciwko tobie?

Garb trwał w milczeniu.

No, nie udawaj, że ogłuchłeś, powiedziała i chciała mu zajrzeć w oczy, lecz wciąż trzymał głowę wkuloną w ramiona, tylko dłonie na sztachetach zacisnęły się silniej. Pewno mu już donieśli, pomyślała, a pierwsza Nosiorkowa poleciała z językiem.

Odezwij się, ty draniu! - krzyknęła, lecz garb ani drgnął. Donieśli, donieśli; zawsze wszystko doniosą. Najpierw obszczekają, naujadają, a później na wyścigi, kto pierwszy, lecą powiedzieć, że ten szczeknął o tym, a tamten o tamtym, bo każdy, choć chciałby drania poszarpać, przymilać się musi, wszyscy od niego zależni. Kółko jak fabryka, dawne czasy, kiedy Kubiak pierwszy ciągnik trzymał u siebie na podwórzu na zmianę z Lewickimi pilnując, coby go kto nie podpalił ani nie pogruchotał łomem. A teraz? Co tu gadać o teraz, teraz by się wszyscy pogryźli, żeby tylko dostać się do kółka, bo wtedy i lekarz darmowy, i na pierwszego pieniądź pewny, który nie zdechnie jak świnia, nie dostanie zapalenia wymion jak krowa, i jeszcze swoje pole masz zaorane za pół darmo, ten cwany drań wymyślił tak zwane bonifikaty dla swoich pracowników. Konie ze wsi jakby kto wymiótł albo je nosaczna wybiła. Po jaką cholere konia żywić, skoro są maszyny i raz raz pole zaorane, bez potu na twarzy, bez bólu w plecach; teraz nawet warzywnik wielkości chustki do nosa chcą orać traktorem, przecież kopać łopatą nie będziesz, konia się pozbyłeś, to pisz fakturę, Prezesie. Tak się Nosiorek bez konia przejechał ze

swoim jęczmieniem, którym obsiał więcej niż połowę wszystkiego pola; kurczaków kupił pięćset i gada: Co się będę mordował jak głupi, kuraki w kokoszki urosną, jajów naniosą, dzieciaki jaja pobierają, obmyją, zaniosą do skupu w Przysuchej, baba będzie kokoszkom ziarka sypać, a ja się najem. Za wszystkie czasy się najem. Dwa razy dziennie jajecznicę i raz dziennie rosółek. Kokoszki lepszejsze od świniaków. I każdemu podtyka kartkę z wyliczniami. I rzeczywiście, czarne na białym wychodzi, że bardziej opłaca się na kokoszki cip cip wołać niż dygać z wiadrami do świń. Tyle że na czas żniw przyszły deszcze, a później popsuły się w kółku obie snopowiązałki, a gdy je zreperowano, znowu deszcze, gdy nareszcie wypogodziło się, Prezes kazał kosić najpierw u pracowników i u siebie, Nosiorka zaś jęczmień poczerniał na polu. Ty chyba sumienia nie masz! - krzyczał Nosiorek na Prezesa. Blizny Prezesa obrzmiały fioletem. A twoje sumienie gdzie było, kiedy mnie palono? I kazało ci drzwi zawrzeć na glucho? I uśpiło cię snem kamiennym? To wszyscy zaraz zrozumieli, że snopowiązałki nie popsuły się ot tak sobie, ale popsuły się stąd i dlatego, że Prezes postanowił się zemścić za dawne czasy, a zaczął od Nosiorka. Długo czekał, drań, i dobrze wybrał; strach padł na całą wieś od końca do końca, ale wyglądało na to, że cała wieś od końca do końca też czekała na ten czas zemsty i wiedziała, że on musi nadejść, a te wszystkie starania Prezesa, te bonifikaty, asfalty, sklep, zlewnia mleka, rozrastające się w fabrykę kółko miały służyć temu, aby tę zemstę uczynić jak największą i jak najstraszniejszą. Bo co może być straszniejszego od dwóch móg poczerniałego jęczmienia, który się sam obsypywał i rósł już po raz drugi zielonym mchem między przykurczonymi badyłami? Mściwy skurwysyn. Na kogo kolej teraz, kto następny? Stary Grzyb nie zwlekając kupił jeszcze w listopadzie konia, żywił

całą zimę, wiosną zaś gada do Heńka, żeby szedł orać, a Heniek: Coś ojciec, całkiem zgłupiał? Nie mam zamiaru deptać za pługiem, przyjadę traktorem i raz raz. To tyś, Heniek, ogłupł całkiem! Przecież teraz nasza kolej! - wrzeszczy stary. Jaka znowu kolej? - wrzeszczy Heniek. No, żeby się maszyna w kółku popsula. Ojciec chyba na starość zdziecinniał, wszystkie maszyny wyszykowane, a części zapasowych do nich Prezes kazał dokupić na pięć lat, żeby się więcej nikomu już nie zdarzyło, jak w zeszłym roku Nosiorkowi! Oj, Heniek, on tak dla niepoznaki, przecież to mściwy skurwysyn.

Heniek tylko splunął, pognał do kółka, przyjechał, w godzinę zorał pole, stary Grzyb zaś zezłościł się jeszcze bardziej, pognał do Nosiorka i gada, że jego też Prezes oszwabił, naraził na straty, bo popatrz, Nosiorek, co za drań! Konia kupilem całkiem zbytecznie i żywiłem go przez całą zimę, a po co mi on, skoro Heniek nawet nie po fajrancie, ale w godzinach pracy przyjechał i zorał. To Nosiorkowa poleciała natychmiast do Prezesa i mówi: Był u nas stary Grzyb, powiedział na ciebie, żeś drań i skurwysyn, i powiedział, że jego Heniek zorał w godzinach pracy i bez faktury.

Stał później przy płocie i śmiał się tak, aż mu oczy łzawiły. Co za ludzie, śmiał się, i popatrz, Katarzyno, ja się z nich śmieję, a powinienem nad nimi płakać, nad Grzybem, nad Nosiorkiem i nad nimi wszystkimi, co tak uparcie, bezustannie, wszędzie i zawsze upatrują wyłącznie świństwo, jakby to, co dobre, w człowieku nie istniało.

Drań.

Moja dobra, kochana Katarzyno.

Aż drgnęła, tak głośno wymówił jej imię. Moja dobra, powtórzył. Uniósł głowę. Jego twarz wydawała się martwa i zupełnie obca.

Cieszę się, że w tobie tyle ludzkiej troski o mnie, o moją biedną córkę i o Witoska. Cieszę się również, Katarzyno, że ty najpierwsza spośród innych podeszłaś do mnie, aby mnie nareszcie zapytać, czy może coś wiem o Jadźce, jak ona się czuje, czy żyć będzie? Ach wy! wy tacy dobrzy, miłosierni, od wczoraj nie myślicie o niczym innym, jak tylko o tym strasznym wypadku, wstrząśnięci nim do głębi. I pewno z powodu swego ludzkiego współczucia wślizgujecie się przez cały dzisiejszy dzień do mego domu jak złodzieje, chyłkiem, na paluszkach, oglądając się na boki, żeby nikt waszych kroków nie posłyszał, nie zobaczył, nie wypatrzył, i zaczynacie szeptem, że ten to to, a tamten to tamto. Więc chociaż tobie podziękować mogę, moja Katarzyno, której zawsze ufałem w głębi serca, że twoje pierwsze słowa nie zaczynały się od: A Witosek, lecz wyrażały zwykłe ludzkie współczucie dla zwykłego ludzkiego nieszczęścia.

12.

Kołodziejska wróciła nie pekaesem, lecz taryfą. Normalnie taki fakt, że Kołodziejska rozjeżdża się taryfą, wywołałby ogólne zgorszenie, ale tego dnia, we wtorek po południu, nikt nie miał głowy do Kołodziejskiej, ponieważ tego dnia, we wtorek piętnastego października, z samego rana w Zasławiu pojawiła się władza w osobach trzech milicjantów z komendy powiatowej oraz czterech cywilów, nie wiadomo skąd, bo na pewno nie z powiatu. Zajechali dwiema taksówkami. Jedna szara, zwykła, marki Warszawa, i z tej wysiedli milicjanci, ta druga zaś była perłowoniebieska, marki początkowo nierozpoznanej, gdyż dopiero później Heniek Grzyb, który się znał na wszystkich taksówkach, powiedział, że ta perłowoniebieska to jest polski fiat, silnik tysiąc pięćset, luks nie taksówka, od niedawna produkowana, więc ci cywile

to musieli być z samego województwa, albo kto wie, może nawet i z Warszawy.

Zatrzymali się przed prezesowskim pałacem. Cywile na czarno, w czarnych garniturach; milicjanci z opuszczonymi służbowo paskami pod brody.

Weszli do Prezesa. Długo nie siedzieli. Zaraz wyszli razem z Prezesem. Skierowali się prosto do stodoły, w której Prezes po wypadku zamknął młocarnię.

Nad płotami wszędzie przyczały się okrągłe, szare albo brązowe, garnki.

Wszystkie omal nie pospadały z płotów, gdy między milicjantami w paskach służbowo pod brody szedł Prezes prosto do taksówki marki Warszawa.

Wsiadł, a jeden milicjant z jego jednej strony, a drugi z drugiej. I odjechali.

Jezu kochany! Ludzie! Ludzie! Zabrali go, drania! Nosiorkowej garnek zamienił się w głowę i zaraz cała Nosiorkowa wynurzyła się zza płota, krzycząc: Zabrali, powieźli, ludzie kochane, jest sprawiedliwość na tym świecie!

Patrzyła na radośnie podskakującą Nosiorkową. I na inne, co się wytoczyły na środek drogi. Głupie! Co za głupota i co za nienawiść. Lecz głupota większa od nienawiści, bo gdyby Prezes wsiadł do tej lśniącej, nowej, aż z województwa czy Warszawy, wówczas można by liczyć, że na urzęniętej nodze Jadźki powinęła się i prezesowska. Tymczasem on wsiadł do starej, dobrze znanej taksówki, razem z milicjantami, z którymi od dawna na ty; znów się więc wywinie, drań.

Wyszła jednak przed dom obserwować, co się będzie dalej działo. Zbliżyła się do furtki.

Na środku drogi Nosiorkowa ciągle podskakuje i wrzeszczy, że zabrali. Obok Nosiorkowej trzęsie się ta kupa galarety, Teodorka,

Iwaniuczka zaś, która by chętnie zgwałciła Prezesa w jakiejś stodo-
dole, całuje się z Krysiakową. Nie ma czemu się przyglądać. A
tobie dobrze tak, draniu miłosierny. Dobro nie istnieje, każdej z
tych tam na drodze czyniłeś dobro: Nosiorkowej kilka razy po-
krywałeś kontyngent z własnej kieszeni, litując się nad nią, nad
jej tuzinem bachorów i mężem przyglupkiem; Staśkę Krysiako-
wej wzięłeś do sekretariatu, żeby pensją mogła wesprzeć rodzinę
po tym, jak Krysiak po pijanemu zamarzył nad Zakolem; Jaśce
Teodorki załatwiłeś talon na maszynę do szycia i robotę taką, że
dupą nie musi ruszyć, gdyż jej szycie przywożą ze spółdzielni i
odbierają gotowe; nawet tej kurwie niezaspokojonej dałeś dar-
mowy talon na węgiel, a one teraz wrzeszczą: Zabrali! zabrali!

Wypatrzyły ją. Dopadły sztachet. Nosiorkowa bryznęła śliną:
Widziałaś, Małomówno? Widziałaś! I ty się przestaniesz pysznić,
i ciebie zabiorą! Zabiorą, zabiorą! - wrzasnęła Iwaniuczka. Kaj-
dankami skują! - zawtórowała Teodorka. Kosmyk włosów wysu-
nął się spod brązowej chustki, przylepił do czoła Nosiorkowej.
Usta Iwaniuczki kłapią raz po raz. W gębie Teodorki chwieje się
jedyne, spróchniały na żółto ząb.

Idź, idź, Nosiorkowa, zajmij się lepiej swoimi scherłałymi
prosiakami, bo ci wszystkie do końca wyzdychają, powiedziała.

Słyszycie ją? - kosmyk na czole Nosiorkowej zajazgotał: My
ci, Małomówno, pokażemy, kto jest kim, my ci zrobimy rema-
nent w sklepie, na swoje nie wyjdiesz, z kryminału nie wyjrzysz.

Idź, idź. Lepiej wylej kubel zimnej wody na ten swój durny
łeb, żebyś później nie musiała odszczekiwać tego, co teraz szcze-
kasz!

Ale je wszystkie - i Nosiorkowa, i Iwaniuczkę, i Krysiakową, i
Teodorkę - opętał diabeł radochy. Ona nam grozi, słyszycie? -
roztrzęsła się Teodorka - ten wycieruch prezesowski! Ale ci go

zabrali, na marne ruchałaś się z nim po rowach! - wrzasnęła Iwaniuczka - to i ciebie tylko patrzeć jak zabiorą! Wtedy ty nawet czekać nie będziesz, roześmiała się Nosiorkowa, ty będziesz skamlać, kiedy cię mój Nosiorek jako nowy prezes ze sklepu wywali.

Wiedźmy. Oczy na wierzch wylażą im od wrzasków. Ślina bryzga dokoła. No dobra, postoję, posłucham, zapamiętam. No dalejże, a ujadać, skundlone suki!

Wybudowała sobie dom z piętrem, telewizor największy kupiła, i wersalkę, i szafę, i dywan! - wrzeszcza na przemian, bo co jedna tchu nabiera, to druga głos odzyskuje - świnię pasie rządową mąką, rządową kaszą, każdego dnia wynosi worami, do zlewni odstawia mleko na pół z wodą, tak zhardziała od tego, że Prezes ją rucha!

Nosiorkowa już nie ma siły wrzeszczeć, już tylko chrypi: I kłaniać się jej trzeba, nadsłakiwać, zapraszać do siebie, ale ona dalej, hrabinią, niż na podwórza nie zajdzie, dorobiła się wszystkiego za dupę, za dupę nachapała, i ziemię, i sklep, ale go powieźli, prosto do kryminału, i usrało się wam obojgu, ty nasza kochana Małomówno, i już po tobie, już nie będziesz się nad innych wynosić, my ci teraz przypomnimy, gdzie twoje miejsce, my pamiętamy dokładnie i zawsze pamiętać będziemy, żeś ty kurwa bękartowskiego pochodzenia, a twój Janek też bękart.

Uderzyła, lekko przechylając się ponad sztachetami, wprost w te charczące, zaślinione, chude wargi Nosiorkowej. Nosiorkowa zawyła. Teodorka zawyła, Iwaniuczka zawyła, Krysiakowa zawyła. Wszystkie z wyciem napały na furtkę.

Cieniutka, cieniuteńka strużka krwi z wargi Nosiorkowej.

Na podwórze wypadł syn. Dobiegł. Chwycił za ramiona. Odciąga.

Widły, synu, dawaj widły, szybko! I ona wrzeszczy, i ona czuje pot nienawiści po czole ściekający, i ona chce je wszystkie widłami po oczach.

Kamień świsnął tuż nad głową. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby.

A tam drogą toczy się Romanka. Wymachuje krótkimi rączkami. Zamknęli Witoska! - krzyczy.

Jeszcze jeden kamień zdążył. Wybił jedynie dołek w tynku.

Ludzie, Witoska zamknęli! Romanka dobiega, wpada między Nosiorkową a Iwaniuczkę, cofa się, przestraszona, bo one ku niej, i już ją szarpia, rozczochrane, spocone, wściekłe. Co wam? Co wam - broni się Romanka - rozum wam odebrało?

Prezesa, nie Witoska! Prezesa powieźli stąd prosto milicyjną taksówką do kryminału, ty głupia krowo! - wrzeszczy Nosiorkową.

Na naszych oczach powieźli, skutego! - wrzeszczy Iwaniuczka.

Po co im Witosek, skoro Prezesa zabrali? - wrzeszczy Krysia-kowa, a Teodorka nie wrzeszczy, tylko wciąż i wciąż szarpie sweter Romanki.

O Jezu! - woła Romanka. - Puśćże mnie, Teodorka, bo ja ci zaraz na gębę nałożę, sweter mi całkiem porozciągasz! A nie Prezesa, ale Witoska, i jeszcze go nie powieźli, tylko zamkli na klucz w gabinecie Prezesa, a dwóch milicjantów pilnuje pod drzwiami, żeby im Witosek nie uciekł. Co za durne baby! Co tak gały wybałuszacie? Przecież wam gadam po polsku, nie? Cholery jedne, całkiem nowy sweter mi poniszczyły, a żeby was osrało! A Prezesa nie powieźli, tylko przywieźli do kółka, przecież tam byłam, stamtąd wracam, widziałam wszystko, Prezes sobie chodzi wolny i ściska ręce tym w czarnych garniturach, które są aż z województwa. Co tobie, Nosiorkowo? Jak Boga Kocham, puść, bo

dam w pysk, istna wariatka! Małomówno, ratuj mnie przed tą wściekliczną!

Nosiorkowa puszcza sweter Romanki. Teodorka głośno sapie. Iwaniuczka głośno dyszy. Krysiakowa pojękuje, jakby ją kolka sparła.

Romanka poprawia sweter na cyckach.

I za co by go mieli do kryminału, wy durne baby - mówi Romanka, prostując się godnie. Zerka w kierunku tych wszystkich garnków nowo przybyłych, co się wychylają zza płotów.

Będziecie świadkami na to, co tu mówię! - woła do nich Romanka, a one hyc, hyc, chowają się czym prędzej.

To jak? Nie zabrali Prezesa względem tej urzęniętej nogi Jadźki? - pyta niedowierzająco, sapiąc, Iwaniuczka. Przecież ty tak samo gadałaś, Romanka, że muszą go wziąć, przytakiwałaś co i rusz Witoskowi.

Ja przytakiwałam Witoskowi? - zaperza się Romanka. - Wierutne łgarstwo!

Łgarstwo? A kto na beczkę tam, na moim podwórzu, wskakiwał i wołał: Niech żyje prezes Witosek? - krzyczy Nosiorkowa.

Łżesz, suko!

Tylko nie suko, tylko nie suko, krowo jałowa!

Na Prezesa z tej beczki tak wymyślałaś, że cię pół wsi słyszało! - woła Teodorka.

A ty, kupo galarety, też z tej beczki! i nie tylko na Prezesa, ale i na Małomównę, że i ją taczkami, ale najpierw by na nią donos napisać, że kaszę i mąkę worami, a zwyczajną sprzedaje za toruńską! - odgryza się Romanka.

No, dość tego cyrku, powiedziała do syna, bo się porzygać można. Idziemy do domu. A szybko mi wstawić raz raz! - krzyknęła do kłębiących się na nowo kobiet. Chodź, synu, i tak czasu zmarnowałam, zapóźniłam się w robocie.

Małomówno, kochana, poczekaj! - słyszy za plecami głos Teodorki - daj sobie coś powiedzieć, bo jeszcze pomyślisz, że ja na ciebie tak naprawdę.

Trzasnęła Teodorce drzwiami przed nosem i Teodorka została na ganku.

Syn usiadł przy stole. A jaki blady, Boże drogi, musiał słyszeć każde słowo z tego, co wykrzykiwała Nosiorkowa i te inne suki; po oczach je, po gardłach, bez litości.

Po co matce to wszystko?

Synu, o czym ty gadasz? - krzyknęła, a ręce jej zadygotały.

Matce ciągle mało i mało.

Zrobił ruch białą, miękką dłonią; tą dłonią, która nigdy nie zaznała pracy, tą dłonią wypoczętą, nieznużoną, niestwardniałą, nieszorstką.

Czy ty nie rozumiesz? - krzyknęła, obolała od wiecznej pracy i wiecznej pogoni za czasem, i od tych ludzkich plugastw, które ścigają, szczują, niszczą, niweczą, palą serce na popiół - że to nie dla mnie, że to dla ciebie?

A mnie po co?

Och, i jego po oczach, i jego!

Chociażby po to, aby cię ludzie szanowali!

A matkę niby szanują? Albo Prezesa? Zaśmiał się. Oni by was, i matkę, i Prezesa, w kałuży utopili! Znowu się zaśmiał, znowu machnął dłonią. A tam! Cholera i z matką, i z Prezesem!

Wstał, podszedł do drzwi. Zmrużył oczy. Powiedział: A ta młocarnia to była zupełnie nowa. I miał podawać Jackowiak, a nie Jadźka. I poszedł do swego pokoju.

Przesunęła garnczek z kakao na sam brzeg płyty, niech stoi w ciepłe, przesunęła i czajnik, niech się woda nie gotuje na darmo. Starła kapkę sadzy z drzwiczek pieca.

Nie. To tylko nieszczęśliwy wypadek.

Spostrzegła, że głupio zaciska ręce na ścierce. Odwiesiła ją. To rzeczywiście nowa maszyna, sprowadzona do kółka pod koniec lipca, i dotąd młócił nią tylko Iwaniuk, Nosiorek i już nikt więcej. Nowa maszyna. Nowa maszyna.

Nie. To tylko nieszczęśliwy wypadek.

Ale miał przecież podawać Jackowiak, nie Jadźka, o tym wiedzieli wszyscy, nawet ci, których Prezes nie wyznaczył do młócki u siebie. Nikt nie chciał podawać. Najgorsza robota, w oczy, w usta kurzy, pyli, kłuje ościukami i trzeba uwijać się szybko, raz raz, bo podający z dołu nie czekają, zarzucają cię tam na górze maszyny snopkami, to jak się okazało, że Jackowiak, powiedzieli wszyscy, że chociaż w tym jakaś sprawiedliwość, Jackowiakowi Prezes pensję płaci, a my za Bóg zapłać. Ale Jackowiak spił się i nie wytrzeźwiał, Prezes kazał synowi, drań; w ostatniej chwili zamiast syna Jadźka, chcę być ptakiem, la, la, la.

Nie, to tylko zwykły wypadek. Tyle krwi, kałuża, potop. Ale jakim sposobem mogła się zarwać w nowej młocarni pod lekką nogą Jadźki deska w nowym pomoście?

Ktoś podpiłował deskę. Nie, to niemożliwe. Deska nowa, pomost nowy.

Kto podpiłował deskę?

Jezus Maryjo, sprzedać dom, pole, krowy, świnię, wynieść się stąd, bo dopadną, jak chcieli dopaść Prezesa. Za bardzo wyrosłaś nad innych, Małomówno, zapomniałaś, skąd przyszedłaś. My nie zapomnieliśmy. Oni nie. Oni nigdy ci niczego nie darują i nigdy nie uwierzą, że Prezes sklep ci dał z dobrego serca, bo chciał pomóc! Oni nie wierzą w dobre serca. Oni nawet na łożu śmierci przysięgną, że widzieli, jak ty i on, jak wy oboje razem, ponieważ niczego nie można dać za darmo, zawsze musi być za coś, w ich parszywych łbach nie pomieści się, że między tobą a nim nigdy

nic, tylko ta jedna słona kropla potu jego na twojej wardze, i to wszystko, bo kocham żonę, Katarzyno; ale dla nich to nie do pojęcia, konając przysięgną, że widzieli was nie raz, nie dwa, na własne oczy, bo inaczej skąd? dla jakiej przyczyny? on by wówczas na drodze odbierał jałoszkę Goździckim albo przynosił pod pazuchą prosiaczki, albo dawał sklep, albo tę ziemię wreszcie, którą ci dał nad Zakolem, i jeszcze tę po Jasińskiej? Oni już nie pamiętają, zapomnieli, że ziemia nad Zakolem i ziemia po Jasińskiej mogły należeć do każdego z nich.

Latem, gdy dwa prosiaczki urosły w świnki, przyszedł Kubiak. Chcesz ziemi, Katarzyno? - zapytał. Zwariował czy co? Swoją będzie dzielił na zagonki? Nie chcę niczyjej krzywdy, ciągnął, ale tamta ziemia nie ma prawa się marnować, powinna służyć wszystkim. Tam jest dobra ziemia, prawie taka, jak u Kołodziej-skich. Nie rozumiała; o jakiej ziemi mówi? O tamtej, nad Zakolem. Bój się Boga, Kubiak! - zawołała ze strachem. Ziemia nad Zakolem niby należała do wspólnoty, ale niechby kto spróbował, kiedy bagno podeschnie, swoje krowy tam latem wygnać. Tam pasły się krowy Goździckich, Teodorków i Lipieniów. Nosior-kowa raz wygnała swoją. Rano wygnała, w południe zabrała, bo przyszedł Pietrek Goździckiej i powiedział: Nosior-kowo, wasza krówka cosik okulała. Matka kazała was uprzedzić, że na razie na jedno kopyto, ale do wieczora może okuleć i na drugie. Nikt nie odważył się zadzierać z Goździckimi, Lipieniami, Teodorkami. To patrzyła na Kubiaka z przerażeniem. Co za człowiek! Dopiero co go palili, dopiero co szli ławą, aby kamień na kamieniu nawet nie; ledwo się pozbierał, jeszcze mu się dobrze gęba ani ręce nie wygoiły i gdyby nie ta krowa wydarzenie, nie ta krowa rekordzistka i ten cały zasrany sojusz klasy robotniczej z małorolnymi,

siedziałyby dotąd na kupie ruin i zgliszcz. No nie! - zawołała - ja mam normalną krowę, nie rekordzistkę, i mam syna, dla którego muszę i chcę żyć, więc lepiej idź stąd, bo za samo słuchanie ciebie przyjdą i mnie spała. Nie, Katarzyno, oni już nikogo nigdy nie spała, powiedział, oni się boją. A tę wspólną ziemię trzeba podzielić równo, sprawiedliwie między tych, co jej mają najmniej. Takich jak ty czy ja. Jak Iwaniuki, jak Krysiaki, Kłusaki, Nosiorowie, Grzyby. Tam jest piętnaście morgów doskonałej ziemi. Co on gada, ten bolszewik? Dzielić ziemię? Dostać jej chociażby mały zagoneczek? Co ty mówisz! - krzyknęła i zadrżała do tego skrawka ziemi więcej, zapragnęła go aż do bólu. Podzielić równo, powtórzył niepoprawny bolszewik, dobra ziemia. Gówna, nie ziemia! - krzyknęła, żeby odpędzić od siebie to pragnienie aż do bólu - bagna, torf, nieużytki! Wystarczy przekopać rowy, które teren obsuszą, wykarczować olszyny i inne krzaczyska, powiedział Kubiak i wtedy zrozumiała, że on naprawdę jest inny od wszystkich. Przecież by mu wystarczyło powiedzieć do tych tam pierwszych czy trzecich, ale wszystkich ważnych, aby mu tę ziemię dali, i cała by była jego. Tylko jego. A on chce się dzielić? Równo i sprawiedliwie z tymi, co niedawno na niego szli ławą? Nie, nie może być nawiedzony, musi być opętany! Krzyknęła: Z Bogiem, Kubiak, z Bogiem! Idź i nie przychodź więcej. Ja mam syna! Zwiesił głowę, poszedł.

Jakby tę ziemię podzielić między dziesięć najbiedniejszych rodzin, wypadłoby po półtorej morgi na każdą. Ma dwie i pół, miałyby cztery. Aż cztery, Ojciec nasz, któryś jest w niebie, chleba mojego powszedniego daj mi, Panie; cztery morgi! To tyle, co mają Romanki. A trawa nad Zakolem w sierpniu po pas, nie trzeba by latać z kosą na leśne drogi i polany, potem zaś dniem i nocą czuwać nad tym, co nakosiłaś, bo rozkradną. Cztery morgi. Więcej

kartofli, owsa, żyta. I już chciałyby tam biec, karczować pnie, krzaki, żeby dobry, błogosławiony pot zalewał oczy, a ręce mdlały od wysiłku.

Zebranie odbyło się pod gołym niebem. Bo w Zasławiu jeszcze Kubiak Kubiakiem, więc ani kółka, ani zlewni, ani sklepu, ani asfaltu; jeszcze nikomu nie śniły się takie cuda, jeszcze kierat skrzypiał ze znużeniem, jeszcze u niektórych żęło się sierpem, jeszcze kłoski z pola po żniwach rodzinami się zbierało. Była tu tylko wielka woda Zakola i gęste lasy wokoło, i konało się tu długo, mozolnie, w srogich mękach, zanim się Bóg ulitował nad konającym i zabrał go wreszcie do siebie. Samochód z władzą zatrzymał się przy Tasławskich, na samym końcu wsi, skąd droga wiodła na kolonię do Goździckich. Na zebranie przyszli wszyscy. Goździcka z synami w ciężkiej żałobie, Teodorka też żałobnie, Lipieniowa okutana w czarne chusty. Głowa przy głowie, oczy wściekle jak u głodnych wilków, bo przyjechali ziemię odbierać, podpuszczeni przez bolszewika Kubiaka, żeby był przeklęty on i nasienie jego na wieki wieków, amen. Ludzie, zawołał Kubiak, wlaź na platformę ciężarówki, nad nim czerwony sztandar łopoczący, przecież tak będzie sprawiedliwie, żeby ci, co mają najmniej, mieli trochę więcej. Ludzie, przecież to dla was. Ludzie, miara krzywd naszych już się dopełniła! I stał później koło płotu taki przegrany, jakby nieszczęśliwy, że ludzie nie odważyli się sięgnąć po tę ziemię, zawłaszczoną przez Goździckich, Teodorów i Lipieniów. Ech, głupi Kubiaku, który nie wierzysz w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, za to koniecznie, z uporem chcesz wierzyć w ludzi. Możesz sądzić, że ci krzykną alleluja? Przecież to sprawiedliwie, no, powiedz sama, Katarzyno. Co cię obchodzi jakaś zasnana sprawiedliwość, powiedziała, komu ona potrzebna i gdzie jej szukać? Sprawiedliwość,

Kubiaku, zawsze należy do silnych. Teraz my jesteśmy silni, powiedział, czy nie widzisz, Katarzyno, że nadeszły nowe czasy? Wzruszyła ramionami: Jakie tam nowe czasy, czasy zawsze są takie same. Dlatego nikt nie odważył się, Kubiaku, sięgnąć po tę twoją ziemię, chociaż niektórzy, tak jak ja, są jej spragnieni jak wody, jak powietrza, jak chleba naszego powszedniego. Goździcki, Lipień, Teodorek w kryminale, lecz kiedyś wyjdą, a syny Goździckiego, dwa byki rozjuszony, chodzili po chałupach, ostrzegając, że każdego, kto nogę postawi na tej ziemi nad Zakolem, oni drągami, kosami, a potem niech nawet stryczek; więc gdzie ta twoja siła, Kubiaku? Ona jeszcze słabowita, jeszcze niepewna, jeszcze się nie ukorzeniła, a jeśli będzie ta nowa wojna, o której wszyscy po kątach gadają, to was, bolszewików, na gałęzie, i będzie z was, bolszewików, las czerwony, z jęzorami wywieszonymi, więc ta twoja siła, Kubiaku, jeszcze nie okrzepla, abyś mógł nią innych straszyć, powiedziała mu, a on odpowiedział: Mój Boże, Katarzyno, przecież nie o strach tu chodzi. A o co? - zapytała. Ani o siłę - dodał. To o co? - zapytała znowu. O to właśnie, odpowiedział, żeby ani strach, ani siła, tylko sprawiedliwość. I gadaj tu z głupem! Bo on ani nawiedzony, ani opętany, lecz po prostu głupkowaty.

Przyszedł za tydzień, wyciągnął papier: To jak, Katarzyno, bierzesz tę ziemię czy nie, bo jeżeli się zrzekasz, to podpisz się na liście jak drudzy. Nie chcecie, nie potrzeba. Sam wezmę do spółki z Lewickimi, chociaż im po sprawiedliwości aż tyle się nie należy. Popatrzyła na rząd nazwisk. Podpisze się i na zawsze przepadnie; na swoich paru kamienisto-piaszczystych morgach nie uchowa więcej niż jedną krowę i dwa świniaki, nawet nie wie, czym wykarmi jałoszkę. I żaden z jej snów się nie spełni, rzędy krów nie staną w oborze, nie będą się tłuste świnię rozwalą

w chlewie, choćby te swoje kamienie i piachy żuła i wypluwała. A temu tu na tamtej ziemi nad Zakolem wyrośnie nawet pszenica, brukiew zaś będzie miał wielką jak wiadra. Widzicie go, cwaniaka? A dopiero co miała go za głupa, ale on nie żaden głup ani tym bardziej nawiedzony; to zwykły cwaniak, papier ludziom pod nos podtyka, żeby się zrzekali na jego korzyść, żeby zachapać dla siebie tyle ziemi, taki kawał. Niedoczekanie, draniu!

Zabieraj się, nie podpiszę!

Powinien się wściec, bolszewik przekłety, że mu ziemi ubywa, ale on powiedział: Tak myślałem, Katarzyno, że choćby z chciwości nie popuścisz. Ale tam trzeba wiele potu, ręce do krwi urobić, praca nie dla ciebie, Katarzyno, więc pożycz kobyłkę, a ja z Lewickimi za kobyłkę twoją część ziemi wyszukujemy. Zwariował do reszty? Kobyłę im dawać? Tym cwaniakom? A ja czym swoje piachy obrobię, palcami? - zawołała. Razem, odpowiedział, wspólnie łatwiej uradzimy. A więc ciągle mu ta komuna nie chciała się z łba wybić! Kobyłę dam, ale na Lewickiego się nie zgadzam. Z jakiej racji Lewicki? Toż on prawie kułak. Podzielmy się, Kubiaku, ziemią pół na pół. I twoją jedną kobyłką wykarczujemy piętnaście morgów? Przekopimy rowy? Wywieziemy szlam? Zaorzemy? Katarzyno! Wściekł się diabeł, aż mięso na czole podeszło krwią. Lecz ona już nie chciała pięciu morg, chciała siedem i pół, żeby mieć więcej od Teodorkow. Dam ci kobyłę, krzyknęła, ale pół na pół! To sobie sama karczuj swoją część, też krzyknął i poszedł.

Szarpała się całe lato i całą jesień dniami i nocami, a oni tam obok, we trzech, dwóch Lewickich i Kubiak, kopali rowy, obkładali faszyną, ona zaś ciągle po kolana w brei; co wykopie, to się jej zasypie. Więc jak, Katarzyno, masz dość czy życzysz sobie dalej taplać się w bagnisku? - zapytał Kubiak w październiku.

Żeby cię osrało, powiedziała, dołączę do was. Nie była tam jednak taka ziemia jak u Kołodziejskich, dwa lata trzeba się było użerać z olszynami, zanim pierwsze kłosy uniosły się ku niebu, ale i tak lepsza niż wszędzie, toteż gdy trzeciego lata wzeszedł ich wspólny jęczmień, jeszcze rzadkawy i poprzerastany chwasciorami, Iwaniuk, Krysiak oraz Kłusak pojechali do powiatu, gdzie złożyli oświadczenie, że ich podpisy na zrzeczeniu zostały sfalszowane przez Kubiaka, Lewickich i Małomównę, którzy to wymienieni postanowili w ten sposób całą ziemię zagarnąć dla siebie.

Dlatego ten pierwszy, rzadki jęczmień nad Zakolem pamiętają ci dotąd, Małomówno, i będą pamiętać do śmierci. I będą wierzyć w nieprawdę, która dla nich stała się prawdą. Sfalszowałaś ich podpisy, Małomówno. Stąd wyliczyli ci każdy litr mleka od każdej krowy, każdy kilogram świńskiego zadka, każdy metr kartofli i zboża, i są przekonani, że wyrosłaś na ich krzywdzie, a wszystko za sprawą Prezesa, z którym od dawna ruchasz się po rowach, i nawet tego pola po Jasińskiej mu nie odmówiłaś, chociaż to pole po Jasińskiej miało być świadectwem solidarnej siły, siły zespolonej przeciwko bolszewickiemu Prezesowi, siły zespolonej również po to, żeby chociaż sobie samym udowodnić, iż potrafią być solidarni i silni; Jasińska prowadziła sklep, który załatwił aż w województwie ten kacapski drań, władza powiatowa uznała bowiem, że skoro w ramach sojuszu miasta ze wsią wybudowano małorolnemu Kubiakowi oborę jak pałac i chlew jak drugi pałac, czego jeszcze ten małorolny ośmiela się żądać? Aż tu nagle zaroiło się w Zaslawiu od czarnych taksówek, lśniących szybami i srebrem klamek. Z taksówek powysiadali faceci w czarnych garniturach. Obejrzeliby tę chałupę pokutniczą Kubiaka i te jego pałace dla krów i świń, i powiedzieli: Tak, tak, towarzyszu Kubiak. Macie

rację. Sojusz-należy pogłębić. Tak, tak, towarzyszu Kubiak. Słusznie napisaliście w swoim liście do towarzysza Bieruta, że diabeł mówi tu dobranoc i że samymi żarówkami ludzi się nie oświeci. Tak, tak, towarzyszu Kubiak, ludzi koniecznie należy oświecić. Bo świadomość określa byt, a nie odwrotnie, jak to wy napisaliście w swoim liście do towarzysza Bieruta, że byt określa świadomość. Waszą świadomość, towarzyszu Kubiak, też należałoby doświecić, podnieść, uświadomić. I wszystkich tutaj obywateli, mimo światła elektrycznego pograżonych w ciemnościach świadomościowych. Żeby ta wasza ciemność rozblęsnęła czymś wielkim, monumentalnym. Żeby z was dla przykładu uczynić symbol przeobrażeń świadomościowych na miarę naszych czasów. Słusznie, słusznie, towarzyszu Kubiak. I ściskano ręce Kubiakowi. Błyskały flesze. A potem w gazetach ci faceci z Kubiakiem na fotografiach, pod wielkimi tytułami, że symbol świadomości na miarę naszych czasów NOWOCZESNY I NAJWIĘKSZY W WOJEWÓDZTWIE OŚRODEK POSTĘPU ROLNICZEGO. I oto pierwszy traktor pod łopotem sztandarów zajechał, i oto znowu mury pną się do góry, a wciąż ani zlewni, ani asfaltu, ani ośrodka zdrowia, ani tego sklepu nawet nie, ponieważ najpierw musi być SYMBOL, do którego także i dwie wielgachne palmy przywieziono. To Kubiak, już jako Prezes, po raz drugi do tego Bieruta, lecz widać tam na samej górze sprzykrzyło się czytać listy od towarzysza Kubiaka i nie przyjechała już ani jedna taksówka, za to z województwa przysłali ciężarówkę z garnkami, żarówkami, worami mąki, kaszy, soli oraz beczkę ze śledziami. Wszystko to wyrzucili przed chałupą nowo mianowanego Prezesa, i powstał problem: kto wpuści do siebie sklep. Nikt nie chciał sklepu wpuszczając, a w ogóle po jaką cholere komu ten sklep, jakieś kacapskie widzimi się. Każdy u siebie chleb miesi raz na

tydzień, mąkę na chleb miele w młynie w Przysucej, kaszę też, a mięso nasoli w faskach drewnianych, później wywiesi na słoneczko, słoneczko osuszy, wiaterek przewieje i kiedyś głodny, urzępolisz strużek, włożysz do gęby i ssiesz jak landrynkę; na święta zaś dwa razy do roku boczków nawędzisz i już. Ten sklep, ludzie, głównie potrzebny prezesse, bo ona ma dwie lewe ręce, chleba nie potrafi rozczynić, mąkę z wodą i jajkiem rozbełta, nasmaży placków i tyla. To jak twoja chce mieć sklep, Prezesie, niechaj u siebie otwiera!

Po roku już wszyscy wrzeszczą: Kto to widział taki sklep jak kurnik? Co sobie Prezes wyobraża, niechaj pisze do tego Bieruta czy jak mu tam, że jak to: ludzi ma za świnię? Żeby chleb razem z mydłem, a mąkę kłaść obok śledzia? A ty, Prezes, nie bądź taki cwany, tobie dobrze, dupą nie musisz ruszyć, coby kielbasę kupić, a ty człowieku stój na mrozie, deszczu czekając na dostawę, bo sionka w twojej chałupie ciasna, ledwo się wyminąć, i na dodatek, cwaniaku bolszewicki, zamiast na sklep izbę użyczyć, w której was tylko troje: ty, twoja flądra i ta niedojda głucha, to sklep do ciasnej kuchni wstawiłeś, żeby cię osrało, i tak po roku wszyscy zapragnęli tego sklepu, żeby im wybudować, że kiedy odbyło się zebranie wiejskie, a na zebraniu głosowanie, co wpraw: zlewnia czy sklep - wybrali sklep. W tym nowym, pięknym Jasińska pracowała krótko, przywieźli akurat garnki z przeceny, przyszła prezeska, a tu same szczerbate i poobijane zostały. Dla mnie nie zostawiłaś? - zdumiała się prezeska i to był koniec Jasińskiej. W trzy dni przyjechała kontrola; w sklepowej lodówce mroził się świniak Jasińskiej, a kielbasa rządowa na ladzie, pozielniła i obślizgła, grzeje się wprost na słońcu. Ojejku, wielkie mi halo, powiedziała. To co, może miał mi się świniak zmarnować, co go musiałam dorznąć, bo się przytopił w gnojówce, tyż coś.

Prezeska, ta świnią, was nasłala? Sklep zamknęli, Jasińską wywalili. Jasińska, zamiast się pokajać, przeprosić prezeskę za świnię, wściekła się: Wyrzucają mnie za te parę kilów rządowej kielbasy, trochę roztopionego masła? I poszła do kółka, wyjęła krzesło spod tyłka Staśki, siadła i powiedziała, że dotąd będzie tak siedzieć, dopóki Prezes jej pensji i sklepu nie zwróci. Siedziała do wieczora. Pod wieczór Heniek Grzyb ze Staśkiem Kłusaków wynieśli Jasińską razem z krzesłem z sekretariatu, wystawili na drogę; no, niechaj sobie siedzi, skoro ma ochotę, może coś wysiedzi. Przyleciały Iwaniuczka z Teodorką. Przynieśli kilka jajek. Teodorką trzęsie się od śmiechu: Ojej, ojej, ojejku! Jasińska, wysiedź mi proszę kilka kokoszków. Nikt Jasińskiej nie żałował. Dobrze jej tak, mówiono, dzieciaka nie możesz do sklepu posłać, bo go jak amen w pacierzu okantuje: albo chleb policzy dwa razy, albo reszty nie wyda jak trzeba, a potem mówi: Dzieciak resztę musiał zgubić, a mnie co do tego?

Żałować zaczęto Jasińskiej od jesieni, kiedy już piach gryzła. Na jesieni, tak będzie we wrześniu, wiezie Kłusak pocztę, do każdego zachodzi, gada: Jasińskiej ziemię odbierają! O Jezu, Kłusak, pewno źle przeczytałeś, pokaż. Nim dojechał do Grzybów, służbowa koperta w plamach tłustych i jakich chcesz, nawet buraczkowych, bo Nosiorkowa buraki tarła na zupę. I Boże miłosierny, napisane jest czarno na białym, że zabierają, na podstawie ustawy takiej to a takiej, mimo trzykrotnych ostrzeżeń na piśmie, z powodu nieuprawiania przez ob. Marię Jasińską działki numer taki to a taki. No nie, ludzie, wprost w głowie się nie mieści, żeby zabierali, ale jak byk: ustawa, paragraf, ostrzeżenie, uchylene. Dożyli my czasów, Boże, bądź miłościw, pod Twoją opiekę się uciekamy; najpierw Jasińskiej, później nam, kto następny? Ledwo Kłusak dojechał do Krysiaków, a tu Jasińska zziajana leci

drogą. Krzyczy, że podobno ten skurwysyn bolszewicki ziemię jej chce siłą wydrzeć. Pismo przeczytała, oczy w ślup, upadła. Umarła na trzeci dzień, nie odzyskując przytomności. Stypę wyprawiała Krysiakowa, cioteczna siostra Jasińskiej. Lewiccy nie byli ani na pogrzebie, ani na mszy za duszę zmarłej, chociaż najbliżsi krewni; nigdy nie przebaczyli Jasińskiej tego, że posądziła Lewicką o sodomie. Gdy się tak jednak człowiek zastanowi, to pomyśli od razu, że czemuż ta Lewicka, skoro niewinna, wzięła i się powiesiła? I tak myśląc, popatrzy na młodego Lewickiego, i widzi, że oczy u niego czerwone i kaprawe jak u knura, ciekawe więc, jakie to mu dzieciaki będzie rodzić Helka od Grzybów, ludzkie czy knurowate? A co do Krysiakowej, to nie paliła się ona do wyprawiania stypy, wiadomo, stypa kosztuje, bigosów trzeba nagotować, kaszanek, boczków wędzonych podać i chociaż skrzynkę wódki; ale umyśliła sobie, że pole po Jasińskiej weźmie, całe trzy morgi. Nawet osobiście do Prezesa poszła, niby na stypę zaprosić, a przy okazji zapytać, czy może się ubiegać o pole po zmarłej, jako jej bliska krewna. Każdy ze wspólnoty wiejskiej ubiegać się może, powiedział Prezes, ale zaproszenia na stypę nie przyjął. To bolszewickie świnię, powiedziała Krysiakowa, ja wiem, sami pewno zachapią ziemię po mojej biednej siostrze - na co Goździcka odezwała się: Życie ludzkie za garnek z przeceny - i coś jeszcze zamierzała powiedzieć, ale właśnie Nosiorek, który ma słabą głowę, a wypił dopiero pół litra, zaśpiewał sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam, więc Goździcka krzyknęła: Cicho, pijaku! - i podniosła się z krzesła, cała w czerni, potrząsnęła dłońmi oplecionymi różańcem: Życie za garnek z przeceny! Mnie zniszczył, moją Halinę zabił, Teodorków i Lipieniów skazał na cierpienia, kto będzie następny? Kto? A wy, kundle, merdacie przed nim ogonami, lizecie jego gówno, kundle,

parobki. Przy stołach zrobiło się cicho. Niby prawda, koniec Jasińskiej zaczął się od tego garnka z przeceny, lecz żeby wymyślać porządny ludzom od kundli i parobków? A Goździcka trzęsie rękami i różańcem, krzyczy: Wszyscy będziecie smażyć się w piekle, wszyscyście przekłęci! Za drągi trzeba, za siekiery, i na niego! Skończyć z nim raz na zawsze, parobki! No, no, Goździcka, a nie zapędzaj się, czas parobków, chwała Bogu, minął; teraz są inne czasy i ty nam tu nie ubliżaj, stara, bo my ani twoje parobki, ani kundle. I nagły rumor. I już od stołów wyciągają się ręce ku Goździckiej, w pięści zaciśnięte. A ona przeżegnała się i krzyknęła: Bijcie mnie, starą, bezbroną, zabijajcie, ale niechaj krew moja na jego bolszewicką głowę spadnie, ponieważ wy nie wiecie, co czynicie. Ożeż, stara! Co tobie, cholero jedna, czyś ty ksiądz z Przysuchej? Mszę tu nam odprawiasz, kazania prawisz, a kto by ciebie chciał bić, kobieto? Siedź na dupie i nie przeszkadzaj opłakiwać naszej kochanej nieboszczki, która przejechała się na tamten, podobno lepszy, świat za przyczyną głupiego garnka z przeceny. Pewno, że prezeska zaraza, i prawda, że Prezes ludzi naniszczyl, i owszem, że twój Goździcki z kryminału wyszedł dziadziskiem i głowa mu lata jak jakiemu paralitykowi, i prawda, że Teodorek po powrocie padł na kolana, ziemię na podwórku całować, a później, też prawda, latał z siekierą za Teodorką, bo całą ziemię sprzedała Prezesowi. Wszystko to prawda, ale z drugiej strony, to nasza kochana nieboszczka mogła ten garnek zostawić prezesce, a nie zostawiła, z czystej złośliwości, i w ogóle nakradła w sklepie co niemiara, czego się już dzisiaj wypominać nie godzi. A ziemia? - zapytała Goździcka. - Zabrali Jasińskiej, mogą i twoją, Grzybowa, chociaż spowinowaciliście się z sodomitami. My swoją uprawiamy akuratnie, i ani komosa, ani

perzysko jej nie zarasta - zdenerwował się Grzyb. Tak powiadasz, Grzybie? A wiesz ty, że paragrafów nie brakuje różnych? - odpowiedziała Goździcka. - Zabrał nieboszczce za garnek i sklep, i ziemię; tobie zaś może za nos, bo masz krzywy, nie prosty. E, tam, gadanie - i lekko przestraszony Grzyb pomacał się po nosie - czego się czepiasz, nos jak nos. Właśnie Krysiakowa wniosła studzieninę. Jedzcie, pijcie, zakąszajcie, dobra studzienina, twar- da, zachwalala. Nosiorek oprzytomniał, przeciagnął się, ziewnął, pierdnął. Jak świnię, powiedziała Goździcka, patrzeć na was nie mogę. Zabieram się stąd, a was niech wszystkich piekło pochłonie, antychrystów. Mamlecie studzieninę, chlejecie bimber, a myślicie tylko o jednym: komu on, ten bolszewik, ziemię po nieboszczce przydzielili. A ja powiadam wam, że już niedługo czasu waszego! Boże, oświeć ich grzeszne dusze! - krzyknęła strasznym głosem i w tej samej sekundzie zgasło światło. Ciemno, czarno. Oto znak od Boga, przekłęci! Głos Goździckiej spotężniał. Sam Bóg was ostrzega, wygaszając te bolszewickie żarówki! Ciemno, czarno. Ktoś zapalił zapalną, która zachybotwała wątlm świeatełkiem i zgasła raptownie, jakby zdmuchnięta oddechem szatana. Jezus Maria, jak ciemno! Kto tam stąpa? Słyszycie? Stąpa, szura, zbliża się. Jezus Maria, Krysiakowa, świeczkę dawaj, dawaj do cholery! Druga zapalną zachybotwała, zgasła jakby od podmuchu, chociaż żadnego przeciągu ani nic. Straszno. Straszno, bo ktoś stąpa, szeleści, dycha, sapie. O Jezusie, ja się boję! I ja! I ja! Módlcie się, przekłęci! Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi - rozpoczęła strasznym, dudniącym głosem Goździcka. Wierzym w Ojca, wierzym, wierzym, Chryste Panie! To powtarzajcie za mną... To powtarzajmy za nią... tak, tak, powtarzajmy! Oto w pokorze przyjmujemy od Ciebie ten znak, Panie... Oto w pokorze przyjmujem od Ciebie ten

znak, Panie! Nie damy ziemi, skąd nasz ród... Nie damy ziemi, skąd nasz ród! Nie damy, nie damy! A kto połaszczy się na ziemię po nieboszczce... A kto połaszczy się na ziemię po nieboszczce... niechaj będzie przeklęty teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen... Przeklęty na wieki wieków, amen! Boże, uczynź znak, że przebaczasz nam, grzesznym... Nam, grzesznym! I niech się stanie Twoja światłość! I stała się. Światło włączyło się w żarówce, jaśniejsze niż przedtem, mocne, porażające blaskiem, wprost oślepiające. Cud, cud! - zakrzyczała Goździcka. Cud, cud! - zakrzyczeli przy stołach. Całujcie krzyż! - krzyknęła Goździcka. Całowali, płacząc w ekstazie.

Trzeba zagospodarować pole po Jasińskiej, powiedział Prezes na wiejskim zebraniu. Zastanówcie się wspólnie, komu oddać, żeby potem nie wybijać szyb ani zębów, ani nie marnować znaczków pocztowych na donosy.

Pierwsza zabrała głos Goździcka: My ją tobie oddajemy, rzekła, kłaniając się nisko, bo to ziemia przeklęta, jako i ty jesteś przeklęty. Weź ją sobie albo oddaj swemu parobkowi, Lewickiemu, jemu się przyda, jemu rodzina powiększy się niedługo o potomiot knurzy. Nawet ta twoja Małomówna przysięgała na krzyż, że się nie połaszczy. I niech śmierć Jasińskiej na twoją spadnie głowę! Wstała i Teodorka: A udław się ty ziemią po nieboszczce. Za garnek człowieka mordować!

No, powiedział Prezes, lekko przybladły, widzę, że znowu wam coś w rozumach odbija. Jaki garnek, co ja mam wspólnego z ziemią Jasińskiej? Od trzech lat upominali, że jeżeli nie zaczniesz jej uprawiać, to zabiorą. Takie prawo. Wasze, bolszewickie! - wrzasnęła Lipieniowa. Nasze pobłogosławił Bóg, a nie czerwony Lucyfer, dodała Goździcka, groźnie potrząsając różańcem. No, skoro Lucyfer, powiedział Prezes, to ja się go nie boję. Nie chcecie,

sam wezmę. Ziemia jest po to, aby rodziła ziarno, a nie zarastała perzem. Proszę, powiedział, podpisujcie zrzeczenie na moją korzyść, muszę mieć na piśmie i przy świadkach, że kolektyw wiejski mi przyznał, a ja się woli kolektywu nie sprzeciwiam. Śmiało się z nich, drań, szydził. Może od ciebie zacniemy, Małomówno, skoro i ty nagle taka pobożna, na krzyże przysięgasz. I obrócili się ku niej wszystkie głowy, wbiły się w nią wszystkie oczy żądlami. No, pogonił Prezes, to jak? Ale jakby dostała i tę ziemię po Jasińskiej, trzy morgi, miałyby więcej niż Goździcka, po Prezesie ze wszystkich najwięcej. Ogłuchłaś, Małomówno? - ponaślał Prezes. Jeśli chcesz, zrzeknę się na twoją korzyść. Tak ją podpuścił wtedy, drań, a ona, oblizując nagle spierzchnięte wargi, odpowiedziała: Tak, chcę.

To teraz po oczach ją, po gardle. I za tamtą ziemię nad Zakolem, i za tę po Jasińskiej.

A młocarnia była nowa i nie miała prawa się zarwać. Ktoś podpłował deskę po to, żeby pogrążyć Prezesa. Wpadła do pokoju syna, krzyknęła: Jakby cię milicja pytała albo ktokolwiek, nie wiesz o niczym, rozumiesz? Syn leżał na wersalce, ledwo głową poruszył. Niech się matka ode mnie odczepi i lepiej idzie sklep otwierać. Potem powiedzą, że matce wszystko wolno, bo się puszcza z Prezesem. Synu! - krzyknęła - synu, serce moje! Nie, nigdy, nigdy, na krzyż mogę przysiąc. Nakrył głowę poduszką. Ludzie to świnię, synu! - krzyknęła. - Parszywe! Kakao masz na płycie, chleb posmarowany, ojciec zamknięty, ale nienakarmiony, wlej mu do miski kaszę, a nie zapomnij! I nie leż tak, lecz i z domu nie wychodź, po co ludzi drażnić swoim widokiem, i zjedz śniadanie, synu, ja cię o to proszę, od trzech dni nic prawie nie jesz, a jakby co, to nie wiesz o niczym, nie słyszałeś niczego, niczego nie widziałaś!

Wypadła z domu. Od pół godziny powinna stać w sklepie. Na drodze pusto, nikogo. Wszyscy pewno pognali do kółka. A szyby nie daruje. I czego się tu bać? Poujadają, poujadają i przestaną. Niech się boi ten, kto podpisał deskę. Znajdą go, skują i powiozą do powiatu. Boże, przez te dzisiejsze awantury nawet nie zajrzała do Kołodziejkiej! A jeśli już wróciła? Ale nie. Nie mogła. Autobus poranny wcale nie szedł, pewno się popsuł. Trzeba upilnować popołudniowy.

Przed sklepem nikt nie czekał. Odetchnęła z ulgą. Otworzyła sklep, weszła, założyła fartuch, przepisową opaskę na włosy. I pomyślała, ku swojemu własnemu zdumieniu, że jej na sklepie wcale nie zależy. Teraz już nie. Jeśli kupi ziemię od Kołodziejkiej, będzie jej miała tyle, że nie wyrobi się w żaden sposób. Tak po prawdzie sklep od pewnego czasu stał się kulą u nogi. Musi się pilnować - patrzą na ręce, patrzą na wagę, od miesiąca nie wyniosła ani jednej tytki mąki, nic nie przyszczędziła. Wcześniej się opłacał. Chcesz sklep po Romance? - zapytał Prezes. Zachłysnęła się: sklep, Boże kochany, czy dobrze słyszy? Sklep! Pensja co miesiąc i ze dwie świnie na rok więcej do upasienia za darmo, ile to by było zysku? Bo widzisz, kochana Katarzyno, potrzebny mi wreszcie ktoś uczciwy, a Romanka, mówił Prezes, lecz nie słuchała, co on tam gadał o Romance, Romanka jest głupia, zamawiała stopy chleba, później go przeceniała i wynosiła dla swoich świń, czasem tylko komu odstąpiła bułkę albo dwie; a tu trzeba zupełnie inaczej, proszę bardzo, niechaj się wszyscy ucieszą tym chlebem półdarmowym, na którym świnie rosą jak szalone, proszę bardzo, ludzie kochane, oto jest chleb przeceniony, groszowy, lecz żeby było sprawiedliwie, robimy listę, kto i na kiedy się pisze, i każdemu równo według listy. I tak od razu o tobie pomyślałem, Katarzyno, mówił Prezes, nachylił się nad

plotem, przykrył swoją olbrzymią dłonią jej dłoń, lecz ona właśnie obliczała, ile ten sklep może jej przynieść rocznego zysku, jeśli na początku tak z tym chlebem zrobi i każdemu na początku będzie całą resztę wydawać i ważyć co do deka, to potem już nikt na wagę patrzeć nie będzie, więc nie spostrzeże się, że do kila kiełbasy brakuje pięć deka. Żeby ci pomóc, Katarzyno, mówił Prezes, jego dłoń wciąż leżała na jej dłoni, bo ciężko patrzeć, jak harujesz, a w sklepie nieźle zarobisz, pensja dobra, zostawisz dla siebie jedną krówkę, ze trzy świnki, odpoczniesz wreszcie, Katarzyno. Likwidować krowy, świnię? Chyba oszalał! A ty, krzyknęła, jak zostałeś Prezesem z pensją, zrezygnowałeś z czegokolwiek czy nachapałeś się jeszcze więcej? Odskoczył od płotu. Jeśli zrobisz manko jak Romanka, nie wstawię się za tobą ani nie poręcę, ani nie pożyczę nawet złotówki! Tobie nie! - krzyknął. Płakała później długo, całując swoją rękę, bo on jej dotykał.

Drzwi sklepu trzasnęły. Nosiorkowa pokornie pochyłona zbliżyła się do lady.

Kochana Małomówno, kochana.

Nawet śliny dla takiej szkoda. Raczej siebie opluć za chwilę słabości i głupiego strachu. No popatrz, popatrz, twój strach podchodzi i jest gotowy oblizać twoją ślinę, jeżeli tylko spluniesz, ten twój strach spokorniały, poniżony i poniżający się; i kogoś ty się bała, Małomówno? A gdyby tak powiedzieć: Nosiorkowo, pocałuj mnie w dupę - pocałowałyby?

Człowiek, kochana Małomówno, nie wie, co go nagle opęta. Jakiś diabeł czy co. Przecież wiesz, kochana Małomówno, że ja zawsze za tobą.

Były w sklepie jeszcze same, ale wiedziała: zaraz tu się zapełni, widać tam w kółku dochodzenie skończone i Prezesa nie skuli, nie powieźli.

I co, Nosiorkowo? Jak się miewa twój Nosiorek prezes?

Powieki Nosiorkowej zatrzepotały zrozpaczone, przegrane, oszukane. A kto mówił, że mój nim zostanie? Przecież to przygłup, więc z jakiej racji miałby zostać? - powiedziała cicho i tak jakoś błagalnie, że przez chwilę poczuła dla niej litość. I nikogo nie zabrali, kochana Małomówno, Witoska też nie, tyle że go przesłuchiwali, ale to Witoska wina, to on ludzi podpuszczał przeciwko Prezesowi, a jeśli chodzi o tę nogę Jadźki, to niczyjej winy, Staśka słyszała i Lewicki, że ta urznięta noga to przez wadę techniczną, defekt w desce, i co się teraz z nami stanie, kochana Małomówno? Powieki Nosiorkowej opadły bezsilne, sfiolotowiały - Co z nami będzie, mój Boże - i spod tych powiek dwie łzy po obwisłych polikach, po polikach szarych, spracowanych, zaharowanych; Co z nami? Wszystkie kartofle w polu, najpierw łało, nie szło kopać, a zaraz listopad i mróz, i po kartoflach, bo Prezes teraz na pewno nam kopaczki nie użyje. Powiedz sama, Małomówno, tyła kartofłów, tyła na próżno. Wreszcie, myślę, dorobię się. Małomówna bez dzieciów potrafi, dorabia się, dom postawiła, żyje jak człowiek, jak pani jaka, inni też się budują, nawet Iwaniuki dobudowały sobie pokój i ganek, a my ciągle w dwóch izbach, na kupie, dziewczyny dorastające z chłopakami, aże grzech, i dom mój nowy śni mi się nocami i dniami, jasny i czysty, nieśmierdzący, mówiła, a łzy ciekły sznureczkami, powieki drgały konwulsyjnie. Męża mam przygłupa, sama wiesz, Małomówno, jaki z niego okropny przygłup, nic zrobić przy takim, niczego osiągnąć, aże wreszcie wyprosiłam, coby mi dał na te prosiaczki, żebym kupiła i żeby się uchowały tak jak u ciebie i wyrosły na wielkie świnię. Małomówna potrafi, to i ja potrafię. I sama widziałas, Małomówno, jakem się starała, od pokrzyw ręce mi puchły, poogniły się, poropiały w ranach, tyła pokrzyw dla

prosiaków narwać rano, w południe i na wieczór; i mleko też im lałam, mleko sobie samej kradłam, ze swoich kanek, wody dolewając dla niepoznaki i umierałam ze strachu, żeby mi Krysiak w zlewni próby nie zrobił; tak nisko upadłam, Małomówno, wszystko dla tych prosiaczków, coby mi rosły, a one, miast ronać, zdychały, laksowały, i nie wiesz ty przypadkiem od czego?

Chwila litości jeszcze nie minęła, trwała, więc nie powiedziała tej głupiej Nosiorkowej, że jej prosiaki musiały laksować i zdychać, upchane w ciemnej, zaszczurzonej stodole, stojące w swoich szczytach i gównach po pas.

Małomówno. Upadnę przed tobą na kolana. Wstaw się do Prezesa, powiedz, że to Witosek tak nas otumaniał nieszczęśliwych, poproś, niech nam Prezes kopaczki do kartoflów nie odmawia.

Jeżeli mnie pocałujesz w rękę, wstawię się.

Gorące wargi na dłoni.

Co robisz? Wściekłaś się?

Uniesiona twarz Nosiorkowej. Sznureczek łez po policzkach obwisłych, szarych, udręczonych, ponizonych.

Przecież kazałaś, Małomówno.

Głupia! Ja tylko tak żartowałam!

I odpuść nam nasze winy

Więc ma już wszystko, czego pragnęła, i nareszcie może od-
począć.

Przysuwa stołeczek pod kuchenny piec, dokłada polano do ognia pod płytą. Ogień rzuca się zachłannie, napastliwy, i oto polano skwierczy, palą się oczy, w ogniste pierścionki zwijają się włosy, syczą usta, ale nie będzie krzyczała; krzyknęła tylko raz, krótko, urywanie, w ten krzyk włożyła całą siebie i całe swoje życie od pierwszego dnia pamiętania, dzień po dniu, noc po nocy, godzina po godzinie, minuta po minucie: Nie! Synu, nie! A teraz jest niema. Zamilkła. Na zawsze.

Siedzi. Patrzy w ogień. Ogień jest dobry, ciepły. Kocha ten ogień. Przyniesie jej wyzwolenie. Schowa ją w siebie. Ogarnie całą. Obejmie. Przytuli.

Na razie płonie polano pod płytą.

Jaka ładna jest jej nowa kuchnia. Bo wyrzuciła z niej tamten lilioworóżowy chodniczek, który służył wiernie nogom przez tyle, tyle lat. Pamięta ciągle, z jaką nadzieją na lilioworóżowe życie wybierała szmatki do tkania, jak je farbowała; dawne czasy, ale dopiero teraz jest naprawdę ładnie. Pojechała po meble aż do powiatu... nie, nie do powiatu, obecnie to się nazywa gmina, wszystko jedno, jak się nazywa... i nikt nie ma takiego kredensu

w kuchni, nawet Prezes, ani takiego stołu, ani takich krzesel; proszę, czy kto widział kiedy w zwykłej kuchni wyściełane na miękko krzesła? rzeźbiony kredens? Podłogę też przykryła dywanem - wszędzie porozkładała dywany, miała dużo pieniędzy, a musiała je wydać wszystkie, bo już nie będą jej potrzebne. Więc te dywany kolorowe, we wzorki i gładkie, w kwiaty i w esy-floresy tkane. W pokoju syna leży dywan zielony jak łąka. W pokoju z telewizorem niebieski jak niebo w białe obłoczki. W jej pokoju dywan złoty. W sieni jest granatowy, jak wewnątrz lasu o zmroku. Już na ganku należy zdejmować buty, żeby nie podeptać żadnego dywanu, żadnego nie skalać nieczystością.

Ma wszystko, czego pragnęła.

Dorobiła się.

Niczego nie brakuje.

Chociaż może i brakuje.

Kiedys. Kiedys, dawno temu, miała w tym starym, tym żałośnie nędznym domu, w tej chałupie pod zapadającym się dachem, wśród zmurszałych ścian, na tym przeżartym przez robactwo parapecie czerwień pelargonii. Kwitły całe lato i jesień, obficie, płomiennie, serdecznie. Ale jaki pożytek z obfitości czerwieni? Wczesną wiosną parapet potrzebny na rozsady kapusty, pomidorów.

Czerwień, czerwień kwiatów pelargonii, gdy ją wyrzuciła do dołu na śmieci, wykopanego za stodółką.

Kiedys. Kiedys, dawno temu, kiedy jeszcze nie miała nic, kiedy orała na pusto swoje kamienie i swoje piachy, kiedy kamienie usypywała w kamienne mogiły, kiedy chodziła na wieczne odrobki, pod jej oknami aż pod strzechę sięgały kielichy malw, wysokie koszyczki wonne różowością; a może to nie malwy? Może cały błękit nieba w baldachach ostróżek? A może ani różowość, ani błękit, ale strzępki słońca na płatkach nagietków?

A może wszystko razem pomieszane, poplątane? Nie pamięta, więc co, co tam rosło? Malwy? Ostróżki? Nagietki? Coś rosło, na pewno. Pamięta, że pielila, wrywała chwasty, podlewała w suszę.

Żadnego pożytku. Ogródeczek kwiatowy, odgradzony od drogi chruścianym płotkiem. Nie pamięta, kiedy go przekopała, lecz przekopała na pewno, bo szkoda każdego kawałeczka ziemi, każdy należy wykorzystać z pożytkiem; tak, tak, synu, serce moje, pożytek będzie z cebulki, marchewki, pietruszki. Czy tak mu właśnie powiedziała, wrywając z korzeniami koszycki malw pełne różowości, ścinając na zawsze błękit ostróżek, depcząc złoto nagietków?

Tylko te dwie obce mirableki Kołodziejkiej rozrastały się, a ich już wyrwać nie miała prawa. Syn brał stołek, siadał pod kwiatami mirabelek, z których żadnego pożytku, bo owoc mały, kwaśny, nawet do słoików nienadający się. Czemu się tak przypatrujesz, synu, serce moje? Kwiatkom, pszczołom, osom, trzmielom, muszkom.

Zaraz za obórką z lewej strony rosły bzy. No nie, synu, zabieraj mi się z tymi wiehcciami, nie dam ci słoika, bo się potłucze i będzie strata!

Co się stało z tymi bzami? Same uschły?

No nie, synu, tyle razy ci powtarzam, że nie chcę żadnych bukieców w domu. Przekwita to raz raz i tylko śmieci.

Co się stało z tymi bzami?

Aha, składała pod nie nawóz, gnój wypalił.

No i bardzo dobrze, południowa ściana, ziemia przypróchniała, dynia się tu uda doskonale.

Nie lubisz pestek z dyni, synu, serce moje? Co ty gadasz? Dobre są, nie wstrętne, wszystkie dzieci przepadają za pestkami z dyni.

Puszek! Puszek!

Jaka mała kuleczka. Śliczny piesek, od sukki Grzybów, tej dużej, w brązowe łaty. Ładna suka, ale plenna, szczeni się dwa razy do roku. Dwa razy w roku stary Grzyb, póki żył, wrzucał szczeniaczki do worka. Dwa razy w roku suka wyła, worek skamlał, podskakiwał na plecach starego Grzyba. Ach, ta suka, jak ona wyje! Nad Zakolem Grzyb rozwiązywał worek, wytrzepywał szczeniaczki do wody. Woda nad Zakolem od razu głęboka, czarna przepaść. Próbowaly płynąć do brzegu, gramoliły się, spadały, a co który wygramolił się, to Grzyb gumiakiem go, gumiakiem w wodę. Kamieniem, kamieniem w tego, co podpływa. Dzieciaki latały za starym Grzybem: Kamyczkiem, kamyczkiem. Nóżką, nóżką. Słuchaj no, Grzyb, powiedziała mu kiedyś, dlaczego kamieniami nie obciążysz worka i nie utopisz raz raz? Hohoho, Małomówno, hohoho, worka szkoda.

Synu, serce moje, czy to piesek od Grzybów? Wyrośnie duży, duży. Będzie jadł dużo, dużo. Duży piesek dużo je, synu, serce moje, a pożytku z niego niewiele.

Jeszcze dobrze nie obsechł. Jeszcze w ślepkach przerażenie. Aj, aj, synu, serce moje, nie biegaj więcej za starym Grzybem, nie patrz, jak on pieski paskudnie topi.

Co z tym Puszkciem zrobiła? Wyniosła i zostawiła w lesie?

Wsadziła w worek, wybrała ciężki kamień, nie pożałowała worka jak Grzyb?

Zupełnie wyleciało z pamięci.

W ogródku Kołodziejkiej najpierwsze wystrzeliły narcyzy ze złotymi sercami w krwawe żyłki. Potem czerwone i żółte tulipany, a kiedy rozchwiały się bladoróżowe piwonie, Nosiorek przyciągnął beczkę gówna, gdyż właśnie wyczyścił wychodek, i rozlał w ogródku starannie, dokładnie.

Krzyk Kołodziejkiej: Człowieku, co robisz?

Gęba aż pomarszczona od śmiechu: Jutro mój będzie czyścił wyhodek, wiesz, Małomówno? Szczęść Boże w pracy twemu Nosiorkowi, powiedziała Nosiorkowej. Nie uważasz jednak, Małomówno, że piwonie u Kołodziejkiej jakieś w tym roku słabowite? A jakby tak je gównem podlać? Wzmocniłyby się, co nie?

Bo rzucisz, synu, jeden kamień w wodę nad Zakolem, Tylko jeden. I już nie potrafisz powstrzymać fali. Ani tej pierwszej, ani tej drugiej, ani tej dziesiątej. Fala za falą, synu. Tak to jest.

Róbcie sobie, Nosiorki, co chcecie. Mnie to nic nie obchodzi.

A tamten październikowy wieczór pamiętasz, synu? Zapadł jakoś tak niepostrzeżenie i dzień przeleciał galopem, bo tyle w tamten październikowy dzień i wieczór wydarzyło się naraz. Milicja z cywilami odjechała późnym popołudniem. Nie zabrali ani Prezesa, ani Witoska. Zabrali Jackowiaka, kółkowskie i wsiowe popychadło, za brak bezpośredniego nadzoru nad młocarnią, którą miał obsługiwać jako etatowy pracownik kółka. Zabrali też Nosiorka, za to, że w jego stodole znaleźli dwa zapasowe sita od młocarni. I ta głupia Nosiorkowa, całując w sklepie moją rękę, nie wiedziała, że akurat w tym momencie szara warszawa, wioząca milicjantów ze służbowo opuszczonymi opaskami pod brody, wjeżdża na jej podwórko, a Nosiorek na ten widok błędnie, ponieważ właśnie przypomina sobie o tych dwóch sitach, podwędzonych z młocarni. Miał je przywalić słomą, ale zapomniał, potem wpadła noga Jadźki i gdzie by myśleć o dwóch głupich sitach, które ukradł za namową Nosiorkowej, bo mu powiedziała: Ładne, nowe, przydadzą się do czegoś, a kto tam wypatrzy, że ich przy maszynie brakuje. Nosiorek sita porzucił w stodole i zapomniał; po wypadku opijał przecież z Witoskiem urzętną nogę

Jadźki, na której miał się przejechać Prezes, gdy Witosek krzyknął: niech żyje nowy prezes, Nosiorek! a drudzy też krzyknęli niech żyje! niech żyje!, to nagle tak bardzo zapragnął zostać tym prezesem, że od razu zobaczył siebie w domu jak pałac, rozwalonego na wersalce od rana do wieczora, a obok Staşkę z cyckami wywalonymi na wierzch; lecz gdy wytrzeźwiał, i ta zgaga taka okropna, że język cały skołowaciały, powiedział do Nosiorekowej: Eee, gdzie tam ja prezesem, ale później, gdy zobaczył, jak Prezesa prowadzą milicjanci do szarej warszawy i jeszcze ta jego kłępa głupia, Nosiorekowa, krzyknęła: Jezus Maria! Bogu dzięki! Zabierają go, zabierają! A ty pysk i szyję obmywaj, koszulę zakładaj niedzielną - po czym pognęła do tej suki, Małomówniej, żeby jej obić głębę, ale nie obięła, za to dostała od Małomówniej po swojej i na dokładkę szybę wytlukła kamieniem, i teraz jak nic trzeba będzie tej suce, Małomówniej, szybę wstawić za darmochę, i to tak było, proszę szanownych panów milicjantów, dopraszam się łaski, nie pakujcie mnie w taksówkę, nie wieźcie do kryminału! I powiem jeszcze na swoje usprawiedliwienie, że jak od kółka nadbiegła Romanka, wołając, że Witoska zanikłicie, to ja od razu wiedziałem, że nic mi z tego prezesa nie wyjdzie, i zara żem ścięgnął koszulę niedzielną, i na śmierć żem zapomniał o tych dwóch sitach. A tera co, jawny śmiech, szyderstwo, że mnie za dwa sita mało warte do kryminału niczym jakiegoś prawdziwego złodzieja, a ta moja stara, zamiast tu siedzieć i potwierdzić, że ja prawdę gadam, lata jak kot z pęcherzem po całej wiosce, i tera pognęła do kółka, żeby wiedzieć, czy tego sukinsyna ruszą czy nie ruszą, ale gdzie wy byście go ruszyli, panowie milicjanty, wam trzeba takiego bele kogo jak ja, żeby nie mógł ani pisać, ani obronić się, bo czym ktoś taki jak ja się obroni? Nawet całą prawdę nie, bo moja prawda słaba, a tego skurwysyna Prezesa

mocna, więc od razu gadajcie, że wam się wcale nie o te sita rozchodzi, tylko chcecie mnie zrobić w to majsterkowanie przy młocarni, ale ja, jak Boga kocham, tylko te sita, nic więcej, panowie, ostawcie, nie ciągnijcie jak psa! Ludzie, ludzie, zaświadczcie, że ja tylko te sita!

Musieli siłą wlec go do taksówki.

Ludzie! Ludzie!

To ma być sprawiedliwość? - powiedział syn. Opierał głowę o ścianę, był blady. Och, synu, serce moje, młody jesteś, co ty tam wiesz o sprawiedliwości. O tej twojej, matka, wiem dosyć. O jakiej mojej, synu? Ja nie mam swojej. Sprawiedliwość jest jedna. Nieprawda, powiedział syn, sprawiedliwości jest tyle, ilu ludzi na świecie. Każdy ma własną. Oj, oj, oj, jaki mądrała!

Mądry syn. Bardzo mądry. Ma rację z tą sprawiedliwością.

A twoja, synu, kazała ci powiedzieć do mnie: nienawidzę cię, matka. Twoja sprawiedliwość, synu, była okrutna. Twoja sprawiedliwość, synu, była niszcząca. Nie oszczędziła mi nawet nadziei.

Nosiorkowa pocałowała mnie tu, wiesz, synu? Tu spaliła ogniem. Między wypukłością tej żyły jak postronek twardej, a tej drugiej, podobnej do rwącego strumienia; dwie spracowane żyły zbiegają się pośrodku dłoni, zawsze, od niepamiętnych czasów takie wypukłe i rwące, rysujące coś na kształt trójkąta; więc w to miejsce, tu, a usta Nosiorkowej jak żywy ogień; znam taki ogień, synu, wiele razy paliły się nim i moje, bo kiedy przed sobą nie widzisz już niczego, kiedy wszystko ci się wali, kiedy znikąd żadnego pocieszenia, tak, tak, synu, wtedy tak palą; pożar rozpacz zaczyna się od ust.

Nosiorkowej usta palące o tu, tutaj, w to miejsce, ale Nosiorkowa całując nie wiedziała, że w tym samym momencie jej Nosiorek krzyczy tak strasznie: Ludzie! Ludzie!

Ależ pogadam, pogadam, wstawię się, Nosiorkowo, a z tym całowaniem po rękach to tylko żart. Żartowałam, Nosiorkowo. I oczy Nosiorkowej zapalają się ogniem. Jakie ten ogień przybiera postaci; może być rozpaczą nie do ugaszenia, może też być nienawiścią nie do ugaszania. Dziękuję ci, kochana Małomówno; a jednak Nosiorkowa powiedziała dziękuję, a jednak. Jezu Maryjo! Ty tutaj? - krzyczy Romanka, wtacza się do sklepu, a twego Nosiorka zabrali do kryminału, sita od młocarni znaleźli! Mego? Znaleźli? Zabrali! To co będzie z moimi prosiaczkami? Z kartoflami? - mówi cicho Nosiorkowa. Żebyście chociaż słomą przysypali albo co - krzyczy Romanka - a tak, ledwo weszli do stodoły, od razu je wypatrzyli! Zapomnielim, mówi dygocząco Nosiorkowa. Nie płacz, Nosiorkowo, kochana, pociesza Romanka. Ja nie płaczę, głos Nosiorkowej ledwo słyszalny, zamierający, ale rzeczywiście, oczy ma suche. Gdy się traci wszystko, synu, całą nadzieję, tak raz raz, łzy od pożaru oczu wypalają się co do jednej, łez nie ma; wiem coś o tym, synu.

Jak chcesz, mogę odkupić od ciebie te twoje prosiaczki. Nie wiele warte, bo scherlałe, a kartofli bez Nosiorka tak czy siak nie wykopiesz.

A ona, ta Nosiorkowa, synu, wpatruje się we mnie tymi oczami płonącymi pożarem nienawiści.

Nie słuchaj Małomówniej, Nosiorkowo. Chodź do domu, mówię Romanka, obejmuję Nosiorkową, głaszczę po włosach; chodź.

Pamiętaj, że mogę odkupić!

Romanka prowadzi Nosiorkową do drzwi. Nie odwracając głowy, woła: A może moje gówno też odkupisz, Małomówno? Sprzedam za pół ceny, choć gówno jak złoto, pierwszorzędne, gęste.

Romanka. Mańka-Wstańka kuku! Strzelam w twoją dupę z łuku! Twoja dupa jak donica, nie przykrywa jej spódnica! Kiedyś,

dawno temu, synu, chciała ciebie potrzymać w ramionach, choć przez chwilę krótką, poczuć na swojej ciemnobrązowej sutce łaknienie twoich małych usteczek, ale gdybym miała tamten dzień przeżyć jeszcze raz, plunęłabym jej tak samo między oczy.

Ciebie nigdy. Nikomu.

Powiedział: ze wszystkich ludzi na całym świecie ciebie, matka, nienawidzę najbardziej.

Nie, synu! Nie! - krzyknęła i umarła.

Gdzie jest mój piesek? Gdzie mój Puszek kochany?

Łzy z pięknych modrych oczu, łez tęcza na puszystych rzęsach.

Synu, serce moje, może twego Puszka złe wilki pożarły? Może go psy okrutne rozszarpały? Może poleciał do lasu i zabłądził? Masz tu kotka. Zobacz, też mięciutki, też jak kuleczka i posłuchaj jego mruczenia, taki to jest kotek mruczuś, kotek przymilasek; a kotki są pożyteczne, synu, serce moje, i nie jedzą za dużo, kapka mleka rano, kapka mleka wieczorem, bo myszkami się żywią, a myszki to szkodniki, ja zaś, synu, serce moje, ja wszystko dla ciebie tak składam, gromadzę, zbieram i chcę, żeby wszystko przynosiło pożytek; żadnych piesków, żadnych kwiatków, gdyż muszę ci kiedyś synu, serce moje, dom jak pałac zbudować. I gdyby teraz zdychała Liza, o! teraz potrafiłabym przytrzymać jej łeb za rogi mocno i pewnie, żeby Nosiorek mógł się dobrze zamachnąć; tyle mięsa zmarnować, nie do pomyslenia.

Bo kiedyś, dawno temu, byłam głupia, synu. Bardzo głupia. Ale ty nic nie wiesz o mojej tamtej głupocie, byłeś zbyt mały, aby ją zapamiętać. To nie wiesz, że kiedyś, dawno temu, potrafiłam zmarnować tyle mięsa! tyle mięsa! i nie dorznęłam Lizy, oszczędziłam jej strachu przed krótkim błyskiem kosy, chociaż Nosiorek wziął zamach, krzyknęłam nie! nie chcę! nie mogę! nie

potrafię! ale ty o tym nie wiesz, synu, że kiedyś. No cóż, to było jeszcze przed twoim Puszkiem.

A zresztą, dobrze mu tak, temu przygłupowi, Nosiorkowi, że go zabierają. Co mnie obchodzić może, synu, że zabierają.

Oparł głowę o ścianę. To ma być sprawiedliwość? - zapytał.

Och, synu, zamiast ci się tłumaczyć ze swojej, mogłabym opowiedzieć o sprawiedliwości Nosiorka. Noga mi ścierpła, powiedział, siedząc na ganku, nogą ruszyć nie mogę, choć szkoda krówki, Małomówno, szkoda. Tak mi powiedział, synu, serce moje, ale ty nic o tym nie wiesz, stoisz, opierasz czoło o ścianę, pobladły, przejęty tą pogwałconą sprawiedliwością. Owszem, masz rację, synu; sprawiedliwości jest tyle, ilu ludzi na świecie, więc może szkoda, że nic nie wiesz o sprawiedliwości Nosiorka, może dla mojej byłbyś bardziej łaskawy; bo ja ci powiem, synu, tak: choćby mieli zabierać Nosiorka po raz drugi, to ja po raz drugi powiem, że niech zabierają. Tylko Jackowiaka mi żal, i uwierz mi, synu, że gdyby dałoby się cofnąć czas do tego drugiego bożonarodzeniowego dnia, powiedziałabym Jackowiakowi: a chodź, człowieku, i ogrzej się, i posil się, i odpocznij, boś zmęczony, zziębnięty i głodny. I, cholera, niechby nabrudził mi tym roztopionym w błoto śniegiem, i nawet niechby wszystkie wszy z jego kudłów spadły na moją wersalkę.

Jackowiaka też zabrali, powiedział syn. Siedział przy stole, przed nim dymiło kakao, a on nawet łyeczka nie.

O Jezu, synu! Przecież ty znowu nic nie jesz!

Jakoś mi się ostatnio nie chce.

Czekoladę zjedz.

Niech ją matka sama zje. Ale ciekawe, kogo by wzięli, jakby to Jackowiakowi noga wpadła?

Co ty z tym Jackowiakiem? Brat ci on czy swat?

Trzasnął drzwiami, poleciał gdzieś, pewno nad Zakole.

Powiem ci całą prawdę, synu: tamtego dnia i Jackowiak mnie nic a nic nie obchodził. Chociaż nie, trochę obchodził. O tyle, że gdyby ten drań, Prezes, kiedykolwiek do mnie wyskoczył, że Katarzyno, chodzi o to, aby było sprawiedliwie, wtedy ja mu po oczach tym Jackowiakiem walnę, a zapytam: coś z Jackowiakiem uczynił? Czemuś go wydał zamiast Witoska? Bo oto wreszcie dowiedziałam się, synu, że on, ten drań, jedyny dotąd spośród nas wszystkich niczym niesplamiony, ten nasz bolszewicki święty ześwinił się i nie jest już ani lepszy, ani sprawiedliwszy, ani uczciwszy od innych, lecz taki sam jak ja, jak my: łajdak i kanalia. Och, ty draniu! Wieś nie domyśla się, dlaczegoś Jackowiaka wydał, a Witoska oszczędził, ale ja wiem, ja słyszałam ten przydużony krzyk twojej szarej myszy, która przestała być szara, odkąd się farbuję na ryżo dla Witoska; i słyszałam, jak łomotałaś jej głową o ścianę, i wiem, że też jesteś ścierwem. Tak myślałam, synu, serce moje, mówię ci teraz całą prawdę, tylko i wyłącznie prawdę, której ty i tak nigdy o mnie nie poznasz, dlatego mogę się tej całej nagiej prawdy pozbyć z siebie, niechaj mnie dłużej nie szarpie, nie dręczy, nie katuje, nie wierci w sumieniu; w tych resztkach sumienia mego, jeżeli je jeszcze w ogóle mam. Co to jest takiego sumienie, synu? Czy je miałeś, mówiąc: Nienawidzę cię, matka, ze wszystkich najbardziej? O drugiej w nocy zadzwoni budzik, o drugiej w nocy ogień otli mnie całą. Tak, synu, tak; na tyle tylko interesował mnie wtedy Jackowiak, na ile mógłby mi się przydać przeciwko Prezesowi, lecz przysięgam ci, synu, że donosu jeszcze nie miałam w myślach, jeszcze mi donos nie powstał w głowie.

O donosie powstało później.

Bo wtedy, synu, było dużo różnych myśli we mnie, a najgłośniejsza dotyczyła ziemi Kołodziejkiej. Ja już tę ziemię obsiewałam,

już ciągnęłam z niej soki i ona musiała należeć do mnie, a ja musiałam zdążyć przed tym, który krowę Kołodziejkiej cichcem zdajał i oporządzał głodne świnie; nie robił tego przecież z miłości do Kołodziejkiej, o nie, bo to był jakiś mocno lepszy cwaśniak.

Cicho i ciemno. U Nosiorków pogaszono, u Prezesa też czarno. Pochowali się za ścianami domów, Prezes ze swoim ześwinionym sumieniem, Nosiorkowa ze swoją bezradną rozpaczą.

Od lasów zapach żywicy, igliwia, grzybów. Podobno mnóstwo grzybów tej jesieni.

Chodź, córuś, splotę ci ciasniej warkocz, żeby się w lesie nie potargał. Chodź, córuś, pójdziemy do lasu dobrego, do lasu cieniostego, do lasu liliowego, gdzie drzewa wysokie i proste użyczają gałęzi i liści miękkich ptaszkom na ich gniazdka; i nas też przygarną, schowają przed złymi oczami, osłonią przed kamieniem. Las, córuś, jak Bóg wysoki i jak Bóg miłosierny, zapewnia schronienie biednym i opuszczonym, nakarmi ich, przytuli do siebie. Nie bój się nigdy lasu, córuś, a w razie czego uciekaj do niego, uciekaj szybko, niech cię skryje przed tym, bo to, córuś, później całe życie boli i boli.

Moja matka, Głupia Kazieczka, chociaż wioskowa kurwa i wywłoka, wierzyła w miłosierdzie Boga.

Moja matko, Głupia Kazieczko, chciałabym cię spotkać. Chciałabym ci powiedzieć, że teraz, w godzinę śmierci swojej, myślę, matko, o tobie.

Twoja babka mała swe bękarty zaduszała. Twoja matka duża włąziła na Józia. Twoja babka, synu, nie była mała, była wysoka i czysta, myła się po każdym raz raz, nie zaduszała też bękartów, one rodziły się martwe, sine; tylko mnie jedną, najpierwszą, wydała na świat żywą.

I szkoda, że tak było.

Wada techniczna, defekt; brzmi mądrze i udowadnia, że nie człowiek, nie jego ręka podpłowała deskę. Ale wymyślili!

Dranie!

Pies za żywopłotem z mirabelek zaujadał.

Ale przecież autobusem, nawet tym ostatnim, Kołodziejska nie przyjechała. Czatowałam na przystanku, synu. Nikt nie wysiadł w Zaslawiu.

To ja cię teraz, cwaniaku, dopadnę.

Biegiem.

Biegiem, cii, ciii, ciszej, żebyś mnie nie dosłyszał, a ja cię dopadnę, przechytzę, na całą wioskę rozgłoszę, całą wioskę postawię na nogi krzykiem luuudzie! luuuudzie! złodziej!

Przyszedł kraść tej nieszczęśliwej mleko, a może i krowę chciał wyprowadzić cichcem, luuudzieeee!

Muska leży i żuje; cholerne, głupie bydlę. W wąskim kręgu światła latarki widać zwiotczałe wymię. Cholera, a kto to taki cwaniak? Kiedyż on udoił? Przecież pilnowałam, co trochę biegając pod żywopłot mirabelkowy, i nic, nikogo, lecz czemu teraz pies tak nagle zaujadał?

Światłem latarki po ganku. Drzwi uchylone, a były zamknięte.

Ktoś otworzył drzwi, wszedł, nie zamknął.

Złodziej. Dom plądruje.

Sprawdzić, czy wersalka stoi. Czy szafa. Czy makatka wisi ta ładna, z łabędziem.

Latarkę wygasić. Bo jeżeli ktoś z drogi zobaczy krąg światła w oknie i krzyknie: Małomówna kradnie?

Pod nogą próg. Unieść nogę. Postawić. I po co, po co tak niepewnie, kto by tam w dzisiejszy wieczór miał do czego głowę? I po co, po co tak ostrożnie, po złodziejsku, jakby przychodziła

rzeczywiście kraść, a nie sprawdzać, czy nic nie rozkradzione? Tu powinny być drzwi do kuchni. Skrzypią jak potępione. Ciemno, ciemno. Zimno, wstrętnie. Zapalić latarkę. W chybotliwym świetle, bo ręka drży - a czemuż ta przeklęta ręka tak drży? - kuchenny piec wystygły, szerniały kartofle w garnku bez przykrywki, na węgiel spalone. Leciała do swego dziecka, do wycia majtających się włosów zamiast kędziorów mego syna, ona zamiast mnie drapiąca paluchami ziemię, zamiast. Ale to słowo, synu, stało się szybko puste, stało się szybko dalekie, jakby pochodziło sprzed wieków, jakby wcale nie zaistniało. Na kredensie porzucony chleb, drzwiczki do kredensu otwarte, jakie tam ładne talerze w kwiatki, przydałyby się i talerze; zresztą wszystko sprzeda, i te talerze również; za to chodniczek byle jaki, wytarty, spłowiały, chodniczka nie, nie przyda się; pod krzesłem stoją buty, w butach tkwią nogi, Jezus Maryja! latarka wypada, toczy się, migając światłem, omiata to spódnicę nad nogami w butach, to ręce na spódnicy splecione ze sobą, zasupłane w węzeł. Kołodziejska, to ty? - krzyczy; latarka gaśnie. Kołodziejska? - powtarza szeptem, zmrożona przeraźliwym strachem, że Kołodziejska tam, na tym krześle koło stołu, siedzi umarła, że tak umarła na siedząco. Światła! Światła! Gdzie jest kontakt? Kołodziejska? Cholera, żeby tak siedzieć w ciemnościach i ani drgnąć, ani nie poruszyć się, nie odezwać! Kołodziejska? Słyszysz mnie? Poznajesz? To ja, Małomówna.

A tam, synu, w tej zastygłej kuchni, pod ścianą, dopiero teraz spostrzegam, rząd kanek, wiader, garnków dużych i małych, a wszystko to pełne mleka. A więc ten cwaniak, który doił, nie zabierał mleka dla siebie? To po co doił?

Zupełnie ogłupiałam na widok tego mleka pod ścianą, synu. Tyle go! Ależ ta krowa Kołodziejskiej ponad pojęcie pierwszorzędna.

Co robisz, Kołodziejska! Co ty?

Bo ona, ta Kołodziejska, idąc za moim wzrokiem, też na te kanki, wiadra, garnki i nagle, zupełnie niespodziewanie przywarła do mnie, wcisnęła swoją głowę w mój brzuch, objęła w pasie ramionami, jakby mi dziękując albo oddając się pod moją opiekę. No, Kołodziejska, no. Głupstwo, głupstwo. Już, już, Kołodziejska, puść mnie, nie trzeba za nic dziękować.

Co za krowa! Ponad pojęcie pierwszorzędną, i już mi się zachciało, synu, ciągnąć tę krowę na postronku do mojej obory, na moje podwórze. We wszystkim ci pomogę, Kołodziejska. I nie dziękuj, no, nie dziękuj, nie.

Jeszcze ani słowa, ani mru-mru o krowie, o ziemi. Na wszystko nadejdzie odpowiednia pora. Wszystko spełni się we właściwym czasie.

Romanka z Romankiem i wszystkimi Lewickimi poszli i wykopali kartofle Nosiorkowej. Za darmo. Nosiorkowa nie musiała sprzedać ni jednego prosiaka za pół ceny, chociaż wszystkie scherlałe i mało warte.

A moje gówno kupisz, Małomówno?

Lewicki powiedział do Prezesa, że to świństwo, co się tu ostatnio dzieje, a ta kopaczka, której Prezes odmówił Nosiorkowej, to świństwo wyjątkowe i podłość ostatnia, bo Nosiorkowa dotknęło nieszczęście, ludziom zaś w ich nieszczęściu należy współczuć i pomagać, i być razem z nimi, a nie przeciw nim.

Prezes powiedział: A ty, kiedy mnie paliłeś, miałeś dla mnie współczucie? Byłeś ze mną czy przeciwko mnie?

A Lewicki powiedział mu: Moja wina, moja bardzo wielka wina i ja zawsze od tamtego dnia jak pies ci, na dobre i na złe, ale w świństwach udziału brać nie zamierzam.

Prezes roześmiał się i powiedział: Nikomu już nie wierzę, tobie też nie.

Lewicki powiedział na to, że trzeba wiedzieć, komu się wierzy.

Prezes krzyknął, że na litość boską, nie dręcz mnie, Lewicki!

Lewicki mu na to, że to sumienie cię dręczy, przyjacielu; przynajmniej załatw, niech wypuszczą Jackowiaka.

Prezes krzyknął znowu, że ja cię proszę, ja cię błagam, ani słowa więcej o Jackowiaku czy Nosiorku, i nie dręcz mnie, jeśli mi jesteś przyjacielem na dobre i na złe.

Lewicki powiedział, że ponieważ jestem twoim przyjacielem, muszę cię dręczyć, byś się opamiętał. Ponieważ jestem twoim przyjacielem, będę odtąd za twoje dręczące cię sumienie.

Prezes krzyknął, że może ja nie mam żadnego sumienia? Może to wy wygryźliście je ze mnie, wydarliście, sępy, kruki! I tu Staśka, która przez cały czas podsłuchiwała pod drzwiami gabinetu, a potem powtórzyła słowo w słowo, kupując kilogram mąki wrocławskiej i dwa kilogramy kielbasy zwyczajnej, o czym gadali Prezes z Lewickim, i dodała jeszcze, że Prezes zaraz po tych sępach i krukach, co to mu wyrwały sumienie, wydał z siebie głos, jakby płakał, ale w tym już Staśce nikt nie uwierzył, synu, bo i koń się prędzej by uśmieł, niż ten drań, skurwysyn ostatni zapłakał nad czymkolwiek lub nad kimkolwiek; on nawet swego syna, poronionego na mrozie, grzebiąc w zamrożonej ziemi, nie opłakiwał, powiedziała Kłusakowa, a z powodu sumienia miałby? Ech, ty, Staśka - dodała zaraz Grzybowa - i po co ty te swoje kursa w powiecie kończyłaś, skoro takie głupoty wygadujesz, coś ci się zwyczajnie pokręciło, może on chrząknął albo co. Staśka rozłościła się i krzyknęła: A ja wam mówię, że on płakał, i Lewicki na ten jego płacz coś powiedział cicho, ale nie dosłyszałam co, a potem Prezes mu odpowiedział, ale też za cicho, na co Lewicki trochę głośniej, coś jakby nie zasłaniaj, powiedział Prezesowi. Grzybowa roześmiała się Staśce w nos i powiedziała, żeby sobie

Staśka uszy wyczyściła, więc Staśka wnerwiła się jeszcze bardziej i wrzasnęła, że aleście baby głupie! co dosłyszałam, to powtórzyłam! i usłyszałam potem całkiem wyraźne Prezesa, że już na wszystko za późno, Lewicki, a potem znowu jakby jęk Prezesa, że nie mogę, przyjacielu, niczego zrobić, a potem jego krzyk, że jak mi będziesz o tym, to ja i ciebie na zbity pysk, i ciebie też! i masz trzymać, Lewicki, mordę na kłódkę, bo nie dosyć, że wypieprzę z kółka, to nie dam żadnej maszyny i będziesz paluchami swoją ziemię orał! Wtedy ja zaraz, synu, serce moje, poszłam do Tasławskich i odkupiłam od nich kobyłkę, którą od roku bezskutecznie chcieli sprzedać. Nie, synu, nie, przysięgam! jeszcze nie wiedziałam, co będzie się wyprawiało w Zasławiu, ani nie myślałam o donosie, uwierz mi, synu, a potem to ta fala się stała, której nie powstrzymasz, która się toczy, przewala, niszczy wszystko na swojej drodze, i potem już za późno na cokolwiek, za późno na wszystko, nic do uratowania; ale pomyślałam wówczas, synu, że Staśka, która ma rozum w cyckach, wcale się nie przesłyszała, niczego nie pokręciła, tylko w tym jednym słowie, jakie wypowiedział Lewicki do Prezesa omyliła się, bo w tym słowie chodziło o Witoska i ono brzmiało: nie osłaniaj. Nie osłaniaj go, musiał powiedzieć Lewicki, i tak zyskałam pewność, że to Witosek podpiłował deskę, i że teraz to, co wiem, będę mogła wykorzystać i mieć z tego pożytek, bo niby czemu nie, kiedy się samo pcha do rąk? Tylko głupi by nie skorzystał. Całe życie harowałam, a tu proszę: wpada za darmo. Pomyślałam o tobie, synu, serce moje. Dla ciebie to zrobię. Pójdę do Prezesa i powiem: Słuchaj, wiem o tym i o tamtym, obiecuję milczenie, ale nie za frajer: albo wydasz swoją Anusię za mego syna, albo odpiszesz na mnie te trzy swoje morgi nad Zakolem. Cena niewygórowana i wybór należy do ciebie. Anusia albo ziemia. Bo to tak, jak na

wojnie, synu, takie zabezpieczanie tyłów, ale na wszelki wypadek konia kupić koniecznie, żeby nie być zależną od kółkowskich maszyn.

Jackowiak wrócił! Jackowiak!

A Nosiorek?

Nosiorka ciągle w pierdlu trzymają, sukinsyny.

Nosiorkowa przysła, poprosiła: Pożycz konia, Małomówno, odrobień z wiosną. Dobrzy ludzie pomogli mi kartofle wykopać, ale teraz muszę gnój wywieźć, roztrząść i przyorać. Co tobie, Nosiorkowo? Czy to ja jedna mam konia w Zasławiu? Goździcki ma, Grzyb ma, do nich idź. Pożyczę, a na wiosnę powiesz mi tak, jak kiedyś twój Nosiorek, że ci noga ścierpła i ruszyć nią nie możesz.

Pani poczeka, pani Nosiorkowo. Matka powiada, że tu wszystko dla mnie, czyli moje, co nie?

A tobie, synu, co?

Moje czy nie moje, pytam!

Ach, synu, pewno, że dla ciebie, pewno, że twoje.

To i kobyłka moja. Pożyczam ją pani. Za darmo, nie za odrobek.

Ani się waż, Nosiorkowa, dotknąć mojej kobyły! A ty, synu, polej łeb zimną wodą i oprzytomniej! Palcem o palec nie uderzysz, wylegujesz się całymi dniami, nie będziesz się rządził kobyłą!

Nie, nie, synu, serce moje! Jeszcze i teraz ci powiem, że nie miałeś prawa rozporządzać się kobyłą. Bo ty nie wiesz o tym, o czym ja wiem, że gdyby stało się odwrotnie, że gdyby to się nade mną niebo z nieszczęściami otworzyło, gdybym to ja poszła do Nosiorków, to oni, synu, gówno by mi pożyczili. Bo to jest tak: oko za oko, ząb za ząb, i ty, synu, nic nie wiesz o ścierpniętej nodze Nosiorka ani o jego uśmiešku kąśliwym a rozradowanym,

z jakim do mnie mówił, szkoda twojej krówki, oj, szkoda, ale co ja poradzę, skoro od siedzenia noga mi ścierpła i ruszyć nią nie mogę. Więc ty, synu, nie wiesz nic ani o tym mleku, do którego mi wody pół na pół, nie, synu, nawet teraz w godzinę śmierci swojej powiem ci to samo: nie dam kobyły Nosiorkowej i kiedy budzik wydzwoni godzinę drugą w nocy, jeszcze raz powtórzę, nie dam, nigdy, i na tamtym świecie też nie.

Jackowiaka wypuścili, a Nosiorka nie.

Słysząc, jak Nosiorkowa wyje, Jezu, Jezu, Jezu!

Odejdź od okna, synu. Zasuń zasłonę. Nie do wytrzymania to wycie Nosiorkowej.

Matka to naprawdę bez sumienia.

No cóż, synu. Nie ja jedna bez tego sumienia. Co ty tam zresztą wiesz o moim sumieniu? Sądzisz według swego, chronionego przeze mnie, czyściutkiego, wymuskanego, gładkiego. Lepiej ty milcz, synu, lepiej milcz.

Gdybym wpuściła Jackowiaka, nie zamarzyłby. Moja wina, moja bardzo wielka wina, ale i ją należy podzielić sprawiedliwie pomiędzy tych wszystkich, którzy tak jak ja nie chcieli go wpuścić ani użyzyć mu ludzkiego ciepła, miejsca przy świątecznym stole; którzy tak jak ja go odpędzali, więc proszę cię, synu, obdziel moją wielką winą i tych innych, do których Jackowiak tamtego bożonarodzeniowego dnia bezskutecznie pukał.

Oczy pod puszystymi rzęsami pokryły się lodem, zamarzyły. Nie patrz w ten sposób na mnie, synu, krzyknęła, ale syn patrzył, patrzył, a ona pod tym jego spojrzeniem zamarzała jak Jackowiak, po którym na śniegu koło płotu zostało stwardniałe wgłębienie. Dużo śniegu tej zimy; zasypało, zawiało; całą noc przeleżał tu, pod płotem, więc wygniótł twardy dołek, głęboki w miękkim, srebrzystym śniegu.

Za oknami kolęda, hej, kolęda, Bóg się rodzi, moc truchleje.
U Nosiorkowej najgłośniejszej, najśpiewniejszej. Nosiorka wypuścili
dokładnie na dzień przed Wigilią.

Czy Jackowiak pukał do Nosiorków?

Nie wiadomo.

Do Prezesa na pewno nie, Prezes wyrzucił go na zbity pysk z
kółka.

Lewicki powiedział: Skoro wyrzucasz Jackowiaka, ja również
odchodzę.

Prezes wrzasnął: Idź, idź; myślisz, że będę po tobie płakał?

A Lewicki powiedział: Jeszcze będziesz płakał, i wówczas ja
powrócę. Z pocieszeniem.

Prezes wrzasnął: Mam w dupie twoje pocieszenie!

Czemu Jackowiak nie poszedł do Lewickich?

Widać za daleko mu było i nie po drodze. Widać, głupi, my-
ślał, że wszędzie są ludzie.

A nie tak łatwo o człowieka.

Jackowiak na pewno głoduje, powiedział syn, zawsze przecież
z tego, co zarobił w kółku, większość przepijał, a teraz nawet na
chleb nie ma. Może by go matka najęła do jakiejś roboty?

Tobie, synu, od tego wypadku z Jadźką najwyraźniej coś na
rozum padło. Co ciebie, do diabła, obchodzi Jackowiak i czy on
ma na chleb, czy nie ma?

Matka to naprawdę bez sumienia.

Oj, synu, przestań ty się mego sumienia czepiać, swoim się
zajmij!

Boże Narodzenie to najmiłsze ze świąt. Hej, kolęda, kolęda!
Choinka pachnie, dom pachnie miodem i makiem, i piernikami;
czerwone jabłuszka na zielonych gałązkach, drzenie płomyków
świeczek na ścianie.

W tym roku choinka aż do sufitu.

I z Kołodziejską coraz lepiej się układa. Wszystko moje. Już jakby moje.

Ach, niech i ja mam święta, pooglądam dzisiaj z tobą, synu, telewizję. Choć raz w roku. Jakbym zaczęła chrapać, szturchnij; film pewno ładny dadzą na święta.

Chcesz jeszcze, synu, makowca?

Gdzie indziej drzewka poubierane w byle co, w łańcuchy papierowe, wycinanki, krasnale, a u nas, popatrz synu, aż iskrzy się od bombek i lamety.

O Jezu, synu, przecież ojciec ostatnio i kaszę ledwo łyka, a gdzie on ci makowiec pogryzie? Jeżeli przetrzyma do wiosny, to gdy tylko się ociepli, wyniosę go do stodoły, albo gdzie, nie do wytrzymania, jaki smród, i drzwi kocem obiałam, a ciągnie, choć przecież obmywam ojca dwa razy dziennie i nikt mi nie zarzuci, że zaniedbany, lecz ciało ma słabe, gnije, ropa cieknie; no dobrze, dobrze, milczę o ropie, tylko mi tu siedź cicho i nie zaczynaj głupio o ojcu, skoroś taki brzydliwy. Popatrz, ale się tam wałą na tym filmie. Ciekawe, czy to ich boli naprawdę, czy tylko tak udają pierwszorzędnie?

Czekasz na kogoś, synu, serce moje? Bo tak stale i stale nad słuchujesz?

Wiedziałałam dobrze, na kogo ty czekasz, synu. Kołodziejska pojechała święcić Wigilię wraz z Jadźką w szpitalu, lecz tobie się wydawało, że może jednak wróci na drugi dzień świąt. Głupiś, oczywiście, że nie wróci, że będzie tam siedziała, najmując pokój w hotelu za drogie pieniądze tylko po to, żeby chociaż godzinę, chociaż dwie posiedzieć przy Jadźce, potrzymać ją za rękę i się nad nią rozczulać. A co tam, niech jeździ, dla mnie lepiej, szybciej wyprztyka się z pieniędzy, z tych resztek, jakie jej pozostały; już się dopytywała, czy w razie czego pożyczę. A jakże, pożyczę, kochana Kołodziejska, pożyczę, ile tylko będziesz potrzebowała,

więc tym lepiej, że się rozjeżdża, nie szanując pieniądza, nie myśląc o jutrze; dobrze, bardzo dobrze, wszystko układa się dla mnie pomyślnie.

A kto jej krowę zdawał, dotąd nie wiem.

Nikomu nie wierz, Kołodziejska. Ludzie to sępy.

Siedziała tak, jakby już była martwa, nawet nie rozpałała ognia pod płytą; siedziała nieruchomo w ciemnym domu, zimnym domu, zastygłym domu; objęła mnie gwałtownie, kurczowo wcisnęła swoją głowę w mój brzuch, a ja jej nie śmiałam odepchnąć i pozwalałam się obejmować, chociaż mi było bardzo niewygodnie, ale rozumiesz, synu, ta ziemia, najlepsza z najlepszych, niczym masło, bo te trzy morgi Kołodziejskiej starczą za sześć, nigdy u nas nad Zakolem takiej bujnej pszenicy ani takich buraków ogromnych. Uciskała mój brzuch coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej. A mleko to trzeba było sobie zabierać. Co powiedziałaś, Kołodziejska? Że mleko sobie zabierać. Tylko mi nie płacz, Kołodziejska, i nie dziękuj, nie ma za co. A zabierać mleko? Jakże to tak, skoro ono nie moje! Więc widzisz, synu, nie powiedziałam, że ktoś inny zdawał krowę, powiedziałam tylko, że mleko nie moje i żeby mnie więcej tym mlekiem nie dręczyła, powiedziałam czym prędzej: A czym ty wróciłaś, Kołodziejska? Bo nie pekaesem; wychodziłam cię spotykać na przystanek. Wówczas ona, wciskając się w mój brzuch tak mocno, że aż zabołało, odpowiedziała: Taryfą - i zaczęła w mój brzuch uderzać zduszonymi słowami, że przyjechała taryfą, aby jak najszybciej do swoich, aby im powiedzieć, że w szpitalu powiedzieli, że najgorsze minęło, Jadźka będzie żyła, i dlatego nie chciała czekać na autobus, w taryfę, bo szybciej, i weszła do pustego domu, podoiła krowę, nakarmiła świniaki i psa, a potem czekała, bo przecież zaraz przybiegną dopytywać się, co z jej dzieckiem, czy żyje, czy żyć będzie, ale nie biegli, nie pukali do drzwi, cicho, ciemno, coraz

ciemniej i tylko to mleko w wiadrach i kankach pod ścianą świadczyło, że jednak znalazł się ktoś taki, jeden jedyny, który myślał serdecznie, więc chociaż on jeden jedyny powinien nadzieję, ale nie nadchodził i on, a wtedy, gdy biegła do swego dziecka, do tej wymiętej plamy, do tej sadzawki krwi, to zapomniała o wszystkim, i tam, w szpitalu, niewiele myślała o krowie, świniakach, psu na łańcuchu, ponieważ wierzyła w ludzi, że są dobrzy i nie pozostawią bez opieki jej bydłatek; ale przyjechała, siedzi, siedzi, i nikt, nikogo, i tylko to urągliwe mleko pod ścianą. A słowa lekarzy, że nie ma zagrożenia dla życia Jadźki, jak bicze. Co z tego, że nie ma, nogi również nie ma. Operacja trwała cztery godziny, nie wpuszczali mnie do mego dziecka, przez szybkę patrzyłam, patrzyłam i nie potrafiłam Jadźki rozpoznać; ja, matka, nie rozpoznawałam w tym czymś bladym, szarym, płaskim, tak bardzo płaskim jak złożone prześcieradło, swego dziecka. Zagrożenie dla życia minęło, lecz i nadziei na życie żadnej, bo co to za życie z jedną nogą? Aż tu twoje kroki, Małomówno; które jej, synu, wydały się krokami złodzieja. O tej porze zakradać się może już tylko złodziej. A jednak nie złodziej, ale ty, moja dobra, moja najlepsza, któraś pamiętała o mojej krowie, świniakach i psie na łańcuchu, i to mleko naprawdę należało się tobie. Dość, dość, Kołodziejska, nie chcę już słyszeć o tym cholernym mleku ni słowa! Ona jednak, uparta, synu, uczepiła się tego mleka, że każdy by je sobie zabierał i słusznie, należało mu się za dojenie. Czy ty wreszcie przestaniesz o mleku, Kołodziejska! I głaskałam ją po głowie, synu, wciąż wciśniętej w mój brzuch boleśnie, i mdliło mnie od zapachu lekarstw i czegoś jeszcze, czym cuchnęło ubranie Kołodziejskiej, a oczami, synu! powiem ci całą prawdę, oczami po kuchni: kredens stary, śmieć, za to makatka nad ławą z wiadrem z czystej wełny utkana, modry staw na niej i biały łańcuch, i ta makatka się nada, i zydel bardzo porządny, i ława, i to

wiadro prawie nowe. Kołodziejska! puszczaj, bo udusisz! Szkoda, że nie wypada wejść na pokoje, i tam porozglądać się za tym, co się przyda.

Napalę ci pod płytą, pewno od rana nic nie jadłaś.

Jeszcze chwilę tak pozwól, Małomówno, jeszcze zostań.

To musiałam przy niej tkwić, a w kuchni niczego już do oglądania.

No, no, Kołodziejska, musisz się trzymać, wierzyć w łaskawość Boga, Bóg jest miłosierny. I po co ja to do niej powiedziałam, synu, bo targnęła się, walnęła głową o stół. Ale nogi nie odda! - krzyknęła i tą głową po stole w tę i we w tę, jakby wałkowała ciasto; siwe włosy rozkudliły się, a jakie one rzadkie, dlaczego, przecież miała taki gruby warkocz i wcale nie siwy; i coś ty zrobiła z włosami, Kołodziejska?

Głowa Kołodziejskiej znieruchomiła. Nad głową uniosła się ręka, palce rozwarły się jak nożyce. Ciach, ciach, o tak, powiedziała Kołodziejska, bo mi zaczęły nagle wylazić, całymi garściami, to musiałam obciąć.

Rosół matka gotuje?

Ach ty brodo, ty bródeczko, ale puścił ci się włos!

Matka śpiewa? Matka umie śpiewać?

Nazywali cię szczoteczką, teraz miotłą zwą cię w głos!

Zwariowała matka?

Synu, synu! Serce moje! Kołodziejska wczoraj wieczorem powróciła od Jadźki, nie pekaesem, ale taryfą. Boże drogi, synu, co ci?

Osuwał się powoli na krzesło, przytrzymując się stołu, jakby gwałtownie osłabł, pot kropelkami na jasnym, jakże jasnym, bo tak nagle pobladłym czole. Synu, synu, to wszystko przez niejedzenie, ja ci tu zaraz rosółek, ja ci tu zaraz udko, synu.

Co z nią? - wycharczał.

Wyobraź sobie, że prawie całkiem wyłysiała, a takie miała ładne włosy. No, popij rosołku, mocny, gorący, wzmocni cię. Pij, synu, serce moje.

Pił posłusznie, małymi łyčzkami; pił bezwolnie, chyba nawet nie wiedząc, że pije. Otarłam ci zimny pot z czoła, synu; tu masz udko, a resztę zaniosę Kołodziejkiej, gdyż założę się, że siedzi w tym samym miejscu, w którym ją wczoraj zostawiłam i pewno sobie nawet wody nie zagotowała na herbatę.

Popatrzyłeś wtedy na mnie, synu, serce moje, oczami, w których nagle cała modrość nieba i jezior; wtedy, przez tę jedną chwilę, kochałeś mnie, synu.

Pochylił głowę, poczuła na swojej dłoni jego usta. Nigdy nie całował jej w rękę. Nigdy w ogóle jej nie całował. Nie lubił, żeby go całowała. Nawet mały odpychał: Czego mnie matka liże, nie chcę! Niech mnie matka puści.

Synu, serce moje. Alleluja, hosanna, ach, synu, wlewasz we mnie nowe siły, staję się mocarna, wszystko dla ciebie, synu, wszystko twoje, alleluja, hosanna, ziemia od Kołodziejkiej, nowe krowy, nowe świnię, więcej ich, więcej, więcej! I ja ci, synu, taksówkę kupię, życie jest wspaniałe, tylko trzeba umieć żyć. Co powiadasz, synu?

Więc będzie żyła?

Co tam szepczesz pod nosem, synu?

Będzie żyła?

Od wypadania włosów jeszcze nikt nie umarł. Ścięła swój warkocz, może i lepiej, bo stara, starej warkocz nie pasuje.

Odsunął się.

Och, synu, zostań tak jeszcze przez sekundę z wargami na mojej dłoni. Jakie masz gorące wargi, synu. Niczym ogień.

Pytałem o nią. Nie o Kołodziejską.

O Jadźkę? A to ci dopiero! A ja myślałam, głupia, że o starą. No pewno, co cię stara może wzruszać? Ale i do Jadźki co ci? Kołodziejska gada, że podobno będzie żyła, ale czy to wiadomo na pewno? Tyle krwi. Tyle krwi z niej wyciekło.

Jakby się czymś dławił. Synu, do cholery, co się tak wzruszasz? Czy to twoja narzeczona czy co?

No cóż, powiedziała mu tak. Oczy syna zamarzyły w lód. Ach, co tam, przejdzie mu, dopiero całował jej rękę, co za cud, co za szczęście, a Jadźka nie może go obchodzić, on po prostu za bardzo przeżył wypadek, tyle krwi. Posłuchaj mnie, synu, bo co do Jadźki, to lepiej dla niej, mówiąc szczerze, żeby umarła. I tego jej właśnie życz, skoro się nią tak przejmujesz, ponieważ dla niej śmierć łaskawsza od życia; co jej po życiu z jedną nogą. Teraz dokończ udko, ja zaś lecę do Kołodziejskiej, póki rosół gorący, a potem zaraz do sklepu! Nie mam czasu na próżne gadanie o Jadźce.

Musisz się, Kołodziejska, pozbierać do kupy, ponieważ ci się wszystko w polu zmarnuje.

A niech się marnuje.

Dokąd to, Kołodziejska? Znowu do szpitala? Przecież dopiero co wróciłaś i to taryfą, pieniędzmi szastając, o tę twoją Jadźkę dbają w szpitalu, a ty tu musisz zostać, bo co ta twoja zrobi, jeśli nogi wyciągniesz? Wszystko masz w polu, kopać trzeba, a nie rozjeżdżać się po szpitalach.

Trzeba jej pilnować, tej Kołodziejskiej, już drudzy zaczęli przychodzić z gębami w ciup litościwymi, z Jadźką na ustach, a ona, ta Kołodziejska, patrzcie ją, jak zhardziała, na litość się nie godzi, im kto bardziej litościwie, tym mocniej nastroszona; a cóż jej poza litością od ludzi pozostało?

A ten cwaniak od mleka dotąd się nie ujawnił.

Posłuchaj, Kołodziejska. Zrobimy tak: do kopania kartofli wezmę od Prezesa kopaczkę, do zbierania wynajmę Iwaniuczkę z dziewczuchami; marchew wyrwę sama; co za jesień! co za jesień! ciepło, widno, księżyc nocami jasno świeci, dam radę; a buraki byle ogłowić, wykopać można i w listopadzie, one mrozu się nie boją. Buraki też ci sama obrobię. I tak: kartofle i marchew będą twoje, a buraki moje... No zostawże mnie! Czy ja chłop, że mnie ciągle ściskasz? A swoje łzy zachowaj dla Jadźki, mnie one niepotrzebne.

Moja dobra Małomówno, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Proszę, Kołodziejska, nie pleć byle czego.

A ona znowu zatargała głową po stole, aż się rozgrzechotała; a po co mi marchew, po co kartofle, skoro Jadźka, jeśli przeżyje, ostanie bez nogi?

Myśl o jutrze, Kołodziejska, pieniądze musisz mieć, bo za co swoją Jadźkę wyżywisz?

Nie ma dla mnie żadnego jutra! I targa dalej głową po stole; a więc wszystko moje, pomyślałam tak, synu; mówię ci całą prawdę, nie ukrywam ani jednej myśli swojej. Nie ma jutra! Bierz i kartofle, Małomówno, bo ja do niczego nie mam głowy, ja o niczym innym nie potrafię, tylko o tym, co jest takie płaskie, szare jak źle uprane prześcieradło, tam, za szybką w szpitalu, a co jest moim dzieckiem! A ty mi tu, Małomówno, z jakimiś marchwiami! No i bardzo dobrze, że cię aż tak wzięło, Kołodziejska, pomyślałam, synu, i musiałam szybko odwrócić się, żeby nie zobaczyła mojej twarzy. Nie, synu, nie było na mojej twarzy wstydu, ja już ci tylko prawdę i całą prawdę; mogę sobie na nią pozwolić, synu, teraz już mogę, ty i tak jej nie usłyszysz, nie dowiesz się o niej, bo chociaż powiedziałeś: Ze wszystkich ludzi na świecie ciebie najbardziej nienawidzę, matka - to aż o taką prawdę mnie

nie podejrzewasz; ale ona mnie samej jest potrzebna, zanim wypowiem amen; więc odwróciłam głowę, uklękłam przy płycie, pogrzebałam pogrzebaczem w palenisku, gdyż musiałam tę swoją twarz triumfującą, tę swoją twarz aż płonąącą od radości ukryć, żeby mnie przypadkiem nie zdradziła, nie wydała. Nie, ja tak nie mogę, powiedziałam, nie odwracając się od płyty. Sama wiesz, Kołodziejska, jacy są ludzie. Już i tak pewno mieli ozorami.

To ona sama, synu, powiedziała mi na to: Masz rację, Małomówno, ludzie to sępy, przychodzą tu, niby się litując, ale żebyś widziała, Małomówno, jak między jedną łżą współczucia a drugą pytają się, co zrobię z burakami, kartoflami, może im odsprzedam, zapłacą jak należy, mówią; dlatego bierz papier i pisz, Małomówno, że ci odsprzedalam, albo co chcesz pisz, i niech się tym zadławia ich żarłoczne dzioby, bo gdyby nie ty, moja krowa zmarnowałaby się, niedojona, a moje świniaki by zdechły, a mój pies zawył się na łańcuchu, ty zaś nawet mleko w kanki pod ścianę. Daj papier, podpiszę.

Co to jest, matka?

Oddaj natychmiast, słyszysz?

Żeby się aż tak ześwinić, powiedziałaś.

Głupiś, synu. W tym nie ma nic złego. W tym chodzi o to, żeby później nikt mi nie powiedział, że wykorzystałam nieszczęście Kołodziejskiej. To jest uczciwe, przecież jej pomagam. Oddaj mi papier, synu. Co wyprawiasz, do cholery!

Ale on już się znęcał nad tą kartką, jak nad czymś żywym; darł, miętosił, darł znowu, na coraz mniejsze strzępki, nienawidził ich, dyszał nad nimi, potem rzucił mi je w twarz i trzaskając drzwiami, poszedł do swego pokoju. Niech się matka stąd wynosi! - krzyknął, zakrył głowę poduszką niczym mały dzieciak. I czego ty się tak wściekasz, synu? Ja ci zaraz wytłumaczę. Wynosi! Wynosi! - krzyczał.

Niczego nie da się zmienić, synu. Czasu nie cofniesz. Życie to nie rak, do tyłu nie popełźnie. Ono ciągle naprzód i naprzód.

Piesek, który był małym kłębuszkiem o śmiertelnie przestraszonych paciorkach oczu, utonął razem z workiem i ciężkim kamieniem; dobrym workiem, lnianym; szybko, szybciej, nim syn ze szkoły wróci.

Plusk, chybotanie wody, pierwszy krąg fali niewielki, drugi się rozlewa, i już fala za falą. Taki mały psiaczek, lecz kamień był duży, żeby miłosiernie, raz raz, i fala, fala, fala.

Pierwsza fala.

A popatrz ty, synu, serce moje, kiedy to przypomniało mi się o Puszku, że ja go w worek i plusk? Dopiero teraz, za piętnaście dwunasta. Jeszcze dwie godziny pozostały z kwadransem. Do tej ostatniej fali, fali ognia, która poniesie mnie ze sobą.

Ach, nie, nie, synu. Jaka kara? Dlaczego? Za co? W czym ja inna od innych? Tylko ty, synu, odszedłeś, więc to wszystko, co gromadziłam dla ciebie, stało się niepotrzebne, bezużyteczne i bezsensowne, i niechaj to ogień spopieli, niechaj to wiatr rozwieje, bo ja, synu, umarłam w tym samym momencie, w którym krzyknąłeś do mnie: Nienawidzę cię, matka, ze wszystkich ludzi najbardziej! Umarłam raz raz, szybko, gwałtownie, całe moje ciało, moje usta, moje włosy, moje ręce, moje nogi i tylko to moje serce nie chciało umrzeć ani moje sumienie, i to dla swego serca i swego sumienia ten ogień pałę a podkładałam, żeby się spaliły razem z tym wszystkim, co ja tu dla ciebie, synu, gromadziłam. Czekałam na ogień z radością, czekam w pokorze, czekam zmęczona tak bardzo, synu, że nawet ciebie nie wypatruję, czy wrócisz. Nie mam siły wypatrywać. Czas odpoczynku dla mego serca i mego sumienia nadchodzi.

Każdy, nawet najgorszy z tego świata, zasługuje na czas odpoczynku.

W tobie, Małomówno, już niczego poza nienawiścią, powiedział Prezes; stał za płotem, nie zbliżył się do sztachet i nie zwrócił się do mnie z imienia mego, lecz po nazwisku. Nie, nie masz racji, Kubiaku, we mnie niczego nie ma, nienawiści też, pomyślałam.

Kiciuś, kitek, kiciuszek; dlaczego, synu, tak strasznie nie cierpisz kotków?

Bardzo mi zimno, synu, mimo ognia pod płytą. A mówią, że gdy się zamarza, to jest lekko i cicho, i tylko powieki coraz cięższe.

Powieki Jackowiaka dwa kąkole.

Na wersalce wygodnie, makowiec się udał, dużo maku; film ładny w telewizji, ktoś zastukał. Otworzę! Poderwał się syn szybko, bo on czekał na pukanie do drzwi, czekał, głupi bez nadziejnje, wyglądający Kołodziejskiej. Jej to właśnie syn codziennie wygląda, i dzisiaj, i wczoraj, i od tygodni. Kołodziejska najczęściej zachodzi wieczorami, i należy to znosić cierpliwie, bo przecież chodzi teraz a ziemię, o wiadro, o makatkę z łabędziem. Więc niech tam, niech opowiada, coraz bardziej bezrozumna od tej swojej bezrozumnej radości, że jej Jadźce coraz lepiej, że otwiera oczy, że siada, że siedzi sama, bez podpierania. Odkąd Prezes załatwił Jadźce inny szpital, zabrał z powiatowego, gdzie znowu chcieli ciachać wyżej to, co jeszcze zostało z nogi, bo im ropiało i ropiało, poprawa u Jadźki z dnia na dzień. I z czego tu się cieszyć, że siedzi bez podpierania? Czy jej od tego siadania noga odrośnie? Więc niech tam tej durnej Kołodziejskiej, niech przyłazi, niech opowiada o Jadźce bez przerwy i na okrągło; już w chlewie Kołodziejskiej stoją moje świnie, a w oborze jałoszki; co do ziemi jednak, to jeszcze nie wiadomo, i to był błąd, bo

należało wykorzystać szklane oczy Kołodziejskiej, oczy pozbawione wszelkiej nadziei i podetkać papier, cholera, żeby się ziemi zrzekła; a z tymi meblami z pokoju Jadźki to chyba przyjdzie się pożegnać, z pewnością ich Kołodziejska nie sprzeda za pół darmo, w ogóle ich nie sprzeda, jeżeli nie jedzie do szpitala, to siedzi w pokoju Jadźki, pucuje każdy mebel, przeciera, przestawia, w piecu codziennie tam pali, głupia, żeby do wilgoci nie dopuścić, a tu przychodzi, radzi się, co i jak, i gdzie wiosną zasiać, posadzić, źle, cholera, źle, jeszcze nie daj Boże ta ziemia jak masło przejdzie koło nosa. Ale może nie przejdzie, bo przecież teraz Kołodziejska w te i nazad do szpitala, ze szpitala, i dla lekarzy kilogramy czekolad, i swoje dwa świniaki zabiła, nawędziła chabani-ny, też dla lekarzy; syn zaś, ledwo Kołodziejska w drzwi, porzuca telewizję, siada i słucha, i oczy ma modre, i dla kogo te oczy syna modre? dla kogo! jakim prawem? Co się z nim wyprawia, nie do wyrozumienia, nigdy na nikogo nie zwracał uwagi, dopiero od tego wypadku mu odbiło. Ale przecież nie może być, żeby mu szło o Jadźkę? Lecz jeśli nie o nią, to o kogo? Kapucyna nawet przestał trzepać. Czekolady swoje podsuwa Kołodziejskiej, niech pani weźmie i zawiezie Jadźce. I nawet Kołodziejska oczy szeroko otwiera z zadziwienia, bo każdy wie, jak syn za czekoladami przepada. Chyba zwariowałaś czy co? - powiedziała mu, gdy Kołodziejska wyszła - czy ja pieniądze na polu zbieram, żebyś mi się czekoladami rzucał. Może się matka nimi udławić, odpowiedział. Boże drogi, jemu naprawdę coś się stało. Spotkała syna w oborze, szukał czegoś. Gdzie matka ma widły? A po co tobie widły, synu, serce moje, toć przecież nawet dobrze nie wiesz, za jaki koniec je trzymać. Zrzucił widły przez plecy, poszedł; pewno robaki będzie wygrzebywał na przynętę, podobno nad Zakolem węgorz bierze pierwszorzędnie. Wieczorem Kołodziejska mówi:

Dobrego masz syna, Małomówno, wszystek gnój od mojej Muśki wywalił.

Mnie nigdy. Dlaczego mnie nigdy w niczym, synu, serce moje?

Milczał.

Powiedz, na litość boską! czemu obcej, a mnie, matce, nigdy, nigdy!

Też coś, matce? - prychnął.

Boże, ulituj się, zwróć mi syna.

Jakby czekał na Kołodziejską, że przyjdzie, chociaż wiedział, że na święta pojechała do Jadźki. Nadśłuchiwał, wychodził na przystanek, a ja patrzyłam na to twoje czekanie, synu, i serce się we mnie darło. Chodź, pójdziemy drzewko wyciąć. Mnie drzewko zbytęczne, jeśli matka chce je mieć, niechaj sama sobie wycina! Po oczach ją, po oczach! Choćby za to twoje czekanie, synu; wszystko jej z gardła wyrwę, tej Kołodziejskiej, niech będzie przeklęta. Ktoś zapukał. Pognał otwierać. Kto tam, synu, i czego chce? - zawołała. Niech pan wejdzie, ogrzeje się, to syn mówił, zapraszając Jackowiaka na pokoje. Jackowiak ściągnął wytłuszczoną czapkę, kudły do ramion, broda do pasa, istny zbój. Zaraz mi tu wszów nastrząsa, cholera! - powiedziała. - A co to, chlew, że mi się pakujesz, Jackowiak, w zaśnieżonych gumiakach aż do pokoju z telewizją?

No, czego chcesz? Po coś, cholera, przylazł?

Boże! Matka!

A ty mi, synu, nie bożekuj nadaremno. Jackowiak, na, masz kawałek makowca i wynoś się.

Boże, matka!

Bierz, Jackowiak, i nie przeszkadzaj, ja i syn film oglądamy. Co, nie chcesz makowca? Za mało? To bierz drugi kawałek, ja ci nie żaluję.

Pokornie przepraszam, Małomówno.

Syn już nie wołał Boga, schował twarz w dłoniach.

Jackowiak makowca nie tknął. Ukłonił się nieporadnie. Zaszurała dziurawymi gumiakami. Całkiem w tym pierdlu skapcaniał, istny dziadyga, łachmaniarz.

Idź się wyspać, Jackowiak, a po świętach możesz przyjść, jakąś robotę dla ciebie znajdę.

Odszedł. Lecz nie zaszedł daleko. Tyle co do płotu. Może tam, pod tym płotem, patrząc w oświetlone okno z drgającymi płomykami świeczek, postanowił przyśnić swoje odległe lata, żar słońca nad głową, błysk kosy i mnie, zalaną łzami wdzięczności? A może po prostu tak zmęczył się tą drogą do mnie, że musiał odpocząć.

Wybacz mi, Jackowiak.

Zobaczyła go od razu z ganku. Krzyknęła krótko. Wyglądał paskudnie. Powieki - dwa przekwitłe kąkole. Wybiegł syn. Z gołą głową. Synu, przeziębisz się! I nie patrz na niego, nie patrz! Przez drogę biegła Nosiorkowa. Boże, powiedziała, biedny Jackowiaczek. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. Syn, pochylony nad zmarłym tak nisko, jakby sam chciał się przy nim ułożyć. Powiedziała: Synu, dla Jackowiaka lepiej, bo śmierć miał lekką, i pograżył się w spokoju na wieki, nie musi się już z życiem szarpać, a żył gorzej niż pies.

A psy, powiedział syn, trzeba topić, ponieważ przynoszą za mało pożytku.

Ale ty masz pamięć, synu. Tak zapamiętać. A mnie się zawsze wydawało, synu, że ty jakby z pamięci wyprany, jakby w twojej głowie nie było nic innego, tylko wyspać się, wyleżeć, najeść skwarków, napić kakao, objeść czekoladami.

Czemu nie pójdziesz, synu, pobawić się z Jacusiem Nosiorków? Albo z Wojtusiem Krysiaków? Siedzi w kącie, milczy, nie

odpowiada i tylko tymi oczami jak dwa topieliska wpatruje się, aż ciarki po plecach chodzą. Dobrze, żeś mały, synu, serce moje, ponieważ bałabym się twoich oczu. I kotki kopiesz, do bydła w oborze nie zajrzysz, z nikim nie pogadasz, tylko czekolada i kakao; a najbardziej jakbyś mnie nie lubił. Co nie może być prawdą, synu. Gdyż jesteś ze mnie, z mego bólu. Ty, owoc żywota mego.

Bzy, bzy, liliowe krzyżyki.

Po co mi ten wiecheć, synu? Tylko śmieci z niego, zabieraj się razem z nim.

A że nic nie powinno się marnować, więc gdy bez usechł, wypalony gnojem, wyrąbałam każdą gałązkę i do spalenia, do pieca.

Tak. Tak. Nic, nawet gałązka nie powinna się zmarnować.

A Witosek jednak żeni się z Anusią na Wielkanoc, powiedziała Nosiorkowa. Nóż zajechał po palcu, krew na nożu, krew na kielbasie. Ale ci sika, powiedziała Nosiorkowa. Skąd wiesz, nie może to być! - zawołałam do niej, synu; bo to być nie może, pomyślałam, żebyś ty, Kubiaku, tak się spodlił bez honoru; ty, Kubiaku, którego kamienowali i palili, który wierzyłeś, że nie zło, ale dobro panuje nad światem, więc wprost niemożliwe, żebyś aż tak. A co, swego chciałybyś wydać za niemowę, Małomówno? - powiedziała Nosiorkowa i jej szare, nędzne usta rozciągnęły się w długim uśmiezku. Twój już ma narzeczoną, pod każdym autobusem wystaje, czekając na swoją przyszlą teściową, powiedziała Lipieniowa, taka już stara, taka garbata od tej starości, taka ku ziemi przygięta, ale wciąż jeszcze oczy dwie szpareczki, ale wciąż jeszcze wargi dwie zmiyki syczące. Po oczach ją i wszystkim! Na jaką teściową? - zapytała, siłąc się na spokój. Dobra partia, lepszej wymarzyć nie można, będzie swoją żonkę na rękach nosił od rana do wieczora - roztrzęsła się w śmiechu Teodorka.

Co prawda chłopak elementarza nie ukończył, ale patyki wystrugać potrafi, to i dla swojej żonki wystruga nogę drewnianą, i tak skikać będą oboje, powiedziała Iwaniuczka. Śmiech, śmiech, aż się sklep zatrząsł. Zadarły głowy, rozdziawiły gęby, trzęsły wielkimi cyckami. I ciebie za ten ich śmiech też po oczach, synu! Po co im drewniana noga, skoro jemu ta trzecia stanie? To znowu Iwaniuczka, suka niedojebana. Głupie klepy, powiedziała do nich, każda z was by padła przede mną plackiem, całując po rękach, żebym tylko którą z waszych kostropatych, zawszonych zdzir ze chciała wybrać na swoją synową. Umilkły. Pobladły. Zaświeciły oczami nagle wilczymi. No, no, ja się was nie boję, powiedziała, Witosek zaś może się żenić z Anusią. Będzie miał dwie dupy do ruchania, jedną młodą, drugą starą. Przy świadkach to powiedziałaś, Małomówno, odezwała się Lipieniowa. Przy świadkach, poświadczymy, zawtórowała Teodorka. Wywali cię ze sklepu, dodała Nosiorkowa. Na zbitą mordę, ucieszyła się Iwaniuczka. Sram na sklep, powiedziała. Sama złożyłam wymówienie tydzień temu. Łżesz! Nie łżę, możecie zapytać Prezesa. Jeszcze tylko tydzień w nim stoję, więc sram na sklep.

I to, co usłyszały ode mnie, synu, tak je zdumiało, że zapomniały o zniewagach. Nawet teraz mogę wyjść, zamknąć sklep, a wam klucze rzucić, i bijcie się o nie, powiedziała, mam bez sklepu dość wszystkiego. Pewno, dość się nakradłaś! - krzyknęła Nosiorkowa, a ja jej przytaknęłam: I owszem, dość nakradłam, ale nikt mnie do pierdła nie wsadzi, jak twego Nosiorka, za dwa marne sita. A jakby mnie wsadzili, to przynajmniej wiedziałabym za co, i powiem wam, suki, to byłoby warto odsiadywać; a je szlag trafiał, mełły własne jęzory, gryzły się własnymi zębami. A co do Witoska, to powtórzyłam dokładnie to, co ty, Nosiorkowo,

wcześniej i również przy świadkach w tym sklepie gadałaś, a to było w zeszłym roku, na jesieni, jak Jadźce nogę urznęło. I Nosiorkowa, synu, od razu zrobiła się malutka. I na każdą z was, powiedziałam, mam coś odpowiedniego, więc się pilnujcie, moje kochane sąsiadki. Od wypadku Jadźki bez przerwy mieciecie ozorami, że Prezesowi jakoby się w rozumie pomieszało, że Jackowiaka zabił, Czeška Krysiaków zmarnował, wyrzucając go z kółka za pijaństwo, a Kłusaka za kradzież głupich kombinerek. O, wy moje kochane sąsiadki, wiele złych słów tu, w sklepie, przy świadkach, wypowiedziałyście. Wasze nadzieje, że Prezes przejedzie się na urzniętej nodze Jadźki, nie spełniły się. Nic z tego. Wciąż silny. Nie do ruszenia, i coraz bardziej jak wściekły pies, lepiej z nim nie zaczynać, nie narażać się jemu. Pokuliły się, synu, zamerdały przymilnymi uśmiechami; tak, tak, synu, a w tego drania rzeczywiście zły duch wstąpił; Czeška wyrzucił za pijaństwo, Kłusaka, bo mu z nogawki wyleciały podwędzone kółkowskie kombinerki, Antka Grzyba zaś za nic. Kazał mu przyjść do siebie, przed biurko pod palmą, i powiedział: Zwalniam. Dlaczego? - zapytał Antek. Bo mi się w robocie opierdalasz i bez dyskusji ze mną, sukinsynu. Jeśli zechcę, to cię wyrzucę i za nic. Odwołam się do Zarządu! - postawił się Antek. Prezes ujął go za klapy, potrząsnął, powiedział: Zarząd to ja! Spierdalaj, sukinsynu.

I aż do połowy stycznia nie przywołał, Katarzyno, nie podszedł do płotu.

Tęskniłam, synu, do swego imienia.

I może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby je wypowiedział.

Ale nie wiem tego na pewno. Może. Może by to co zmieniło, a może już na wszystko było za późno.

Małomówno! - huknął wściekle jak na psa - przyjdź za godzinę, mam do pomówienia!

Nogi moje, nogi, co wam się stało?

Ręce moje, ręce.

Usta moje, usta.

Cała jestem w ogniu.

Szafa ma duże lustro w drzwiach środkowych. Usta moje nagle krwawe, palące się żarem. Włosy moje burza miedziana.

Jakie ty masz włosy, jakie włosy, Katarzyno, powiedział mi kiedyś, dawno temu. Chustka ześlizgnęła się z głowy, chciałam ją naciągnąć, lecz aż krzyknął: Zastaw tak, zostaw! Jakie ty masz włosy. Twoje włosy, powtórzył, burza miedziana.

Wtedy ich pragnął.

Umyłam włosy w rumianku, stanęłam przed lustrem, synu, szukając w swoim odbiciu tamtego dnia, w którym chustka ześlizgnęła się z mojej głowy. Włosy moje, synu, one jedne nie zstarzały się, nie umarły od zmęczenia, nie skonały w morderczym wysiłku. Ciągłe młode. Ciągłe piękne. Moje włosy, których pragnęli mężczyźni. I on też ich pragnął.

A ty co? - powiedział, siedział za biurkiem, za nim na ścianie półki z książkami. Nawet tyłka nie unióśł. Miałaś przyjść za godzinę, przyłazisz po dwóch; co tak sterczysz? Siadaj! Obwisłe, postarzałe poliki, blizny fioletowe, wściekle; stary diabeł oszpecony, ale dla mnie wciąż piękny, miodnooki, czerwounusty, białożęby. Jedyny. I zapragnęłam, synu, tamtego dnia, w którym chustka ześlizgiwała się z moich włosów, i tamtego spojrzenia zapragnęłam, jakim je obejmował, całował, pieścił. Zapragnęłam tak strasznie, że nawet ciebie, synu, gotowa byłabym się wyrzec, żeby tylko raz jeszcze usłyszeć: Katarzyno, twoje włosy burza miedziana.

Siadaj, mówię. Masz, podpisuj! Przysunął kartkę. *Ponieważ prowadzenie dużego gospodarstwa rolnego koliduje z moją pracą na etacie ekspedientki sklepu spożywczego w Zaslaviu, uprzejmie proszę o rozwiązanie ze mną umowy o pracę.*

Co to? Jak to?

Chyba umiesz czytać! Podpisuj!

Jaki to człowiek przekorny jest, synu; a dopiero co myślałam, że ten sklep niczym kula u nogi, a tu proszę, ten drań wywala mnie na zbity pysk.

Przesylabizowałaś? Czy uczysz się na pamięć?

Odłożyłam papierek.

Nie jestem twoim kółkowskim parobkiem, żebyś na mnie pohukiwał.

Jeszcze niedawno powiedziałby, że taką mnie lubi, hardą i py-skatą. Lecz teraz huknął pięścią w biurko. Podpisuj! - ryknął. Uprzedzam, że za uszy nie będę cię ciągnął a wybraniał, jak kiedyś Romankę.

Wyskoczył zza biurka. Deptał wściekle dywan tam i z powrotem. Wrzeszczał, że każdy musi to śrubkę, to drut, to paliwo, a ty najgorsza, jak ta świnia nienażarta, co ja powiadam! nawet świnia się kiedyś nasyci, ale nie ty! Tobie mało i mało! Sprzedałaś starej Witoskowej kielbasę zwyczajną za toruńską. Akurat musiałaś Witoskowej, ty głupia krowo! Witosek zawiózł do sprawdzenia, sprawdzili, wyszło, że zwyczajna, nie toruńska, wziął to na piśmie, macha mi nim przed nosem, popatrz, mówi, co ta twoja dupa wyprawia, jak oszukuje, jak kradnie; więc podpisuj mi tu, podpisuj, ty krowo, że sklepu się zrzekasz.

Całkiem spokojnie odpowiedziałam mu, synu: To o kogo ci tak naprawdę chodzi? O mnie, czy o Witoska, którego tak się boisz, że nawet mu za tę dupę nie dałeś w mordę? Od kiedy pozwalasz się obrażać? Ruszył ku mnie. Coś ty powiedziała?!

Że boisz się Witoska, nic więcej. Ale wiem, dlaczego się go boisz.

Pochylił się nade mną. Zadyszał.

Milcz, proszę cię, Katarzyno, milcz.

Twarz przy twarzy. Tuż obok.

Twarz jego tak blisko mojej. Jego usta tak blisko moich. I nagle wrócił tamten dzień, w którym chustka spadła mi z głowy, a on powiedział, jakie masz włosy, Katarzyno, twoje włosy burza miedziana. Spostrzegłam, jak wtedy, drobnutki perelki potu nad górną, pełną wargą, a moje włosy, dopiero co umyte w rumianku i ciągle jak burza miedziana, ciągle pragnące. Zamknęłam oczy.

Co robisz, Małomówno!

Tak blisko, twarz przy twarzy, usta na ustach, żadnego płotu nareszcie.

Wszystkie jesteście jednakowe kurwy.

Kilka pytań do Władz Najwyższych; pytam się po pierwsze, w jakim czasie powinna przyjechać milicja, jeżeli w nowej młocarni zarywa się nagle pod obsługującą deską i młocarnia miażdży jej nogę powyżej kolana? Bo do nas przyjechała na trzeci dzień po wypadku. Pytam się po drugie, czy gołym okiem można dopatrzeć się defektu w desce? Bo tak powiedziała milicja, która dopiero na trzeci dzień oglądała młocarnię, zamkniętą od chwili wypadku w prywatnej stodole Prezesa kółka. Pytam się po trzecie, czy w ciągu trzech dni, mając zamkniętą u siebie młocarnię, nie da się wymieni ć deski, którą ktoś wcześniej podpiłował, na taką, w której gołym okiem widać defekt?

Domagająca się sprawiedliwości.

Ponadto dopisuję, co następuje: Prezes nasz, obywatel Tadeusz Kubiak, jest z całą władzą powiatową i wojewódzką na ty, to

jedna sitwa, i dlatego swój list wysyłam do was, do Władz Najwyższych. Dopisuję również, że za stan maszyn w kółku powinien odpowiadać obywatel Paweł Witosek, kierownik techniczny bazy, po szkołach i z dyplomem, ale jego nie zabrano, lecz nieżyjącego już dziś obywatela Jackowiaka, zatrudnionego w kółku w charakterze stróża, oraz obywatela Nosiorka za to, że ukradł dwa sita z młocarni. I stąd stawiam pytanie czwarte: dlaczego nie zabrano do kryminału obywatela Witoska? I od razu Wam odpowiadam: a dlatego, że Witoska osłonił Prezes, bo Witosek ma się żenić z jego córką. Dodaję także, że obywatel Prezes ostatnio bardzo się rozpanoszył i ma w dupie ludzi, których wyrzuca z pracy w kółku za nic, jak to uczynił z traktorzystą Grzybem, którego wyzwał od sukinsynów i jeszcze gorzej, a kiedy obywatel Grzyb powiedział, że się odwoła do Zarządu kółka, to Prezes powiedział mu tak: Zarząd to ja, spierdalaj.

Lecz nie wysłałam jeszcze tego donosu, synu, chociaż każda żyłeczka trzepotała we mnie, ponieważ tego jednego, że wszystkie jesteście jednakowe kurwy, nie miał prawa do mnie powiedzieć, tego jednego nie, na Boga, więc nie wysłałam, lecz poszłam do niego, synu, i powiedziałam, że wiem wszystko o jego umiłowanej szarej myszy, więc wiem, dlaczego tłukł jej głową o ścianę, i wiem, dlaczego musi osłaniać Witoska, który podpiłował deskę. I powiedziałam, że wiem, dlaczego Witosek ją podpiłował. Bo wszedł do łóżka twojej umiłowanej myszy, tej kurwy, którą ty, Kubiaku, cały czas kochałeś, a oni oboje, ta twoja kurwa umiłowana i ten twój niby-syn Witosek, postanowili się ciebie pozbyć, wsadzić do pierdła i stąd ta deska; jakby ciebie wsadzili, wówczas by zachowali cały twój majątek i Witoskowi on by przypadł w udziale. Bo ten majątek zaczął przed Witoskiem uciekać, a on go chciał zatrzymać. Ty już nie miałaś przecież zamiaru temu swemu niby-synowi oddawać Anusi, czyż się myślę, Kubiaku?

Nie chciałeś, boś odkrył, co wyprawia ta twoja kurwa umiłowana z tym twoim niby-synem. Po wypadku domyśliłeś się całej prawdy, wymieniałeś deskę w młocarni, żeby się nic nie wydało. Bo gdyby się wydało, byłbyś niczym nagi, tak jawnie na oczach naszych oszydzony, zbrukany przez tych dwoje, z których jedno to ta twoja szara mysza umiłowana - Kocham żonę, Katarzyno, Kocham żonę - a drugie to ten hołubiony na syna Pawełek.

Sądziłam, że jak mu to wszystko wywalę jak kawę na ławę, to on, synu, da mi w pysk. Ale nie dał. Powiedział. Moja biedna Katarzyno, może jest tak, jak mówisz, a może jeszcze gorzej, lecz szantażować się nie pozwolę, za późno na szantaż, we mnie nie ma woli walki, wszystko się we mnie wypaliło, cała moja wściekłość, cały mój ból i cała nienawiść, pozostał wyłącznie gorzki smutek. Jest jak jest. Jackowiakowi życia nie zwrócę i nie powinienem był powiedzieć do ciebie, Katarzyno, że wszystkie jesteście jednakowe kurwy. Uderzyłem cię słowem jak kamień ciężkim, lecz to był ostatni kamień, więcej już nie chcę w nikogo kamieniem, Lewicki miał rację, mówiąc, że sumienia nie można się wyzbyć, więc teraz odejdz, Katarzyno, zostaw mnie sam na sam z moim sumieniem, a jeśli ci to w czymś przyniesie ulgę, to stań pośrodku asfaltu i wykrzycz do wszystkich, co wiesz o mnie i mojej nieszczęsnej żonie.

Drań. Ciągłe chciał być lepszy od innych. I tego nie potrafiłam znieść. Tego nie, synu.

Zakleiałam kopertę. Wysłałam.

Kołodziejska! Wyjeździsz wszystkie pieniądze; dlaczego nie podasz Prezesa do sądu? Jego kółko, jego młocarnia, a nieszczęście twoje, niech płaci. Do końca życia się nie wypłaci. Kołodziejska, słyszysz? Żądaj odszkodowania za nogę Jadźki!

Pięćdziesiąt, sto, dwieście tysięcy! Żądaj też dożywotniej renty, Kołodziejska. Tysiąc, dwa, pięć tysięcy miesięcznie. Niech płaci. Ma z czego.

A ona na to, synu, że nie może.

Jak to, nie możesz? On w zeszłym kwartale sprzedał sto świń, wziął za nie więcej niż dwieście tysięcy. Czy noga twojej Jadźki mniej warta niż jego świnię? Dwieście tysięcy, Kołodziejska, czy ty widziałaś kiedykolwiek taki pieniądz na kupie? A do tego dolicz za mleko. Dolicz za jałowiznę. Dolicz za buraki cukrowe. Boże, ale to drań ostatni, taki pieniądz rok w rok robi, że aż gorąco wali po piersiach, synu, bo sobie wtedy, wyliczając przed Kołodziejską, uświadomiłam, że ja nigdy, nigdy, choćbym się przevaliła, choćbym upadła, takiego pieniądza nie.

A ta kłępa, Kołodziejska, powtarza, że nie poda do sądu.

Nie masz litości dla rodzonej córki, Kołodziejska.

A ona na to, synu, że litość ma, lecz nie może, ponieważ Prezes, obok ciebie, Małomówno, drugi mój dobroczyńca, załatwił Jadźce najlepszy szpital i dzięki temu uratował chociaż kawałek nogi, bo tam, w powiatowym, chcieli ciachać po raz drugi, a w tym nowym nie ciachali, w tym nowym moja Jadźka jak królowa, sam najglówniejszy lekarz zachodzi do niej codziennie i pyta, jak się czuje.

Tak mi powiedziała, synu, i dodała, że on, Prezes, niewinowaty. Powiedziała też, że wiosną wszystko jej kółkowskimi maszynami obrobi w polu na koszt kółka, co za człowiek, Małomówno, sama dobroć, i powiedział, żebym się nie martwiła, ponieważ teraz na świecie robią takie sztuczne nogi, co to od prawdziwej nie odróżnisz, i że on taką nogę dla mojej Jadźki załatwi.

I powiedziała także, synu, że gdyby jego zaskarżyła, to tak samo, Małomówno, jakbym ciebie, za to, że moja Jadźka zamiast twego syna tam wlaźła, na tę przeklętą maszynę.

Zamiast. Słowo, o którym zdążyłam zapomnieć, pojawiło się znowu. Zamiast twego syna. Błuzniercze słowo. Spadło na mnie jak grom, synu. Przydusiło. Co tobie? - zapytała Kołodziejska. Tak nagle pobladłaś. Krzesło, tu krzesło, siadaj, ja ci zaraz wody, popij, lepiej ci już, Małomówno?

Tak, lepiej, dziękuję.

I przez krótką chwilę, synu, gdy Kołodziejska tak troszczyła się o mnie, ufna łania, poczułam do niej taką wdzięczność za to słowo zamiast, że byłam gotowa zrezygnować z ziemi, z krowy, lampy, makatki i ze wszystkiego, bo zamiast.

Ty płaczesz? Ty?

Ale właśnie przez łzy zobaczyłam ciebie, synu; podpierałeś płót Kołodziejskiej, wpatrując się w okna, a tam drogą przechodziły Teodorka z Iwaniuczką i usłyszałam wyraźnie: Drewnianą nogę wystruga, na rękach będzie nosił.

Po coś tam wtedy przyszedł, synu, pod ten płót Kołodziejskiej?

Chyba ty już, Kołodziejska, niedowidzisz, oczy mi łzawią od niewyspania, a nie od płaczu, ja nigdy nie płaczę, Kołodziejska.

Co za głupia chwila słabości, tak sobie pomyślałam, synu. Ziemia Kołodziejskiej i jej krowa, i ta makatka, i ta lampa z abażurem muszą być moje.

Lecz ziemia, synu, którą tak chciałam deptać, przesypywać między palcami, sprawdzając jej pierwszorzędną tłustość, co jak masło, ta ziemia przez tego drania, Prezesa, nagle poczęła mi się wymykać.

Ani sklepu, ani ziemi?

I ty tam pod płótem, z tymi swoimi oczami, które dla mnie dwa topieliska, a dla Kołodziejskiej wszystkie gwiazdy nieba; nie, synu, ja i ciebie po oczach, i ciebie! Nie do wytrzymania oglądać twoje gwiazdy dla Kołodziejskiej, więc powiem ci jeszcze

i teraz, w godzinę śmierci, że to, co zrobiłam później, zrobiłam przez ciebie.

Coraz mi zimniej, synu.

Jadźka ma się lepiej.

Jadźka ma się zupełnie dobrze.

Jadźkę mi przywożą jutro do domu, moja kochana Małomówno!

Co za szczęście, Kołodziejska, co za szczęście. Mam jednak prośbę wielką, nie mów ty nic synowi memu, że to jutro. On jak wariat na punkcie twojej Jadźki, nie będzie spał całą noc, a ty popatrz na niego, jak schudł przez te miesiące, aż szerniał.

Nie powiem, przysięgam, Małomówno. Kiedyś myślałam źle o twoim synu, ale się myliłam, bo dobry z niego chłopak, najlepszy. Wiesz, Małomówno, co on mi wczoraj powiedział?

Powiedział tak: Niech się pani nie martwi o Jadźkę, ja ją ochronię. Ach, ty dzieciaku, powiedziałam mu. A on: Będę ją wynosił na słoneczko, będę zanosił na łąkę, będę dla niej zrywał kwiaty. Ach, ty dzieciaku, dzieciaku! A on powiedział: Jeżeli mi pani zaufa, ożenię się z Jadźką.

Wtedy poczułam, synu, serce moje, oddech śmierci. Lecz umarłam na krótko, bo zaraz by po oczach! po oczach ciebie!

Kołodziejską, Jadźkę i siebie, za to, żem taka ślepa! A ja sądziłam, synu, że obrzydziłam ci skutecznie wszystkie dziewczyny zaślawskie z imienia i z nazwiska, że nigdy żadnej nie zapragniesz, że zawsze będziesz przed telewizorem robił sobie przyjemność, bo chociaż zbudowałam i to piętro dla tej twojej niby-przyszłej i tych jakichś tam bachorów, to to był zwykły pozór, synu, bo nie, synu, ciebie nigdy nikomu, ponieważ jesteś ze mnie, z mego ciała, z mego bólu, z mojej nędzy, z mego nieszczęścia, i tak cię pragnęłam mieć, że zębami pepowinę, że nawet by główką o ścianę, więc nie, synu, nie oddam, nie pozwolę, nigdy. I popatrz,

pamiętałam o wszystkich dziewczuchach, a o tej jednej, jedynej zapomniałam. Może dlatego, że rosła na moich oczach za żywopłotem z mirabelek. Wydawała mi się ciągle dzieciakiem, dopiero na młocarni, kiedy zawołała, że chce być ptakiem la, la, la, i wystrzeliła mocnymi piersiami pod białym trykotem, dopiero wtedy zobaczyłam, że ona nie dzieciak, lecz potem to się z nią zrobiło raz raz i nie było już Jadźki z bezwstydnie obnażonymi nogami, była płaska plama i tyle, tyle krwi, a jeszcze potem ta nowa Jadźka, daleko, w szpitalu, bez nogi, i jak o niej myśleć jako o dziewczynie?

Pojedź, synu, do powiatu. Kup sobie nowy płaszcz na wiosnę.

Pomagałam Kołodziejkiej wynosić Jadźkę z taryfy, bo ona, ta Kołodziejka, całkiem nieprzytomna od swego bezrozumnego szczęścia, a jej Jadźka ciągle taka płaska, poszarzała; nie poznałbyś jej, synu. Nie taką nosiłeś w pamięci. Ułożyłam Jadźkę na łóżku, poprawiłam poduszki, bo ta głupia Kołodziejka do niczego, padła na kolana i płacze z tego bezrozumnego szczęścia, że jej płaska, sinawa i beznoga Jadźka w domu. Pewno chcesz pić, Jadźka? - zapytałam, bo ta głupia Kołodziejka rzuciła się i dawaj całować Jadźkę po rękach, poznaczonych siniakami. Oni cię tam bili w tym szpitalu czy jak? - zapytałam. To od zastrzyków, odpowiedziała szlochając Kołodziejka. Zamiast chlipać, daj jej pić, na pewno jest spragniona po takiej długiej podróży, powiedziałam, a sama stałam i patrzyłam, i myślałam, synu, że mnie zdradziłeś, że wyparłeś się rodzonej matki dla czegoś takiego płaskiego, kalekiego. Pewno chce pani zobaczyć moją nogę, odezwała się po raz pierwszy Jadźka, bo dotąd milczała. Głos miała chropawy. Ależ skąd, wcale nie chcę! - odpowiedziałam jej, synu, chociaż naprawdę bardzo chciałam, aż mnie ciągnęło, żeby z niej

kołdrę zerwać. Pani kłamie. Wszyscy chcą zobaczyć moją uciętą nogę. Poznaję to chcenie po waszych oczach. I Jadźka szybko odrzuciła kołdrę, zadarła koszulę. Kikut nie był piękny, o nie. Za to oczy Jadźki bardzo mi się spodobały. Powinny patrzeć z pokorą, bo co im poza pokorą wobec życia pozostało, lecz w oczach Jadźki, synu, próżno pokory szukać. To były dwie ołowiane kulki, ciężkie i ostre, i to mnie bardzo ucieszyło. Twoja nienawiść, Jadźka, może mi się przydać. Więc powiedziałam: Zasłoń swój kikut i lepiej się przyczesz, ponieważ mój syn, który chce się z tobą żenić, pojechał do powiatu po płaszcz ślubny i gdy tylko wróci, zaraz do ciebie przyleci. On chce cię na słoneczko wynosić, na zieloną trawkę, bukiety z kwiatów dla ciebie układać. Małomówno! krzyknęła Kołodziejska, a Jadźka oddychała teraz ciężko, z charkotem. Ołowiane kulki strzelały. Nie chcesz, żeby cię wynosił na trawkę, Jadźka? Nie podoba ci się mój syn? To taki piękny chłopak. Małomówno! - krzyknęła znowu ta stara kłępa. A co? - zapytałam - powiedziałam coś złego? O, dobry Boże, Małomówno, co cię napadło? Ty przecież dobra, najlepsza. Małomówno, co ci?

Bardzo ładny płaszcz kupiłeś, synu, serce moje. Jaśniutki, w sam raz na wesele.

Co matka plecie?

Mówię, co widzę. I czemu by, ja nie przeciwna. Dobra dziewczyna, z porządnej gospodarki, ta twoja ukochana Jadźka.

Oddechu nagle nie mógł złapać.

No, synu, no. Tylko spokojnie. Na razie siadaj, obiad gotowy, a ty zgłodniały.

Podalam ci obiad, synu, a usmażyłam to, co najbardziej lubisz, schabowy z kostką, w bułeczce, w jajeczku. Jakieś święto? - zapytałeś. Byłeś radosny. Byłeś rozjaśniony. Otrzymałeś nadzieję

i stawałeś się ptakiem la, la, la. Tak, tak, synu; wybrałeś odpowiedni płaszcz, ładnie ci w nim, narzuconym na równie jasny garnitur. A czy święto? A i owszem, synu. Dziś twoja Jadźka wróciła ze szpitala.

Znieruchomiał. Zastygł. Poderwał się, przebiegł kilka kroków. Stanął. Oparł się o kredens. Z oczami, w których wszystkie gwiazdy i wszystkie słońca.

Bardzo zbrzydła, powiedziałam, nalewając twój ulubiony kompot czereśniowy. Wypij, zdążysz do niej. Co to ja gadałam? Aha, bardzo zbrzydła, ale to głupstwo, może wyładnieje. Na razie skóra na niej żółta, obwisła, łuszcząca się, a ta jej noga, synu, to ucięta ponad kolanem, a tam wyżej sterczy taki kikut, kość obciągnięta czymś sinawym, na samym końcu zaróżowionym i błyszczącym, jakby pokrytym gnilnym mięsem. Patrzysz i masz wrażenie, że zaraz posypią się ze środka białe robaki. No wiesz, takie, jakie na gnilnym mięsie się roją.

Ledwo zdążył do łazienki.

Długo się męczył.

I co ci mogło tak niespodziewanie zaszkodzić, synu? Może pestkę od czereśni połknąłeś? Bo schabik świeżutki; aj, aj, synu, jak ty wyglądasz, a doprowadź się czym prędzej do porządku, bo Jadźka na ciebie czeka, obiecałam jej, że gdy tylko wrócisz i zjesz obiad, to przylecisz. Ojej, synu, czyżby cię na nowo brało? Ano, nie przejmuj się tak, przecież ta kość się wygoi, a Jadźka bardzo się ucieszyła, kiedy powiedziałam, że przyjdiesz. Zaraz kazała sobie podać lusterko, grzebyczek, czesała się i czesała, tyle że jej od leków włosy prawie całe wypelzły i nagą skórę pomiędzy nimi na głowie widać; nawet powiedziałam twojej ukochanej Jadźce, coby się nie martwiła, bo zanim odrosną, perukę może kupić. Boże, synu! Czemuż się tak pocisz? Chyba naprawdę coś ci zaszkodziło.

Chyba tak, odpowiedział.

Chyba musisz się położyć, synu.

Chyba muszę, odpowiedział.

No, to Jadżkę miałam z głowy.

Kołodziejska przychodzi, a ty, synu, myk, myk i już cię nie ma, chowasz się czym prędzej w swoim pokoju.

Co mu jest? - zapytała Kołodziejska.

Jemu? A co ma być? Może przez okno podpatrzył, jak ty Jadżkę myjesz? Czy ja zresztą wiem? Bo widzisz, Kołodziejska, dopóki Jadżka była daleko, w szpitalu, a on ją miał w pamięci taką śliczną, jasnowłosą, a potem taką sponiewieraną, potrzebującą pomocy, to sobie wyobraził, że będzie ją na słoneczko wynosił, bukiety dla niej układał, no; a jeśli teraz zobaczył, jak ona wygląda i że tamtej ślicznej jasnowłosej już nie ma? Co by tu powiedzieć, Kołodziejska? Może jeszcze tyle, że czasem człowiek chce być dobry i wydaje mu się, że nawet i w ogień, a potem nagle spostrzega, że to nie było wcale tak, że to tylko litość; a w ogóle to przecież jeszcze dzieciak, Kołodziejska, musi sam wszystko przetrwać, uporać się ze samym sobą, żeby wiedzieć na pewno, czego chce, a czego nie.

No niby tak, odpowiedziała Kołodziejska. Postąła, postąła, otarła łzę i poszła, głupia kłępa, której wydało się, że ty, synu, serce moje, że ja ciebie oddam razem z całym majątkiem komuś, kto przez całe życie będzie skikał na drewnianej nodze.

Czasu mam teraz dużo, synu, kiedy sklep odpadł. Wysypiam się jak nigdy. Śpię po cztery, nawet i pięć godzin. W sklepie stała siostra Witoska. Bardzo dobrze. Najlepiej, jak może być. Chociaż teraz gadają, że Prezes nie da Anusi Witoskowi ani na Wielkanoc, ani nigdy.

Ale Witoska z kółka nie wywalił.

A, co to mnie obchodzi.

Ludzie to są cholerne świnie, synu. Jak tylko w sklepie stanęła siostra Witoska, przyszła do mnie Iwaniuczka. Powiedziała: Żebyś potem nie miała pretensji, Małomówno, to przyszłam cię uprzedzić, że w tym roku nie licz na mnie na wiosnę, nie przyjdę z dziewczynami do pielienia twoich buraków. Po Iwaniuczce przylazła Krysiakowa. Choćbyś podwoiła stawkę, Małomówno, nikt ode mnie w tym roku ani nigdy do roboty nie przyjdzie. Kłusakowa nie mówiła, że nie przyjdzie; zapytała słodziutkim głosem: Ciekawe, jak w tym roku poradzisz sobie, Małomówno, skoro do ciebie nikt na pole nie przyjdzie?

Zmówiły się, kłepy jedne, i pewno myślały, że zaczną je prosić, błagać albo zapytam, dlaczego, a ja im za każdym razem odpowiadałam: Nie to nie, nikt nikomu łaski nie robi, musu też nie ma. Iwaniuczka, słysząc moją odpowiedź, poczerwieniała, poprzebierała nogami w progu niepewnie: wyjść czy jeszcze coś chlapanąć ozorem, lecz ja, synu, powiedziałam prędko do niej tak: Nim wyjdiesz, w sieni znajdziesz ścierkę do podłogi i bądź łaskawa wytrzeć po sobie to gównno, którego mi naniosaś. O mało jej szlag nie trafił, synu. Krysiakowa natomiast roześmiała się i powiedziała: Nie udawaj, Małomówno, że ci nie zależy, bo choćbyś pękła, sama hektarów nie obrobisz, za dużo się nachapałaś, teraz my będziemy przyglądać się, jak nimi rzygasz. Rzygam to ja głównie, wówczas odpowiedziałam, gdy ty albo Teodorka staniecie blisko mnie, bo moje świnie czystsze od was. Krysiakowa jakby sparło: Do końca życia zapamiętam ci te słowa, Małomówno, wycharczała. A Kłusakowa dodała ze złością: Inaczej zaśpiewasz, kiedy ci sianko szernieje na łące. Wszystko możliwe, odpowiedziałam, na razie ty zaśpiewasz niedługo kołysankę bękartowi, bo jakoś twoja Cześka mocno pogrubiała w pasie i nie wiadomo z kim. Pod wieczór przyszła Romanka. Nie powinnaś tak, Małomówno, z ludźmi. Czasem z nimi źle, to fakt, ale bez nich

jeszcze gorzej. Byłam jednak taka rozwścieczona, synu, że powiedziałam: Ty się do ludzi zaliczasz? Bo ja myślałam, że do jałowizny.

Niedobrze by się stało, żeby przez ciebie, synu, Kołodziejska odwróciła się ode mnie. Muszę czuwać, muszę wiedzieć, co i jak, gdyż ta ziemia pierwszorzędna jakby się oddalała ode mnie z powodu tego drania, Prezesa, który naobiecował Kołodziejskiej maszyn do wszystkiego; a ja, synu, już o niczym innym, tylko żeby więcej i więcej i żeby te klepy głupie, które się na mnie zmówiły, przyszły w pokorze, liżąc moje klamki; dlatego napiekłam dla Jadźki kruchych ciasteczek i zaniiosłam, a Kołodziejska od razu chlipie. Boże mój, co za baba, łzy na poczekaniu: Moja dobra, moja kochana Małomówno.

Lecz oczy Jadźki kulki ołowiane.

Bardzo dobrze, Jadźka, świetnie, nienawidź wszystkich, co chodzą na dwóch nogach.

Co się z nią wyprawia! - płacze Kołodziejska - ktokolwiek w drzwi, ona natychmiast woła: Patrzcie, no patrzcie, pokażę wam swój kikut! i na mnie też tak patrzy, jakby i mnie znieść nie mogła.

A twój dobroczyńca, twój Prezes ukochany, który ci tyle naobiecował, zachodził? Nie zachodził? No, no. A ja sądziłam, że on najpierwszy, bo taki nawiedzony w czynieniu dobra, a on nawet nie zajrzał?

Prezes poszedł do Kołodziejskiej, synu, kiedy się dowiedział, że Jadźka zaciachała się nożem po żyle.

Wszedł i od razu ją zobaczył, ponieważ Kołodziejska od tego czasu, gdy Jadźka się zaciachała, ale bojąco i tchórzliwie, płyciutko, przeniosła ją z pokoju do kuchni, żeby mieć na nią stale oko. Prezes wszedł, krople potu na krwawych bliznach, i Kołodziejska myślała, że on zemdleje; on, silny jak byk; toteż czym

prędej podsunęła mu zydel. Usiadł. Wszystko, powiedział, wszystko, co wam potrzeba, i głos mu się załamał. Świnię, krowę, powiedział, poderwał się, usiadł znowu. I ty popatrz, Małomówno, on całkiem jak ja osiwił, a przecież jego nie dotknęło żadne nieszczęście, powiedziała do mnie, synu, Kołodziejska. Ale ja znałam prawdę i wiedziałam, z jakiego powodu ten drań osiwił. Chyba się nie rozpłaczesz nad nim, Kołodziejska, nad tym sukinsynem, przez którego twoja Jadźka straciła nogę? A ta głupia, synu, siąknęła nosem: Czy to jego wina, że w tej desce była wada? Tak się przed tobą ten drań usprawiedliwiał, Kołodziejska? I ty mu uwierzyłaś? Wszyscy tak gadają, odpowiedziała, a on w niczym się nie usprawiedliwiał. Siedział na zydlu, zaciskał ręce, aż mu stawy trzaskały, powtarzał: Wszystko, co potrzeba, krowę, świnię, na początek zaś chociaż tyle. I podał kopertę.

Ogromnie żałuję, że mnie przy tym nie było, synu. Zamykam oczy i staram się to wyobrazić, od samego początku. Jak wchodzi i od razu natyka się na leżącą Jadźkę z tym rzucającym się w oczy pustym miejscem, takim płaskim, że aż wklęsłym, obok wypukłości, która jest nogą; długą, kiedyś mocno opaloną i bezwstydną, teraz od długiego leżenia ścieniałą na patyk, pozbawioną mięśni. Oczy Jadźki kulki ołowiane. Mama da, przeliczę, odezwała się Jadźka, i staram się usłyszeć jej głos. Jaki był? Obojętny czy z żarem nienawiści? Lecz to wszystko, co stało się później, widzę wyraźnie, jakbym tam była. Więc widzę, jak Kołodziejska podchodzi do łóżka, podaje kopertę, i te suchutkie palce Jadźki widzę, zaciskające się na kopercie, jakby ją zamierzały udusić lub porwać na strzępy; ale nie, poruszają się wolno, urągliwie wolno, wyjmują banknot za banknotem, układają w równą kupkę, aby ją zaraz rozrzucić i zagarnąć od nowa, wreszcie przeliczają skrupulatnie, raz i drugi, aby upewnić się, że jest tyle, ani

więcej, ani mniej; a przez cały czas oczy Jadźki wbite w niego, w tego drania. Dziesięć tysięcy, chropawy, urągliwy głos Jadźki, to znaczy, że tyle jest warta moja urżnięta noga, panie Prezesie? A ta głupia Kołodziejska w krzyk: Jadźka, dziecko moje! Bo ta głupia Kołodziejska, synu, ciągle chciała wierzyć, że te dziesięć tysięcy, to trzeszczenie stawów w wyłamywanych palcach i te obietnice, że wszystko dla was, wynikają z dobrego serca. Niech mama mu pieniądze odda i powie, że jeżeli chce płacić za moją nogę, to niech płaci, ale więcej! I widzę dwie ołowiane kulki, synu, wbite w tego drania, i jego samego widzę, czuję słony, gorzki pot, którym się pocił, jakże inny od tego, którego kropelka spadła kiedyś na moje wargi, gdy powiedział: Kocham żonę, Katarzyno, kocham żonę; i był to też zupełnie inny pot od tego, który miał na swoich ustach, a który wypełnił i moje usta, zanim mnie odepchnął i powiedział, że wszystkie jesteśmy jednakowe kurwy. Ten pot, jakim się zaczął pocić od momentu, kiedy Jadźka powiedziała, że ma płacić więcej, był potem łajdackim. Ile, zapytał. A jednak zapytał. Więc to nieprawda, co mi niedawno powiedział, że się w nim wszystko wypaliło i pozostał mu jedynie sam smutek, bo jest, jak jest, i niczego nie da się zmienić. Nieprawda. On ją ciągle kochał, tę swoją oszalałą na stare lata z miłości do Witoska rudą myszę. Omyliłam się, synu. On nie siebie zamierzał osłaniać przed ludzkim szyderstwem, ale ją, bo wciąż: Kocham żonę, Katarzyno, kocham żonę.

Nie do wytrzymania, synu, ten ból, nie do udźwignięcia, że ciągle i wciąż, że zawsze i wszędzie ją i tylko ją! a dla mnie: Jesteście wszystkie jednakowe kurwy; i nigdy, synu, mnie, nigdy, ani razu, nawet przez ten płot, prawdziwie, chociaż: Jakie ty masz włosy, Katarzyno, twoje włosy burza miedziana, i wtedy ich

pragnął, lecz może mi się tylko tak zdało? Ale teraz mam cię, draniu, trzymam mocno i nie popuszczę, ponieważ zapytałeś ile i pocieś się potem łajdaku, Jadźka zaś krzyknęła: Dwa razy więcej! pięć! dziesięć! i usiadła, i poczęła walić pięściami złożonymi z suchych kosteczek po tym miejscu, w którym powinna leżeć noga. Jadźka, Jadźka, opamiętaj się, dziecko, co tobie, zawodziła Kołodziejska, a Jadźka krzyczała: A co? Nie należy mi się? To niechaj i on popatrzy, niechaj się przyjrzy!

I zadarła koszulę, i on wtedy zobaczył to, co nad tym długim, pustym miejscem było takie krótkie i takie sine. Mój Boże! - zawołał. Schwycił się za głowę. Uciekł.

Jeżeli krzyknął mój Boże, znaczy, że zapłaci, i to dużo zapłaci, powiedziałam tej głupiej Kołodziejskiej, która dygotała: Co się wyprawia z moją Jadźką, Jezus Maryja. Tylko go przyduś, drania, i nie wypuść, Kołodziejska. Ale z nią, powtarzającą bełkotliwie, co z moją Jadźką, nie było sensu rozmawiać. Należało pogadać z kim innym.

Powiedziałam Kołodziejskiej, synu, że może spokojnie jechać do powiatu po cielęcinkę dla swojej Jadźki, już ja się Jadźką zajmę, posiedzę przy niej, przypilnuję, żeby jakiej głupoty sobie nie zrobiła. Tak, tak, Kołodziejska, rosołek z cielęcinki ją wzmocni, jedź koniecznie i nie martw się o nic.

Czego tu? Nie musicie mnie pilnować, głupie; więcej tego nie zrobię, nawet do tego nie jestem zdolna, ani mi żyć, ani się zabić.

I płacze. O, cholera jedna, synu, Jadźka płacząca? O nie, taka rozmazana na nic mi się nie przyda.

Przede mną lez nie lej, Jadźka. Sama sobie jesteś winna. Po co się pchałaś na maszynę?

O, to, to! Tak z nią trzeba! Niepotrzebny mi zapłakany błękit jej oczu, mnie potrzebny twardy ołów.

Powinna pani po rękach mnie całować, że to moja noga zamiast tego tłuszciocha, tego półidioty, pani syna!

Znów to zamiast, lecz ja się na nie uodporniłam, synu, i mówię ci całą prawdę, tak ona powiedziała o tobie, i ja, synu, mogłam ci te słowa powtórzyć, a przecież nie zrobiłam tego ani wtedy, ani nigdy, ani nawet kiedy powiedziałeś: Najbardziej ciebie nienawidzę, matka; ani nawet wtedy, kiedy odwróciłeś się i zaczęłeś odchodzić, a ja przecież wiedziałam, że odchodzisz na zawsze. Zatrzymałam te złe słowa dla siebie, synu, żebyś obok tej nienawiści do mnie mógł zabrać ze sobą również i czysty błękit oczu swojej Jadźki.

Czemu pani tak na mnie patrzy? Niech się pani wynosi! - krzyknęła.

Taką cię wolę, Jadźka, powiedziałam do niej. Wzięłam zydela, przystawiłam obok łóżka, usiadłam. Nienawidzisz wszystkich dokoła, co? Pochyliłam się nad leżącą. Mimo wstrętu dotknęłam tego pustego miejsca po nodze.

Jadźka wystraszyła się. Czego pani chce? Czego?

Tego samego co i ty, Jadźka. Tylko najpierw ci powiem, że i owszem, można nienawidzić wszystkich dokoła, ale wiedz, że na wszystkich sił nie starczy, żeby ich z tą swoją nienawiścią dopaść. Choćby cię nienawiść rozsadzała, to i tak nie podolasz, gdyż ją musisz rozmieniać na mniejsze nienawiści, a takie małe nienawiści to jak pchły, po których ugryzieniu tylko swędzi. Rozumiesz mnie, Jadźka?

Ona przykurczyła się na poduszkach, synu; oddychała ciężko.

Ale ja ci wskażę, Jadźka, kogo masz wybrać. Czy pomyślałaś, dlaczego on zapytał ile? Może ci się wydaje, że z dobrego serca? Coś ci powiem, Jadźka. Pośród bezmiernego cierpienia człowiek jest całkiem sam, i ty o tym już wiesz, prawda? Znasz tę przekłątą samotność: wokoło ciebie pełno ludzi, biegają, rozmawiają,

uśmiechają się, jedzą, piją, całują się, a ty patrzysz na nich i myślisz: Jakże to tak? Tylu ich wokół mnie, jedzą, śmieją się, rozmawiają, że ładna pogoda albo deszcz, a ja umieram, ginę, mnie rozrywa ból i nikt, nikt mi tego bólu nie ujmie? Z nikim go nie podzielę? O tak! ty to znasz doskonale, Jadźka; więc widzisz, że o wiele lepiej cię rozumiem od twojej stale jęczącej matki. A skoro on zapytał ile, to znaczy, że chce ci płacić. Lecz ty nie wiesz, dlaczego chce ci płacić. Teraz zadaj sobie pytanie: dlaczego chce mi płacić? Nie wiesz? To ci powiem: ponieważ on swymi pieniędzmi chce ci zatkać gębę, Jadźka. Żebyś siedziała cicho niczym mysz pod miotłą. Jemu twoje milczenie jest teraz potrzebne jak powietrze. I za milczenie twoje chce zapłacić, nie za nogę. Bo teraz tylko ty i jedynie ty możesz dogrzebać się do tej młocarni, która była całkiem nowa, w której deska pod nikim nie miała prawa się zarwać, chyba że ktoś ją naumyślnie podpłował. Przecież to ani ty miałaś podawać, ani mój syn, ale Jackowiak, zapomniałaś?

Ona słuchała mnie i dyszała, synu. Pot ściekał po jej twarzy. Oczy wyłaziły z orbit. Otworzyła usta jak do krzyku, ale nie krzyczała.

Podpłowana deska, Jadźka. Zastanów się nad tą deską. Myśl o niej bezustannie. A jeśli zapytasz mnie, dlaczego ktoś miałby podpłować deskę, odpowiem ci: też z nienawiści. Lecz ta cudza, obca nienawiść niechaj cię nie obchodzi. Ty masz swoją własną. Urodziłaś ją w kałuży krwi i nigdy już, Jadźka, nie będziesz ptakiem la, la, la. Nigdy, bo nawet jak kupisz sobie nogę, to ta noga będzie sztywna i będzie skrzypiała, tylko skikać na niej, Jadźka, a nie ulatywać pod niebo la, la, la. Więc nie zajmuj swojej głowy tym, kto tę deskę uszkodził. Zajmij się tym, który chce go ocalić. Kto gotów jest ci za milczenie zapłacić dużo, dużo pieniędzy.

Pochyliłam się nad nią tak nisko, synu, że miałam jej usta otwarte jak do krzyku tuż pod moimi. Powiedziałam: A teraz powinnaś zapytać mnie, to co mam robić, pani Małomówno?

I ona tak zapytała. To co mam robić, pani Małomówno?

A ja powiedziałam jej: Niewiele. Musisz powiedzieć mu, gdy ci przyniesie pieniądze, bez względu na to, ile ci przyniesie, że to mało. Powiedzieć, że jeszcze do wszystkiego dogrzebać się można, i do tej podpiłowanej deski także. Powiedzieć, że za nogę by tyle wystarczyło, ale za milczenie to jest stanowczo za mało. Za milczenie należy płacić więcej. Bardzo dużo. Tak masz mu powiedzieć, Jadźka. Niczego nie ryzykując. Bo te pieniądze, jakie ci przyniesie, po przeliczeniu schowaj pod poduszkę, on nie ośmieli się ich stamtąd zabrać. On się ciebie boi. On zapłaci ci tyle, ile zażadasz. Gdy będziesz miała dużo pieniędzy, nie tylko kupisz sobie drewnianą nogę, ale również i męża.

Nienawidzę pani, wydyszała.

I bardzo dobrze, Jadźka. Ja wcale nie oczekuję od ciebie kochania.

Zdażyłam na czas ze swoimi naukami, ponieważ ta głupia Kołodziejska, zamiast do powiatu, pojechała do Przysuchej i tam kupiła nie kilo cielęciny, lecz pół cielaka; i po co jej tyle mięsa? Zmarnuje je, ale to nie moja sprawa.

Jadźka powiedziała Prezesowi wszystko, co jej kazałam. Nawet jeszcze więcej, taka pojętna z niej uczennica. Śmiała mu się w twarz. Żałuję, że nie słyszałam jej śmiechu, synu; to dopiero musiał być śmiech! Mam coś na pana, śmiała się, i będzie mi pan płacił, śmiała się, dużo, bardzo dużo! A ta głupia Kołodziejska wyobraziła sobie, że Jadźce nagle pomieszało się w głowie, i zawołała: Jadźka, ty się uspokój, co ty wygadujesz? Kochany Prezesie, nie zważaj na jej słowa! A wtedy on, synu, popatrzył na

Jadźkę, popatrzył na Kołodziejską z takim wstrętem, jakby nie ludzi miał przed sobą, ale jakieś robactwo. Nie powiedział ani jednego słowa. Wyszedł. Pewno pomyślał, że obie się zmówiły, matka z córką, aby więcej od niego pieniędzy wyłudzić.

A później już niczego nie można było zmienić. Buchnęło niczym pożar.

Pamiętasz, synu, jak cztery lata temu stary Grzyb spalił las nad Zakolem? Lato było rozjarzone upałem, a jego suka wyła pod rozpalonym niebem i każdy w Zasławiu wiedział, że stary Grzyb zabiera od niej szczeniaki. Czemu on zawsze trzymał suki, nigdy psa, nie wiadomo. Czyżby mu to wycie suki sprawiało przyjemność i topienie szceniąt też? Powiedziałeś wówczas, synu: Ja tego po prostu nie mogę słuchać! A mnie się nagle przypomniał tamten mokry piesek z przerażeniem w oczkach jak paciorki i pomyślałam, że należało ci go zostawić, a nie topić; ale dlaczego tak pomyślałam, nie wiem, synu. Nad Zakole kawał drogi, gorąco; nikt nie potrafił policzyć lat starego Grzyba, a i jemu samemu dawno już pomylił się rachunek. Odkąd go pamiętam, pamiętam zawsze jednakowo, z tym garbem starości, siwymi kudłami i siecią tak niezliczonych zmarszczek na twarzy, że wśród nich nie odróżnisz ust, ponieważ i usta pomarszczyły się, przybierając kolor popiołu. Stary Grzyb zmęczył się drogą w upale i tym topieniem szczeniaków rozpiszczonych i szamocących się; zresztą, nikt nie wie, jak było, i nikt się nie dowie, gdyż od Zakola zatoczyły się pod niebo siwe kłęby dymu, które najpierw wyglądały tak, jakby nadciągała burza, lecz to las się palił i wielki ogień dostrześliśmy tak nagle, jakby zwałił się z nieba piorunem. Jezusie Nazareński! Las się pali! I pobiegliśmy z siekierami, szpadlami, bosakami, aż przed nami wyrosła ściana rozwścieczonego ognia, i dalej ani kroku, i widzieliśmy, jak ogień przeskakuje z

jednej sosny na drugą, jak pożera stuletnie dęby, świerki, brzozy. Płakaliśmy. Pamiętasz ten straszny pożar, synu? Cały tydzień nasz wysoki starodrzew płonął wokół Zakola, aż jezioro poczerwieniało; a potem jeszcze długo, długo czarny dym snuł się pośród osmalonych kikutów drzew. Jedne z nich sterczały, jakby nie chcąc się poddać, inne leżały poskręcane w śmiertelnej agonii, i tylko stary Grzyb spokojny, z przykurczonymi nogami; widać bardzo się zmęczył i zasnął głęboko, aby się więcej nie obudzić.

Zawsze ómił skręty. Zapalił, odrzucił zapalną; starczyła jedna iskra niezamierzona.

Moja była zamierzona, lecz nie przypuszczałam, że aż tak rozgorzeje.

Bo ja aż tak nie chciałam, synu. Aż tak nie.

Czy ja zresztą teraz wiem, czego chciałam?

Przyjechali niespodziewanie. Nawet i dla mnie, synu, bo już sądziłam, że mój donos wyrzucili do kosza. To były dwie długie, czarne, lśniące taksówki od samych Władz Najwyższych. Znaliśmy podobne taksówki, synu; równie czarne i równie lśniące, które zjechały do naszej wsi dawno temu, kiedy Kubiak, jeszcze nie Prezes, napisał swój pierwszy list do tego, jak mu tam, aha, Bieruta.

Bo podobno znowu nastały nowe czasy, i ci, którzy przyjeżdżali do krowy rekordzistki, krowy wydarzenia, i ściskali rękę małorolnemu Kubiakowi T., dawno musieli oddać swoje taksówki tym następnym, którym małorolny Kubiak T, do niczego nie był potrzebny, ponieważ ci następnicy nie byli zainteresowani małorolnymi i w żadnej gazecie więcej ani słowa o reakcjonistach kułakach i oświecanych ideologicznie małorolnych; więc ci następnicy przyjeżdżali nie do Kubiaka T., lecz do Towarzysza

Prezesa Kubiaka T., który ich oprowadzał po najnowocześniejszych w województwie halach i warsztatach najnowocześniejszego Kółka Rolniczego, Ośrodka Postępu Rolniczego i Mechanizacji. Lecz i ci nie okazali się wieczni, musieli swoje taksówki oddać kolejnym, którzy wcale nie mieli zamiaru ścisnąć rąk Towarzysza Prezesa ani zachwycać się mechanizacją oraz postępem, ponieważ dopiero te nowe czasy, jakie nastąpiły między tym, gdy młocarnia obcięła nogę Jadźce, a zamrażaniem Jackowiaka, mają być naprawdę czasami lepszymi i sprawiedliwymi, a w nich dla takich jak Prezes miejsca nie ma. Nowe czasy zniosły kontyngenty i nawet za darmo dają rolnikowi lekarza, ale ani ja, synu, ani nikt inny nie miał głowy, żeby zajmować się tymi cudownymi czasami. Zresztą, co to za różnica: nowe czy stare czasy, dla nas one zawsze takie same, w pracy, w harówce, lecz gdybym napisała w donosie tylko o tej urzędnicy nodze Jadźki i podpiłowanej desce, to oni wcale by nie przyjechali swoimi czarnymi taksówkami, gdyż oni wcale nie poszli do Jadźki, lecz powalili prosto do Antka i zapytali, czy to prawda, że Prezes, obywatel Kubiak, powiedział: Zarząd to ja, spierdalaj. Antek powiedział, że prawda, więc oni od Antka pojechali do kółka, i Staśka opowiadała, że zapytali od razu, pokazując na ścianę w gabinecie Prezesa, czemu tu ciągle wiszą tamci poprzedni, a nie ci nowi, którzy powinni już wisieć od trzech miesięcy w ramkach za szkłem, bo nowe czasy trzy miesiące trwają, zaczęły się w grudniu zeszłego roku. Prezes podobno prychnął i powiedział, że co to za różnica, kto tu na ścianie wisi, i tak jedno gówno. I to był koniec Prezesa, od razu postanowili zrobić z Witoska prezesa, ponieważ okazało się, że on w tym swoim pokoju bez dywanu i bez palmy na ścianie miał powieszonych tych, co trzeba. Wówczas do kółka przyznał Lewicki i powiedział, że Witosek to kanalia i

powinien siedzieć w pierdłu za to, co zrobił z młocarnią. I wtedy, opowiadała Staśka, oni sobie przypomnieli, że w donosie rzeczywiście coś było o młocarni, ale nie młocarnia ani urznięta noga Jadźki były podkreślone czerwonym długopisem, tylko to o Antku, któremu Prezes powiedział: Zarząd to ja, spierdalaj; toteż byli niezdecydowani, czy zajmować się dodatkowo tym niepodkreślonym. Na to wystąpił Witosek. Powiedział, że owszem, młocarnia to kryminał, ale dla Prezesa, ponieważ Prezes jako prezes odpowiada za wszystkie maszyny, to raz; a dwa, to po wypadku, zamiast natychmiast sprowadzić milicję, zamknął młocarnię w swojej prywatnej stodole, i po trzecie, dotąd nie wystawił za tamtą młockę faktury, czyli że państwowy sprzęt traktował jako swój własny, i po czwarte, od odpowiedzialności zasłonił się jakimś Jackowiakiem, zwykłym stróżem, zatrudnionym w kółku z litości. Więc oni zainteresowali się z kolei Jackowiakiem i chcieli z nim rozmawiać, na co Witosek oznajmił, że niestety nie mogą, ponieważ Prezes Kubiak niejakiego Jackowiaka wyrzucił na zbity pysk i tenże niejaki Jackowiak zamarzył z głodu i mrozu. Lewicki nie wytrzymał i dał w mordę Witoskowi, Witosek zaś, trzymając się za policzek, wskazał na Lewickiego i powiedział, że tenże tu obecny obywatel Lewicki był zawsze prawą ręką Prezesa Kubiaka, z kółka zaś odszedł wyłącznie ze strachu, bo tak nakradł, że go już dłużej nawet i Prezes Kubiak nie godził się osłaniać.

POWAŻNE NADUŻYCIA FINANSOWE I GOSPODAR-CZE W KÓŁKU ROLNICZYM W ZASŁAWIU.

Prokurator wdraża śledztwo.

Zabrali Prezesa.

Zabrali Lewickiego.

Witoskowi kazali być prezesem.

Witosek natychmiast przeprowadził się do gabinetu Prezesa i kazał Staśce zrobić nowy napis na drzwiach: PREZES KÓŁKA, inż. PAWEŁ WITOSEK. Staśka roześmiała mu się w nos: Z ciebie taki inżynier, jak ze mnie księżniczka perska. Spakowała do torebki długopis i poszła. I wszyscy za Staśką poszli. W kółku nie został nikt, poza jednym Witoskiem.

Witosek zadzwonił do władz, że ma strajk.

Dziwne to życie, prawda, synu? Jeszcze na jesieni, w październiku, gdy młocarnia urzęnęła nogę Jadźki, krzyczeli, że na tej urzęniętej nodze ten drań nareszcie się przejedzie, że mu na pohybel, i gdyby go wtenczas zabrano, z radości piliby przez trzy dni, Witoska by nosili na ramionach, podrzucali w górę i wrzeszczeli niech żyje, hurra, niech żyje, dlaczego więc teraz, gdy im się spełniło, bo Prezes w pierdłu, nie cieszą się?

I popatrz, synu: Witoskowi wybito szyby w oknach; i tak, jak kiedyś pisali donosy na Prezesa, tak teraz piszą o nim listy pochwalne, podpisywane przez wszystkich poza Goździckimi i Witoskami, a w tych listach domagają się sprawiedliwości; skrzykują się w delegacje, jeżdżą aż do województwa, za swoje pieniądze, bo nagle dostrzegają to, czego całymi latami nie zauważali, że asfalt, że zlewnia, że sklep, że kółko, które dawało stałą pracę i stały dochód, że Prezes narażał się, bił pięścią w stół prezydialny wprost przed nosami tych pierwszych i tych drugich, i tych wszystkich ważnych, że Romankę od pierdła wybronił, za Nosiorkową oddawał kontyngenty, że gdyby nie on, dalej byłby tu koniec świata zabity deskami, i Grzyb nie postawiłby nowej obory, i Krysiak chlewu, i Klusak domu, że w ogóle prawie wszyscy budują się dzięki niemu i że choć on jednak może i drań, to taki Witosek dopiero drań nad dranie, skurwysyn nad skurwysyny, więc w końcu wzięli się za drągi i poszli wybijać skurwysyństwo Witoskowi z głowy, który gdyby nie Prezes, do końca życia

chodzilby w gumiakach i krowom zaglądał pod ogony. Witoska nie zastali. Zdążył uciec motorem. Poszarпали trochę starego Witoska, pogrozili starej, rozbili kilka glinianych garnków. I poszli do kółka pilnować, żeby nic nie zginęło. Wystawiali warty na zmianę. Żeby żadna kanalia w rodzaju Witoska czy Goździckich nie poniszczyła dla zemsty maszyn.

Co za dziwni ludzie, synu. Pilnują teraz dobytku, który sami do niedawna wprost niemożliwie rozkradali.

Co za dziwni ludzie, synu. Zamiast dopuścić, aby krowom Prezesa wymiona od mleka niedojonego popękały, ustalają dyżury, kto i kiedy będzie oporządzał jego bydło.

Co za dziwni ludzie, synu; teraz nawet Antek Grzyb woła, że Prezes go słusznie wypieprzył z roboty, bo fakt, że przynajmniej dwa razy w tygodniu przychodził do roboty napity.

Dziwni ludzie.

Zjechali przedstawiciele tych nowych władz; pamiętasz ich, synu? Bardzo ważni i bardzo nadęci. Powiedzieli, że nie ma już powiatu, a oni są przedstawicielami władz gminy. Dużo gadali o tych nowych wspaniałych czasach, co to nadeszły. Wybierzcie prezesa, powiedzieli też, my go wam nie narzucamy, my chcemy demokratycznie. To wszyscy krzyczą, że chcą Kubiaka, a każdego innego, który by ośmielił się w Zasławiu mianować prezesem, wywiozą na taczkach. Wówczas przedstawiciele rozwścieczyli się i zawołali, że koniec z wiecowaniem, a jeśli komu nie podoba się nowa władza, to jest wróg i należy go zniszczyć. Strajki wszędzie się skończyły, wszędzie panuje ład i porządek, nawet na Wybrzeżu, tylko u was wrogowie demokracji podnoszą głowy, a z wrogami nikt cackać się nie będzie, toteż kto od jutra nie przyjdzie do pracy w kółku, może więcej nie przychodzić, prezesem kółka zaś zostanie towarzysz Witosek, zasłużony działacz partyjny.

O cholera! Patrzcie go, nawet zasłużony! Gównno, choć zasłużony! Nikt do roboty nie poszedł. Zgłosili się za to dwaj nowi: Piotrek i Kazik Goździckich, ale oni nie pokończyli żadnych kursów, nie umieli jeździć ciągnikami.

W dwa tygodnie później kółko przestało istnieć. Przyjechali ciężarówkami, zabrali palmy, dywany, meble; wywieźli maszyny, wszystko, do ostatniej śrubki. Zostały puste baraki, hale, warsztaty. A tu spóźniona wiosna, pamiętasz tę wiosnę, synu? Kiedy wreszcie wybuchła gwałtownie, i trzeba orać, siać, sadzić, a tu kółka nie ma! Maszyn nie ma! I koni też nie ma!

Rzucili się wszyscy konie kupować, i wszędzie dokoła, w Przysucej, w Lipkach żądają za byle konia trzy razy tyle, cztery razy tyle co się należy, więc żeby tak, Boże dobry, dopaść tego skurwysyna nad skurwysyny i łbem go o drzewo, lecz Witosiek przepadł, nie pokazał się od czasu, jak rozwiązali kółko. Antek Grzyb powiadał, że widział Witoska w województwie: podjeżdżał czarną taksówką pod urząd, a szofer przed nim drzwi otwierał; ale czy to może być prawda? Czy do pomyslenia, żeby taki skurwiel został kimś ważnym, aż tak ważnym, że miałby własną taksówkę i szofera? A, cholera z nim! Bo co stanie się z nami? Trzeba w pole, robota czeka, gnój wywozić i trząść widłami, o Jezusie, a jaka to straszna praca, trząść, wszystko się w tobie napina i aż pęka, każda jedna żyłka, maszyną zaś, dzięki Prezesowi raz raz, ale nie ma Prezesa, nie ma kółka, nie ma maszyn, będziesz trząść śmierdzący gnój, lepiający się do gumiaków i łydek, do kolan i do spodni, i cały będziesz nim śmierdział. Jęczmień już powinien strzelać źdźbłami, a ty go dopiero posiałeś, ludzie! Może na mszę do Przysucej dać, żeby Prezesa puścili? Lecz co z tego, skoro kółka nie ma, kółko zmarnowane, o Jezusie! Ludzie, a pamiętacie paździenik, młóckę i tę urzniętą nogę Jadźki? I to, co się

później wyprawiało? Od tego zaczęły się nasze i Prezesa nie-szczęścia. To ty, cholerny Grzybie, całowałeś Witoska i opity gorzałą wrzeszczałeś: Precz z Prezesem! Ja? Ja? A wy to co, też razem ze mną wrzeszczeliście precz z Prezesem. To dlaczego na mnie winę zwalacie jednego? A kto przyleciał do Nosiorka i powiedział, że ma coś na Prezesa, tego drania, kto, może też ja? Czy to ty, Kłusaku przekłęty? Ja przekłęty? A kto się za brzuch od śmiechu trzymał, że Prezes przejedzie się na urzęniętej nodze Jadźki? Nie ty przypadkiem, Iwaniuku? Ludzie, puśćcie mnie, nie bijcie, czego ode mnie chcecie? Wołałem i owszem, alem nie wiedział, com wołał, bo byłem opity gorzej jak świnia, i to nie ja się pchałem na nowego prezesa, to Nosiorek się pchał, nawet niedzielny krawat bordo założył. Nosiorka nam tu dawać! To przez niego, to on pierwszy dał się podpuścić Witoskowi!

I widzieliśmy, synu, wprost pod naszymi oknami, to kłębowisko, słyszeliśmy te wrzaski, oddechy spragnionych zemsty. I zobaczyliśmy Nosiorkową krzyczącą: Ludzie, czego wy od nas chcecie? Czy to my napisalim donos na Prezesa?

Nagle zrobiło się cicho; pamiętasz, synu, tę ciszę? A w niej wysoko, wysoko, gdzieś spod chmur upajający, czysty śpiew skowronka nawoływał ludzi do pracy na polach.

Ileż to spóźnionych ze swoim śpiewem skowronków wyleciało tej wiosny pod niebo i śpiewało nam, ludziom, swoją odwieczną piosenkę o tym, że wiosna, że słońce, że radość, że ziemia nasza wezbrała sokami i chce rodzić owoce.

Słyszysz, synu? Skowronek i serce moje jak dzwon bijące; i nic więcej.

Czy to my napisalim donos, ludzie?

Moje serce oznajmia, że to już koniec i że to sprawiedliwy koniec. Zaraz na mnie ruszą. Zadudnią gumiakami po nowym

ganku, wywałą nowe drzwi, wyciągną po mnie ręce i zatłuką. Mnie i mojego syna.

Rozbiło się moje serce dzwonem.

Wszystkie oczy we mnie. Zaraz od tych spojrzeń pęknie szyba, rozsypie się szkło.

Ale to nie były ich oczy, synu. To były twoje oczy.

Coś ty, wybełkotałam, coś ty.

Odsuwałaś się ode mnie. Krok po kroku.

Coś ty, synu. To nie ja.

Coraz dalej i dalej ode mnie. Ja cię nie dogonię. Nie zatrzymam. Odchodzisz.

I byłeś już tak daleko, że jeszcze jeden krok, a stracę cię bezpowrotnie.

Przysięgam ci, że to nie ja!

Zatrzymał się. Zawahał.

Przysięgam na Boga!

A oni tam na drodze rozchodzili się do domów. Nosiorek wypłuł ząb. Grzyb ocierał krew z nosa. A wszyscy pochylili głowy, patrzyli na siebie wilkiem. Bo każdy z nich mógł napisać donos. Każdy po kolei.

Naprawdę nie wiem, synu, kto pierwszy powiedział, że to Kołodziejska. Może Nosiorkowa, może Iwaniuczka, może Lipieniowa? Nie wiem.

Krysiakowa przypomniała sobie, że gdy była u Kołodziejskiej, to Jadźka powiedziała, że wszyscy mi zapłacicie, wszystkich podam do sądu.

Lipieniowa przypomniała sobie, że gdy była u Kołodziejskiej, Jadźka powiedziała, że poda Prezesa do sądu, bo ma coś na niego.

Iwaniuczka powiedziała, że wie od Lewickiej, że Prezes najpierw dawał Jadźce dziesięć tysięcy za nogę.

Kłusakowa powiedziała, że wie od swego Kłusaka, który widział na poczcie w Przysuchej, jak Prezes podjechał ciągnikiem i podejmował z książeczki aż sto tysięcy. Po co ci tyle, Prezesie, taksówkę będziesz sobie kupował czy co? A Prezes powiedział, że nie, nie taksówkę, tylko że trzeba tej nieszczęsnej Jadźce jakoś pomóc, coby mogła kupić dobrą protezę do nogi.

To Lipieniowa krzyknęła, że widziała Prezesa, jak wychodził od Kołodziejskiej, a wyglądał tak, jakby mu kto w gębę napluł albo co, i nawet zawołała do niego, Prezesie, ale on ją wyminął i w ogóle nie spojrzął ani nic, to ona pomyślała, że tam musiało się coś wydarzyć i pędem do Kołodziejskiej, i widzi tak: Kołodziejska płacze, Jadźka zaś leży obsypana pieniędzami, a tych pieniędzy ażę gęsto, i ta Jadźka zaśmiewa się jak istna wariatka, i do Lipieniowej też się śmieje i gada: Pani również chce zapłacić mi za milczenie, pani Lipieniowo?

I co ona, ta Jadźka, zamierzała przez to powiedzieć? - zadziwiła się Tasławska.

No właśnie: co? - zastanawiała się Krysiakowa.

Ja wam powiem co, odezwała się Nosiorkowa, a to, że one obie próbowały wydebić od Prezesa jak najwięcej pieniędzy. Dlatego Kołodziejska płakała, że dał im mniej, niż się spodziewały.

Ale kto powiedział, synu, że to Kołodziejska napisała donos, nie wiem.

Tupot nóg. Nim zdążyłam odwrócić się od płyty, synu, objęły mnie ramiona Kołodziejskiej.

Co ci, Kołodziejska? Jezus Maria, Jadźka się zabiła? Kołodziejska, opamiętaj się, kobieto, puść! Ale jak rozerwać te ramiona, które czepiają się, ściskają, szukając pocieszenia; jak je odepchnąć?

Małomówno. Z nami koniec.

Chleba naszego powszedniego daj. Kryśka, siostra Witoska, bluznęła zza lady: Ja ci chleba nie sprzedam, ty stara kurwo zajebana, przez taką jak ty szyby nam wybijano, brat musiał uciekać, a ty, kurwo, patrzcie na nią! donosicielka do sklepu po chlebusz przychodzi! Ależ czemu by jej, Kryska, chlebusia nie dać, nie nakarmić dobrym, świeżym? Jej się jeść chce, ona głodna! I rzuciły się wszystkie, co były w sklepie: Nakarmimy chlebusiem, otwieraj gębę, Kołodziejska, otwieraj a szeroko, szerzej! - i działały palcami mięksiz chleba, zalepiały nim usta, wtykały do gardła.

Ja tego słuchać nie mogę! Zamilcz, Kołodziejska, zamilcz!

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy.

I odpuść mi moje, dobry Boże, Boże łaskawy, ja nie chciałam, żeby aż tak.

Gdy rozkwitły przed domem Kołodziejskiej piwonie, Nosiorek przywiózł beczkę gówna, wylał równo, starannie.

Potem Iwaniuk czyścił swój wychodek.

Potem Krysiak.

Potem Kłusak.

Potem wybito u Kołodziejskiej jedną szybę.

Potem wszystkie.

Potem na dobrej tłustej ziemi wyrosły bujne tłuste chwasty.

Skopała nocą pod zagonek kartofli. W dzień nie wychodziła. Bała się. Przyjechał Grzyb, rozorał.

Nocą zapukała w okno. To ja, Kołodziejska. Otwórz. Ziemię chcę sprzedać.

Doczekałam się.

Moja ziemia.

Moja.

Trochę późno zdecydowałaś się, Kołodziejska, bo co mi teraz po twojej ziemi, skoro odłoguje? Musisz taniej. I tak nikt poza mną od ciebie nie kupi.

Zachwiała się, jakby ją trafiła kula.

Krowa to jakby moja, ponieważ pożyczalaś ode mnie pieniądze, ale ich dotąd nie oddałaś, to jak się doda procenty i to, co musiałam zapłacić Iwaniuczce za kopanie twoich kartofli, z których połowę przecież ci uczciwie oddałam, to wychodzi, że za krowę nic ci się nie należy.

Zachwiała się po raz drugi.

Obórka ciasna i do remontu. Chlewik tak samo. Ale niech ci będzie, kupię i to. Pewno, że najlepsze wyjście dla ciebie i Jadźki stąd się wynosić.

Zachwiała się po raz trzeci.

Meble po Jadźce też mogę kupić.

Chwiała się i chwiała. Co tam, cholera z nią, im prędzej się wyniesie, tym lepiej. Ciężko mi było żyć z tym smrodem obok i z tym smrodem w sobie, i nie wiadomo już, który smród bardziej dusił. Nocami, które takie krótkie, bo ledwo głowę do poduszki przyłożysz, to zaraz trzeba wstawać, rękami gnój, rękami siać, rękami kartofle wtykać. Każdy jak wściekły pies, bo umordowany do ostatnich sił; ech, rozpaskudził nas Prezes, po co komu jaka maszyna, jeśli każda jedna z kółka za parę groszy? Tylko u Goździckich komplet maszyn na konie. A i owszem, pożyczymy, pożyczymy, policzymy nie za drogo, tylko tysiączek za godzinę. Wy jak ścierwa, Goździcy. Może i ścierwa, ale nie czerwone! Jezu, ludzie! - krzyczała w sklepie Grzybowa - a pamiętacie, jakżeśmy chcieli pierwszy traktor łomami rozwalać? To kładę się do łóżka, synu, głowa jak baniak, pod powiekami piasek i natychmiast z ciemności wypęłza to zamiast, nie pozwala mi snu ani liznąć, to zamiast krzyczy do mnie zewsząd, spada z sufitu, unosi się znad podłogi, szepcze, syczy, zamiast twego domu dom Kołodziejzkiej zasycha w gównach, zamiast niej ty się skradasz przykulona, szukając osłony pod drzewami, tropiona, ścigana,

przekłeta, dopiero za Zakolem wolno ci wyjść na asfalt i gnać piętnaście kilometrów w jedną, piętnaście kilometrów w drugą, żeby kupić w Przysuchej bułkę chleba, tytkę mąki; zamiast ciebie, zamiast, zamiast.

I już byłam bardzo zmęczona tym oczekiwaniem na Kołodziejską, synu. Wiedziałam, że któreś nocy musi zastukać w okno; nikt jej, poza mną, nie został. Tylko ja. Tylko jeszcze mnie ufa, głupia. Czasem kupiłam dla niej chleb, czasem napięłam ciasteczków dla Jadźki, czasem pocieszyłam słowem. I czekałam, synu, na: Sprzedam ziemię, Małomówno; chociaż tak naprawdę to tej ziemi już mi się wcale nie chciało, przestałam jej pożądać, bo i po co mi ona, skoro własną bez maszyn z trudem obrabiam? Męczyło mnie jednak to zamiast, synu, męczyło tak silnie, więc żeby się tego zamiast pozbyć, czekałam na Kołodziejską, przyjdzie nocką, zastuka w okno, powie: Muszę stąd uciekać, Małomówno, sprzedam ci ziemię.

Niech ucieka. Niech się wynosi. I zabiera ze sobą moje zamiast.

Bardzo byłam zmęczona, synu, serce moje.

Zastukała w okno, wpuściłam; wyrzucałam z siebie szybko, że taniej, że procenty, że meble Jadźki też, wszystko, wszystko wezmę, odkupię, za pół ceny, za ćwierć ceny, i niechaj się głupia chwieje, sama sobie winna, że mi zaufała, zapominając, że każdy jak sęp. I powiem ci, synu, całą prawdę, bo nagle poczułam do Kołodziejskiej wściekłość, że taka słaba, taka bezradna, taka skrzywdzona, taka zrozpaczona, taka cierpiąca. Krzyknęłam: A ty co sobie wyobrażałaś? Że jacyś dobrzy ludzie tę twoją ziemię zaorzą, obsieją, bo jacyś dobrzy ludzie o niczym innym nie myślą, tylko o twoim nieszczęściu? Każdy ma własne życie i własne nieszczęścia, cudzymi się nie zajmuje.

Nie mów już nic, Małomówno, zamilcz. Dawaj papier, pisz umowę.

Trzeba było mnie słuchać, podać Prezesa do sądu!

Ja cię proszę, zamilcz, Małomówno.

Dobra, dobra; milczę, piszę, aż się papier rozdziera, tak wściekle piszę; nie myśl sobie, że chcę twojej krzywdy. Masz, udław się, dorzucę ci jeszcze dziesięć tysięcy, i jeszcze pięć za chlewik, a drugie pięć za meble Jadźki.

Nic mi nie było potrzebne, synu, tym bardziej te meble Jadźki, tylko mnie to zamiast chwyciło za gardło, zacisnęło się mocno, że aż poczęłam się dusić, oddech chwytać jak ryba wyciągnięta z wody. Ale ona nie zapytała, co ci, moja dobra, kochana Małomówno, chociaż charczałam. Ona zabrała papier i powiedziała: Meble możesz sobie wziąć jutro w nocy, bo pewno za dnia będziesz się bała syna, Małomówno, i niechaj ci ziemia lekką będzie, niechaj ci tam w niebie darują i odpuszczą te wszystkie krzywdy, jakie nam wyrządziłaś.

Popatrzyła na mnie i powiedziała: To ty napisałaś donos na Prezesa.

Teraz ja się zachwiałam.

Popatrzyła na mnie i powiedziała: Nie bój się, Małomówno, ludzie i tak mi nie uwierzą, a synowi nie powiem, boby cię znie nawidził.

Taszczyłyśmy meble po Jadźce obie. Ja i Kołodziejska, po raz ostatni wspólnie, razem, zespolone wysiłkiem, oddechami, drżeniem rąk od ciężarów.

Ale kiedy nocą zapukałam do zabitego dyktą okna, zamiast chwyciło mnie nie tylko za gardło, ale i za oczy, włosy, nogi i myślałam, synu, że tam, pod tym oknem, upadnę i więcej się nie podniosę, a smród zasychającego gówna zatykał mi dech i smród bił z mego oddechu. I dlatego, synu, serce moje:

Zamiast mojej poduszki dawaj tę poduszkę też

Zamiast mego dywanika dawaj ten dywanik też

Zamiast moich talerzy talerze

I lustro

I beczkę

I dwa wiadra cynowe

I krzesło

I zydelek

Wszystkie zamiast przeniosłyśmy. Zdążyłyśmy przed świtem. Przysypałam je porządnie, gęsto słomą. Gdybym przeczuła, że ty, synu, pod słomą w stodole moje zamiast odkryjesz, wykopałabym od razu dół i do dołu. Bo po jaką cholere mi te graty? Żeby nie moje zamiast, anibym na nie spojrzała. Ja już niczego nie chciałam od Kołodziejskiej; ja zadławiłam się tym, co miałam. I to moje zamiast krzyczało do mnie, że zamiast Kołodziejskiej byłoby zupełnie inne. Ona by zamiast nie taszczyła ani poduszki, ani wiader, ani beczki; ona, ta głupia Kołodziejska, gdyby zamiast nogi jej Jadźki urznęło twoją, synu, przynosiłaby do mnie swoje zamiast poczciwe, zacne, serdeczne, nieskalane chciwością, pożądaniem posiadania; ona by za to zamiast nie odmawiała nowenny dziękczynnej, ona by się nad nim pochyliła miłosiernie, ze współczuciem; och, synu! gdybyż tak można było wyszarpać z siebie swoje zamiast, choćby i razem z sercem, synu; i oto nagle, stojąc w tej stodole, jeszcze dygocząca od taszczenia, zapragnęłam, aby to twoja noga, synu, zamiast nogi Jadźki; twoja noga, twoja; wybacz, synu.

Co one robią, matka? Co robią, na litość boską?

One wyprowadzają się, synu. Dostały, jak widzisz furę od Goździckich, którzy zawsze byli przeciwni Prezesowi, i wyprowadzają się. Nie, synu, serce moje; nie wiem dokąd i nie chcę wiedzieć. Ostatnie to już moje zamiast tam, na furze, i może wreszcie wróci spokój.

Może wróci.

Droga wydaje się całkiem pusta, ale to nieprawda, bo wszędzie za płotami i nad płotami czarne albo brązowe garnki głów zwisają, obserwują.

A środkiem drogi biegnie syn.

Może powinnam była pobiec za tobą, synu?

Może.

Ale co by to zmieniło?

Nic.

Patrzyłam, jak biegniesz.

I poczułam takie wielkie zmęczenie, synu, tak ogromne, że pomyślałam: A, co tam, niech sobie biegnie; i po raz pierwszy w swoim życiu, synu, w biały dzień, zamiast iść do świń, które kwiczały, głodne, położyłam się na wersalce, nie zdejmując nawet butów. Nic mi się nie chciało, synu, serce moje. Ziemia po Kołodziejkiej moja, tłusta niczym masło, porośnięta wysokimi chwastami, aja, zamiast iść, zaprząc konia, orać te chwasty, niszczyć, ja leżałam na wersalce, a ta ziemia tłusta jak masło nic a nic mnie nie obchodziła. Musiałam choć troszkę odpocząć, synu. Później wstanę. Nakarmię świnię, poobrządzam się.

Słyszę: wracasz. Ciężko, powoli szurasz nogami, jakby każda twoja noga ważyła tonę. No cóż, synu, no cóż.

W połowie listopada wypuścili Prezesa i Lewickiego.

Prokurator umorzył śledztwo z powodu braku dowodów. Albo może umorzył dlatego, że jeszcze nie wszyscy ważni powysiadali z czarnych taksówek, został któryś z tych, co ścisnął rękę Kubiaka T., prezesa najnowocześniejszego kółka w województwie, i poręczył za Prezesa. A, co to mnie obchodzi.

Macióra zdechła.

A, cholera z nią.

Małomówno, wyjdź przed dom! szybko, szybko! zdążysz zobaczyć, jak Prezes swoją prezeskę niesie!

Niesie, niech niesie.

Małomówno, prezeska dziś rano, kiedy Prezes krowy oporządził z Anusią, uplotła na głowie sto warkoczyków, każdy jeden przewiązała kolorową kokardką, umalowała usta, umalowała poliki i poszła na autobus, i właśnie stamtąd ją Prezes niesie jak małe dziecko na rękach.

A co to mnie obchodzi.

Małomówno, przecież ty prezeski nienawidziłaś, powinnaś się cieszyć, że jej się rozum całkiem pomieszał.

Idź sobie, Lipieniowo. Idź ode mnie, ja już nikogo nie nienawidzę. Kocham żonę, Katarzyno, kocham żonę.

Co ty gadasz, Małomówno?

Nic nie gadam. Nic.

Matka słyszała? Prezes swój dom oddaje na szkołę, już tam wnoszą ławki i tablice.

Jego dom, jego wola. Oddaje, niech oddaje.

Podszedł do płota. Kocham żonę, Katarzyno, teraz i na zawsze, i na wieki wieków, amen. Nie, synu, serce moje, tak mi nie powiedział, nie musiał, ja przecież o tym wiedziałam. Co mi tam, niechaj ją sobie kocha. Podszedł do płotu, powiedział, co się z tobą porobiło, Katarzyno, co porobiło. A powiedział to z litością, synu. Nienawiść potrafię udźwignąć, litości nie. Powiedziałam mu: To ja. To ja napisałam na ciebie donos.

A jego oczy aż spęczniały owocem litości, patrzył na mnie i patrzył, wreszcie powiedział: Moja biedna Katarzyno.

Tego samego dnia ty, synu, odnalazłeś meble po Jadźce. I beczki, i lustra, i talerze, i zydel.

Ze wszystkich ludzi na całym świecie ciebie najbardziej nienawidzę, matka.

I odszedłeś, synu.

Wiedziałam, że na zawsze.

Romanka widziała cię, jak wsiadałeś do autobusu.
Tasławska widziała cię w gminie.
A potem nie widział cię już nikt.
Dokąd pojechał twój syn, Małomówno?
Pojechał daleko.
A po co pojechał daleko?
Pojechał zobaczyć, jak świat gdzie indziej wygląda.
A kiedy twój syn wróci, Małomówno? Już dwa tygodnie, jak go nie ma.
Już trzy.
Miesiąc.
Wsiadłam w autobus, pojechałam do gminy, za wszystkie pieniądze, jakie miałam, kupiłam nowe meble i nowe dywany.
Mebłujesz się na nowo, Małomówno?
Wszystko nowe, moi kochani, wszystko nowe dla mego syna, który wraca.
A dziś rano twój ojciec, synu, Małomówny, powiedział bardzo wyraźnie: Zanieś mnie do pokoju, będę umierał. Oczy miał szeroko otwarte i przytomne. Umyłam go, przebrałam, zaniiosłam do sypialki, otuliłam kołdrą. Wybacz, powiedziałam mu, że wtedy, kiedy płakałeś w, poświęcie księżycyca, nie objęłam ciebie z pocieszeniem.
Po południu przyszedł Prezes.
Nie potrzebuję już prosiaczków, powiedziałam, bo mi się wszystko pokręciło, synu, serce moje, i powróciłam do tamtego dnia, w którym ty po raz pierwszy powiedziałeś ma-ma.
Co ci jest, Katarzyno?
Nic.
Krowy twoje, Katarzyno, ryczą na pastwisku od rana.
Ryczą, niech ryczą.
Katarzyno?

No cóż, zapomniałam je podoić. Miałam tyle pracy, synu, serce moje, meblowałam dom na twój powrót.

Katarzyno, nie poznajesz mnie?

Poznaję, czemu miałabym nie poznawać? Jesteś Kubiak. I wiesz, mój syn wraca do mnie jutro nad ranem.

Nad ranem? Nad ranem nie ma żadnego autobusu, Katarzyno.

I chciał szybko odejść. A ja, choć wszystko mi się kręciło w głowie, zrozumiałam jednak, dlaczego tak szybko chce odejść. I musiałam mu przeszkodzić. Roześmiałam się i powiedziałam mu: Aleś ty drobiazgowy, Kubiak. A czyż mój syn musi koniecznie wracać autobusem? Przyjedzie do gminy pociągiem, a że nad ranem, to weźmie taryfę, stać go.

Ciągle patrzył podejrzliwie.

Idź, idź, powiedziałam mu, musiałam tak powiedzieć, żeby go zmylić. Biegnij do tej swojej ufarbowanej myszy, rozplatać jej te warkoczyki miłosne, i do tych małych nóżek, co ci teraz tupią na okrągło po domu, chociaż nie są twoje, lecz obce, cudze, bo ty, Kubiaku, nigdy się własnych tupiących nóżek od swojej niedojdy nie doczekasz.

Krowy nie powinny się męczyć, Katarzyno.

Doprawdy nie wiem, synu, czy tak mi jeszcze powiedział, zanim odszedł.

Może tak, może nie.

Nie wiem.

Ale to on doił krowę Kołodziejskiej, synu; teraz to wiem na pewno.

Racja, krowy niewinowate, nie powinny się męczyć, toteż poszłam, wydołam akuratnie, zaczynając jak zawsze od Lizy, a na Zośce kończąc.

Dobra krówka, chociaż stara. Bardzo stara. A może to nie Li-za, córka Lizy, lecz ta nadzwyczajnie pierwszorzędna krowa od Kołodziejkiej?

Pod wieczór, gdy się dobrze ściemniło, pobiegłam do Nosior-ków.

Zabrakło mi chleba, a syn, serce moje, wrócił wcześniej, niż się spodziewałam. Pożycz, Nosiorkowo, z pół bułki.

A czym on wrócił, bo w autobusie go nie było? - zapytała No-siorkowa podejrzliwie i przyglądała mi się, synu, tak jakoś dziw-nie, więc udałam, że się śmieję, i powiedziałam: Taryfą wrócił, pieniędzy starczyło mu do Zakola, od Zakola na nogach, bardzo się umordował.

Chleb wyrzuciłam koło jarzębiny i pobiegłam do Grzybów.

Zabrakło mi chleba, a mój syn wrócił wcześniej, niż się spo-dziewałam; nie, nie autobusem, taryfą wracał, tylko że pieniędzy starczyło mu do Zakola, od Zakola musiał piechotą, umordował się bardzo.

Chleb wyrzuciłam zaraz przy płocie, synu, i wróciłam do do-mu.

Popatrz, jak dobrze wyliczyłam czas, budzik dzwoni.

I polana też dobrze wyliczyłam. Tyle, ile trzeba.

Ostatnie wkładam pod płytę. Czas na mnie.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam na-sze winy

Jako i my odpuszczamy

Nosiorkową obudził dziwny syk.

Opowiadała później, że przyśnił jej się wąż. Był długi, śliski i owijał się wokół szyi. Przestraszyła się, przebudziła i wówczas w szybie spostrzegła poblask ognia. Zaszarpała Nosiorkiem. Wstawaj! Wstawaj! Kubiak się pali! Bo była przekonana, że to tamta grudniowa noc.

Nosiorek wybiegł przed dom, a już od Grzybów, Krysiaków krzyczą, że pożar u Małomównej!

I rzeczywiście. Dom Małomównej stał w płomieniach, jakby go kto naftą oblał ze wszystkich stron.

Prezes krzyczał: Ustawiać się, łać wodę, wiadra podawać! - lecz nie było już po co, zapadał się właśnie dach.

Pożar wybuchł, gdy cała wieś spała w najlepsze.

Nazajutrz z gminy przejechała milicja i strażacy; strażacy to nie wiadomo po co, gdyż o czwartej nad ranem było po wszystkim. Polali z sikawek tłące się belki i odjechali.

Milicja najpierw powiedziała, że to podpalenie, lecz potem zmieniła zdanie, ponieważ wśród pogorzeliska odnaleziono dwie kanki po nafcie, obie całkiem rozerwane od wybuchu. Widać ta nieszczęsna Małomówna, z którą ostatnio wyprawiało się coś niedobrego, po jakąś cholerę przyniosła naftę w kankach do domu

i bezrozumnie ustawiła w kuchni, koło płyty; byle iskra od polana i pożar gotowy.

Tuż pod osmaloną dziurą, w miejscu, w którym było okno kuchenne, milicja znalazła spalone ciała Małomównej i Małomównego. Ona trzymała go jakby w objęciach i ci z milicji orzekli, że Małomówna próbowała ratować Małomównego, doniosła go do okna, gdzie na nich zwała się belka stropowa.

Wszystkim wydało się dziwne, że Małomówna ratowała Małomównego, a nie syna.

Ciała syna nie odnaleziono. Milicja wykluczyła obecność osoby trzeciej, chociaż Nosiorkowa i Grzybowa zeznały do protokołu, że w późny wieczór poprzedzający pożar bardzo błada Małomówna przybiegła pożyczyc połowę bułki chleba, bo syn jej właśnie wrócił przed czasem.

Stasiek Nosiorków znalazł połowę bułki pod jarzębiną.

Drugą połowę kury podziobały pod płotem Grzybów.

Pewno jej ta pierwsza wypadła, więc poszła po drugą do Grzybów.

Ale czemu i ta druga jej wypadła?

Wszystko to jakieś bardzo podejrzane.

Jednak po co by meblowała dom całkiem na nowo, jeśli syn miałby nie wracać?

Wszystko jedno to podejrzane. I nikt nie widział tego jej syna.

Wtedy Prezes powiedział: Ja widziałem. Widziałem syna Katarzyny. To było gdzieś koło jedenastej. Był umordowany, jakby szedł z daleka. Ona otworzyła mu drzwi i powiedziała: Jak się masz, synu, serce moje. Pewno jesteś głodny i spragniony.

To by się zgadzało, ponieważ Małomówna o tej porze przybiegła po chleb. Mój Nosiorek właśnie nogi moczył w miednicy, powiedziała Nosiorkowa.

No pewno! To by się zgadzało, przytaknęła Grzybowa.

A co tam zresztą taka milicja wie? Przecież kominem nie wyleciał. Spalił się całkiem i tyle. Ogień był bardzo gwałtowny od tej nafty.

Więc pochowano ich we wspólnej mogile. Małomówną, Małomównego i ich syna. Był kłopot, co napisać na krzyżu. Nikt nie wiedział, ile lat miała Małomówna, ale Prezes powiedział: Napiszemy im po prostu tak: Katarzyna Małomówna, żona; Józef Małomówny, mąż; Jan Małomówny, syn. Proszą o przebaczenie, ponieważ pragną odpoczywać w spokoju.

I tak im napisano.

Amen

Człowiekiem, jak ty, powtórzył syn Katarzyny. Odwzajemnił uścisk.

Potrzebującym, jak i ty, pocieszenia, powiedział mu.

Syn Katarzyny oparł głowę na jego piersi. Powiedział: Nienawidziłem wszystkich. I ciebie też.

Byłeś nieszczęśliwy, odpowiedział mu.

Czy kiedykolwiek byłeś nieszczęśliwy? - zapytał syn Katarzyny.

Tak, byłem, odpowiedział mu.

A teraz? - zapytał syn Katarzyny.

Teraz jestem uspokojony, jak ty, odpowiedział mu.

Jak ja, powtórzył syn Katarzyny. To prawda. Odkąd urodził się nam syn, jestem uspokojony.

A twoja żona, Jadźka?

Skąd wiesz, że ją odszukałem?

Inaczej nie potrafiłbyś tu wrócić. Z wybaczeniem, odpowiedział mu.

Ach! - powiedział gwałtownie syn Katarzyny - to nie tak!

Dopóki nie urodził nam się syn, nie zamierzałem nikomu niczego wybaczać. Ale urodził się i spojrzał na nas oczami mojej matki, a moja żona powiedziała do niego: Synu, serce moje. I nagle cała

nienawiść zgasła jak świeczka zdmuchnięta wiatrem. Zrozumiałem, że muszę tu wrócić. Myślałem, że zdążę. Myślałem, że zapukam do drzwi domu nocą, kiedy trwa dobra cisza, a moja matka mi je otworzy i powie do mnie: Synu, serce moje, a ja jej odpowiem: Przebacz, matko, że odszedłem od ciebie w nienawiści i że zostawiłem cię samą, z twoją własną. Ale spóźniłem się. Mojej matki już nie ma.

Ależ jest! - odpowiedział mu, myśląc o źdźbłach pszenicy koło dzikiej gruszy. Jest i wciąż czeka na ciebie, więc jeśli chcesz, zaprowadzę cię do niej. Nasz cmentarz przez lata twojej nieobecności rozrósł się jak młody las, mógłbyś długo błądzić pośród ramion krzyży, zanim odnalazłbyś te, które unoszą się nad twoją matką i twoim ojcem.

Chcę do nich pójść, powiedział syn Katarzyny.

Więc poszli.

Wokół cmentarza obrzmiałe pąkami krzyżyków dzikie bzy pachniały liliowo, a niebo z pobladłymi już gwiazdami oblekło się w liliową mgłę. Niebawem zacznie świtać. Syn Katarzyny klęczał długo, bardzo długo, a gdy wreszcie podniósł się z kolan, powiedział: I ja tu też leżę.

Ty też.

I proszę o przebaczenie, powiedział syn Katarzyny.

I prosisz o przebaczenie.

Amen, powiedział syn Katarzyny.

I niech się tak stanie.

Syn Katarzyny odwrócił się i ruszył między grobami ku cmentarnej bramie.

Bzy pachniały.

Jakże szybko ucieka majowa noc. Już dzień różowieje na czarnych ramionach krzyży.

Trzeba wracać.

To będzie dobry dzień. Ciepły, parujący wilgocią, spęczniały zapachami nasyconej wreszcie deszczem ziemi.

Zaraz rozpieją się koguty, rozgdaczą kury, rozgęgają gęsi, psy zaczną szczekać, konie rzeć, świnie kwiczeć. Nad dachami domów uniesie się z kominów siwy dym. Zaraz rozlegnie się wszędzie, od jednego końca wsi do drugiego, głos ludzi, wstających jak co dzień do pracy; szczęknięcie wiader, skrzypienie studni. Zaraz Grzyb zaprzęgnie siwka w bronę, bo musi jeszcze przybronować pole z jęczmieniem, a Tasławski wyniesie z piwnicy worki z kartoflami do sadzenia. I zaraz wszędzie, we wszystkich oborach kobiety usiądą przy krowach i tak jak kiedyś Katarzyna Małomówna, opierając policzek o dobry, łaskawy i ciepły brzuch krowy żywicielki, będą doić, a mleko zapieni się puszyście w wiadrach.

Koło kasztana przy płocie Iwaniuków spotkał Nosiorkową. Kartofle czas sadzić, Prezesie, powiedziała. U mnie już przygotowane, a i gnój przyorany, chwala Bogu.

U mnie też, odpowiedział jej. Tylko krowy z Anusią podoję i będę sadił.

Szczęść ci Boże, powiedziała.

Szczęść i tobie, odpowiedział.

Zbliżając się do domu, zobaczył swoje krowy, które schodziły się z pastwiska drogą ku oborze, błyszczące od rosy, z wymionami spęczniałymi od mleka.

Na ganku czekała na niego Anusia ze swoim niezmiennie smutnym uśmiechem niemowy.

Dzień jak co dzień. Niech będzie błogosławiony.